



Darek Dusza

Jestem ziarnkiem piasku



Wydawnictwo ZIMA



Darek Dusza

**Jestem
ziarnkiem
piasku**
!

Wydawnictwo ZIMA

Autor: Darek Dusza

Tytuł: „Jestem ziarnkiem piasku”



www.zima.slask.pl
www.sklep.zima.slask.pl

Wydawca ZIMA Firma Fonograficzno-Handlowa

Marek Niewiarowski ul. Traugutta 71B/7 Pyskowice

Copyright: © ZIMA (2016)

ISBN 978-83-913108-6-1

Wydanie pierwsze

Materiały zdjęciowe pochodzą z archiwum autora. Autorzy zdjęć, o ile znani, podpisani są przy zdjęciach. Niepodpisane pochodzą ze zbiorów prywatnych różnych osób. Staraliśmy się ustalić, kto jest autorem, niestety okazało się to niemożliwe – niemniej naruszenie czyichkolwiek praw autorskich nie było naszą intencją – prosimy o informacje, jeśli autorzy rozpoznają swoje zdjęcia, ew. jeśli znacie autorów.

Prawa autorskie zastrzeżone, lecz cytowanie fragmentów w celach niekomercyjnych – ze wskazaniem źródła – mile widziane.

Projekt, typografia, zdjęcia na okładce, również część w środku:

© copyright (2016) mirosław ryszard makowski

www.zima.slask.pl

facebook.com/ZIMARECORDS

[tel.691962519](tel:691962519)

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Intro

Rozdział 1

Muzyka

Rozdział 2

Gitara

Rozdział 3

Załoga

Rozdział 4

Stylówa

Rozdział 5

Piwnica

Rozdział 6

Hotel

Rozdział 7

Trasa

Rozdział 8

Teksty

Rozdział 9

Festiwale

Rozdział 10

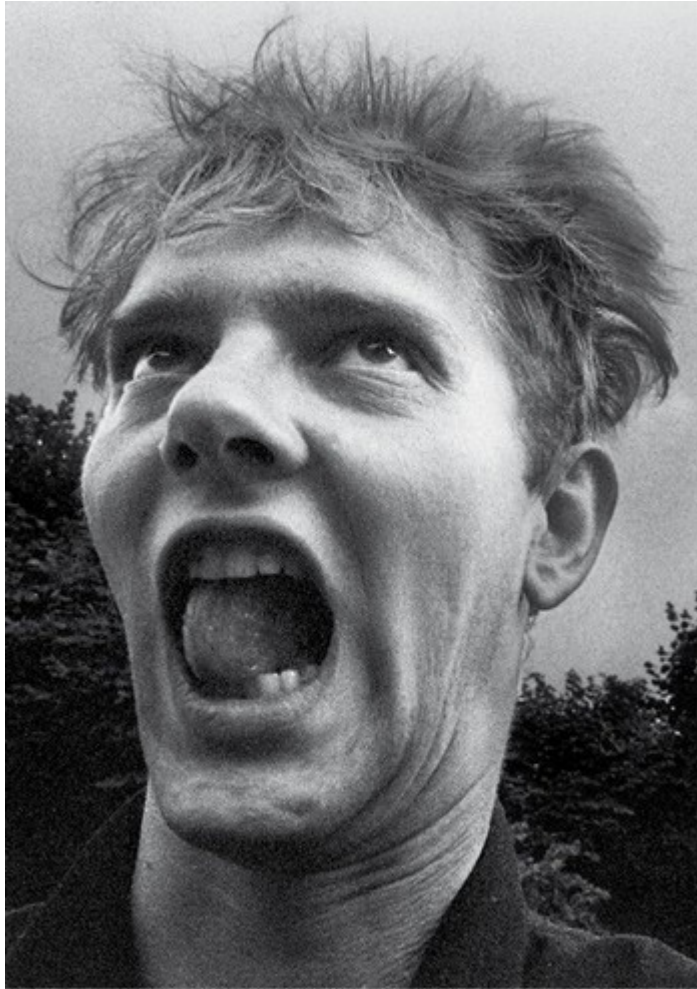
Media

Rozdział 11

Koncert

Posłowie

Intro



Sopot, molo (1986); „30. lat jazzu w Polsce”
foto mr makowski

Nabiecie!

Raz, dwa, trzy, cztery! Zaczynamy.

Nie lubię książkowych wstępów. Ty też? Tych podziękowań dla psa, papużki, żony, wydawcy, dawnych przyjaciół i przyszłych wrogów. Tego tłumaczenia się, krygowania, mizdrzenia do ginącego gatunku, jakim jest Czytelnik. Opowiadania o inspiracjach, fascynacjach i innych acjach, które towarzyszyły autorowi w trakcie procesu twórczego. Wstępy są gorsze, niż opisy przyrody. Niemniej każda dobra książka powinna mieć wstęp. Tak jak każdy utwór muzyczny. Był nie był to wstęp rozwlekły i nudny. Niech będzie krótko i żołnierskim, prostym językiem.

Dlaczego napisałem?

A dlaczego nie? Wszyscy polscy muzycy wydają wspomnienia. Zapewne z nadmiaru wolnego czasu i faktu, że łatwiej sprzedać dziś książkę niż płytę. Czemu miałbym nie spróbować? Fakty coraz bardziej zacierają się w pamięci, powoli odchodzą potencjalni czytelnicy. Ba, rock'n'roll został ginącym gatunkiem i powinien trafić do Czerwonej Księgi. Rock'n'roll i my, rock'n'rollowcy.

Chociaż tak naprawdę nie jestem sentymentalny. Czasy się zmieniają, muzyka się zmienia. I dobrze. Stare pierdziele zawsze narzekają, a młodzi mają to marudzenie w dupie. Miałem wielkie szczęście, że udało mi się grać w najlepszym dla polskiej muzyki czasie. Grałem w świetnych zespołach ze wspaniałymi muzykami. Grałem rock'n'rolla, punka, reggae i rocka. Nagrałem wiele płyt, na jeszcze więcej krążków trafiły moje teksty. Dzięki muzyce przeżyłem wiele przygód, poznałem wielu sympatycznych ludzi. Muzyka pozwalała i pozwala przetrwać. Bez niej świat byłby milczeniem.

Starczy tego wstępu? Mogę Wam podać sto kolejnych powodów, dla których usiadłem przy klawiaturze. Przerośnięte ego? Chęć zysku? Tani sentymentalizm?

Kogo to obchodzi? Ważne, żeby się dobrze czytało.

Pewnie poplączę jakieś fakty, pewnie przekreślę kilka nazwisk. Pewnie zapomnę o kilku niemiłych sytuacjach. Wykreślę z pamięci kilku wrednych typów. Ktoś się obrazi, ktoś zostanie pominięty. Parę rzeczy przemilczę. Przywilej autora. To nie jest praca naukowa. Z drugiej strony na pewno nie hagiografia.

Ważne, żeby się dobrze czytało.

Tyle wstępu, zaraz zacznie się pierwsza zwrotka.



Mama i ja,
archiwum rodzinne

Rozdział 1

Urodziłem się... Nie przerywaj, skoro piszę tę książkę, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że wcześniej się urodziłem. Urodziłem się w Gliwicach, na Górnym Śląsku. Bardziej dociekliwi mogą sobie wygugłać, co to za dziura. W porywach zasiedlało ją dwieście tysięcy gliwiczian, zatrudnionych w lokalnych hutach, kopalniach i innych zakładach przemysłu ciężkiego. Część ludności pracowała w różnego rodzaju biurach projektowych, Gliwice uchodziły za miasto inteligentów. Mądrość sphywała z archipelagu Politechniki Śląskiej. Tuż przy tym archipelagu mieszkałem.

Moje miasto było również znane z produkcji czołgów i innych środków do zabijania w zakładach w Łabędach. Oczywiście za komuny nikt się tym nie chwalił, nikt nie chełpił. Przecież wraz z bratnim narodem radzieckim miłowaliśmy i krzewiliśmy pokój. Ileś lat później chodziłem na ryby na teren poligonu czołgowego, mijając naszego eksportowego „Twardego”. Ustroje się zmieniają, natura ludzka nie. Zabijać! Mordować i dobrze na tym zarabiać. Na pewno słyszeliście też o Kanale Gliwickim, dawniej Adolf-Hitler-Kanal? Nie? To już raczej nie usłyszycie, nic nim nie pływa. Kiedyś wożono nim ze Śląska węgiel. Gliwice są najbardziej wysuniętym na zachód miastem Górnego Śląska. Stąd krążące wtedy mity o najbardziej zielonym i czystym mieście regionu. Tak jakby te koksownie, huty (w tym jedna w samym centrum) waliły ozonem.

Może faktycznie Gliwice były nieco ładniejsze, niż typowo robotnicze śląskie miasta. Rynek, zameczek piastowski, dwa duże parki. A na zachód od miasta zaczynały się lasy, pola i dzikie stepy. Jednak było to (nadal jest) miasto bardzo okaleczone wojną, pełne pustych placów po zniszczonych kamienicach. Odbudowywane chaotycznie i byle jak. Do kamienic z końca dziewiętnastego wieku doklejano socrealistyczne plomby. Pomiędzy zwartą, secesyjną zabudowę wstawiano socrealistyczne pudełka. Takie jak dom przy ulicy Moniuszki, w którym spędziłem dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

Pięciopiętrowy, trzy klatki schodowe. Narażony na opad rdzawego pyłu z Huty Pierwszego Maja. Wypranych białych koszul nie należało suszyć na

balkonie. Prostopadle do domu wznosił się pagórek, pod którym znajdował się schron przeciwoatomowy. Wejście do środka i spenetrowanie tego schronu było niespełnionym marzeniem mojego dzieciństwa. Próbowaliśmy z kolegami niejedną raz. Niestety... Przed wejściami do klatek rozciągało się porośnięte trawą podwórko. Rosło na nim parę kasztanowców, lipa, topole i niewielka jabłotka. Co roku owocowała, zielone, kwaśne jabłka znikwały w ciągu kilku chwil. Dalej ciągnęły się garaże, przylegające do fabryki wyrobów z tworzyw sztucznych. Centrum miasta, nieźle? Kawałek dalej zaczynało się tzw. „Górnice”, czyli podwórko przed domem należącym do jakiegoś biura górniczego czy też kopalni. Tuż za nim biegła ulica Dworcowa vel 1 Maja vel Jana Pawła II. Jak widać nazwy ulic są funkcją zmieniającej się władzy.

Cóż tam jeszcze ważnego było w okolicy mojego domu? Rzeka Kłodnica, czyli wtedy radioaktywny kanał odprowadzający ścieki i wody kopalniane z połowy Śląska. Teraz ponoć pływają w niej ryby, co jest kolejnym dowodem na deindustrializację. Fuj, co za paskudne słowo, na dodatek nie występujące w języku polskim. Ale inteligentny czytelnik skumał, o co cho. Przy Kłodnicy stał kościół św. Barbary, w późniejszym czasie miejsce zbiórki ekipy chodzącej na giełdy płytowe. W pobliżu było parę sklepów: warzywniak, spożywczy i mięsny.

I przede wszystkim był sklep pani Skowronowej. Najlepszy sklep pod słońcem. Prywatny. Jasne okienko kapitalizmu w mrocznym, socrealistycznym baraku. Tam chodziło się po oranżadę, tam wymieniano się syfony z wodą sodową. Skowronowa miała świeże warzywa, ciastka, czekolady. I żurek. Żurek na Śląsku to sprawa istotna, a dobry żurek to wręcz sprawa strategiczna. Nie ma się z czego śmiać, w innych regionach Polski nieudolnie próbuje się podrobić tę śląską potrawę. Próbuje bezskutecznie, bo żur smakuje tylko na Śląsku. Sklep Skowronowej był jak z baśni, tylko Pewex był w stanie go przebić. Nie chcę silić się na ironię, ale osoby z krótką pamięcią oraz urodzone po 89 roku uprzejmię informuję: Biedronki ani Żabki w pobliżu mojego domu nie było. Nie było na całym Górnym Śląsku. Nie było w całej Polsce! No pewnie, że dinozaury wymarły wcześniej.

Dobra, od tego miejsca pojawią się przypisy. Dzięki temu tekst będzie zrozumiały dla wszystkich grup wiekowych. Może jednak lepiej nie? Przypisy bardzo łamią rytm, zakłócają czytanie. Przecież drogi Czytelniku

musisz być inteligentny. Nikt nie pisze dla ameb. Ameby książek nie potrzebują. Zadowolą ich jutuberzy i współczesne polskie kabarety. Gdybym myślał o samobójstwie, wybrałbym godzinę z jednym z kabaretów lansowanych na Polsacie. Albo godzinę oglądania rozśmieszaczy z netu.

Szczanie, pierdy, szczanie. Humor made in USA. O, jeszcze bekanie. Bekanie jest niezwykle ważne dla współczesnej popkultury.

Przepraszam, zapomniałem dodać, że urodziłem się w grudniu 1961 roku. Nie pamiętam nic z pierwszych lat mojego dzieciństwa. Byłem ślicznym pączusiem z blond lokami, przynajmniej tak wyglądam na nielicznych czarno-białych fotach z tamtego okresu. Pierwsze mgliste wspomnienia to ja, w łóżeczku z lalką murzynkiem i mama podająca łyżeczką lekarstwo. Potem kolejne obrazy: porwane, niespójne. Siedzę na rowerku, leżę gdzieś na plaży, leżę na łące. Leżę na moście w Ustroniu i drę ryja na całego:



Gdzieś nad Bałtykiem,
archiwum rodzinne

– Kup! Kup! Kup!

Obok zażenowani rodzice patrzą na mnie, jak na obce dziecko.

– Darek, wstań – spokojnym głosem tłumaczy mama.

Upatrzyłem sobie w kiosku jakiś badziew i koniecznie chciałem, żeby go kupili. Pojawił się impas. To co zrobił trzyletni Daruś? Wzorem Mahatmy Gandhiego i innych bojowników o wolność pacnąłem na asfalt i zastosowałem bierny opór. Lecz rodzice byli sprytniejsi. Po prostu zaczęli się oddalać. Nieśpiesznie, ale bez oglądania się na mnie. Oj, jak szybko zerwałem się z mostu! Pierdolić kioskowy badziew!

Właśnie, rodzice. Mama, tleniona blondynka, z fryzurą à la Brenda Lee. Ojciec z ciemnymi włosami bardziej pod Elvisa. Ach, te stylówki z lat sześćdziesiątych. Mama twierdziła, że była wzrostu średniego. No dobra,

niech jej będzie. Ojciec wysoki i wtedy szczupły, z tendencją do poszerzania obwodu pasa. Kiedyś uprawiał boks w swojej ukochanej Wiśle Kraków, ale z wiekiem mięśnie zastąpił tłuszczem.

Mama była aniołem. Naprawdę. Wiem, że większość ludzi tak napisze o swoich matkach, lecz ja będę się upierał. Mama była licencjonowanym aniołem. Nigdy nie klęła. Nigdy nie kłamała. W życiu nie słyszałem, żeby powiedziała coś złego o innym człowieku. Była w stu procentach uczciwa, nie znała zawiści, czy zazdrości. Może dlatego tyle lat wytrzymała z tatą. No, ten to na tytuł anioła nie zasługiwał. Miał dużą słabość do alkoholu, słabość, która mocno to jego życie komplikowała, a nam przysparzała wielu zmartwień. Jednak i on w końcu został aniołem. Nagle w wieku lat sześćdziesięciu zupełnie odstawił alkohol, a potem świetnie opiekował się mamą, którą dopadła kurewska choroba Alzheimera. Na finiszu swojego związku moi rodzice znów byli zakochaną w sobie parą.

Mama pochodziła z Pomorza, miała dwie młodsze siostry. Jej ojciec rozstał się z babcią, która przeprowadziła się do Bydgoszczy i tam zamieszkała. Ojciec miał jedną siostrę, Hanię. Jego ojciec, a mój dziadek, był nauczycielem. Babcia, w czasach, które wyraźnie pamiętam, była sparalizowana. W pokoju, w którym leżała na szafce stały dziesiątki lekarstw, część sprowadzana z zagranicy. Niestety, nic nie pomagało.

Rodzice poznali się na studiach w Krakowie, oboje kończyli pedagogikę. Z całym tym stalinowskim bagażem syfu. Uczyli historii. Właściwie uczyli oficjalnej wersji historii, bo ta prawdziwa wersja za komuny była skrzętnie ukrywana i przekłamywana. Chociaż, czy istnieje w ogóle prawdziwa wersja historii? Na odtrutkę w domu stały ocalone ze skupu makulatury dzieła zebrane Piłsudskiego. Przeczytałem je całe w wieku lat osiemnastu. Tak, całe, pisma, mowy, rozkazy. Trochę męcząca lektura, ale byłem ambitny. Po studiach rodzice dostali nakaz pracy i wyładowali w Gliwicach. Najpierw mieszkali w wynajmowanym pokoju, potem już ze mną wprowadzili się do dwupokojowego mieszkania na Moniuszki.

Kolejny przykurzony obrazek z mojej pamięci, to przedszkole. Dokładniej kanapka z rybą. Ryb nie cierpiałem, a pani przedszkolanka usiłowała mnie do nich przekonać wciskając mi kanapkę siłą do buzi. Owszem, wpakowała, ale do przełknięcia tego świństwa już nie potrafiła mnie przekonać. Z wielką satysfakcją udało mi się wypluć wszystko na jej sukienkę. Konsekwencją tego kolejnego przejawu buntu było wypisanie

mnie z przedszkola. Zaczął się złoty wiek nianie. Porzuciłem bunt i w wieku trzech lat zacząłem wieść błogi, mieszczański żywot.

Pierwsza niania była Ślązaczka. A może Niemką? Nie wiem, w każdym razie wyjechała na stałe do Niemiec. Doskonale gotowała, nauczyła mamę jak zrobić klasyczne śląskie rolady (wiadomo, że z kluskami i modrą kapustą). Robiła też „zupę nic”. Nie znacie? Wlejcie szklankę mleka do garnka, podgrzejcie i dodajcie do niego żółtko utarte z czterema łyżeczkami cukru. Tylko nie zagotujcie. Z białka i cukru ubijcie pianę i łyżeczką ułóżcie na zupie. I to wszystko. Mniem do kwadratu!

Przedpołudnia spędzałem z nianią, popołudnia z rodzicami. Niestety, czas rolad gdzieś po roku dobiegł końca. Jeszcze przez dwa lata niania przysyłała „pakety” z Niemiec. Ciuchy, czekolady i inne pyszności. To był czas gomułkowskiej, siermiężnej biedy. A prezenty od niani były takie piękne, kolorowe, ślicznie opakowane.

Druga niania pochodziła ze Wschodu. Mówiła ze śpiewnym akcentem, gotowała barszcz, pierogi ruskie i kopytka ziemniaczane. Była też bardziej rozrywkowa niż poprzednia. Często zabierała mnie do parku, gdzie jej koleś grał w karty i walili browce. Niania siedziała z nimi, jarała szlugi i pewnie też lekko popijała. Sądzę, że mama nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, jak wyglądają moje spacerki.

Tak, w nianiach miałem swoiste multikulti. Z jeden strony Wschód, z drugiej Zachód. Z jednej strony rolada z modrą kapustą, z drugiej pierogi ruskie i barszcz. A na półce nad stołem Piłsudski i jego teoria dwóch wrogów. Słowem, groch z kapustą.

Przyszedł czas na szkołę. Poszedłem do podstawówki nr 17, w której pracowała moja mama. Chyba była trochę nadopiekuńcza, a swoją drogą łatwiej było jej pogodzić pracę z opieką nade mną. Szkoły specjalnie się nie bałem. Już wcześniej mama zabierała mnie na lekcje, wcześniej też nauczyłem się czytać. Ale to ranne wstawanie, koszmar. Kaligrafia okazała się jeszcze większą masakrą. Może powinienem się wtedy bardziej przyłożyć do smarowania w zeszytach w linijki tych wszystkich kółeczek, laseczek i literek? Ileś lat później parę razy nie potrafiłem rozszyfrować odręcznie napisanych tekstów piosenek. Dyskaligrafia, po prostu usprawiedliwia mnie dyskaligrafia.

– ...ski, do tablicy!



1980 r.
archiwum rodzinne

Idzie blady, bo tradycyjnie się nie przygotował. On to wie, my to wiemy, nauczyciel też. Ale przedstawienie trwa. Pytania, odpowiedzi. W końcu finał.

– Dawaj rękę! – nauczyciel trzyma w prawej ręce wielką liniijkę i wali biednego ucznia po łapach. Kika razy też oberwałem, nie pamiętam za co, ale dostałem. Na pewno nie za czytanie. Zawsze lubiłem czytać, zostało mi to do dziś. Przez pięć lat przeczytałem praktycznie całą szkolną bibliotekę. Wszystko jak leciało: od „Chłopców z Placu Broni”, przez serię „Tygrysów” po Sienkiewicza i przygody Winnetou. Uwielbiałem przynosić z biblioteki po kilka tomów, ubranych w beżowy, gruby papier. Potem zaszyć się w pokoju i zupełnie odlecieć, zanurzyć się w lekturze, przenieść do innego świata. Z rozpędu łyknąłem też całą domową bibliotekę. Najbardziej spодobały mi się „Słówka” Boya-Żeleńskiego. Pasjonowało mnie przeglądanie encyklopedii i wertowanie map.

Najbardziej jednak lubiłem podwórko. Podwórko i podwórkowych przyjaciół. Przed naszym domem kręciło się pełno tubylczej dzieciarni. Przychodziły też dzieciaki z okolicznych kamienic, tam w betonowych studniach nie mogłyby poszaleć i pograć w gałę. Była to jedna z naszych

ulubionych rozrywek, granie w piłkę przy garażach. Na pewno nie byłem w tym dobry, ale czego się nie robi dla zdobycia uznania kolegów.

Kolegów miałem różnych. Nasz dom nazywano „nauczycielskim”. Faktycznie, w większości zamieszkiwali go nauczyciele z rodzinami. Hmm, trochę dziwna była ta inteligencja. Jedna familia notorycznie wyrzucała wszystkie śmieci przez okno. Inny kolo namiętnie polował na dworcu na młode wiejskie dziewczyny i przyprowadzał je do mieszkania na piątym piętrze, z czarnymi, nigdy nie umytymi oknami. Gdy dwóch koleśi włamało się do fabryki plastików i wyniosło jakieś talerzyki, wiaderka, to cała inteligencja stała w kolejce i kupowała od nich te fanty. Tak, dzisiaj pewnie by zeznali, że walczyli z systemem.

W soboty duża część męskiej inteligencji udawała się do pobliskich spelun i tam dawała w palnik. Niestety mój tato również. Za to w niedzielę ci sami dżentelmeni, z czerwonymi szyjami, zdezynfekowanymi Przemysławką, karnie stali w kościele przy swoich wkurzonych żonach. Bywa, nie wszyscy są aniołami.

Blok zasiedlono w 1962 r., stąd wiele rodzin miało dzieciaki w podobnym wieku. Wiadomo, własny kącik, własne wyrko, własna meblościanka na wysoki połysk i rodziły się dzieciaki. Kolegów z podwórka pamiętam lepiej niż koleśi z podstawówki. Może dlatego, że potem przewijali się przez całe moje życie? Dołączyli do punkowej załogi Śmierci Klinicznej, kilku później zatrudniłem w dziale handlowym, którym zarządzałem (nie, nie, dyrektorem nie byłem, ratunku!). Z kilkoma spotykam się do dzisiaj. Tak, pamiętam twarze, imiona i nazwiska: Darek Wiśniowski, Piotrek Nowicki, Piotrek Węglarski, Tomek Płonka, Rysiek Madaj, Jacek i Wojtek Kwiatkowscy, Grzesiek Kaziewicz, Jurek Zieliński. Tomek i Grzesiek Baran. Byli też o kilka lat starsi: Marian Węglarski, Marek Połowczuk, Krzysiek Wania, Darek Szurlej, Witek Budzioch. Do tego na podwórku można było spotkać wielu innych chłopaków, często z gitowsko-chuligańskich klimatów. Z nimi też się dało pogadać, pograć w piłkę, czy na przykład wysadzić w powietrze śmietnik. Pirotechnika była naszym wspólnym hobby, parę razy po udanych detonacjach na podwórko zajeżdżała milicyjna nyska. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wiedział, zawsze się nam upiekło. Chociaż w kamienicy obok mieszkał jakiś oszalały ormowiec, który co jakiś czas próbował nas utemperować. Podobnie jak dozorca z sąsiedniego podwórka, niejaki Fufu. On również nie był fanem

petard, ani saletry płonącej na jego parapecie. Dziwne, ale nawet zapalające strzały, które robiliśmy pod wrażeniem filmów z Winnetou nie zachwycały ani jego, ani sąsiadów.

Oprócz kolegów mieliśmy oczywiście koleżanki, ale wtedy to one nadawały się wyłącznie do zabawy w chowanego. Szpaczki, Agata, Jola, Ola, Joanna, Lila, Marzena ganiały z nami po podwórku, dopóki nie podrosły na tyle, by u ich boku pojawili się jacyś smętni fagasi. Myśmy byli ponadto. I szkoda, bo większość dziewczyn na podwórku była naprawdę ładna. Cóż, chłopcy dojrzewają później, albo wcale. Zazwyczaj wcale.

Graliśmy w chowanego, goniliśmy się z plastikowymi pistoletami. Jesienią robiliśmy ogniska z liści i gałęzi, przeganiani przez nawiedzoną sąsiadkę. Strzelaliśmy namiętnie z różnego rodzaju proc. Drogie hobby, mam na koncie dużą szybę w pobliskim maglu. Jeden z kolegów skonstruował nawet samopał. Jednym strzałem pokieroszował metalowy kontener na śmieci.

Łaziliśmy po dachach, szczytem odwagi było przeskoczenie pomiędzy dwoma ciągami garaży. Mieliśmy na podwórku zdezelowaną piaskownicę, która pełniła funkcję wielkiej kociej kuwety. Raz na jakiś czas remontowano nam huśtawki i karuzelę, co zawsze owocowało dużą ilością wstrząśnień mózgu. Sam takowe zaliczyłem, gdy huśtawka skasowała mnie od tyłu. W potylicę! Zimą nasz nigdy nie zdobyty schron przeciwoatomowy zamieniał się w ekskluzywny stok narciarski, saneczkowy, łyżwiarski i tyłkowy. Polewaliśmy go wodą, żeby można się było ślizgać. Ale była zabawa! Przez krótką chwilę, pod wpływem wycieczki do gliwickiego muzeum zaczęliśmy się interesować archeologią. Prowadziliśmy bardzo zaawansowane prace archeologiczne na terenie całego podwórka. Liczyliśmy, że uda nam się wykopać coś fajnego: granat, ludzką czaszkę, przynajmniej pistolet. Nic nie znaleźliśmy, oprócz kości mamuta. No tak, coś tam wykopaliśmy i mój kumpel Darek zawyrokował:

– Mamut.

– Jaki mamut?

– Mamut, na sto procent mamut!

– Zalewasz...

– Mamut, byłem wczoraj na wycieczce w muzeum, to wiem.

Po godzinie domniemana kość mamuta zaczęła nas nudzić i spokojnie wróciliśmy do zabawy w wojnę. Kość porzuciliśmy.

Najgorzej, gdy nie było pogody. Nie mogłeś być wtedy, jak Thierry Śmiałek, który kręcił procą i wypuszczał kamulce we wroga. Nie mogłeś, jak Ivanhoe przegalopować przez podwórko z bojowym okrzykiem. Nawet nie było jak podpalić gazety (wtedy robiono je z papieru, który się palił) od spodu, żeby zainicjować Bonanżę. Za to mogłeś odpalić telewizor. Biało-czarny oczywiście. Mogli wpaść sąsiedzi, bo wieczorem, w sobotę leciały westerny. Leciały też filmy wojenne. I Czterej Pancerni. I Hans Kloss.

Gdy z mojego życia zniknęły nianie, zastąpił je telewizor. W czwartek można było obejrzeć mrożące krew w żyłach spektakle Teatru Sensacji „Kobra”. Oczywiście, jeśli rodzice pozwolili. Z zapartym tchem oglądałem popularno-naukową „Eurekę”, którą w latach siedemdziesiątych zastąpiła „Sonda”. Siedem lat później z Shakin’ Dudi graliśmy wspólnie trasę koncertową z tym programem. Tak, tak Kurek, Kamiński i my, szaleni rock’n’rollowcy. Obaj panowie mieli świetny kontakt z publicznością i prostym, komunikatywnym językiem potrafili przekazywać wiedzę. Szkoda...

Właściwie łykałem wszystkie programy, począwszy od niedzielnych, porannych rolniczych. W wieku lat dziesięciu, jak każdy rodak znałem się na wszystkim. Na architekturze, dzięki oglądaniu „Piórkiem i węglem”, na zwierzętach dzięki Gucwińskim, a życie sławnych aktorów, muzyków i przodowników pracy socjalistycznej poznawałem w „Tele echu”. IQ windował mi w górę pierwszy polski teleturniej „Wielka gra”. W pierwszej fazie telemaniactwa oglądałem bajki dla dzieci. Jak ja nie cierpiałem „Gąski Balbinki” i tego skurwiałego Ptysia, z nieodłącznym, przemielonym przez nos tekstem „Cześć Balbina”. Duet Jacka i Agatki też doprowadzał mnie do rozstroju nerwowego. Na szczęście mogłem przytulić się do misia. Teraz niestety nie mam misia i kontakt z telewizją wyrządza mi o wiele większe spustoszenie w organizmie, szczególnie, gdy są to programy publicystyczne lub informacyjne. Chyba kupię misia. Lub znów na rok wyrzucę telewizor.

Bolka i Lolka lubiłem, bardzo. Amerykańskie kreskówki też kochałem. Ale tego enerdowskiego dziada nie znosiłem. Piaskowy Dziadek. Stasi dziadyga, z okropną piosenką. Do dzisiaj ją pamiętam. Chcecie, to Wam zanucę? Nie? To nie. Dobra, starczy o tej telewizji, chociaż nie, jeszcze o jednym ważnym programie. Adam Słodowy, pierwszy punk na świecie, pierwszy propagator hasła D.I.Y. (Wykonaj to własnoręcznie). Twórca kultowego programu „Zrób to sam”. Gdyby Les Paul lub Leo Fender

zobaczyli, jak mistrz Adam budował gitarę elektryczną z gwoździ, drutu i kawałka deski, natychmiast przekazałoby mu swoje fabryki. Za darmo. Program polskiego MacGyvera wpędzał mnie tylko w kompleksy. Jemu wszystko wychodziło, wszystko działało. Natomiast, gdy próbowałem go naśladować... Porażka. Kiedy rozdawali talent do majsterkowania, poszedłem chyba wtedy na papierosa. Albo na piwo?

Podwórko, koledzy, książki, telewizja. Mały, stabilny świat. Gdzieś w czwartej klasie podstawówki zapisałem się na judo. Przez trzy lata zasuwałem na macie, ubrany w białe judogi. Potem sekcję rozwiązali i przenieśli nas do AZS-u. Kariera sportowa nie była moim marzeniem, dlatego zrezygnowałem.

W piątej klasie zacząłem chodzić na angielski, do szkółki prowadzonej przez KMPiK. W szkole uczono nas rosyjskiego. Z tych kilku lat spędzonych w Szkole Podstawowej nr 17 niewiele zostało mi w głowie. O wiele więcej pamięta mój przyjaciel Marek Nowowiejski, z którym siedziałem przez jakiś czas w jednej ławce. On ma w ogóle fenomenalną pamięć do twarzy i nazwisk. Gdy po iluś latach poszliśmy na spotkanie klasowe, rozpoznał i kojarzył wszystkich. A ja tylko pamiętałem, że w czwartej klasie ktoś mi mazaki zajuchcił. Takie piękne, przysłane przez nianię z RFN-u. Spotkanie trochę odkurzyło moją głowę, przypomniały mi się prywatki u Marka, który częstował kabanosami i coca colą (to już lata siedemdziesiąte i wujek Edward).

Pamiętam też czarny fortepian, który stał w mieszkaniu mojej przyjaciółki Beaty Lottko. Przypomniały mi się odwiedziny u koleżanek mieszkających w domach na Ptasiej Dzielnicy. Jedna z nich miała mikroskop! Zabawkowy, ale mikroskop! Rany, jak ja chciałem mieć mikroskop. Zapomnij Darku. Biedą obdzielano wtedy równo. Teraz obdzielają nierówno. Nie byliśmy wtedy społeczeństwem konsumpcyjnym. Miałem jedną parę butów na zimę, jedną na lato. Dwie pary zimowych spodni, dwie pary letnich, parę swetrów, trochę koszulek i pocerowanych skarpetek. Szału nie było. Ale większość dzieciaków na dzielni żyła podobnie. Tylko ci, którzy mieli rodzinę zagranicą mieli trochę lepiej. A, przepraszam, miałem jeszcze rower, składaka i zegarek. Oczywiście, że komunijne!

Dziurawa ta głowa, pusta. Tyle z niej wyciekło. Pamiętam jeszcze jak czołgi na Czechosłowację jechały w 1968 roku. Przejeżdżały ulicą

Dworcową, następnego dnia jeszcze było widać ślady po gąsienicach.

Ten 68 to nie był dobry rok. Ojciec co jakiś czas przynosił wedlowskie czekoladki, które kupował spod lady u znajomego w sklepie cukierniczym. W 68 roku skończyło się. Znajomy wyjechał. Żyd? Czemu Żyd musiał wyjechać? Nie rozumiałem. Nie wysałem antysemityzmu z mlekiem matki. Tak samo jak większość moich rówieśników. Dopiero gdzieś w wieku lat dwudziestu spotkałem się z odchylami antysemickimi i rasistowskimi.

No, Cyganów trochę nie lubiliśmy, bo się ich baliśmy. W pobliskiej alejce kręciło się kilkunastu, kobiety wróżyły z kart, a kolesie zajmowali się jaraniem szługów. Słowo pedał znałem, ale tak do końca nie wiedziałem, co ono znaczy. Tak to jest, gdy się ma wielu starszych kolegów.

Co tam Cyganie, Żydzi czy Murzyni. Najbardziej przechlapane mieli Ślązacy. Widać to było w szkole. Niektórzy nauczyciele pastwili się nad nimi: za akcent, za przekręcanie wyrazów, za byle co. Miałeś na imię Erwin i od razu byłeś gorszy. Byłeś Szwabem, wrogiem.

Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, jak wstrętne to było, jak komuna manipulowała i antagonizowała społeczeństwo. Biedne dzieciaki, naprawdę miały pod górkę przez swoją śląskość.

Idąc do szóstej klasy zmieniłem szkołę. Moja mama przestała pracować w podstawówce, przeniosła się do technikum, nie było więc powodu, bym zasuwiał z kapturą dwa kaemy do budy. Poszedłem tam, gdzie chodziła moja dzielnica, do szkoły nr 28. Szkoła była wypasiona, zbudowana w ramach akcji „Tysiąc szkół na Tysiąclecie” i miała nawet basen. Niestety.

Tak, niestety, bo ja zupełnie, ale to zupełnie nie umiałem pływać. Byłem pływacką oferłą, wodną fajtlapą. Z innymi sportami radziłem sobie dobrze, z lekkoatletyką wręcz bardzo dobrze. Szybko biegałem, daleko i wysoko skakałem. A i w dziób dać potrafiłem, o czym przekonało się kilku dżentelmenów. To już w ramach zajęć pozalekcyjnych. Ale wsadzony do wody tonąłem i basta. Z wszystkich przedmiotów miałem piątki, a z pływania lufy. Nie, nie nauczyłem się pływać. Odpracowałem, pisząc referaty o sporcie. Dopiero po latach znalazłem przyjemność w pływaniu. Pływam słabo, stylem raczej rozpaczliwym. Dobrze, gdy w pobliżu jest Grażyna.

Ta dam! Po raz pierwszy na łamach książki pojawiło się imię mojej Królowej! Gdy na brzegu basenu lub jeziora jest moja Pani, wtedy co jakiś

czas krótkim warknięciem: „Oddychaj” ratuje mi życie. Tak się zapamiętuje w pływaniu, że na inne czynności życiowe nie starczy mi uwagi.

W ławce siedziałem z Ryśkiem Madajem, kolegą z podwórka. Rysiek był synem trenera kolarskiego. Jego ojciec przez pewien czas trenował polską reprezentację, potem austriacką. Sam Rysiek też czynnie uprawiał kolarstwo. No i miał rzutnik, na którym wyświetlał pornole. To tak à propos edukacji seksualnej. Kilka projekcji i wszystko było jasne. Prawie wszystko... Inni koledzy mieli z kolei zachodnie świerszczyki. Chociaż ciekawsze były komiksy. Oprócz Supermanów i Batmanów królował Tytus, Romek i A'Tomek, Kajko i Kokosz oraz Kapitan Żbik.



Kołobrzeg, 2007 r.
fot. Grażyna Kozera-Dusza

Nowa podstawówka, nowi koledzy, nowe koleżanki. Pierwsze randki w parku. Pierwsze westchnienia. Prywatki, niektóre bez alko, inne z jakimś małym winkiem. Ukochane pościelówki, przy których można było w tańcu

przytulić się do koleżanki. Największe branie miały dziewczyny, którym najszybciej urosły cycki. W tańcu osiągnąłem ten sam poziom, co w pływaniu. Nie polecam, drogie Panie. Unikam. No, chyba, że pogo.

Prywatki i szkolne wycieczki urozmaicały monotonię szkoły. Uczyłem się dobrze, nie zabierało mi to zbyt wiele czasu. Podwórko zabierało go znacznie więcej. Słuchanie muzyki jeszcze więcej. Miałem różne pomysły, które moja mama określała jako „słomiany zapach”. Przez chwilę chciałem być harcerzem, potem chodziłem na jakieś kółka zainteresowań, lecz szybko mi się to znudziło. Tak jak wielu kolegów zbierałem też pudełka po papierosach. Inni kolekcjonowali puszki po piwie. Niezły fajans, prawda? Wieszac śmieci na makatkach, albo ustawiać śmieci na meblościankach.

Na szczęście szybko zamieniłem zbieranie pudełek po fajkach na zbieranie znaczków. Przynajmniej na oglądanie znaczków mogłem od czasu do czasu zaprosić jakąś koleżankę. Nie, nie, nic z tych rzeczy. Pomimo teoretycznej wiedzy z praktyką sobie nie za bardzo radziłem. Dopiero później, na wakacjach, w upalną noc lipcową, w ośrodku wczasowym, gdy rodzice poszli na dansing. Straszne, nawet nie pamiętam jej twarzy. Ona mojej pewnie też.



Gdzieś nad Bałtykiem,
archiwum rodzinne

Takim prawdziwym hobby, które zacząłem uprawiać było wędkarstwo. Wyrobiłem kartę wędkarską pod koniec podstawówki i ta atawistyczna pasja towarzyszy mi do dziś. Nie będę jednak Was zanudzał wędkarskimi opowieściami, one znalazły miejsce na łamach czterech wędkarskich książek, które kiedyś popełniłem.

Tak naprawdę, to z tej szkoły najlepsze były wakacje. Ojciec miał wielu znajomych i co roku załatwiał wczasy nad morzem, rzadziej w górach. Jeździliśmy na minimum miesiąc. Najpierw pociągami, potem samochodem. No, prawie samochodem, bo był to ruski Zaporoziec, który chodził jak kombajn i tak samo często się psuł. Gdy wyjeżdżaliśmy, nigdy nie byliśmy pewni, gdzie się rozkraczymy.

Mimo wszystko lepsza była ta zemsta Breżniewa od zatłoczonych pociągów. Zatłoczonych i śmierdzących. Człowiek ery socjalizmu rzadko spotykał na swej drodze mydło. W lecie bywało ciężko: w kolejkach na

poczcie, autobusach czy w kinie. Lepiej już było jechać warczącym Zaporozcem.

Przez lata zwiedziłem prawie całe wybrzeże, wszystkie mniejsze i większe dziury. Wszędzie było fajnie, bo przecież to były wakacje, słodki czas leniuchowania. Tylko powrót do szkoły był bolesny. Rutyna, nuda, sześć dni w tygodniu. Czasem jakaś wycieczka w niedzielę, albo wyjazd na ryby. Na przykład rowerem na Cegielnę. Osobom wrażliwym i lęklwym nie polecam. Przychodzili tam gitowcy z okolicznych dzielnic, uprawiali sporty typu topienie milicjanta, lub wrzucenie do wody samochodu marki Syrena (na szczęście bez właściciela).

Trochę bliżej miasta znajdowało się lodowisko, całą zimę zasuwaliliśmy tam na łyżwach. Były jeszcze kina. Najmilej było w kameralnym Mikrusie, chociaż z kilku siedzeń nie było za bardzo widać ekranu. Pamiętam doskonale „Żółtą łódź podwodną” z Beatlesami, którą tam dwa razy obejrzałem. Zdecydowanie wolałem taki psychodeliczny lot, niż radzieckie filmy wojenne, na które chodziliśmy całą klasą. Lub akademie ku czci... Ja pierdołę, jedyną zaletą tego typu imprez było, że odbywały się w czasie lekcji. Jak miałeś pecha, to wydelegowali Cię do wyrecytowania jakiegoś wierszydła-straszydła ku czci Lenina. Na lekcjach prano dziecięce mózgi w proszku marki socjalizm z dodatkiem polsko-radzieckiej przyjaźni.

Na szczęście w domach dostawaliśmy odtrutkę. Szczególnie mocną dawkę dostawałem u dziadka w Tuchowie. Dziadek cały czas czekał, aż zmartwychwstanie Piłsudski i na białym koniu wjedzie do stolicy. Albo do Tuchowa. Dziadek miał lekko osłabiony słuch, dlatego puszczał radio na cały regulator. W radiu na zmianę: Głos Ameryki albo Wolna Europa. Szczerze nie cierpiał Ruskich i komuchów. Swoimi opowieściami starał się to uczucie przekazać wnuczkowi. Miał o czym opowiadać, przez kilka lat mieszkał na Polesiu, był tam kierownikiem szkoły. Gdy uciekali pociągiem przed Ukraińcami czy też Rosjanami czy też komuchami, babci od pocisku zapaliły się włosy. Wiem, wiem, to może być „urban legend”, nieważne.

Dzięki dziadkowi już w czasach podstawówki znałem trochę inną wersję historii od tej serwowanej w szkole. W szkole radośnie kwitła propaganda sukcesu. Ostrzyżony na jeża pierwszy sekretarz mobilizował naród słynnym: „Pomóżecie?”. Pomozemy!

Pojawiła się coca cola, zachodnie papierosy, hiszpańskie wina, pomarańcze i banany, nawet kiedyś widziałem w sklepie limonki. Teraz

wiem, że w innych regionach Polski nie było tak bogato, ale przez moment na Śląsku półki „Delikatesów” uginały się od wszelakiego dobra. Kupionego na kredyt oczywiście. Nasi rządzący zawsze byli świetni w zaciąganiu kredytów, przecież to nie oni, tylko my je potem latami spłacamy.

Jednak niemocy socjalizmu nie udawało się ukryć. Niby na półkach bogato, ale przed świętami stało się po chleb dwie godziny. Na stoisku mięsnym też dupy nie urywało. Mimo to telewizja piała z zachwytem, prasa sikała po nogach, tłumy skandowały na akademiach: „Edward, Edward!”. Byliśmy dziewiątą potęgą gospodarczą świata! Tylko papieru do dupy zawsze brakowało. Czasem w kiblach zamiast niego wisiały pocięte gazety, często ze zdjęciami pierwszego sekretarza. Cóż za piękna metafora! A po kilku latach kasa się skończyła i wszystko zaczęło się sypać.

Po takich doświadczeniach z młodości, trudno było wierzyć propagandystom „zielonej wyspy”. Widzę dużo podobieństw pomiędzy epoką Gierka a współczesnymi czasami. Buta i bezkarność władzy są identyczne. Głupota i chamstwo tak samo. Prostactwo ponadczasowe.



liceum, Andrzej Burdziak i DD



liceum, DD



liceum, wycieczka
fot. Wojciech Jacyczko (1?, 2, 3)

Muzyka



1978 r.
foto Wojciech Jaryczko

Umarł Maciek, umarł
I leży na desce
Gdyby mu zagrali
Zatańczyłby jeszcze...

To pierwsza piosenka, którą pamiętam. Śpiewała ją moja babcia Pelagia. Znała więcej przyśpiewek, ale ta najmocniej utkwiła w mojej łepetynie. Pewnie przez przesłanie. Przesłanie jest w piosenkach ważne. Babcia była jedyną muzyczną osobą w mojej rodzinie. Reszta na szczęście nie

śpiewała. Ojciec miał za to dobre poczucie rytmu, za młodu próbował na bębnach. I to tyle. Nikt w rodzinie nie grał na niczym. Same beztalencia.

Jakie dźwięki towarzyszyły mi w dzieciństwie? Oprócz piosenek babci na pewno były to kolędy, puszczone z winyli z okazji świąt. Także kolędy śpiewane w kościele. Nie wiem, ale w czasach, gdy jeszcze chodziłem do kościoła, to naród strasznie fałszował. Chociaż i tak nic i nikt nie przebije organisty na pogrzebie mojego taty. Płakałem podwójnie.

Wracając do winyli, to mieliśmy jeszcze kilka płyt i pocztówek dźwiękowych z drugoligowymi wykonawcami. Rodzice płyt nie kupowali. Wystarczyło im radio. Radio marki Wola, lampowe, z zielonym okiem. Zazwyczaj był nastawiony program pierwszy, grały Czerwone Gitary i inni specjaliści od pobeatlesowskich kujawiaków. W telewizji za to można było zerknąć na Kołobrzeg, Opole czy też Sopot. Zerkałem namiętnie, oglądając rodzime i importowane z innych baraków radzieckiego łagru gwiazdy. Do dzisiaj pamiętam Karela Gotta czy Muslima Magomajewa. Łykałem wszystko, co grało i śpiewało. Dopiero z czasem włączył mi się zmysł krytyczny, dotarłem do innej muzyki i nagle większość tych dźwięków spotworniała, zaczęła budzić niesmak. Całe to łojdiridi, te marsze, te pierwowzory disco polo, imitacje rocka. Owszem, nadal lubiłem Demarczyk, Grechutę, Niemena, ale pozostałych już nie za bardzo.

Tak naprawdę moja edukacja przyśpieszyła gwałtownie w piątej klasie podstawówki. Rodzice kupili mi magnetofon. Nie jakiegoś badziewnego, polskiego szpulowca czy kaseciaka. Nie! Zostałem szczęśliwym posiadaczem kasetowego Panasonica. Do tego kochani rodziciele dołożyli kilka markowych, zachodnich kaset. Wybaczcie im, albowiem nie wiedzieli, co czynią. Zaczęło się pożyczanie kaset, przegrywanie od kolegów, nagrywanie z radia. Tak, z radia, bo chwilę później kupili piękny tranzystor marki Jowita. Na dzielnicy miałem wielu kumpli, którzy interesowali się muzyką. Kilku z nich zresztą dostawało paczki z Zachodu, a w nich płyty i kasety. Różne, od popularnego wtedy glamu po hard rocka. T. Rex, Kiss, Slade, Purple, Zeppelini i oczywiście Black Sabbath. Ale też trochę innej, ambitniejszej muzy: Zappa, McLaughlin. Mocno mnie ta muza wzięła, oj mocno. Zostałem regularnym słuchaczem Trójki. Nie Listy Przebojów, wtedy jej jeszcze nie było, a gdy się pojawiła w 82 roku to niezbyt mnie interesowała. Nie te piosenki, nie ci wykonawcy. No, nie

licząc krótkiego okresu, gdy na listę trafiła Śmierć Kliniczna z „Nienormalnym światem”. Próżność, próżność nad próżnościami.

Słuchałem wszystkich audycji muzycznych. Nieważne, jazz, rock czy klasyka. Na początku wciągnął mnie hard rock. Budgie, Purple, Led Zeppelin, Uriah Heep i Nazareth. Oczywiście, że Black Sabbath też. Zresztą z tych wszystkich wymienionych, to Ozzy i spółka obecnie są mi najbliżsi. Kasety pozapełniałem schodami do nieba wiodącymi przez dym na wodzie i świniami wojny w lipcowy poranek. Niestety, nigdy nie byłem mocny w archiwizacji, stąd nigdy nie byłem ekspertem w tytułach wydawnictw czy tytułach piosenek.

W porywie pasji zapanowania przynajmniej nad częścią muzycznej wiedzy napisałem mini esej o zespole Deep Purple. Na szczęście zaginał, co pozwala oszczędzić i sobie i Wam jego fragmentów. Chociaż, gdy patrzę na poziom współczesnych blogów... Patrzę, nie czytam.

Mój kolega z sąsiedniej klatki miał totalny odlot na AC/DC. Dzięki niemu mogłem poznać całą dyskografię tego świetnego australijskiego bandu. Nawet nie musiałem do niego chodzić, by posłuchać. Gdy puścił, to cała dzielnica słuchała AC piorun DC. Potem posłuchałem trochę amerykańskich kapel: Grand Funk Railroad, Iron Butterfly, Hendrixa. Z każdym dniem odkrywałem coś nowego. Jak nie Thin Lizzy, to Kissów albo Iggy Popa. Jak tu się nie podzielić z bliźnimi?

Na kolejną prywatkę przytargałem dwie kasety z moją muzyką taneczną. Na jednej była składanka Black Sabbath, na drugiej coś lżejszego, czyli Led Zeppelin. Nie uwierzycie, nie chwyciło, nikt nie chciał tego tańczyć. Poczuję się okropnie, poczułem się obcy. Na dobiecie koledzy puścili „Yellow River” zespołu Christie. Z winyla wydanego w Polsce. Potem poleciała Abba. Cierpiałem, umierałem.

W 1976 roku cierpiałem jeszcze bardziej, bo Abba wystąpiła w polskiej telewizji, w programie „Studio 2”. Cała Polska zamarła, ulice opustoszały, krowy przestały dawać mleko, a bociany przynosić dzieci. Była to większa sensacja, niż 9 lat wcześniej Stonesi w Kongresowej. Normalnie, do Polski żaden popularny, zachodni wykonawca nie przyjeżdżał. Prędzej na Węgry lub do enerdówka. Nie mogli zamiast Abby ściągnąć Black Sabbath? Nie mogli. Abba pasowała do propagandy sukcesu. Idealnie.

Po hard rocku powiało grozą i na moment zacząłem łykać rock progresywny. Brr, sama nazwa tyłek mrozi, prawda? Te nadęte kompozycje

Yesów, suita Genesisów, pitolenie Floydów.

Chociaż jeśli chodzi o tych ostatnich, to kilka numerów bardzo lubię, a pana Davida uważam za jednego z najlepszych gitarzystów na świecie. Tak, bo gra konkret, a nie jakieś chuju muju miliony zbędnych dźwięków. Niektóre wałki King Crimson (na czele ze „Schizofrenikiem XXI wieku”) również cenię do dziś. Przez moment podobała mi się ekwilibrystyka Emerson, Lake and Palmer, dopóki nie usłyszałem „Obrazków z wystawy” zagranych na fortepianie przez któregoś z czołowych, klasycznych pianistów. ELP nie mieli startu. Czyżby muzyka klasyczna nadawała się do słuchania?

Przez całą podstawówkę lekcje muzyki starały się klasykę zohydzić. Były nudne i odstraszały. Albo próbowano nas nauczyć śpiewać jakieś smętne utwory, albo pałowano korzeniami disco polo, czyli naszym rodzimym folkiem. Ewentualnie z charczącego magnetofonu szpulowego puszczano klasykę. To nie ma się co dziwić, że po takich doświadczeniach większość narodu uciekała na dźwięk orkiestry symfonicznej. Nie mam zamiaru udawać jakiegoś konesera muzyki klasycznej. Nie, nie, ale przynajmniej mi nie przeszkadza. To też zasługa radia.

Fascynacja rockiem progresywnym minęła szybko i nigdy nie wróciła. W liceum ze zdziwieniem przyglądałem się kolegom pałującym się Floydami i Genesisem. Ba, co gorsze oni też słuchali Queen.

Wiem, wiem, szacun itd. ale słuchać tego zespołu nie potrafię. Co, po prog rocku, mogło się wydarzyć w moim nastoletnim życiu melomana? Co Darkowi mogło zamieszać pod kopułą? Jazz i tylko jazz. Poznawany chaotycznie, po łebkach, pobieżnie. Nie przeszkadzało mi to w pewnym momencie uwierzyć w siebie. „Uwierz w siebie Dariuszu!” brzmi jak refren z marnej popowej piosenki z playlisty RMF-u.

Uwierzyłem i dałem ogłoszenie w miesięczniku „Jazz” (w latach osiemdziesiątych to czasopismo zmieniło tytuł na „Magazyn Muzyczny”). Ogłoszenie było mniej więcej w ten deseń.

„Wielki pasjonat muzyki jazzowej poszukuje unikalnych nagrań, zdjęć i materiałów dotyczących muzyki jazzowej. Itp, itd.”. Pasjonat miał czternaście lat i zero wiedzy. Jednak czasem tupet wystarczy. Pisali i pisali. Korespondowałem, wymieniałem się jakimiś zdjęciami. Płytami nie, bo rzeczonych nie posiadałem. Nawet któregoś razu umówiłem się z jednym z korespondentów na gliwickim lodowisku. Koleś tak na oko wyglądał na

studenta i chyba był bardzo rozczarowany, gdy do niego podszedłem. Czternastoletnie dziecko.

To co by tu łyknąć po jazzie? Może bluesa? Proszę bardzo. Świetne audycje Marii Jurkowskiej, potem Kosińskiego i Chojnackiego czekały na takie ofiary spragnione muzyki. Co po bluesie? Rock'n'roll. Zresztą rock'n'roll pojawiał się już wcześniej. Bardzo lubiłem standardy, za energię i prostotę, za czad i żywiołowość. Rock'n'rolla kocham do dziś, a on mi tę miłość odwzajemnia. Co mogło spodobać się pryszczatemu, piętnastoletniemu małolatowi zasłuchanemu w „Johnny Be Good”? Punk rock? Nie, jeszcze nie teraz, zresztą on dopiero powstawał. Owszem, w którejś z gazet typu „Bravo” czy „Pop” widziałem materiał o Sex Pistols, ale nic mi ta nazwa nie mówiła. Tylko wygląd zespołu mi się spodobał.

Na Pistolsów przyjdzie czas, na razie odrabiałem lekcje z Kinksów, Animalsów czy The Who. Aż w końcu, gdzieś pomiędzy liceum a studiami przyszedł czas na punk rock.

Pierwszym bandem, który słyszałem w radiu było Stiff Little Fingers. Chyba. Potem u kogoś Pistolsi i Ramonesi. Protopunka znałem już wcześniej: MC5, Iggy Popa czy New York Dolls. Powoli, powoli agresywna, rock'n'rollowa muzyka zaczęła mnie wciągać. Czasem Mann coś puścił, czasem Wiernik. Czasem u Wojtka Jacyzczki czegoś posłuchaliśmy, odkryliśmy. Na przykład Rutsów. Albo Devo. Albo Slaughter. Gdy zaczęliśmy grać w Śmierci Klinicznej strumień muzyki punkowej docierającej do nas bardzo się poszerzył i urósł do rozmiarów rwącej, wiosennej rzeki. Kasety krążyły, czasem nieopisane, nieważne. Punk infekował jak zaraza.

Potem pojawiły się płyty. Chodziło się do Paula, który mieszkał przy Rynku. Zazwyczaj miał coś świeżego. Kawka, petko, siadałeś na kanapie, Paulo brał kolejny winyl, kładł na adapterze. I zaczynało się dzydzy. Lubiałem te słuchowiska, chociaż Paula bardziej kręcił punk współczesny, z początku lat osiemdziesiątych: GBH, Angelic Upstarts, Exploited, Discharge. Wolałem bardziej zespoły z lat siedemdziesiątych, punk wtedy był bardziej różnorodny i bardziej oparty na rock'n'rollu. A ja przecież mam serce z rock'n'rolla. Te wszystkie mariaże i podchody w kierunku metalu nie za bardzo mnie kręciły. Na pewno dzisiaj mam bardziej tolerancyjne ucho, ale wtedy bardzo mnie drażniła sztampa i zasada im szybciej, tym lepiej, która przyświecała wielu punkowym wykonawcom.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Umpapapa umpapapa umpapapa.

Jednak nawet wśród tych szybciej grających kapel zdarzały się perły: Kennedysów kochałem okrutnie. No tak, ale to przecież jest sto procent rock'n'rolla. Tak to przynajmniej słyszę.

O The Clash proszę nie pytać. Punk czy nie punk, nieważne. Genialny zespół, genialne piosenki. O każdej porze dnia i nocy, no może poza Cut The Crap. Jak Clash to blisko do reggae, prawda? Mając w zespole Jacka Szafira trudno było reggae nie znać i nie kochać. I jeszcze ska. I jeszcze niektóre kawałki The Police. Ach i B-52's. I jeszcze... Pewnie mógłbym wymieniać godzinami, bo godzinami chłonałem, zasysałem i połykałem punkową i nowofalową muzykę. Zamieszkała we mnie na stałe. Owszem, zdarzały się jakieś chwilowe fascynacje innymi stylami, ale jako ten syn marnotrawny do rock'n'rolla zawsze wracać będę.

Jednak prawdziwa muzyka, to muzyka na żywo. Na żywo, to nie to samo co z playbacku. Na żywo, to nie to samo, co z samplami zawierającymi 90 procent treści danego utworu. Na żywo oznacza, że wychodzi muzyk i gra. Lub wychodzi kilku i gra. Bez pomocy komputera. Tak naprawdę, realnie, namacalnie.

Pierwszy zapamiętany kontakt z żywym graniem miał miejsce w Łebie. Szliśmy ulicą wzdłuż której były rozlokowane ośrodki wczasowe. W jednym z nich miał próbę zespół dansingowy. Dwie gitary, bas, perkusja i organy. Skład typowy dla lat sześćdziesiątych.

Szok! Grom z jasnego, łebskiego nieba! Kopnięcie łosia! Muzyka na żywo była porażająca! Była tak wspaniała, że nawet lepsza, lepsza od... od oranżady! No, może nie aż tak. Była prawie tak dobra jak oranżada! Potem jeszcze kilkakrotnie słuchałem na wakacjach kapel dansingowych. Wielokrotnie słuchałem też orkiestr dętych, które do dziś podziwiam za bardzo luzacki stosunek do rytmu i harmonii. Do tego dochodziły jakieś smętne występy na akademiach. Jednak nic lepszego niż normalny, rockowy skład nie wymyślono. Pierwszym poważnym koncertem, na którym byłem był...



Liceum, wycieczka:
 DD, Tomasz Jelonek, Wiesław Grzesik,
 fot. Wojciech Jaczycko

I tu mam problem, straciłem dwie godziny z wujkiem guglem i nie znalazłem nazwy tego wykonawcy. Koncert był w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Zespół grał mieszankę disco i soulu. Nieważne co, ważne że grał na żywo. Jak to brzmiało, jak to wyglądało! Siedziałem z otwartą japą, zachwycony i oszołomiony. Koncert wykonawcy N.N. naprawdę zrobił na mnie wielkie wrażenie. To był pierwszy mały prztyczek ze strony losu, który kierował mnie w objęcia Mamy Muzyki. Mały, ale celny.

Później był jazz tradycyjny, grany gdzieś na mieście. A potem już miałem te osiemnaście lat i zacząłem chodzić na koncerty. Najbliżej miałem do Spirali, jednego z kilku klubów studenckich należących do Politechniki. Kilkaset metrów i już byłem przed Spiralą. Byłem tam m. in. na Laboratorium, Dzamblach z Zauchą. Potem zaliczyłem Kombi, Exodus, Krzak. W Operetce Bank, w Gwarku Kasę Chorych. A na placu Krakowskim Irka Dudka! Tak, Irek występował z Janowskim w duecie.

Grali standardy bluesowe, jakieś Mayalle i tym podobne. Dobrze im to szło, dlatego po koncercie chciałem pogratulować artystom. Poszedłem na zaplecze sceny, ale do spotkania nie doszło. Artyści byli zbyt zajęci spożywaniem jakiegoś taniego winka. Odpuściłem. Cztery lata później graliśmy razem.

Życie pisze zabawne scenariusze.

Zaliczyłem koncerty wszystkich wykonawców tak zwanej Muzyki Młodej Generacji. Ani ona nie była młoda, ani nie była generacją. Nie niosła żadnego przekazu, była oderwana od ulicy, od podwórka, od szkoły. Nic nie mówiła o naszym życiu. Część zespołów grała zresztą wyłącznie muzykę instrumentalną. Fajnie, ale to nie było dla nas. W rocku liczy się autentyczność, a tej wielu muzykom brakowało. Wracali z karczmy albo ze statku i zakładali rockowe zespoły, bo akurat była koniunktura. Mieli wypasione gitary, zachodnie wzmacniacze, byli dobrymi instrumentalistami.

Tylko, co z tego? I jeszcze ta fascynacja The Police, obecna w twórczości wielu czołowych zespołów. Do zerzygania.

Z mainstreamu z sympatią wspominam Korę i jej pierwsze dziarskie rock'n'rolle. Punkowcy chodzili na wczesny Maanam, który oczywiście punkowym zespołem nie był, ale wiele z punka i nowej fali czerpał. W warstwie muzycznej, warstwa tekstowa była zupełnie nie punkowa. Dobrze bawiłem się też na koncertach Johna Portera. Ale pierwszy kozacki koncert na którym byłem to występ jugosłowiańskiego Šarlo Akrobata. Inne zachowanie na scenie, energia, żywioł, kontakt z publiką. Widać było, że granie sprawia im radość. Bardzo ten występ różnił się od koncertów większości polskich wykonawców, którzy przyspawani do podłogi z cierpiętniczą miną wygrywali te swoje niekończące się solówki. A tu dwuminutowe, szybkie kawałki, bez zbędnego pierdolenia.

Chwilę później byłem na koncercie pierwszego gliwickiego zespołu punkowego. Konflikt (który potem przekształcił się w Teatr Uliczny), fajnie grał i fajnie wyglądał. Występ miał miejsce w klubie zakładowym ZNLE (Zakłady Naprawcze Locomotyw Elektrycznych) na Chorzowskiej. Lider zespołu, Zbyszek grał na własnoręcznie przerobionej gitarze basowej, z wyglądu przypominała czarnego Fendera. Zresztą statywy mikrofonowe też były przez niego samodzielnie wykonane.

Chwilę później z widza stałem się aktorem. Ze słuchacza wykonawcą. Zmieniały się mody, pojawiały się nowe kapele, dziennikarze muzyczni wieszczyli kolejne rewolucje.

Tylko tak naprawdę ostatnią rewolucją w muzyce był punk rock. Z konkretnym przekazem, różnorodną stylistyką. Z zapleczem w postaci potężnej kontrkultury, która mocno odcisnęła piętno na współczesnym świecie. Potem, zamiast rewolucji w muzyce zwyciężył marketing.

Umarł Maciek umarł i leży na desce.

Trochę jak rock'n'roll.

Gdyby mu zagrali, zatańczyłby jeszcze?



Gwarek, (1984),
fot. Wojciech Nurek



Liceum, 1978 r.
fot. Wojciech Jacyczko



Liceum, wycieczka: m.in. Beata Lottko, Tomasz Jelonek, Andrzej Kęcki i DD,
fot. Wojciech Jaczyzko

Rozdział 2

– Przepraszam, panie profesorze!

Jego brwi zaczęły unosić się do góry. Jednocześnie twarz zaczęła przybierać kolor papieru pakowego.

– Odwróć to, odwróć natychmiast ten karabin! – krzyknął.

Faktycznie, koleżanka mierzyła do niego z kbks-u. Zapomniała się biduła i zadając pytanie, obróciła się w kierunku nauczyciela z naładowaną bronią. Nie dziwię się, że zbladł.

Lekcje przysposobienia obronnego były prawdziwym wyzwaniem dla intelektu. Zresztą nie tylko te w mojej szkole. Na mieście krążyły anegdoty o nauczycielach p.o. i ich wyjątkowej tępotcie. W większości byli to emerytowani wojskowi. Cały czas wydawało im się, że mają przed sobą wyszkolonych żołnierzy, a nie bandę dzieciaków z pierwszej klasy liceum.

Karabin na szczęście nie wypalił, nauczyciel uszedł z życiem. Mógł dalej kaleczyć język polski, straszyć nas wojną atomową i obleśnie obmacywać dziewczyny w trakcie nauki strzelania. Mogliśmy sobie posiedzieć z maskami przeciwgazowymi na twarzy i ćwiczyć zachowanie w razie ataku atomowego. Uczono nas udzielania pierwszej pomocy, kopania okopów i innych zadań na wypadek „W”. Dodatkowo zajęcia były podlane jakimś mętym kombatanckim sosem o prosowieckim smaku.

Dostałem się do Liceum nr 1. Tak, do tego na ulicy Zimnej Wody. Zimnej Wody też by ładnie brzmiało, prawda? Szkoła była uważana za najlepszą w Gliwicach, a jej absolwenci w zdecydowanej większości dostawali się na studia, głównie politechniczne. No to przyszłość miałem zapewnioną, prawda? Świetlaną przyszłość. Szczególnie, że wylądowałem w klasie o profilu matematyczno-fizycznym.

Pierwsze dni były dziwne, nowi ludzie, nowi nauczyciele. Zaaklimatyzowałem się szybko, szczególnie, że w obu podstawówkach, do których chodziłem poziom był niezły. Nie miałem żadnych braków, tyłów, byłem na bieżąco. W przedmiotach humanistycznych zawsze można było posłużyć się dobrym bajerem i wodolejstwem. Te niekończące się pytania: „Co autor miał na myśli?”. Jak to co? Chciał dobrze pojeść, poznać jakąś miłą panią, ewentualnie napić się lub naćpać. Nie, nie, niedostateczny!

Autor był wieszczem i we wszystkim, co robił kierował się dobrem narodu. Przez każdą sekundę swojego życia cierpiał i rozmyślał nad losem uciemiężonych rodaków. Jeszcze gorsze były analizy wiersza. Skutecznie zohydzały poezję. Z czasem lekcje polskiego zaczęły się zamieniać w burzliwe dyskusje na tematy historyczne. Podobnie było na lekcjach historii, szczególnie w trzeciej i czwartej klasie. Andrzej Kęcki, Wacek Bylina, Piotrek Budzyński, Michał Bilczewski i inni potrafili nieźle zagiąć nauczycieli.

Zresztą każdy z nas miał większe lub mniejsze pojęcie o historii wyniesione z domu lub z opowiadań dziadka. Wiedzę różniącą się od tej oficjalnej. Dyskusje o wojnie polsko-rosyjskiej czy powstaniu warszawskim powodowały u nauczycieli stan przedzawałowy. Podobne debaty na tematy aktualne: społeczne czy gospodarcze toczyliśmy na innych przedmiotach. Najmilej wspominam lekcje fizyki z profesorem Kucharukiem, które często zamieniały się w taki ogólnoklasowy klub dyskusyjny. Fajne było też wychowanie techniczne, które prowadził dawny uczeń mojego ojca, Wojciech Kozera.

Nauka nadal nie zabierała mi dużo czasu i pozwalała korzystać z uroków młodzińskiego życia. Życia, które dzieliłem między podwórko i przyjaciół i pochłanianie nowych muzycznych doznań. Skoro mowa o pochłanianiu... Pierwszym papierosem poczęstował mnie Andrzej Kęcki, po zajęciach z angielskiego. Papieros był marki Lord. Był okropny, duszący, chciało się po nim rzygać. Niestety, przy następnej okazji zapomniałem o tych przykrych odczuciach i sięgnąłem po kolejną fajkę.

Rozkoszny dar zapominania, prawda? Papierosy, wóda, hera... Skosztujemy, wyplujemy, przełknjemy, jeszcze raz, no i jeszcze po kielichu, kurwa ze mną się nie napijesz, kto leci po flaszkę, nie, nigdy więcej nie będę pił. Kampania, wybory, oszukali, kurwy, zdrajcy, kampania, wybory, oszukali... W każdym razie ten jeden Lord rozpoczął mój blisko czterdziestoletni związek partnerski z fajkami. Związek, który zerwałem nagle, bez dania racji w lipcu 2013 roku. Jeden Lord, a człowiek od razu poczuł się bardziej męski, bardziej dorosły. Ha, ha, ha.

W liceum rządzili pałacy i pijący. Swoistą agorą największych luzaków był szkolny kibel na parterze. Ten piętro wyżej był zbyt blisko gabinetu dyrektora Lazarowicza. Na ten dolny też urządzano naloty, ale zazwyczaj ktoś stał na czatach i zdążył przestrzec szanowne grono. Dzięki kolegom

z dzielnicy już od pierwszej klasy mogłem się w tym gronie obracać. Caro, Carmeny, Marlboro, DS-y. A jak nie było kasy to Sporty, Klubowe, Extra Mocne. Czasem, zamiast do kibla wyskakiwało się za szkołę albo do pobliskiej bramy. Staliśmy jak żulera, trzęsąc się z zimna i zachłannie wciągaliśmy substancje rakotwórcze.

W ciepłych porach roku, najczęściej w soboty po szkole, szliśmy na skwer przy Konarskiego i oddawaliśmy się konsumpcji podstawowego młodzieżowego trunku, jakim był jabol. Wino patykiem pisane kosztowało wtedy 33 złote. Owszem, można było skusić się na któreś z importowanych (najtańsze po 55 zł), ale liczyła się raczej ilość niż jakość.

Wieczorem można było w sposób bardziej kulturalny wpaść do „Żaka” i tam wypić kilka lampek wina. A potem w domu tłumaczyć, że „obiadek się nie przyjął i brzuch boli”. Mama, jak to anioł, nie paliła i nie piła. Udawała, że wierzy w tę ściemę. Tak samo jak w zapewnienia, że nie palę, tylko ten słonecznik prażony ma taki zapach.

Raz na jakiś czas ktoś organizował prywatkę z okazji urodzin lub posiadania wolnej chaty. Czasem chodziło się też na jakieś dyskoteki do liceum nr II. Raz wybraliśmy się na imprezę do naszego liceum, miał wystąpić zespół, w którym grał starszy kolega z dzielnicy Witek Budzioch. Bardzo chciałem posłuchać tej kapeli, szczególnie że Witek był wtedy moim idolem. Nie dość, że potrafił „Schody do nieba”, to jeszcze grał „Dom wschodzącego słońca”! A ja przecież czułem się gitarzystą. Nie chciało mi się ćwiczyć, ale... Ale się czułem. Niestety, zrobił się jakiś dym i dyskotekę odwołano. Niech to szlag! Zamiast na potupaji poszliśmy na brydza.

- Dwa kiery
- Trzy trefle
- Pas

Tego typu dialogi dobiegały z każdej klasy. Wszystkich ogarnęło brydżowe szaleństwo. Któregoś dnia naliczyłem w klasie sześć grających stolików. Nauczyciele próbowali zapobiegać brydżowej epidemii. Lecz karciany wirus był silniejszy. Graliśmy na przerwach, rznęliśmy w karty po lekcjach, w końcu zaczęliśmy grać na niektórych zajęciach. Kto nie grał w brydza, ten z policji – tak by to można dzisiaj opisać. Bardzo często grałem z Wieśkiem Grzesikiem, Wojtkiem Derechowskim i Wojtkiem Jaczyczką.

Do tego ostatniego chodziliśmy na brydża, najpierw na Dworcową, a potem po przeprowadzce na Sikornik.

Zaprzyjaźniłem się z Wojtkiem. Na pewno jedną z przyczyn był fakt, że Wojtek grał na gitarze. Miał doskonałe poczucie rytmu i świetny słuch. W naszym kółku brydżowym kolejnym muzykiem był Wojtek Derechowski. Grał na perkusji. Miał też dość specyficzny sposób wyrażania myśli.

– Wolę grać na gitarze, niż uczyć się tej kretyńskiej matmy – tak powiedziałbym ja.

– W hierarchii moich wartości, opanowanie gry na instrumencie... – tak mówił Wojtek.

To dzięki Wojtkowi Derechowskiemu, koledze z klasy A, trafiłem do zespołu. Nie wiem, jak wtedy ten zespół się nazywał. Chwilę później nazwaliśmy go: Niekonwencjonalnie Działające Stowarzyszenie Twórcze.

Ja pierdolę!

Ndst!

Ja pierdolę!

Liderem zespołu był Grzesiek Śliwiński, który grał na pianinie. Na basie grał Andrzej Marcinek, na perkusji Wojtek Derechowski, a śpiewał Fred. Fred, jako jedyny nie chodził do Jedyńki, wychowywał się w Domu Dziecka i zasuwał do jakiegoś technikum. Parę miesięcy później do zespołu ściągnąłem Wojtka, który grał na akustycznej i na harmonijce. Sam oczywiście grałem na gitarze solowej.

Nie bójcie się, żadne nagranie się nie zachowało!

Naprawdę!

Graliśmy mieszankę boogie, trochę rock'n'rolla, kilka standardów typu „Corin, Corina” i „In the mood” Glenna Millera. Szefem zespołu był Grzesiek i dobierał repertuar pod kątem swoich możliwości w graniu na pianinie. Czyli?

Graliśmy wszystko w C-dur.

No, przynajmniej większość kawałków. Próby mieliśmy w auli „Prosynchemu”, gliwickiego biura projektowego. Budynek był utrzymany w klasycznym socrealistycznym stylu, gdzieś po korytarzach radośnie pomykał duch towarzysza Stalina. Sama aula miała dużą, wysoką na półtora metra scenę. Sala była w stanie pomieścić około trzystu, czterystu osób. A tuż za ścianą miał próby żeński zespół tańca nowoczesnego!

Debiutowaliśmy na imprezach mikołajkowych, na których dzieciom graliśmy rock'n'rolle i bluesy, oraz parę szlagierów z cyklu „Stary niedźwiedź mocno śpi”.

Wtedy po raz pierwszy zarobiłem na muzyce. Kasy nam nie dali, ale za każdy występ dostawaliśmy paczkę żywnościową: czekoladę, pomarańcze i inne, trudno dostępne słodycze. W ramach pokuty za tak wspaniałe warunki musieliśmy niestety zagrać na akademii. Pod okiem instruktora, znanego gliwickiego basisty Macieja Ropskiego przygotowaliśmy „Wiosnę” Skaldów. Brr... „Wiosna, cieplejszy wieje wiatr, wiosna znów nam ubyło lat”.

Jaka wiosna, to była jesień epoki Gierka, 1979 rok. Cukier już był na kartki. Ta piosenka delikatnie mówiąc nie podobała się nam, przyznam, że samej akademii nie pamiętam. Najbardziej nie podobała się Wojtkowi Jaczycze, który ją śpiewał. Tak, Czyczko zastąpił Freda, który wyjechał do Reichu.

Prawdziwy koncert zrobiliśmy sami. Pełne D.I.Y. Własnoręcznie robione bilety i zaproszenia. Sami posprzątaaliśmy i przygotowaliśmy salę. Frekwencja była na pewno lepsza, niż na wielu współczesnych koncertach. Ale żadna dziewczyna nie zemdląła w trakcie koncertu. O wiele bardziej do stanu omdlenia doprowadzały standardy The Shadows, które z Wojtkiem Jaczyczką szyliśmy na dwóch akustykach w trakcie różnych imprez. Graliśmy „Apache” i inne szlagiery. Śmieszne, ale do dzisiaj potrafię to zagrać. Grywaliśmy na gitarach także bluesy, rockowe standardy, kabaretowe przyśpiewki. Ogniska, prywatki, wycieczki szkolne należały do nas.

I przede wszystkim przyjaźniliśmy się. Mieliśmy też z Wojtkiem epizod beatlesowski. Śpiewał Tomek, narzeczony siostry kumpla z podwórka, Darka Wiśniowskiego. Śpiewał niezłe, doskonale władał angielskim. Czyczko za to dogrywał na kongach w nietypowy sposób. Używał drutów do sztrykowania. Jak to będzie po polsku? Drutów do robienia na drutach? Pamiętam, że graliśmy takie utwory jak „I Saw Her Standing There”, „And I love her”, „Michelle”... Niestety, nie trwało to długo, Tomek wyjechał do Londynu.

Tak, już wtedy wiedziałem, że przez całe życie będzie mi towarzyszył problem braku wokalisty. Naprawdę żałuję, że Jah nie dał mi odrobiny talentu do śpiewania. Chociaż już wtedy próbowałem:

Nie oddamy Lwowa
Nie oddamy Lwowa
Nie oddamy miast Lwowa
Jedna atomowa
Druga atomowa
I wrócimy znów do Lwowa.

– rozbrzmiewało w autobusie PKS-u, którym podróżowaliśmy całą trzecią klasą gdzieś w okolicy Polanicy Zdroju. Na starcie koleżanki lekko nadużyły i wspinaczka do schroniska niezbyt im wychodziła. Potem do alkoholu dorwali się ci najgrzeczniejsi, naznaczeni syndromem psa spuszczonego ze smyczy. Niektórzy tak mają, nawet w wieku mocno dojrzałym. Najpierw na szkolnych wycieczkach, potem na studenckich obozach, potem na delegacjach z korpolażu.

Musi istnieć jakiś tajemniczy związek pomiędzy wyrwaniem się z domowych pieleszy, a chęcią do hedonistycznej zabawy. Co na to nauka, czy ktoś się wypowie?

Nie da się opowiedzieć o tamtych czasach, bez wspomnienia o trójkowych audycjach rozrywkowych takich jak „60 minut na godzinę”, czy późniejsza „Powtórka z rozrywki”. Na bieżąco omawialiśmy poszczególne odcinki, powtarzaliśmy nieśmiertelne „Fajny film wczoraj widziałem”, albo śpiewaliśmy zasłyszane piosenki Kaczmarskiego czy Waligórskiego. Kochaliśmy pana Sułka, chodziliśmy się zbadać do Młodej Lekarki, odwiedzaliśmy po drodze rodzinę Poszepszyńskich. Długo mógłbym wymieniać. Fedorowicz i spółka w inteligentny sposób wymijali zasięki cenzury, udawało im się skutecznie wyśmiewać tę „dyрекcję cyrku w budowie”.

Nas też coraz bardziej ten cyrk śmieszył i wkurzał. Na pewno pomagała literatura. Czytanie było wtedy modne i książki były częstym tematem rozmów, sporów i dyskusji. Niekoniecznie lektury. Ogromne wrażenie zrobił wtedy na mnie „Paragraf 22” Hellera i „Śniadanie mistrzów” Vonneguta. Trochę później sięgnąłem po „Rzeźnię nr 5”. Do dziś słyszę ten huk bomb...

Komiksy.
Pornole.
Tygrysy.

Gazety? Też. Rodzice kupowali taki podstawowy zestaw młodego mieszczucha, czyli „Przekrój”, „Politykę” i lokalną gadzinówkę „Trybunę Robotniczą”. Ta ostatnia w każdym numerze zapewniała, jak to „Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej”. Wystarczyło, że mama wysłała mnie na zakupy do mięsnego, a mogłem zobaczyć, jak jest naprawdę. „Trybuna Robotnicza”, niedościgniony wzór dla dzisiejszych szmatławców. „Polityka” była znacznie ciekawsza, więcej można było dowiedzieć się o świecie.

Trochę więcej wyczytać między wierszami.

Najwięcej o świecie można było się dowiedzieć wchodząc do Peweksu. Przed Peweksem można było spotkać protoplastów polskiego kapitalizmu. Wąsaci, odziani w skóry lub dzinsowe kurtki handlowali dolarami i bonami. Bon to był taki dolar, który nigdy nie widział Ameryki. Za to można było w Peweksie za bon o wartości jednego dolara kupić flaszkę wódki.

Wszystkie meliny zaopatrywały się w Peweksach, kupując baksy u cinkciarzy. Tak to się kręciło, oczywiście pod czujnym okiem milicji i esbecji, dla której wielu cynków pracowało, czytaj kapowało.

Peweks był boski. Oprócz gorzały, dzinu i fajek można tam było kupić prawdziwe dzinsy. Pierwsze Rifle mama kupiła mi w Peweksie w Żywcu. Trzęsącą ręką odliczyła kilkanaście dolarów, co w przeliczeniu po kursie czarnorynkowym (czyli rzeczywistym) stanowiło trzy czwarte jej wypłaty. Jaki byłem szczęśliwy! Prawdziwe Rifle! W Peweksie był też sprzęt RTV, zabawki i kosmetyki. Gdybyście w czasach komuny chcieli zobaczyć niebo, wystarczyło wejść do Peweksu. Przez pryzmat jego półek Zachód wydawał się taki piękny, kolorowy, pachnący, błyszczący. Zachód był pięknie opakowany. Dlatego w 89 roku wszystkich bez wyjątku zauroczył ten Zachód. Dopiero po latach niektórzy wytrzeźwiali i zaczęli dostrzegać, że ten świat zbudowany z kolorowych klocków Lego nie jest idealny.

Od drugiej klasy siedziałem w jednej ławce z Andrzejem Burdziakiem, Wraz z nim, Wojtkiem Jaczyczką, Wackiem Byliną i Wieśkiem Grzesikiem tworzyliśmy taką nieformalną brygadę techniczno-remontową. Pierwszy raz zaangażował nas profesor Kozera. Misja polegała na ściągnięciu zasłon czy firanek w całej szkole. Potem posypały się inne fuchy.

Gdy profesor Kozera odszedł, tego typu sprawami zajmował się profesor Kucharuk. A my dalej zrywaliśmy się z lekcji i naprawialiśmy, czyściliśmy.

Chociaż głównie obijaliśmy się i staraliśmy zaszyć w jakimś ustronnym miejscu. I brydzyk. Urwało się w czwartej klasie, zaczęła się psychoza związana z maturą.

Większość klasy zasuwała na korepetycje. W tym czasie ja zasuwałem na pobliskie jezioro Dzierżno albo Czechowice. Maturę z polskiego napisałem najszybciej z całego rocznika i już dwie godziny później leżałem na trawie nad jeziorem. Dostałem piątkę, z ustnego egzaminu też. Z matmy chyba czwórkę, ale na ustnym poprawiłem. Nauka nie była problemem, niestety zabierała czas. A tyle się działo!

Chodziłem na koncerty, regularnie zacząłem też w niedzielę odwiedzać Giełdę Płytową. Odbywała się w Gwarku, na Rynku. Nie miałem porządnego adapteru, ani tym bardziej kasy na płyty. Ale pięknie było pooglądać te wszystkie okładki, większość zespołów znałem przynajmniej z nazwy. Winył ma duszę. Winył ma brzmienie. Winył jest realny. Plik nie. Winył masz. Plik w chmurze nie należy do Ciebie. Zawsze ktoś może przyjść i nacisnąć guzik Off. Tak jak robi to jutuba z filmami. Off i nie ma. Wiem, bo tak wyparowało konto reżysera pierwszego teledysku Redakcji do utworu „Dziś umarłem na ulicy”. Guzik: off! I szlus. A winyl nie ma takiego guzika.

Na giełdzie oprócz oglądania czy słuchania można też było pogadać z ludźmi o muzyce. Wielu naprawdę miało pełen odjazd na punkcie muzy. Giełda w Gwarku ostatecznie przypieczętowała mój rozwód z kościołem. Rodzicom mówiłem, że idę na mszę, a szedłem do Gwarka. Sądzę, że domyślali się, że ich oszukuję. Zresztą sami też nie byli zbyt kościółkowi.

Proces mojego odchodzenia od religii tak naprawdę zaczął się w czasach podstawówki. Wtedy religii nie uczono w szkole. Chodziłem na zajęcia do salki katechetycznej. Może to kwestia prowadzących, ale zaczęły mnie one nudzić. Zapach kadzidła, przesłodzony głos księdza, kiczowate obrazki ze świętymi. Może, gdyby te zajęcia prowadził ktoś z pasją i z mocą? Kto wie? Niedzielne msze też mnie coraz bardziej nużyły. Najbardziej byłem zainteresowany kazaniem, resztą ceremonii mniej. Niestety moi bracia i siostry w wierze śpiewali, a przynajmniej sądzili, że śpiewają. Stałem w przedsionku i przyglądałem się znajomym. O pan X. Wczoraj jeszcze nawalony nie potrafił wejść po schodach. A teraz jak ten aniołek, rączki złożone, wzrok natchniony. Pan Y za to wczoraj spuścił niezły łomot swojej

żonie. Jednak teraz stoją obok siebie i odgrywają scenkę pt. „Wzorcowa rodzina”. Pani Z. prowadziła melinę. Pan W. był ormowskim kapusiem. Pani H. okradała sklep, w którym pracowała. Setki hipokrytów, włącznie z dyżurnym żebrakiem. Po skończonej mszy samochodem podjeżdżała po niego rodzina. Ponoć nieźle żyli z tego, co wysepił.

Z każdą niedzielą byłem coraz dalej i dalej. Być może dlatego, że dziecięce i młodzieńcze modlitwy się nie spełniały? Ach, nie ma co tracić czasu na jałową psychoanalizę. Po prostu w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że nie wierzę. Nie wierzę i już. Mimo to choinkę co roku kupuję i ubieram. Dania wigilijne uwielbiam. Wigilię i święta od lat spędzamy razem z przyjaciółmi. Trochę podejrzanie jak na niewierzącego, prawda? Ciekawe, czy na starość, tak jak wielu moich kolegów muzyków dostąpię cudownego nawrócenia? Może lepiej nie, lepiej nie. Niech już tak zostanie. I tak tych nawróceń ostatnio podejrzenie dużo się zrobiło.

No i NDST przestało istnieć. Wszyscy zaczęli myśleć o przyszłości. Zapewne świetlanej, bo żyjąc w dziewiątej potędze gospodarczej świata mogła nas czekać wyłącznie świetlana przyszłość. Gdyby tylko te ruskie nam szynki nie zżerali. Rodzice nie musieli naciskać, od początku wiedziałem, że chcę iść na studia. Tylko jakie? Tu Houston, mamy problem! Dylematy godne kina moralnego niepokoju.

Najchętniej dalej zostałbym w szkole. Na pewno nie chciałem być nauczycielem. Gówniana robota, słaba kasa. Jedynie długie wakacje były zachętą. Ale rodzice też mi odradzali. Stąd żadne studia humanistyczne typu polonistyka czy historia nie wchodziły w rachubę. Korciło mnie dziennikarstwo, ale już wtedy miałem świadomość, jak bardzo ten zawód jest uzależniony od polityki. Zresztą bez pleców (tak tłumaczyli rodzice) mógłbym co najwyżej wylądować w jakiejś lokalnej gazetce.

Z powodu braku pleców odpadał też kultowy „handel zagraniczny”. Ach, pojeździłby człowiek po świecie, dolarów naprzywoził. Jasne, a wcześniej podpisał lojalną na ubecji. O tym nie wiedziałem, takie mechanizmy wyszły na jaw dopiero po Sierpniu. Zresztą po dłuższej analizie studia humanistyczne odpadły. Dlaczego? Dlatego, że musiałbym dojeżdżać na Uniwersytet do Katowic. A dupa u mnie ciężka, oj ciężka! Podróżować to ja nie lubię. Skoro nie Katowice, to może Olsztyn i katedra rybactwa śródlądowego? Interesowałem się rybami, może bardziej ich łowieniem. Czemu nie? Ale to tak daleko... Szybko mi ten pomysł przeszedł. No to

może ochrona środowiska, nowy kierunek na politechnice? No, no, nie licząc nadmiaru zajęć z chemii ten kierunek wydawał m się niezły.

W tym momencie pojawił się mój wujek Roman. Roman wykładał na Politechnice na Wydziale Elektrycznym. Zgadnijcie, jaki Wydział mi polecił? Brawo! Tak, polecił Wydział Elektryczny. Bo, ponieważ, albowiem bo gdyż... Inżynier elektryk to świetny zawód! Cieszący się szacunkiem i poważaniem.

Wujek coś z tym elektrykiem chyba przeczuwał.

Dodatkowo zawód elektryka jest dobrze płatny. A ochrona środowiska? Jest do bani. Po takim wydziale zasuwa się po hałdach i karłowate brzoźki mierzy. I zarabia grosze. Wujko tymi argumentami bardziej przekonał rodziców niż mnie. Dalej miałem dylemat, a papiery trzeba było złożyć. Zero pomysłu, kompletny stupor. Zazdrościłem tym, którzy poszli na studia kierując się pasją lub konkretnymi zainteresowaniami. A ja co? Przyszłość za karę! No! fiuczer! Zresztą większość z moich licealnych przyjaciół miała ten sam problem.

Co wybrać? Kim zostać? Posłusznym trybikiem w socjalistycznym kombajnie? Epoka Gierka przyniosła lekkie otwarcie na świat. Na moment w głowach zakręciło się od kolorowych etykiet. Artyści w swych dziełach przemycali wartości nie do końca zgodne z oficjalnymi.

Wiedzieliśmy, czuliśmy, że może być inaczej. System robił wszystko, by nas do siebie zniechęcić.

W liceum jesienią wysyłano nas do pobliskiego PGR-u na wykopki. Tak realizowano sojusz inteligencko-chłopski. Nie do końca podobało mi się zbieranie ziemniaków, nie za bardzo rozumiałem, czemu mam to robić? Za karę? Chyba wszyscy tak czuliśmy, bo to zbieranie szło wybitnie ślamazarnie i ospale. W tym samym rytmie, w jakim pracował cały kraj. Powoli, z długimi przerwami, bez napinki. Klimat bardziej południowy. Jak muchy w smole poruszali się urzędnicy. Jak żółwie w piachu brnęli budowlańcy. Jak ślimaki po betonie posuwali się drogowcy. Wszystko jak na zwolnionym filmie. Byle nie zrobić, byle się nie narobić. Podobne wrażenie odniosłem z praktyk, które mieliśmy bodajże w trzeciej klasie liceum. Odbywały się w jakimś zakładzie na Konarskiego. Składali tam różne urządzenia dla energetyki, za bardzo nie pamiętam co. Za to pamiętam zapach smaru i pasty BHP, którą myliśmy się po skończeniu pracy. Pracy bezsensownej i robionej na odpiardol. Po co było uczyć

biednego Duszę wiercenia w aluminium? Kiedy on miał i nadal ma antytalent do jakichkolwiek prac technicznych. Powierzenie mu młotka lub pary obcęarów jest równie niebezpieczne jak podarowanie C4 terrorystyce. I może przynieść taki sam krwawy rezultat. Równie niebezpieczne były moje kontakty z prądem elektrycznym. Dlatego... Tak, wybrałem Wydział Elektryczny, a co mi tam!

Zdałem egzaminy wstępne bez żadnego problemu i na początku lipca moje nazwisko pojawiło się wśród stu kilkudziesięciu innych na liście studentów pierwszego roku, która wisiała przy dziekanacie. Super! Teraz studia, potem czterdzieści lat pracy w zakładzie energetycznym lub elektrowni, parę lat emerytury i piach. Jako dodatek: żona, dwójka dzieci, po dwudziestu latach własne mieszkanie (mama założyła mi książeczkę mieszkaniową) i Polonez. Ten do jeżdżenia, nie do picia.

Tak mogło być, jak w piosence Perfectu. Ale nie przepadam za takimi piosenkami i wszystko potoczyło się inaczej. Po egzaminach wyjechałem na wakacje, zresztą pierwsze samodzielne. Wcześniej jeździłem z rodzicami na różnego rodzaju wczasy, natomiast obozy, ani kolonie jakoś mnie nie pociągały. Po solowym, odlotowym wypadzie do Szczawnicy, pojechałem z mama i tatą w sierpniu do Łeby. To był nasz ostatni wspólny wyjazd. Plaża, morze, malowniczy port rybacki. Wszystko wyglądało, jak zazwyczaj. Tylko w radiu cały czas mówili o jakichś niepokojach społecznych, warchołach, elementach antysocjalistycznych.

Zaczynał się Sierpień 80.

Lecz i tak najważniejszym wydarzeniem tego roku był dla mnie Jarocin. A właściwie obszerna, ustna relacja z tego festiwalu. Siedziałem wieczorem na karuzeli i słuchałem jak urzeczony opowieści Piotrka Nowickiego, mojego kumpla z podwórka. Bardzo go Jarocin nakręcił i podrajcował. A mnie razem z nim. Ten festiwal to było coś zupełnie innego niż koncerty na Placu Krakowskim czy występy w klubach. Chciałem tam pojechać. Bardzo. Zresztą chciałem pojechać na jakikolwiek festiwal. Nie, nie słuchać. Zagrać.

Tylko najpierw trzeba było mieć zespół.



Akant, Absurd,
fot. NN

Gitara



Ibanez Roadstar II, zdjęcie ze strony B longplay'a The Dudis

„Słynna gitara Defila, trochę rączki wykrzywiła”

Oj wykrzywiła, wykrzywiła. Ta pierwsza, wymarzona gitara była wyjątkowym złomem. Nawet jak na wyrób firmy Defil. Defil to peerelowska fabryka produkująca wyroby instrumentopodobne. Taki socjalistyczny policzek wymierzony w twarz Gibsonowi czy innemu Fenderowi. Struny smętnie zwisały trzy centymetry nad progami, gryf wyglądał jak odpad z tartaku. Lakier przypominał kolorem zapleśniały plaster miodu. I śmierdział. Gitara brzmiała, jakby była wykonana z kartonu, oczywiście nie stroiła.

Jednak jej wątpliwa uroda nie przeszkadzała mi, by kochać ją miłością absolutną. Moja, moja, moja! Mój skarb, mój pierścień! Na nic lepszego rodziców nie było stać. Zresztą wtedy trudno było o jakikolwiek normalny instrument, chyba, że ktoś miał rodzinę na Zachodzie. Nie mieliśmy.

Mama z tatą nie dość, że kupili gitarę, to jeszcze wysłali mnie na lekcje gry. To nie był najlepszy pomysł. To była totalna porażka. Chciałem od razu grać jak Hendrix, Clapton lub przynajmniej Santana, a tu facet pokazuje mi wstrętne, czarne kropki i każe pitolić na pojedynczej, pustej strunie.

Pit pit pit – ćwierćnutki.

Plim plim plim – ósemeczki.

Po trzech lekcjach zrezygnowałem. Takie plim, plim to dobre dla dzieciaka, przecież byłem już w siódmej klasie podstawówki. Dawać tu jakieś „Hey Joe” albo umiłowany utwór wszystkich gitarzystów ogniskowych „Schody do nieba”. Skoro Henio nie chodził do szkoły muzycznej, to ja też nie muszę. Proste? Zostałem samoukiem.

Po opanowaniu C-duru cały świat muzyki stanął przede mną otworem. Rany, ile kawałków jest zrobionych na dwóch, trzech funtach. Od bluesa, przez punk, aż po pop. C-dur, F-dur, G-dur. La Bamba razy miliard. Ramonesi do potęgi n-tej. Jednak nawet na tych podstawowych akordach pancerny Defil był trudny do okiełznania. Na palcach pojawiały się bąble, chwytów barrowe nigdy dobrze nie brzmiały, bo trudno było te cholerne struny docisnąć. Można było się zniechęcić, szczególnie w wieku, w którym rano się chce być strażakiem, w południe gwiazdą rocka, a wieczorem Arsenem Lupinem. Defil coraz częściej stał w kącie, pokrywając się szarym jak peerelowska rzeczywistość kurzem. A kurzu było w Gliwicach pod dostatkiem. Może trzeba było namówić rodziców na saksofon? Albo skrzypce? Nie, nie, nie! Od bajtla miałem słabość do gitary. Pierwszą piosenką, którą zapamiętałem był „Dom wschodzącego słońca” Animalsów. Usłyszałem ją w naszym radiu marki Wola. Lampowym, z magicznym zielonym okiem. Nie wiem, który to był rok. W każdym razie Amol, C-dur, D-dur, F-dur i tak dalej. I schrypnięty, czadowy głos Burdona.

Aż mnie ciarki przeszły. To była zupełnie inna muzyka, niż to słodkopierdzące marszowe granie, które leciało wtedy w radiu albo w telewizji. Do dzisiaj kocham „Dom wschodzącego słońca”. Pan Burdon i jego koledzy zrobili mi krzywdę. Zachorowałem na gitarę, zachorowałem na rock’n’rolla. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie będą konsekwencje

i powikłania. Nie wiedziałem, że skutecznego antidotum jeszcze nie wynaleziono.

Zacząłem łapczywie słuchać muzyki. W radiu, w telewizji, na wakacjach lubiłem chodzić pod lokale, gdzie rzępoliły dansingowe kapele. Właśnie, bo odkryłem, że muzyka na żywo ma jeszcze większą moc niż ta z głośnika. Prawdziwą siłę muzyki poznałem jednak na podwórku. Jak już wspominałem, obok naszego podwórza mieściło się tzw. górnicze. Rosło tam parę drzew, na czele z rozłożystą wierzbą model „Chopin”, była karuzela i huśtawki. Zbierali się tam okoliczni gitowcy, chuligani, złodziejaszki.

Ich rozrywki różniły się trochę od naszych. Były mało wyrafinowane: spuścić komuś wpierdol, wypić kilka jaboli, spuścić komuś wpierdol, włamać się do sklepu lub magazynu sąsiadującej z podwórkiem fabryki tworzyw sztucznych, spuścić komuś wpierdol. Jedną z rozrywek było ustawienie na chodniku dużego kartonu. Przez nasze podwórko drałowali z dworca na uczelnię studenci. Idzie taki biedny studencina, patrzy karton... Jak tu nie kopnąć? I nagle na twarzy grymas bólu.

Chłopaki do kartonu włożyli kilka cegieł.

Znaliśmy większość z nich. Nam nie robili krzywdy, byliśmy swoi. Czasem siedzieliśmy wspólnie na ławkach. Zazwyczaj któryś z nich miał gitarę, leciało nieśmiertelne „W więziennym szpitalu” (czyli znowu Animalsi) lub jakiś inny hicior.

Któregoś razu przysiadł się kolega z sąsiedniej ulicy. Taki szczupły, w okularkach, grzecznutki, schludny. Wziął od gitowca wiosło i zagrał. Wszystkim opadły szczęki. Znał „Hey Joe”, „Schody do nieba” i „Child in Time”. Mistrz! Wszyscy patrzyli na niego z szacunkiem, klaskali, częstowali winkiem. Wniosek: gitarzysta, to ktoś cieszący się szacunkiem i zaufaniem społecznym (tak napisała by w latach siedemdziesiątych Trybuna Ludu, Brudu i Smrodu). A jak wszystkie dziewczyny na niego patrzyły! Być gitarzystą oznaczało być kimś!

Ciągnęło mnie do tej gitary, ciągnęło. Ostatecznie zaplątałem się w jej struny w czasie wyjazdu do ciotki. Ciotka wyszła za męża, jechaliśmy z rodzicami ją odwiedzić. W noc przed wyjazdem przyśniła mi się czerwona gitara, stojąca w pokoju z czerwonymi szafkami i czerwonymi deskami na podłodze. Gdy następnego dnia dojechaliśmy do Tuchowa, co ujrzałem w domu ciotki? Czerwone wiosło na stojaku, czerwone dechy

i czerwone szafki. Magia? Nie cierpię takich historyjek, zawsze się z nich nabijam. Jednak ta gitara tam naprawdę była. No to może nie magia, może déjà vu. Jak zwał, tak zwał. Świeżo nabyty mąż ciotki Hani dorabiał graniem weselnych chałtur, stąd to wiosło w pokoju. Gdy przyszedł i zagrał parę kawałków, zupełnie mnie opętało. Chciałem gitarę!

Gitarę!

Już wtedy byłem zawzięty.

Odbyła się rodzinna narada wojenna. Rodzice byli pewni, że to kolejny przypływ słomianego zapachu. Mimo to kupili. Defila. Produkt uboczny polskiego przemysłu zbrojeniowego. Wstrętne nylony wymieniłem na metalowe struny. Jednak po jakimś czasie zaczęła schodzić z nich owijka i kaleczyły paluchy. Nie dość, że bąble, to jeszcze rany cięte. Jak w takich warunkach zostać Hendrixem? No jak?

„Hey Joe’ umiałem (przydawał się na ogniskach i prywatkach, okraszony tekstem „Tylko margaryna mleczna przeciw ciąży jest skuteczna”). „W więziennym szpitalu” również nieźle mi szło. Ale cały czas czułem, że toczę z gitarą nierówną walkę dupy z kijem.

Kupiłem sobie podręcznik z chwytami gitarowymi. Kosmos! Połowy z nich nie potrafiłem porządnie docisnąć do progu. Najbardziej drażniło mnie to, że gdy grałem jakiś riff na przykład Creamów, to owszem, dźwięki się zgadzały, ale brzmienie? Trudno się dziwić, tamte zespoły nie grały na Defilach. Łoiły na elektrycznych wiosłach, a ich gitarzyści mieli świetną artykulację.

Defil coraz częściej spędzał wieczory w kącie, zasypiając pod warstwą kurzu. Cóż, rodzice chyba mieli rację. Słomiany zapach. I może zostałem inżynierem, normalnym obywatelem, gdyby... Gdyby nie to, że któregoś razu moja mama przyniosła od swojego ucznia elektryczną gitarę.

Źle napisane, poprawiam:

Cuuuuuuuuuuuuudowną elektryczną gitarę!

Czerwoną!

Z białymi pokrętłami!

Czarnym gryfem!

Pewnie, że to nie był Fender, ani Gibson. Takie gitary mieli wtedy najczęściej klezmerzy, grywający do kotleta. Była to Samba, polska gitara robiona bodajże na szwedzkiej licencji. Przez pierwsze dni chodziłem jak lunatyk. Co tam uroki koleżanek, którym coraz bardziej rosły cycki! Co tam

smak wina marki „Wino”! Co tam koledzy, drący się pod oknem. Liczyła się tylko ona. Samba. Sambusia. Moja pierwsza miłość!

Gitara elektryczna potrzebuje wzmacniacza. Inaczej jest zwykłym kawałkiem deski, z naciągniętymi drutami. Wzmacniacz miałem i to lampowy. Radio Wola, z zielonym, magicznym okiem dawało lekko crunchowe brzmienie. Trochę trzeszczało, ale to nieważne. W tamtych dniach nie grałem jeszcze punk rocka, lecz każdy utwór w moim wykonaniu brzmiał jak punk. Każdy, daję słowo! Kaleczyłem Creamów, Hendrixa, Purpli, Yardbirdsów i oczywiście Animalsów. Miałem już swoją pierwszą wierną publikę.

– Elvis, Elvis – darli się moi kolesie na podwórku

– Łup, łup – walił miotłą w okno sąsiad z boku

– Stuk, puk – ten z góry chyba stukał butem, niespełniony perkusista.

Jak tu ćwiczyć w takich warunkach? Jak nie zostać buntownikiem? Cały świat przeciwko mnie. A tu woła młodość, hormony, wiosna.

Cóż, dlatego ćwiczyłem rzadko i krótko. Jak mawia mój przyjaciel Grzesiek Gutowski „lepsze pięć minut wstydu, niż dwa tygodnie ćwiczenia”.

Mimo to trochę się nauczyłem. Przede wszystkim akordów, riffów i kilkunastu zwawych, rockowych numerów. Ugryzłem też kilka klasycznych rock’n’rollowych piosenek i kilka bluesów. Słowem zostałem gitarzystą. Na pewno najlepszym na całym podwórku.



Śmierć Kliniczna, DD i Mercik Fama 1983
fot. NN

Skończyła się podstawówka, skończyło się bieganie w krótkich galotkach. Samba przeżyła mój pierwszy zespół NDST, potem drugi. Towarzyszyła mi wiernie, gdy z Wojtkiem Jacyzczką grywaliśmy Shadowsów albo Beatlesów. Ba, Samba dożyła czasów Śmierci Klinicznej! Grałem na niej na swoim pierwszym Jarocinie w 82 roku. Jak siermiężnie wyglądała i brzmiała, szczególnie przy gitarach, na których grały gwiazdy festiwalu. Bidula. A potem ...

Potem nadszedł czas rozstania. Z jej dechy Wojtek Jacyzczko zmontował sobie gitarę basową. Dostawił do niej gryf od swojego bułgarskiego Orpheusa, samodzielnie zamontował pickupy. A ja miałem już nowe wiosło. Wiosło, które zrobił dla mnie Lemański z Będzina. Takie stratopodobne, z czarnym korpusem i klonowym gryfem. Po pick-upy pojechałem do Krakowa, jakiś rzemieślnik robił nieźle brzmiące przystawki. Na DiMarzio czy inne zachodnie nie było mnie stać.

Gitarę przywiozłem do Gliwic w trakcie kręcenia dokumentu Pawła Karpińskiego „Śmierć Kliniczna”. Paweł spotkał nas na Jarocinie, zespół

bardzo mu się spodobał, postanowił nakręcić o nas 20 minutowy film. O tym później...

Moja nowa gitara była śliczna, pachniała nowością, lakier lśnił. Grała też wspaniale. Od razu ozdobiłem jej główkę naklejką „No future”. Po tym zabiegu jeszcze bardziej wypiękniała, została Miss Wszystkich Gitar. Tylko pokrowiec miała nieszykowny, z miękkiej skóry koloru myszoniebieskiego. Nagrałem na niej dwa single Śmierci, zagrałem dużo koncertów.

Ale lepsze jest wrogiem dobrego. W 84 roku rozwiodłem się z nią. Pojechała do załogi z Wodzisławia. Nową damą mojego serca została pani Maya, japońska imitacja Gibsona Les Paul. Kupiłem ją za 100 dolarów od Grześka z Variété, czołowej polskiej zimnofalowej kapeli z Bydgoszczy.

Biedna Maya nie wiedziała, co ją czeka. Nie miała lekkiego życia, szczególnie w czasie koncertów Shakin' Dudi. Cała porysowana, często z wyrwanymi wnętrznościami i połamanym pleksi. Kilka razy cudem uszła z życiem, lądując na twardych deskach sceny. Kartonowy futerał, zawiązywany na sznurówki też nie chronił jej kruchego, kobiecego ciała.

Ale była twarda. Trochę gryf słabo trzymał się deski, co lekko wpływało na strój. Nagrałem na niej „Złotą płytę” Shakin' Dudi, zagrałem mnóstwo imprez. Pomyśleć, że teraz gitary w tej cenie kupują dzieciaki z kieszonkowego. Wtedy te 100 baksów to było pięć średnich krajowych (przeciętna płaca wynosiła ok. 20 dolarów, licząc po kursie czarnorynkowym).

Następną gitarę nabyłem za 25 średnich krajowych. A co, kto bogatemu zabroni? Te 500 dolarów kupiłem od cynków i cały spanikowany, przestraszony, że mnie ktoś obrobi z takiej gotówki ruszyłem do Warszawy, do muzycznego Peweksu. Wyboru wielkiego nie było, ale już wcześniej miałem upatrzone konkretne wiosło.

Ibanez Roadstar II kosztował prawie 500 baksów. Wtedy spokojnie za te pieniądze można było sobie auto kupić. Żaden samochód jednak tak nie wyglądał. Zielony, metaliczny lakier, ciemny gryf i dodatkowo mostek z wajchą. Gitarę trzeba było koniecznie oblać, żeby się nie rozeschła. Fetę zacząłem już w Warszawie z sympatyczną Mariolą, następnego dnia świętowaliśmy w Katowicach z Irkiem Dudkiem i Andrzejem Urnym. Wszyscy podziwiali, wszyscy się cieszyli. Nu zajec, teraz Wam pokażę.

Kupno gitary było dla mnie wielkim wydarzeniem. Zresztą, oprócz niej nie posiadałem nic wartościowego. Nie posiadałem i nie czułem potrzeby, by posiadać.

Po dwóch dniach graliśmy gdzieś koncert z Shakin' Dudi, przyszła pora na chrzest gitary w warunkach bojowych. Wszystko było fajnie na początku, stroiło, brzmiało. Ale po paru numerach widzę, że Irek się krzywi. Ma rację, gitara nie stroi z pianem. No to prawą rąką łapię za mikrostroik, podciągam, podciągam. Owszem, jedna struna zaczęła stroić, ale pozostałe? Podciągam następną, lecz wtedy ta pierwsza nie stroi. Biedny gitarzysta nie wiedział, że nastrojenie gitary z Floyd Rosem nie jest takie proste i że robi się to metodą kolejnych przybliżeń. Podciągnięcie jednej struny wpływa na strój pozostałych.

Mimo to Ibanez był zajebisty. Trafił nawet na okładkę płyty The Dudis. Tam pierwszy raz grałem stosując wajchę, potem korzystałem z niej również w Absurdzie. Do dziś mam to wiosło. Nagrywałem na nim parę numerów z pierwszego albumu Redakcji, nagrywałem też w maju 2011 r. nową płytę Shakin' Dudi. I dalej kocham Ibaneza miłością wielką,

Podpadł mi tylko raz. W 2008 roku graliśmy na Rawie z Shakin' Dudi. Wsadziłem wajchę w mostek, wybiegłem na scenę, zaczynam grać. Na jakimś wybrzmieniu chcę nacisnąć wajchę, a tu zdrada! Wajchy nie ma. Musiałem ją niedokładnie docisnąć do mostka. Cały koncert latałem po scenie i szukałem tej nieszczęsnej wajchy. Wsiąkła na amen. Dokupiłem nową i teraz Ibanez jest piękną dwudziestoparolatką po botoksie i małym liftingu.

Przez lata Ibanez mi wystarczył. Dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych kupiłem nową gitarę, akustyczną Ovation Legend. Za bardzo nie wiem, po co ją kupiłem, może Ibanezowi dla towarzystwa? Chociaż po kilku latach przydała się, gdy w moim życiu znów pojawił się Merc, dawny wokalista Śmierci Klinicznej.

Na Ovation nagrałem „Psa od Luizy”, zagrałem kilka koncertów. I poszła w ką. Co parę lat przychodzi mi do głowy, żeby ją sprzedać. Ale do tego sprzedawania nie za bardzo się przykładam. Nigdy nie wiadomo, może kiedyś znów przyjdzie mi ochota na akustyczne smuty? Zresztą po dłuższej przerwie znów wylądowałem z Ovation w studiu. Tym razem nagrałem na nim dwa utwory na płytę Halvy, projektu Sławka Pakosa i Sebastiana Filiksa.

Do Ibaneza i Ovation po kilku latach dołączył Fender Stratocaster. Naraił mi go Jarek Toifl, mój przyjaciel, realizator, z którym nagrałem wiele płyt. Chyba wyczytał w moich myślach, że całe życie chciałem mieć Fendera. Po latach udało mi się spełnić to marzenie. Szkoda, że tak późno. Smutne, że w pionierskich czasach Śmierci Klinicznej mogłem tylko sobie na takie wiosła popatrzeć.

Fendera też życie nie oszczędzało. Jako DiM razem z Mercem graliśmy z chłopakami z Habakuka, Wojtkiem Cyndeckim, Krzysiem Niedźwieckim i Jaromirem Puszkiem. Próby mieliśmy w Częstochowie. Przyjechałem pod klub, wypakowałem graty ze swojego auta, postawiłem je obok. Wzmacniacz i Fendera. Widzę, że nadjeżdża Jarek, macham do niego, żeby uważał na stojący sprzęt. A on dodaje gazu i gwałtownie skręca! Serce przestaje mi bić, widzę jak minivan przednim kołem przejeżdża po mojej gitarze. Słyszę trzask pękającego futerału. Krzyczę „Stój!”. Zdezorientowany Jarek błyskawicznie wrzuca wsteczny i... Nie, to się nie dzieje naprawdę... I ponownie przejeżdża po moim kochanym Fenderze!

Nie uwierzycie, gitarze nic się nie stało. Futerał został doszczętnie połamany, ale gitara uszła z życiem. Uff, uff, uff.

Wydawało mi się, że Fender i Ibanez to wystarczający zestaw. Dopóki Jarek nie kupił Suhra, model „T” (T jak Telecaster). Pożyczył mi ją do studia, nagrywałem na nim Redakcję. Bardzo fajnie się na tym wiosle (to ono, na dole strony) grało. Po roku, któregoś słonecznego dnia Jarek bąknął:



– Wiesz, będę chciał kiedyś sprzedać tego Suhra.

– Oki, jak kiedyś będziesz sprzedawał, to ja go kupię – zadeklarowałem trochę z rozpędu.

Mówiąc „kiedyś” miałem na myśli pół roku, rok. Daleką przyszłość, w której być może pojawią się jakieś pieniądze.

Jarek zadzwonił następnego dnia:

– I co, kupujesz Suhra? Bo mam na oku fajnego Musicmana...

Zdębiałem. Pieniądzy za bardzo nie miałem, dołek finansowy, kryzys światowy. Znacie to?

Kupiłem.

Nie żałuję.

Jest śliczny.

Zabija dźwiękiem.

Przyjdźcie posłuchać, zapraszam!



Shakin' Dudi, Fabryka Trzciny (2008),
fot. mr makowski



Gwarek (1984) Andrzej Kazoń i DD
fot. Wojciech Nurek



Śmierć Kliniczna Gwarek, Gliwice, (1984), DD i Szafir
fot. Piotr Lepszy



Ewa i DD, Gliwice
fot. Wojciech Nurek

Rozdział 3

– A jeśli się to powtórzy, zostaniesz relegowany z uczelni!

Cóż, zamilkłem i zdusiłem cisnące się do gardła słowo „spierdalaj”. Przede mną stał jakiś wyleniały aktywista ruchu studenckiego. O co ta zadyma? Cały akademik dudnił i pulsował podchmielonym, wesołym rytmem, a ten się nas czepia? Ani nie byliśmy bardziej rozbawieni, ani nie zachowywaliśmy się głośniej. Przecież to pierwszy dzień studenckich praktyk robotniczych i postanowiliśmy go uczcić. My, czyli ja i moi współlokatorzy: Dzidek Orzechowski i Marek Ogonowski.

Przez następne dni aktywiści robili nam naloty i sprawdzali, czy nie rozrabiamy.

Studenckie praktyki robotnicze. Sama nazwa ma w sobie coś absurdalnego. Niby co? Jak pomachamy łopatą, to nam wiedza lepiej będzie wchodzić? Albo morale nam wzrośnie? Na pewno chodziło o to, byśmy poznali prawdziwe życie. I poznawaliśmy:

– Te młody, jak idziesz po piwo, to kup nam połówkę? Tu masz kasę – pan brygadzysta wyraźnie potrzebował nawódnienia. Reszta ekipy również taka bardziej wczorajsza była.

Okej, poleciałem do sklepu, wróciłem migusiem. Na dzień dzisiejszy praca skończona. Koło drugiej złapaliśmy okazję i z Mikulczyc wróciliśmy do Gliwic, do akademika. Pracowaliśmy na budowie w Zabrze Mikulczycach, tuż obok zakładów mleczarskich. Każdego ranka spod akademika zabierał nas osinobus i rozwoził po zabrzańskich budowach. Przed przebraniem w robocze ciuchy odwiedzaliśmy sklepik z nabiałem.

Raz pracowaliśmy, raz nie. Gdy przyjeżdżała gruszka z betonem, wtedy zasuwali wszyscy. Generalnie jednak panował bardziej południowy klimat. Długie przerwy na śniadanie i na kolejne papierosy. Dużo pogaduszek z brygadzystą i budowlańcami. O niskich zarobkach, kolejkach w sklepach, porozumieniach sierpniowych. I o pierdołach.

Jednak to codzienne jeżdżenie na budowę zaczęło mnie nużyć. Szczególnie męczyło mnie poranne wstawanie. Nie cierpię wcześnie wstawać, a na praktykach zrywaliśmy się z wyrek koło szóstej rano.

Cóż, po dwóch tygodniach (a praktyki trwały miesiąc) rozchorowałem się. Nie wiem na co i nie za bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć lekarce z przychodni studenckiej. Zacząłem coś bajdurzyć, że brzuch mnie boli, mam zawroty głowy i jestem ospały. Popatrzyła na mnie bystrym wzrokiem, zaśmiała się krótko i spytała:

– Rozumiem, że jest Pan chory na pracę na budowie, tak?

Kiwnąłem głową. Znow się uśmiechnęła i wypisała mi zwolnienie. Do końca praktyk! Hip hip hurra! Dzięki dobra kobieto!

Wiem, wiem, że pomstujecie na takie kombinatorstwo. Wiem, że powinienem się wstydzić. Przykro mi, nie wstydzę się! Interesowały mnie studia (no, o tyle, o ile), a nie machanie łopata. Zacząłem się w końcu wysypiać i mogłem poświęcić się przyjemniejszym zajęciom. Na przykład umówić na randkę. Albo wystartować w zawodach lekkoatletycznych. Fakt, że pobiegłem w normalnych ciuchach zjednał mi grono wielbicieli, którzy wspomagali mnie gorącym dopingiem. Udało mi się przebiec te czterysta metrów i nie paść na zawał. Które miejsce? Bez jaj proszę...

W trakcie praktyk odbywały się koncerty, spektakle teatralne, występowały kabarety. Jak gąbka chłonałem wszystko. Jedną z imprez był też turniej, na którym studenci roku zerowego prezentowali swoje piosenki, skecze, wiersze. Chciałem wziąć udział w tym konkursie, dlatego napisałem swoją pierwszą w życiu piosenkę. „Nudno”. Razem ze mną wykonywali ją poznani na praktykach Andrzej Kazon i Marek Ogonowski. Graliśmy na trzy gitary, śpiewaliśmy. Tak, ja też. Wybacz mi Matko Ziemio. Jednak nie było aż tak źle. Wzięliśmy udział w eliminacjach, które miały wyłonić reprezentację Politechniki Śląskiej, ta następnie miała wziąć udział w turnieju międzyuczelnianym.

Graliśmy w wypełnionej po brzegi Spirali, piosenka bardzo się spodobała i zakwalifikowaliśmy się do tej reprezentacji! Ło! pierwsza piosenka i od razu sukces? Nie, nie, takie rzeczy tylko w amerykańskich filmach. Międzyuczelnianego turnieju, który odbył się w Katowicach, w Pałacu Młodzieży, nie wygraliśmy. Za to po raz pierwszy zacząłem żałować decyzji o wybraniu polibudy. Wkoło roilo się od pięknych dziewcząt. Wszystkie zaczynały studia na Uniwersytecie Śląskim. Natomiast na politechnice na moim wydziale na stu pięćdziesięciu studentów przypadało kilkanaście pań. Na innych wydziałach za wyjątkiem architektury lepiej nie było. Ach, trzeba było na ten uniwersytet!

Praktyki dobiegły końca, zaczęły się normalne studia. Wykłady, ćwiczenia. Kontynuacja liceum, dużej różnicy nie znajdowałem. Paru błyskotliwych wykładowców, a reszta nudna i przeciętna. Czasem chodziłem na imprezy do akademika, czasem zaglądaliśmy do kultowej Gondoli. Jej kultowość brała się z lokalizacji tuż przy uczelni i „kotleta rzymskiego”. To tajemnicze danie to nic innego jak smażony ser żółty w panierce. Tak, tak, identyczny jak czeski klasyk.

W Gondoli podawano również spaghetti. Czyli było światowo. Właściwie światowo w Gliwicach zrobiło się już parę lat wcześniej, gdy koło poczty powstała pierwsza budka z goframi. W niedzielę stały tam kolejki. Tak samo przy lodach włoskich. Potem koło Rynku otworzyli pizzerię. Tłumy waliły i zażerały się grubym plackiem ze śladową ilością pieczarek i żółtego sera.

W tamtych czasach najbardziej smakowało mi jedzenie w barach mlecznych. Robili doskonałe pierogi, chłodniki, krokiety. Towarzystwo wpadało tam różne: od meneli, przez punków, hipów, po facetów w garniturach. Chociaż przeważali młodzi ludzie i emeryci.

Oczywiście z przyczyn finansowych niezbyt często chodziłem do Gondoli na te światowe dania, czasem wpadaliśmy z kolegami w trakcie przerwy w zajęciach na kawę lub herbatę. Raz na jakiś czas razem z Sambą dziarsko maszerowaliśmy przez miasto do klubu na osiedle Góry Chełmskiej. Tam miałem próby z nowym zespołem.

Tak, znów grałem. Liderem zespołu był Marek Ogonowski, mój współlokator z praktyk studenckich. Marek grał na basie, czasem zdarzało mu się grać zarobkowo wesela i inne tego typu imprezy. Bardzo lubił grać ślapem, stąd też mieliśmy kilka funkujących kawałków. Na perkusji grał Marek Czapelski, mój sąsiad z drugiej strony ulicy.

Odkryłem go przypadkowo. Któregoś razu otworzyłem balkon i usłyszałem łomot bębnów. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy ktoś walił w gary i to naprawdę niezłe. Wcześniej Marka nie znałem, jakoś mijaliśmy się na dzielnicy. Teraz chciałem go natychmiast poznać.

Marek okazał się bardzo otwarty, szczególnie, że wiele nas łączyło, jeśli chodzi o muzyczne fascynacje. Marek skończył Technikum Ceramiczne, ale na studia nie poszedł. Kręcił się gdzieś przy klubach studenckich i ćwiczył na bębnach. Jego ojciec był profesjonalnym perkusistą i podarował synowi zestaw Szpaderskiego. Były to gary, robione przez łódzkiego rzemieślnika,

o wiele lepsze niż produkowane w państwowym zakładzie Polmuzy. Tradycyjnie, do składu dołączył Wojtek Jaczyczko, który grał na akustycznym wiośle i harmonijce. Nie wyobrażałem sobie składu bez Wojtka. Brakowało tylko wokalisty. Mimo to spotykaliśmy się i graliśmy swoje utwory, a także klasyki Creamów czy Claptona. Nasze kompozycje nie były specjalnie wyszukane, za to jeśli chodzi o wymyślanie tytułów to na pewno byliśmy w ścisłej awangardzie. „Larwa jak kuleczka”, uff...

Nazwę mieliśmy za to jak najbardziej współczesną, bo brzmiącą z angielska: Total.

Graliśmy nieźle, całkiem składnie. Ale brakowało wokalisty. Przez moment na horyzoncie pojawiła się Grażyna. Była nawet na jednej próbie, śpiewała „Cocaine” J.J. Cale’a i jeszcze jakiś drugi numer. Bardzo ją to peszyło i chyba nie miała jednak predyspozycji, żeby zostać wokalistką. Była ładną dziewczyną i Marek Czapelski mocno się w niej zadurzył.

Wniosek płynął z tego jeden: żadnych pań w zespole. Kobieta plus zespół równa się zło. Kobieta plus zespół równa się kłopoty. Nie wierzycie? Spytajcie McCartneya.

Nie potrafiliśmy znaleźć wokalisty. Mimo to, w grudniu, z okazji moich urodzin zorganizowaliśmy koncert połączony z imprezą. Takie małe D.I.Y. Dla znajomych. Zagraliśmy też na dyskotecę w Spirali. Dziwny pomysł. Na niektórych próbach nie było Marka Ogonowskiego, dorabiał na weselach. Mimo to spotykaliśmy się w trójkę. Wojtek na swojej gitarze imitował linię basu, Tarzan (taką ksywę miał Marek, ja byłem Chudy) walił jak szalony po garach, a ja napieprzałem w wiosło z całych sił.

Bardziej nas to kręciło, niż granie funkowych czy też bluesowych kawałków. Chcieliśmy innych dźwięków. Cały czas po głowie chodził mi ten Jarocin, o którym krążyły legendy. Gdy tylko usłyszałem, że można wysyłać nagrania na konkurs, natychmiast pojechałem do Wojtka. Nagraliśmy na kaseciaku kilka instrumentalnych kawałków o siedmiu zbójach na dwa akustyczne wiosła i harmonijkę i wysłaliśmy. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, byliśmy niepoprawnymi optymistami. Oczywiście nie zakwalifikowaliśmy się, trudno.

Powoli zbliżała się letnia sesja, trzeba było na moment poświęcić się równaniom różniczkowym. Zaliczyłem wszystko bez problemu, nawet kilka zeta nagrody dziekańskiej dostałem.

A zespół Total totalnie padł. Marek Ogonowski chciał grać klasycznego rocka, my chcieliśmy poszukać czegoś nowego (Marek ze swoim zespołem Vacat wystąpił w konkursie na Jarocinie 83, do dzisiaj gra na basie). Cóż, nasze drogi muzyczne się rozeszły. Nadal jednak byliśmy kolegami i razem pojechaliśmy na szalone wakacje do Anastazewa, na Pojezierzu Gnieźnieńskim. Do Gniezna dojechaliśmy nocnym pociągiem, potem trzy godziny czekaliśmy na kolejkę wąskotorową. Ostatni etap pokonaliśmy na przyczepie ciągniętej przez traktor. Potem w deszczu rozbijaliśmy namioty. Mieszkałem z Andrzejem Kazoniem, osobny namiot miał Dzidek Orzechowski ze swoją dziewczyną Basią, a obok w pojedynkę mieszkał Marek Ogonowski.

Ach, co to było za lato! Zbudowaliśmy pomost, szaleliśmy na pontonie, łowiliśmy ryby, przeżyliśmy ze dwa oberwania chmury. Mieszkaliśmy na wysokiej skarpie z widokiem na całe jezioro. Kilkaset metrów dalej stała tylko jedna przyczepa kempingowa. A poza tym nikogo. Dwa kilometry dalej zaczynała się cywilizacja. Chodziliśmy do wsi na zakupy, wystawialiśmy w kolejkach.

Brakowało chleba, cukru i przede wszystkim alkoholu. W dniu dostawy jaboli w kolejce ustawiała się cała wieś. Papierosy też znikaly w dniu dostawy. Od rolników kupowaliśmy jajka i mleko. Szczytem ekstrawagancji był dzień, w którym Basia zrobiła dla wszystkich pyszny deser, pod postacią kisielu z jabłkami. Po dwóch tygodniach wszyscy wyjechali, zostałem sam na włościach w oczekiwaniu na następny „turnus”. Za bardzo nie miałem co jeść, kasy już też nie było, dlatego braki w jadłospisie wypełniałem smażonymi grzybami.

Jak się później okazało, były to olszówki. Według jednych lokalsów były śmiertelnie trujące, według innych nic nie szkodziły. Przeżyłem, ale teraz bym raczej nie skosztował. Zamiast herbaty piłem napar z mięty, cały czas pilnowałem, żeby nie zgasło mi ognisko. Po trzech dniach czułem się jak Robinson.

Na jedną noc przyплыnęli jacyś kajakarze, wśród których rozpoznałem znajomego z dzielnicy. Świat już wtedy był mały i ciasny. Zostawili mi w prezencie kawę, papierosy, cukier i inne smakołyki. Po kolejnych dwóch dniach gdzieś pod lasem ujrzałem trzy sylwetki. To Wojtek Jacyczko, Marek Wójtowicz i Stasiu Bielas, koledzy na których czekałem. A przede

wszystkim prowiant. Znów ogniska, wspólne z Wojtkiem muzykowanie, znów kolejki w wiejskim sklepiku, kąpiele w jeziorze, wędkowanie.

Ostatniego dnia odwiedziliśmy miejscową knajpę, tam Marek pokonał wszystkich miejscowych „na rękę”, zdobywając ich wielki szacunek i miłość. Ach, te dialogi, ta chłopsko-inteligencka zażyłość.

– Kupię se kombajn, będę kombajnistą! A co! – jeden z miejscowych miał jasny i klarowny pomysł na życie.

Przyjazne uczucia trwały do czasu, gdy zabraliśmy dwie pulchne i piersiaste kelnerki na wiejską dyskotekę. Chłopcy poczuli się zdradzeni i postanowili nam spuścić łomot. Uprzedziliśmy atak i przezornie bladym świtem ewakuowaliśmy się z Anastazewa do Lubrzy, gdzie wraz z ekipą obozowała dziewczyna Marka Bogna.

Ostatnim akcentem wakacji była wizyta w Świebodzinie. Poznaliśmy tam chłopaków z miejscowego zespołu System. Grali tego roku w Jarocinie, w konkursie. Cały czas ten Jarocin pobrzmiwał gdzieś w tle. Cały czas.

Ding, ding.

Brum, brum.

Dży dży.

Drugi rok studiów był znacznie gorszy od pierwszego. Zaczęły się przedmioty bezpośrednio związane z elektrycznością: elektronika, metrologia, statystyka i inne. Oj nie miałem do nich serca, nie miałem. Nagle zdałem sobie sprawę, że zupełnie mi te studia nie odpowiadają. Może trzeba było zmienić kierunek? W październiku 1981 roku wraz z Markiem Czapelskim i Wojtkiem Jaczyczką założyliśmy zespół. Chwilowo bez nazwy. Potem znany w pewnych kręgach jako Śmierć Kliniczna.

Wojtek od brata swojej dziewczyny dostał bas, bułgarskiego Orpheusa. Szybko go opanował. Marek od czasu Totalu grał o wiele lepiej i mocniej. Sam też nieco podciągnąłem się w grze na gitarze. Poza tym w naszych uszach grało mnóstwo świeżej i nowej muzyki: punka, reggae. Brzmiała też stara muzyka: hard rock i glam.

Nie zakładaliśmy, co i jak będziemy grać. Przede wszystkim chcieliśmy tworzyć razem. Natychmiast rozpuściliśmy wici, że szukamy wokalisty. Jednocześnie szukaliśmy miejsca na próby. Mieliśmy szczęście, Marek załatwił próby w Gwarku, klubie studenckim położonym na Rynku. Kierownik Gwarka, Jurek Krzyżanowski dał nam do dyspozycji piwnicę

należącą do klubu. Największym plusem było to, że mieliśmy dwa zachodnie wzmacniacze: basowego Carlsbro Stingray, a do gitary francuskiego Selmera Lead 100. Dzieliliśmy je z zespołem Krzyśka Kobylińskiego, który grał w tym samym budynku, w MOK-u.

W tych czasach wśród garażowych kapel królowały niepodzielnie Eltrony, fatalne tranzystorowe ręce krajowej produkcji. Szczęśliwcy grali na lampowych enerdowskich Regentach. Zachodni sprzęt na pewno nam pomógł, już od pierwszych prób granie zaczynało się kleić. Rzępoliliśmy wszystko, co nam do głowy przyszło. Black Sabbath, Hendrixa, Led Zeppelin, jakieś rock'n'rolle. Wszystko, byle razem pograć. Rozgrzebaliśmy jakieś pierwsze utwory, ale z braku wokalu ich nie kończyliśmy.

Graliśmy głośno i brudno, tak by zagłuszyć hałas płynący z zewnątrz. A na zewnątrz nie działało się dobrze. Sklepy mięsne przejął koncern Nagiehaki, sklepy spożywcze wyspecjalizowały się w sprzedaży octu. Wszystko było na kartki. Jak żałośnie wyglądali dobrze ubrani ludzie, grzebiący w popielniczkach lub zbierający pety z ulicy!

Jak zawsze brakowało papieru toaletowego. Jedynie spod lady można było cokolwiek dostać. Spod lady i w Peweksach. Co chwilę wybuchały strajki, ulicami zasuwały marsze głodowe, a reżimowe media coraz mocniej trąbiły o anarchistach, warchołach i innych elementach antysocjalistycznych. Robił się coraz większy burdel i syf. Lawa kipiała.

Dwudziestego listopada na Politechnice Śląskiej wybuchł strajk. Chodziło o to, że komuchy zerwały porozumienia i mianowały swojego przydupasa rektorem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. Po kolei do strajku dołączały kolejne uczelnie. Tak naprawdę chodziło o poszanowanie autonomii i niezależność wyższych uczelni.

Poszedłem na wiec i dołączyłem do strajkujących. Tak po trochę z poczucia ludzkiej przyzwoitości, po trochę przeciw czerwonym, po trochę w imię niezależności, jakiegokolwiek. Połowa studentów poparła strajk, połowa olała i przez te wszystkie dni byczyła się na nartach, albo szlajała po knajpach. Skurwieli i konformistów zawsze jest w bród i nigdy nie zabraknie.

Z tej połowy studentów, która strajk poparła nie wszyscy uczestniczyli w nim czynnie. Ilość miejsc była ograniczona warunkami, jakie panowały na wydziałach. My, czyli ekipa z elektrycznego, spaliliśmy w sali

ćwiczeniowej, znajdowała się ona w budynku Wydziału Górnictwa, który część pomieszczeń oddał Elektrycznemu. Oprócz tego Elektryczny zajmował drugi, niezależny budynek, ale tam nikt w czasie strajku nie kiblował. Razem ze mną był Wojtek Jaczyczko (mimo, że studiował na Budowlanym), Marek Ogonowski, Andrzej Kazon, Dzidek Orzechowski. Było ciasno, smrodliwie i zimno. Spaliśmy na materacach, przykryci śpiworami i grubą warstwą koców. Przez pierwsze dni w kranach była jeszcze ciepła woda, potem zakręcili. Jedzenie było fatalne, ale nikt nie miała pretensji, ani nie strzelał fochów. Mieliliśmy nadmiar wolnego czasu: grywaliśmy w pingponga, badmintona. Chodziliśmy na projekcje filmów, na spotkania z podróżnikami, na polityczne wiece. Wiece zawsze przyciągały nawiedzonych i kosmitów, których stopień oderwania od gleby był niebezpiecznie wysoki. No tak, polityka. „Sztandary, pieśni, hasła, wyborcze obietnice”.

Sytuacja była poważna, drugiego grudnia pięć tysięcy milicjantów i antyterrorystów dowodzonych przez późniejszego członka SLD (również posła) Jerzego Dziewulskiego wtargnęło do Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa i na butach wyniosło z niej strajkujących studentów. W każdej chwili mogli do nas wjechać.

Niektórzy działacze z naszej uczelni chcieli iść na Kowno, albo z szabelkami na czołgi. Być może byli to prowokatorzy, nie wiem. Coraz rzadziej zaglądałem na wiece. Za to zagrałem na strajku pełnowymiarowy koncert. Tak, specjalnie dla naszych kolegów na jeden raz reaktywowaliśmy Total. Przyjęli nas ciepło. Wiele z tego dnia nie pamiętam, bo miałem 39 stopni gorączki i zaraz po koncercie wróciłem do barłogu.

Gdy wyzdrowiałem, z nudów zacząłem skrobać w zeszycie teksty piosenek. „Paciorek” napisałem w kilka minut, siedząc na ławce w hallu Wydziału Górniczego. Tam też poznałem Wojtka Kurdziela, który wtedy udzielał się w SZSP (Socjalistyczny Związek Studentów Polskich). Wojtka zawsze bardziej ciągnęło na lewo. Jednocześnie był członkiem Komitetu Strajkowego. To bardzo wyrazista osobowość, na dodatek dysponuje abstrakcyjnym poczuciem humoru. Dziwię się, że nie poświęcił się działalności kabaretowej, aktorskiej lub nie został zawodowym tekściarzem.

Podłe żarcie, kiepskie warunki, ostra, śnieżna zima za oknem powodowały, że z chęcią korzystaliśmy z przepustek udzielanych strajkującym. Raz na jakiś czas można było na godzinę lub dwie skoczyć do domu. Tam czekała mama z ciepłym obiadem, tam czekała wanna z ciepłą wodą.

Po drodze parę razy spotkałem niestrajkujących kolegów konformistów. Opaleni, świeżo po nartach. Oczywiście z troską zadawali pytania, jak nam się żyje na tym strajku? Czy damy radę? Pierdolone troskliwe misie.

Kilka razy odwiedził Wojtka i mnie Marek Czapelski. Ckniło nam się za granicami, oj bardzo. Aż tu nagle dotarła do nas wiadomość, że jest chętny wokalista i chce się umówić na przesłuchanie. To znajomy znajomego, Marek Rogowski. Najpierw z Wojtkiem zamawiamy przepustki, a Marek klepie termin próby, ponieważ pod naszą nieobecność sprzęt powędrował do MOK-u, gdzie ćwiczył Krzysiek Kobyliński. Jestem nakręcony jak zegarek na wystawie u jubilera. Żeby się udało, żeby coś potrafił zaśpiewać!

W dniu próby instalujemy się w MOK-u. Wyciągam z brezentowego futerału dawno nie widzianą Sambę, Marek rozstawia gary. Wojtek już rozkręca wzmacniacz. Jesteśmy przed czasem, możemy sobie trochę pojamować. Nawet nieźle nam to idzie, jak na parę tygodni przerwy. Nagle kątem oka widzę, że uchylają się drzwi i do pokoju wchodzi jakiś chłopak. Gdzie tam chłopak, jakiś dzieciak. Dobrze zbudowany i barczysty, ale zupełny dzieciak. Przerywamy granie.

– Cześć, nazywam się Jurek Mercik, przysłał mnie Marek Rogowski. Podobno szukacie wokalisty?

– A to nie Rogowski miał do nas przyjść na przesłuchanie? – jestem jak zwykle dociekliwy.

Mercik jest trochę speszony, ale w końcu odpowiada:

– No miał przyjść Rogowski... Ale coś mu wypadło... Nie wiem, dziewczyna albo coś.

Do dzisiaj nie wiem, czemu Rogal olał nas i w zastępstwie wysłał swojego kolegę. Kiedyś spytam. Najzabawniejsze, że kilka lat później, niejako w rewanżu to Mercik przyprowadzi Rogala na próbę R.A.P.-u.

– Co chcesz nam zaśpiewać? – spytałem.

– Hmm, a co gracie?

– To może powiedz, jakie zespoły lubisz, może coś podpasuje?

– Led Zeppelin, Marleya, Police ...

Chyba najbezpieczniej to Led Zeppelin? Czasem sobie przegrywaliśmy jakieś fragmenty, głównie ze względu na grę Bonhama, którą Marek Czapelski był bardzo zafascynowany. Zresztą do dziś uważam Bonhama za jednego z najlepszych i najbardziej wyrazistych rockowych perkusistów. Jego ciężki styl gry odcisnął się nie tylko na hard rocku, czy metalu.

– No dobra, „Tak wiele miłości” znasz?

– Jasne.

Młody, a taki dzoler, pomyślałem. Lekko podgłośniłem gitarę. Marek nabił i zaczęliśmy grać. Riff znacie, nie muszę Wam nucić. No i Mercik wszedł w punkt i zaczął śpiewać. Właściwie powinienem napisać „Pan Mercik”. Po kilkunastu sekundach opad mojej szczęki groził wizytą u ortodonta. Zerknąłem na miny kolegów. Oni też już wiedzieli to, co ja. Pograliśmy jeszcze chwilę, przerwałem. Mercik minę miał lekko niepewną.

– Znam jeszcze inne numery Zepów, albo...

– Dobra, wystarczy. Jesteś przyjęty.

Napięcie minęło, atmosfera zrobiła się luźniejsza. Jurek miał szesnaście lat, chodził do Jedyńki, tego samego ogólniaka, który kończyliśmy z Czyczką. Śpiewał od trzeciego roku życia. Gdy z rodzicami jechali na wakacje nad morze, mały Juruś zaczynał śpiewać piosenki Skaldów, Czerwono Czarnych, Różowo Fioletowych. I tak męczył bułę przez pięćset kilometrów. W żadnej kapeli wcześniej nie grał, raz był w Sośnicy na próbie jakiegoś zespołu kościelnego. Ale nie podpasowało mu. Chciał uczestniczyć w czymś autentycznym, być i tworzyć z ludźmi. Gadaliśmy, opowiadaliśmy o swoich muzycznych fascynacjach. Wielkich planów nie snuliśmy. Właściwie plan był jeden. Grać. Spotykać się i grać.

– A jak się nazywamy? – na koniec spytał Jurek.

– Gleba.

– Jak?!?

Czyczko i Czapelski też spojrzeli na mnie dziwnym wzrokiem.

– FMR Gleba – odparłem ze stoickim uśmiechem – Formacja Muzyki Rolnej Gleba.

Wróciliśmy na strajk. Po paru dniach odwiedził nas Mercik. Przyniósł tabliczkę czekolady, jakiś sok pomarańczowy i ser pleśniowy. Ojciec Jurka siedział na kontrakcie w Iraku i przysyłał paczki z różnymi dobrymi, niedostępnymi w kraju rzeczami. Wciągnęliśmy to wszystko w sekundę.

Bardzo chciałem być teraz w naszej piwnicy i pograć coś z Mercem. Czuję fizyczny głód, głód muzyki. A to, że Merc śpiewał tak dobrze, jeszcze bardziej mnie nakręcało. Niestety, jak się okazało przyszło mi poczekać o wiele dłużej, niż się spodziewałem.

Strajk wszystkich męczył. Słysząc to było na wiecach, wkradła się jakaś nerwowość, szczególnie po pacyfikacji Szkoły Pożarnictwa. Któregoś dnia jakiś domorosły Mahatma Gandhi wysłał nas do odśnieżania chodników przed domami milicjantów, ubeków i wojskowych. Walczyliśmy ze śniegiem gdzieś tam w okolicach ulicy Mieszka I.

Jeśli w ogóle mieszkali tam jacyś ubecy, to nasze machanie łopata na nich nie podziałało. W każdym razie nie było słysząc, by ktoś sobie strzelił w łeb albo przynajmniej do nas dołączył. Po odśnieżaniu zostaliśmy wpuszczeni w rozdawanie ulotek KPN-u na Rynku. Ni stąd, ni zowąd pojawili się tajniacy i mundurowi. Żadne ni stąd, ni zowąd, dzisiaj nikt już nie ma złudzeń co do pokaźnej ilości szpicli i donosicieli, którzy razem z nami strajkowali. Wtedy jednak nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, zadziałałem w sposób prosty i oczywisty. Uciekłem. Moi koledzy również, nikogo nie złapano.

To była sobota, kolejna sobota spędzona na strajku.

Wieczorem siedzieliśmy w hallu, graliśmy trochę w badmintona. Tak koło dziesiątej nieliczni szczęśliwcy zaczęli wracać z przepustek. Jakaś dziewczyna twierdziła, że bardzo dużo milicji kręci się na mieście. Godzinę później ktoś zaczął bąkać o czołgach jadących do miasta. Atmosfera zagęszczała się, nikt nie poszedł spać. Coś złego wisiało w powietrzu.

Organizatorzy strajku próbowali się czegoś dowiedzieć, ale o dwunastej zamilkły telefony. Część z nas pałętała się po korytarzu, część siedziała w Auli Wydziału Górniczego. Wszyscy czekaliśmy. Doczekaliśmy się.

O szóstej rano w telewizji pojawił się szef „wrony” Jaruzelski i wypowiedział nam wojnę. Za co nigdy ani on, ani jego pomagierzy nie zostali skazani. Ba, pewnie gdyby Jaruzelski nie umarł w 2014, to za parę lat zostałby beatyfikowany.

Słuchaliśmy tego przemówienia wprowadzającego stan wojenny i nie za bardzo rozumieliśmy, o co chodzi. Dlaczego? Nagle któraś z dziewczyn zaczęła szlochać. Ktoś inny zaczął krzyczeć: „Czerwone skurwysyny!”. Nie wiedzieliśmy, że za chwilę odwołają nam dziekana. Nie wiedzieliśmy, że bezprawnie mianują rektora, który będzie nadgorliwym wykonawcą

ubeckich rozkazów. Politechnika Śląska w czasie stanu wojennego była najbardziej represjonowaną uczelnią w kraju. Z pracy wywalono prawie trzysta osób, każdy wydział dostał ubeckiego opiekuna. Za roznoszenie ulotek kilkaset metrów od mojego domu „nieznani sprawcy” załukli studenta. Ba, za późniejsze noszenie opornika natychmiast wyrzucano z uczelni. Ale o tym jeszcze nie wiedzieliśmy, to dopiero miało się wydarzyć.

Po przemówieniu wszyscy udali się do auli, na wiec. Przemawiały władze uczelni, przemawiali przedstawiciele Komitetu Strajkowego. Dostaliśmy ultimatum, że do którejś tam godziny mamy zakończyć strajk i wynieść się z uczelni. Zwyciężył głos rozsądku i postanowiliśmy opuścić teren politechniki. Tuż przy Wydziale Górniczym, na którym obradowaliśmy stały czołgi. Cóż, był to jakiś argument.

Oczywiście znalazło się kilku krzykaczy (pewnie część z nich to kable i prowokatorzy), którzy usiłowali nas namówić, by przedostać się do Huty 1 Maja i tam, to my komunie damy popalić. Jasne, szczególnie, że tam się nic nie działo. Jedynie do późnego popołudnia strajkował Wydział Matematyczno-Fizyczny, ale i oni wyszli pod presją wycelowanych karabinów. Pokonani, poszliśmy spakować nasz skromny dobytek.

Po mnie przyszedł przejęty ojciec. Poszliśmy do domu, mijając żołnierzy i zomoli. Byli dla mnie jak przybysze z obcej, wrogiej planety. Na schodach przywitała mnie płacząca mama. Rodzice studiowali w latach stalinizmu, dobrze wiedzieli, do czego są zdolni komuniści. Zjadłem potrójne śniadanie i poszedłem spać. Wreszcie w swoim łóżku.

Gdy tak szedłem z ojcem w ten mroźny, skrzący się śniegiem poranek, tuż pod wymierzonymi w nas lufami czołgów wiedziałem jedno. Nigdy, nigdy nie będę zwolennikiem żadnego totalitaryzmu. Ani czerwonego, ani brunatnego, ani zielonego, ani czarnego.



Fama 83, DD, Mosiu, Marek Czapelski
fot. NN



Załoga - Maciek, DD, Paulo, Lumpaj,
fot. Wojciech Nurek



Fama 83, Wojtek Jaczyczko dyryguje, siedzą: Mercik, Czapelski, Dusza, Szafir

Załoga



Jarocin 83,
fot. Ryszard Gajewski

To jak z grzybami. Najpierw jeden, potem kilka i zanim się obejrzyysz, już pełen wysyp. Tak też było z punkami w Gliwicach.

Pierwszymi panczurami była ekipa Zbyszka z Teatru Ulicznego. Raptem kilka osób. Jednak doskonale widocznych w buroszarym tłumie. Potem mignął jakiś kolejny blond irokez, potem na Rynku zobaczyłem dwóch tak na oko czternastolatków w przydużych skórkach. Kilka razy parę osób sterczało przy piwnicznym oknie naszej sali prób, wychodzącym na plac Inwalidów. Potem pierwsi załoganci zrobili się odważniejsi. Przyłazili do piwnicy, siadali gdzieś z boku i słuchali, jak tłuczemy te swoje protest songi. Im więcej mieliśmy piosenek w repertuarze, tym ekipa robiła się bardziej liczna. Wszyscy podlegaliśmy metamorfozie. Jak motyl lęgący się z poczwarki...

Trochę ta metafora nie pasuje, zmiany szły w kierunku brzydoty, a nie piękna. Proszę, Mosiu, czyli Tomek Baran, spójrzcie na niego. Jeszcze wczoraj miał taką elegancką grzywkę, na prawy boczek. A dziś? Pióra potargane, nastroszone, postawione jak husarskie skrzydła. Jeszcze wczoraj nosił gustowną kurtkę z Peweksu, a teraz? Szok! Ma na sobie powycieraną, skórzaną ramoneskę. Do tego na lewej ręce nabijaną grubymi ćwiekami pieśczoche. Takim metamorfozom podlegała większość ekipy.

Najpierw zmieniali fryzury, potem ciuchy. Na końcu pojawiały się dodatki z mniejszą lub większą ilością nitów. Oprócz Mosia do załogi dołączyli inni kumple z dzielnicy: Tomek Płonka, Jacek Kwiatkowski, Piotrek Węglarski. Po Rynku grasował Łysy i Szatan. Na próbach zaczął pojawiać się Mały Jasiu, który co pewien czas przynosił nam jakieś czekolady i inne smakołyki. Wpadał Paulo i Sołtys, Oleś, Zgniły, Terleś, potem Lumpaj i Arek Nawiedzony, Rafał Rejman z Gosią. Często na próbach towarzyszyła nam Mysza. Były też inne dziewczyny: Ola, Selena, Magda Okoń, Rastamanki. Było ich mało, jak to zazwyczaj w punkowych załogach bywa. Selena przepisywała mi teksty na maszynie do pisania, z kolei dzięki Oli załapałem się na dobrą opiekę dentystyczną. Czasem gliwickie koleżanki pojawiały się na naszych koncertach w Polsce, czy to w Jarocinie czy na Famie.

Na Rynku zbierała się również ekipa Acana, który włączył się z Piotrkim Nowickim, Generałem, Poldkiem i wieloma innymi. Na wiosnę 83 załoga była na tyle duża, że przestałem ją ogarniać i nie wszystkich znałem z imienia czy też ksywy. Na próby wpadali też kolesie z Zabrze,

Bytomia czy Katowic. Niektórzy, tak jak Urko z Raciborza co tydzień wbijali na giełdy płytowe. Na koncerty przyjeżdżały ekipy z całego południa, od Wrocławia aż po Kraków. Na festiwalach z kolei poznawało się koleśki z Pomorza czy wschodniej Polski.

Gliwicka załoga głównie przebywała na Rynku, a jak się coś działo, to w klubie Gwarek. Do kanonu należało przesiadywanie w Trojaku, albo chodzenie na piwo do Hetmana. Sprawność fizyczną zapewniały liczne gliwickie żule: zarówno te niezrzeszone, jak i te zatrudnione w milicji, które co jakiś czas ganiały załogantów po Rynku i okolicznych uliczkach. W wolnych chwilach wpadało się do Paula, by posłuchać muzyki. Czasem całą ekipą szliśmy do kina, budząc wyglądem i zachowaniem postrach wśród praworządnych obywateli. Od czasu do czasu spotykaliśmy się na domówkach. Albo imprezowaliśmy po koncertach.

Gdy plakaty ze Śmiercią pojawiły się w dwóch gazetach, zaczęło na adres Gwarka napływać mnóstwo korespondencji. Niektórzy dzielili się z nami swoimi problemami w szkole, w domu, na ulicy. Inni chcieli, byśmy podzielili się z nimi. Ubraniami, skórą, piśmiennictwami.

Kilku punków (sic!) pisało, czy nie moglibyśmy im kupić adidasów. Oczywiście oryginalnych.

Dostawaliśmy też wiele pytań o plany koncertowe. Najwięcej było listów wspierających naszą muzykę i zachęcających do dalszego grania.

W pewnym momencie już nie wyrabiałem czasowo z odpisywaniem. Poprosiłem Myszę, żeby odpowiadała w naszym imieniu na te wszystkie prośby o prezenty, adidas. Mysza czyli Jola była jedną z naszych najwierniejszych fanek. Doskonale radziła sobie jako nasz rzecznik.

Na poważniejsze listy odpisywaliśmy sami.

Jednak najbardziej intrygujący list przyszedł do mnie po opublikowaniu w tygodniku „Radar” mojego opowiadania. List był zaadresowany: Darek Dusza, Polska. I jakimś cudem doszedł!

Gliwicka ekipa była bardzo porządna. Nie było w niej żadnych agresywnych świrów, nie słyszałem, by kogokolwiek skroili, czy komuś spuścili ostre łomot. Miłośników butaprenu czy innych niestandardowych używek też w niej nie było. Wszystkich łączyła muza, a duża ilość koncertów w Gwarku (potem dodatkowo w klubie Program) bardzo te więzi cementowała. Wszyscy przejawiali bunt i niechęć do zastanego świata: szkoły, pracy, szarej, pełnej beznadziei rzeczywistości. Wszyscy

nienawidzili komuny, ale pewnie większość tak samo nie kochałaby innego ustroju.

Jak widać, pomimo zmiany opakowania z socjalistycznego na kapitalistyczne punki nie umarły. Za to polski punk zmienił się bardzo od tamtych czasów. Tak jak na Zachodzie mocno odcisnęły się na nim hasła i ideały hippisowskiej rewolucji lat 60. Mocno ukształtowały go lata dziewięćdziesiąte, gdy punki toczyły regularną wojnę z łysymi bandytami. Zresztą i w latach osiemdziesiątych sielanka nie trwała długo. Zaczęło się krojenie sezonów, jakieś regionalne antagonizmy. Potem niektórzy ogolili łby na zero i zaczęli pracować z irokezami czy dreadami.

Podobnie było w Gliwicach, tylko ja już w tym nie uczestniczyłem. Nasza załoga przetrwała jakieś trzy, cztery lata. Potem zaczęła się wykruszać. Powodów było kilka.

Część ekipy poszła do woja, a po wyjściu od razu wskoczyli w tzw. dorosłe życie. Z przykrością odebrałem, że kilku poszło do milicji. Część zakochała się lub ożeniła, co również skutecznie wyeliminowało ich z ekipy. Kilku poszło w reggae, kilku w ogóle przestało słuchać muzyki. Niektórych drażnił fakt, że w latach 83-86 punk stał się modny. Innych zraziło obciachowe punko polo. Każdy miał swoje powody.

Czemu ja sobie poszedłem precz? Już w Absurdzie śpiewaliśmy: „Tłum, tłum, szara masa, tłum, tłum przyszedł tu pohasać, tłum, tłum pozoranci”. Punk przestawał być otwarty na łączenie z innymi stylami. Stawał się jednorodny, wszystkie zespoły starały się grać jak najszybciej to swoje umpapapa. Byleby dało się poszaleć w pogo. Im dalej od rock’n’rolla, tym bliżej do metalu, którego miłośnikiem nigdy nie byłem. Paski i pieszczochy wylądowały na dnie szafy.

Z tej starej załogi do dnia dzisiejszego dotrwało raptem kilka osób, które nadal słuchają punk rocka i czasem przychodzą na imprezy. W 2014 w Katowicach w Mega grało „Ruts DC”. Było pusto, jakieś trzydzieści osób, w tym kilku starych załogantów z Gliwic: Acan i Poldek. Sam koncert zresztą genialny. Jak dobrze było posłuchać „Babylon is burning” i innych kawałków. Trzydzieści parę lat temu grałem je na próbach ze Śmiercią Klinikzną.

Jak to było być punkiem w tamtych czasach?

No, jak?

Chcielibyście spróbować? Przeniesiemy się w czasie?

Rok 1983. Wracam z klubu, do domu mam około półtora kilometra. Już na Rynku zatrzymuje mnie pierwszy patrol.

– Dokumenty – warczy wyższy. Rangą i wzrostem.

Wyjmuję dowód i legitymację studencką. Parę lat później, gdy już nie będę studentem, zamiast legitymacji wyjmowałem zaświadczenie z klubu: „Zaświadcza się, że obywatel Dariusz Dusza jest członkiem zespołu muzycznego Absurd, grającego w klubie Gwarek”.

W latach osiemdziesiątych władza ludowa goniła bumelantów i polowała na niebieskie ptaki. Nie tolerowała ludzi, którzy nie pracowali. Nie było bezrobocia, był obowiązek pracy. Dlatego trzeba było mieć jakąkolwiek podkładkę, bo inaczej można było wylądować na dołku.

Wychodzę z Rynku, przeszedłem gdzieś ze sto metrów. Następny patrol.

– Dokumenty proszę!

O, cywilizowani jacyś, znają wyraz „proszę”. Następni nie znali, za to dobrze operowali słowem „chuj”. Znaczą się, że ja. Ostatni patrol wylegitymował mnie przed domem. Pokazałem dokumenty po raz osiemnasty.

To był stały fragment gry. Bywały trochę mocniejsze momenty, gdy czterech nawalonych zomoli za włosy wywlekło mnie z klubu. Teoretycznie klub, jako teren uczelni był eksterytorialny i nawet milicji nie wolno było wchodzić, ale wiadomo, że teoria z praktyką rzadko się widują.

Wywlekli mnie za pióra, ustawili pod ścianą w korytarzu. Miałem na szyi dość gruby łańcuch, z kłódką. Taki Sid Vicious z Pierdzimajtek, ale wtedy mi się ta ozdoba podobała. Jeden chwycił za ten łańcuch i z całej siły pociągnął. Złamałby mi kark, jebany, gdyby jakimś cudem ten łańcuch nie pękł. Na szczęście z klubu wyszli ludzie i stanęli wokół nas, obronili.

Psy odpuściły, nie lubili świadków.

Raz na jakiś czas takie przygody się zdarzały. Chociaż uczciwie muszę przyznać, że ani razu pałą nie dostałem. Miałem farta. Za to moi koledzy obrywali regularnie. Kiedyś staliśmy z Lumpajem na Rynku, akurat jakaś manifestacja czy inne dymy się odbywały. Nagle szast, prast, a Lumpaja już prowadzą do suki. Schowałem się w klubie, wrócił po godzinie z sinymi plecami. Za to dużo wyniósł z tego spotkania. Gdy go prali, to najstarszy stopniem miał w ręku broszurę, z której czytał:

– ...punki i inne elementy antysocjalistyczne...

I bęc!

I łup!

Lumpaja w ogóle lubili zwijać, taką miał urodę. Dziwnie, bo przecież był synem milicjanta. Raz to go nawet zawinęli na dołek, na którym pracował ojciec. Byliśmy z Mosiem na rybach na Czechowicach, takich bajorach pod Gliwicami. Nagle słyszemy, jak przez las zasuwa stado dzików. To nie były dziki, to kilku załogantów z Gliwic nudziło się i postanowiło nam dotrzymać towarzystwa. Wędkarze, łowiący w pobliżu bardzo szybko się ewakuowali. Pod wieczór radośnie wracaliśmy niebieskim pekaesowskim ogórkiem. Podjeżdżamy na dworzec, a tam już czterech stoi. I pac, Lumpaja za papę i ciągną w kierunku komisariatu dworcowego. A tam tatele...

Podróże zawsze wiązały się z przygodami. Do dzisiaj nie lubię dworców kolejowych. Nie tylko przez ich smutek i powietrze ciężkie od rozstań.

Jedziemy sobie ruchomymi schodami na peron na Dworcu Centralnym w Warszawie. Śmierć Kliniczna w komplecie i swojej punkowej krasie. Torby, gitary, wracamy ze studia nagraniowego. Za dziesięć minut odjeżdża nasz pociąg. My jedziemy schodami w dół, a w górę przesuwa się grupa ludzi. Widzę wśród nich dwóch gliniarzy w połowych mundurach.

– Stać, zatrzymać się! – krzyczy jeden z nich.

„Jak się kurwa mam zatrzymać na ruchomych schodach, debilu?” myślę sobie. Zjeżdżamy na dół, a oni po chwili stają przy nas.

– Idziecie z nami.

Obciach jak fiks. Idziesz ze zwieszoną głową, a wszyscy się przyglądają. Tak, tak jak to śpiewała Rejestracja: „Idzie wariat ulicą”. Peronem, nie ulicą. Dziewczyny się przyglądają, matki z dzieckiem na rękę, dworcowi giganci. Wszyscy się na Ciebie gapią, widać, że wydali już wyrok. Winny! Wchodzimy na dołek, zamykają kratę. Jakim nożem, komu groziliśmy? Przeszukują nasze ciuchy, nic nie znajdują. Wchodzi dwóch, jeden w mundurze, drugi chyba tajniak albo konfident. Ten drugi przygląda się nam uważnie:

– Nie, to na pewno nie oni.

Po dwóch godzinach wypuszczają nas. Pociąg oczywiście odjechał.

Nie znałeś dnia ani godziny. Państwo naprawdę się o nas troszczyło. Przekonał się o tym Tomek Płonka. Stoimy pod moimi oknami, wszyscy czterej w skórach, coś tam rozmawiamy, śmiejemy się. Obok przechodzi jakiś facet, nagle podlatuje do nas, wyjmuje milicyjną legitymację i startuje do Płoncika.

– Pójdiesz ze mną na komisariat, cwaniaku jebany – miota się kolo.

Próbuję coś załagodzić, uspokoić, mediować. Gdzie tam! Koleś sobie ubzdurał, że Tomek się z niego nabijał. Jak śmiał! Nabijać się z władzy ludowej! Zabrał biednego Płoncika na dołek. Na szczęście mój ojciec uczył któregoś z gliniarzy z tego komisariatu i po godzinie udało się kolegę uwolnić. Zresztą już wcześniej debiutowałem w roli adwokata wyzwalającego punka z milicyjnych kazamatów. Ło! zabrzmiało grubo, prawda? Było to w Cieszynie, gdzie po koncercie ze Śmiercią Klinikzną, oddaliśmy się hucznym i nieobyčajnym zabawom. Noc była długa jak rockowa suita, sen za to krótki jak punkowy kawałek. Rano wstaliśmy, jeszcze lekko rozbawieni i nagle mnie olśniło:

– A gdzie jest Mosiu? – spytałem

– No, przecież mówiliśmy Ci wczoraj, że go zwinęli na dołek.

W ferworze walki, gdzieś umknął mi ten drobny szczegół. Ale teraz zacząłem się martwić o zapuszkowanego kolegę.

– Słuchajcie, idziemy, musimy go uwolnić!

Ruszyliśmy wesołą i barwną kompanią, wzbudzając sensację w mieście Cieszynie. Maszerowałem dziarsko w swoich różowych spodniach, czarnej skórze i oficerkach. Za mną wesołym halsem płynął menadzer Wojtek Kurdziel i reszta półżywych członków Śmierci Klinikznej. W końcu dotarliśmy pod gmach cieszyńskiej komendy. Dalej poszliśmy z Kurdzielem we dwóch. Otworzyłem ciężkie drewniane drzwi, po prawej stronie była dyżurka. Zapukałem w okienko.

Dyżurny o mało nie zakrztusił się na mój widok kawą.

– Słucham? – zabalgotał.

– Przyszliśmy po Mosia! – odpowiedziałem mu w rewolucyjnym tonie.

– Kogo?

– Wczoraj panowie zatrzymali naszego kolegę i chcieliśmy...

Kurdzio był bardziej konkretny.

– A tego, poczekajcie – odszedł od okienka i podniósł słuchawkę.

– Pokój nr 210, proszę – nacisnął guzik i weszliśmy przez stalową kratę na schody. Niepewnie zapukałem do drzwi. W środku siedział milicjant, na nasz widok uśmiechnął się szeroko. Wskazał dwa krzesła:

– Proszę siadać. Kawy? Pewnie przyda się z rana?

Skinęliśmy obaj głową.

Wojtek od razu przeszedł do sedna.

– Przepraszam, ale o co właściwie kolega Mosiu jest oskarżony?

– Oskarżony? Nie jest oskarżony, tylko zatrzymany za brak dokumentów w strefie granicznej. Czy Panowie mogą potwierdzić jego tożsamość?

– No pewnie – dziarsko zapewniłem. Nazwisko owszem znałem, gorzej było z adresem.

– No na Moniuszki mieszka, naprzeciwno, na drugim piętrze. Jaki numer? Ach, skąd ja mam wiedzieć?

Facet w końcu się poddał. Przyprawdzili Mosia. Wyspanego, umytego, najedzonego. Spojrzał na nas, ofiary gorączki ostatniej nocy, pokiwał głową:

– Kiepsko wyglądacie, kiepsko.

Na pewno milicja miała wielkie zasługi w utrzymaniu jedności wśród punków w tamtych latach. Wróg był jeden, łatwo rozpoznawalny, no chyba, że po cywilu. Chociaż łatwo można było tych smutnych panów poznać po zamiłowaniu do skórzanych marynarek i po wypielegnowanych wąsiskach model „Janusz 85”.

Wszedłem z dziewczyną do restauracji w kaliskim hotelu „Prosna”. Spaliśmy tam w trakcie festiwalu w Jarocinie. Wszystkie stoliki jak na złość zajęte. Przy jednym zauważyłem dwa wolne miejsca. Podszedłem, przy stoliku siedziało dwóch trzydziestolatków. Zgodzili się, żebyśmy się dosiedli. Rozpijali połówkę.

– Może po maluchu? – zaproponował jeden z gości.

– Nie, nie dziękuję – odmówiłem.

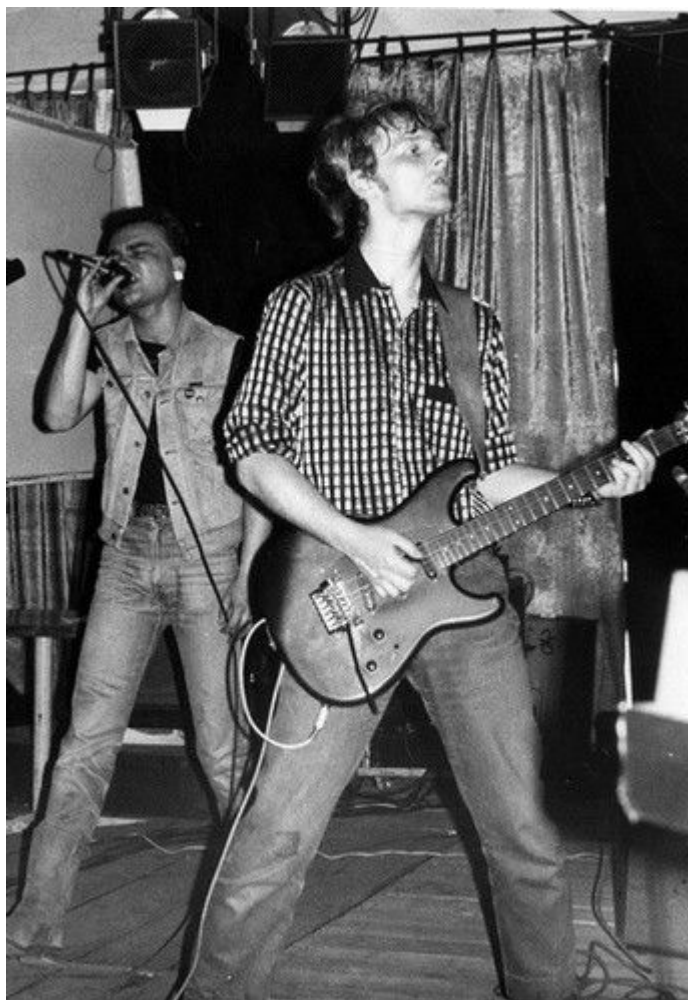
Gadali o czymś zupełnie obojętnym, ja też z dziewczyną dyskutowałem o jakichś pierdołach. Dokończyli flaszkę, zawołali kelnerkę, zapłacili.

– No to panie Darku, do zobaczenia w Katowicach – nachylił się nade mną jeden z nich – Wie pan, jakby pan miał jakieś kłopoty, to my tam przy bocznym wejściu będziemy. W takim oliwkowym polonezie. Do zobaczenia.

Nogi lekko mi się ugięły. Faktycznie, następny koncert miałem z Shakin’ Dudi w Katowicach. Znali moje imię, kojarzyli zespół, wiedzieli gdzie mamy następny koncert. Ci smutni panowie wyraźnie kochali rock’n’rolla.

Inni ich koledzy nie zawsze. Na Rock Arenie dowalił się do mnie jakiś psychol po cywilnemu, w towarzystwie dwóch mundurowych. Usiłowali mnie wywlec z restauracji, na nic się zdało pokazywanie identyfikatora. Nie interesowało ich, czy jestem czy nie jestem przepraszam za wyrażenie

„artystą”. Interesował ich mój wygląd. Na szczęście interweniowali koledzy muzycy i prawie siłą odbili mnie z rąk tych gnojków.



Absurd, Akant (1986),
fot.NN

Właśnie, od pewnego czasu widzę wysyp różnych muzyków, rzekomo represjonowanych przez system. Czytam wywiady, w których cytowane są teksty piosenek z tamtych lat. Piosenek, które po tysiąc razy były emitowane w telewizji. Utworów, które rozbrzmiewały od Opola po Kołobrzeg. I dopiero teraz dowiedziałem się, o czym są te piosenki! Teraz poznaję ich drugie dno, teraz bielmo spadło z oczu moich. Te wszystkie hity lat osiemdziesiątych to były kryptorewolucyjne protest songi! Dzięki nim runęła komuna. Gdyby nie kilku bohaterów (nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu) z głównego nurtu, nadal tkwilibyśmy w komunie. Ba, może

nawet w feudalizmie. Rockmani wyklęci, w okopach orbisowskich hoteli. Zamiast butelek z benzyną dzielnie dzierżyliście butelki z wódką. Na barykadach list przebojów niszczyliście komunę.

Tak naprawdę, to smuteczek panowie rockmeni, kurwa smuteczek. To dzieciaki jeździły na Rock Arenę czy Rockowisko i tam dostawały wpierdol od zomowców, żuli i innej hołoty. Za wygląd, za fryzurę, za całokształt. Dzieciaki, nie muzycy, którzy w większości śpiewali o dupie Maryni, albo o innych dupach.

Na Famie w 85 roku grałem z Absurdem w doborowym towarzystwie Armii, Moskwy, Madame i Izraela. Koncert przyciągnął tysiące punków. Już kilka dni wcześniej zaczęły zjeżdżać załogi z całej Polski. Z Gliwic też przyjechała ekipa: był Kwiatek, był Oleś.

Na dwa dni przed koncertem w Świnoujściu pojawiły się setki milicjantów. Zablokowali przeprawę promową i nie wpuszczali punków do miasta. Jednocześnie urządzali regularne łapanki: na mieście, na plaży. Zawijali załogantów i wywozili za miasto, a część lądowała na dołku. To naprawdę przypominało film wojenny z czasów okupacji.

W Świnoujściu na wakacjach wypoczywała moja mama. Bardzo chciała przyjść na koncert. Jednak przy tej ogólnej zadymie wolałem, żeby zrezygnowała z tego pomysłu i przysłała na próbę.

No i wmaszerowała do amfiteatru, nienagannie ubrana, umalowana, prosto od fryzjera. Elegancka jak zwykle. Podeszła do mnie zdecydowanym krokiem, stałem z jakąś ekipą panczurów z irokezami, od których na kilometr waliło jabołem i butaprenem. Mama przywitała się, uśmiechnęła i wyciągnęła w ich kierunku torebkę z truskawkami:

– Proszę bardzo, dzieci, częstujcie się!

Lata w zawodzie nauczycielskim, lata!

Po próbie odstawiłem mamę, zbliżał się koncert. Polowanie na punków trwało. Część ekipy się wycwaniła i chodziła w kilkudziesięciu. Wtedy milicjanci nie byli już tak skorzy do interwencji, woleli wyłapywać pojedynczych załogantów. Koncert był świetny, atmosfera oblężonej twierdzy z pewnością zmobilizowała wszystkie kapele do grania.

A potem zaczął się Armageddon. Łapanka, regularna łapanka!

Samochodem pojechaliśmy do festiwalowego klubu. Po takim koncercie należała się skromna impreza. Tymczasem cały czas na mieście trwała gonitwa. Miałem nadzieję, że koło drugiej w nocy sytuacja się uspokoi

i wszystko przycichnie. Naiwny! Gdy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem pochowanych po bramach gliniarzy czających się na nieświadome ofiary. Hmm, jak tu dostać się do domu?

Cięcie! „Świnoujście is burning, scena 135”

Pod klub festiwalowy z piskiem opon zajeżdża kremowy samochód. Samochód marki Trabant.

Kierowca uchyla drzwi. Jednocześnie uchylają się drzwi od klubu i wybiegają z nich dwie postaci. Błyskawicznie znikają we wnętrzu samochodu. Tuż obok stoi zdezorientowany milicjant. Bezradnie ogląda się na tkwiących w bramie kolegów. Trabant odjeżdża z piskiem opon.

Cięcie!

W taki sposób razem z moją dziewczyną Ewą wydostaliśmy się z klubu. Jakiś dobry człowiek, widząc co się dzieje, zaproponował nam podwózkę. Filmową. A polowanie trwało dwa dni. Potem odpuścili. Jeszcze tylko trzeba było uważać na lokalną żulere.

Tak, coraz trudniej o takie rozrywki. Chociaż łomot policyjną pałą boli tak samo jak milicyjną. Za wygląd też można zebrać. Za koszulkę. Za naszywkę. Czasy się zmieniają? Trochę tak. Dzisiaj załoga spotyka się na fejsbuku. Na szczęście te wirtualne znajomości często przeradzają się w realne przyjaźnie. Ludzie spotykają się na żywo, przyjeżdżają na koncerty i festiwale. Tak, internet to nie samo zło, ma też jaśniejsze strony. Wśród fejsowych znajomych znów mam kilkanaście osób z tamtych lat. Jest Paulo, Sołtys, Magda, Mariusz, Mysza, Płoncik, Zbyszek z Teatru Ulicznego.

Część wyjechała za granicę, część wyniosła się z Gliwic.

Paru nadal wpada na moje koncerty.



Kołobrzeg, Rock nad Bałtykiem (1984),
fot. NN

sklece
Jana Duda

EDUKACJA

- Mysleć nam nie kazano
Do szkoły nas zapicano
Nas przyswilić wynuszcany
- Ref. Błaskaja, kopalcaja
Czy tak chcemy czy nie chcemy
Na pamięć wszystko uleamy
Pon profesor tak to lubi
- Ref. ...
Nie myślij nic od siebie
Bo sabisz nas dyrektor
Dyscyplina i porządek.
- Ref. ...
Wikt nie wierzy w to co słyszy
Kiedy głowę potakuje
Bo na stopnie to rzucaje.
- Ref. ...
Raz na tyścion mamy składki
Kopaczym panion kwiśki
By podwyższyć sprężenie.
- Ref. ...
Stare bajki wysuszczone
Profesorki pomyłone
Do głów kopaczą nam kładą
- Ref. ...
Nad szkołą napis widnieje
Szkoła uczy wychowuje
Potem durnie wyrastają
- Ref. ...
Kto podliże cię roztropnie
Ten obrzyma łopate stopnie
Tak do końca życia będniesz.
- Ref. ...



Edkucy

- 2 -

Jakże ma być - dyplomatę
Ma oko u dyrektora
Pewnie studentów zastanie.

Ref. Młokoja, kapłania

Cheśmy wiedzieć coś o życiu
Lecz profesor się z nam śmieje
Młodzień darze i młodzieje

Ref. ...

Namy mózgi potrząsnione
Przez te lekko podziemne
Wydzierają nam świadomość.

Ref. ...

W szkole ostrój niewolniczy
W szkole bezobrogowa życie
Taką szkołą w nosie mamy.

OKREŚLONY LITAN KONTRAKT
Polski i Nihilistyczny
M. w. R. 1.
Złoty 100.000

R



Śmierć Kliniczna, Gliwice (1984) Czapelski, Jaczyczko, Dusza, Szafir
fot. Maciej Zamorski

Rozdział 4

Pierwsze dni po strajku były nerwowe i niespokojne. Krążyły jakieś pogłoski, plotki, telefony nie działały. No i w niedzielę, trzynastego grudnia nie było Teleranka.

W poniedziałek poszedłem do dentystki. Tam usłyszałem o strajkujących górnikach. Uczelnia była zamknięta, tak samo zamknęli i opieczętowali klub studencki Gwarek. Dodatkową atrakcją była godzina milicyjna. Przez całą młodość ja i moi rówieśnicy byliśmy karmieni literaturą i filmami o drugiej wojnie światowej, dlatego godzina milicyjna kojarzyła nam się jednoznacznie z okupacją. Szesnastego grudnia okupanci zabili dziewięciu górników w kopalni Wujek. W styczniu wznowiono zajęcia na uczelni. Wróciliśmy, lecz nic już nigdy nie było takie samo. Paru wykładowców zniknęło, pojawiło się paru nowych o których szeptano, że kablują. Zaczął się karnawał szpicli. Sprawdzano, czy studenci nie opuszczają zajęć. Wielokrotnie tajniacy legitymowali nas w kawiarni Gondola, a potem weryfikowali, czy nie uciekliśmy z zajęć. Gdyby nas złapali, to relegowano by nas z uczelni i mielibyśmy niepowtarzalną szansę na zrobienie kariery w wojskowej jednostce specjalnej w Orzyszu.

Wiosną o mało tak się nie stało, gdy dwóch tajniaków dorwało nas w parku. Fakt, odpuściliśmy sobie jakieś smętne zajęcia na korzyść degustacji wina marki wino. Dodatkowo jeden z kolegów miał wpięty w sweter opornik. Po długich negocjacjach puścili nas. Ale z parku wyszliśmy na miękkich nogach. Ten Orzysz w ogóle mnie nie pociągał.

Przeszła sesja, rozpoczął się następny semestr. Czekałem. Czekał Wojtek Jaczyczko. Czekał Marek Czapelski. Czekał Jurek Mercik. Aż wreszcie w marcu dostaliśmy cynk, że już można, że już otwierają. Drżącymi rękami zdierałem papierowe taśmy, pokryte pieczęciami. Drzwi do naszej piwnicy radośnie zaskrzypiały na przywitanie. Wreszcie! Wreszcie mogliśmy grać! Nieważna komuna, Jaruzel i jego mafia, nieważni szpicle, konfidenci kręcący się wkoło. My znów mogliśmy grać!

Mogliśmy zrobić pierwszą, pełnowymiarową próbę z wokalistą. Wbrew demonom stanu wojennego, wbrew marazmowi, wbrew utraconym nadziejom, marzec 82 roku był dla naszej czwórki najpiękniejszym

z miesiący. Dosłownie rzuciliśmy się na muzykę. Pożeraliśmy ją, trawiliśmy i wypluwaliśmy.

Spotykaliśmy się praktycznie sześć razy w tygodniu. Sześć razy po cztery godziny. Piwnica była naszym drugim domem. Zresztą, nawet gdy nie było próby to i tak czas spędzałem w klubie. Czasem była to jakaś impreza, czasem dyskoteka, na której Jurek Raczek puszczał The Specials czy też B-52's, a gdy nas dostrzegł to i Sex Pistols zawyło. Rano chodziłem na zajęcia na uczelnię, potem szybki obiad w domu i gnałem do Gwarka.

Lubiłem czasem przyjść wcześniej. Usiąść w piwnicy, popatrzeć na bębny i wzmacniacze, potem odpalić wiosło i szukać kombinacji akordów albo riffów. Teksty natomiast pisałem w domu. Nie czułem się wtedy tekściarzem, dlatego ucieszyło mnie, że znajomy ze strajku, Wojtek Kurdziel też nam coś napisze. Mieliśmy mnóstwo rozgrzebanych utworów i potrzebowaliśmy tekstów. Na strajku napisałem „Paciorek”, następnym tekstem był „Sadysta”. To były jedne z pierwszych utworów, które opracowaliśmy. W pisaniu tekstu „Sadysty” chciał mnie wyręczyć Jurek Mercik. Przed którąś próbą z dumą wyjął zeszytik i pukając palcem w kartkę powiedział:

– Wiesz, mam taki tekst do tego nowego utworu.

Wziąłem zeszyt, zacząłem czytać.

„W czerni widzę światełka, mknącego pociągu w nieznane, przez czarne okularów mych szkiełka, miłość jest tylko omamem...”

Kurwa, czym? Chyba Onanem!

Użycie słowa miłość w piosence przyprawiało mnie o mdłości i dyskwalifikowało każdego tekściarza. Zagotowałem się, z uszu poszła para, a z oczu wyładowania elektryczne. Biedny Merc, chyba już zrozumiał, że życie ze mną nie będzie sielanką. Wcale

Nie twierdę, że tekst do „Sadysty”, który ostatecznie spłodziłem był o wiele lepszy. Ale nie było tego hippisowskiego miauczenia o miłości. Za to po latach z dużą przyjemnością gram teksty Merca, który wśród swoich stu milionów talentów posiadał także sprawność druha tekściarza. Swoją drogą słowo „miłość” w nich na szczęście nie występuje. Wojtek Kurdziel przyniósł za to tekst do „Marihuany” chwilę później swoje najgenialniejsze dzieło „W potylicę”. Potem naskrobałem „Mój pierwszy pogrzeb”, Wojtek z kolei „Zarąbałem Cię siekierą”. Dwa świetne teksty napisał potem Marek Czapelski – „Brzemienny cmentarz” i „Nie przeprasza”.

Oczywiście zdarzały nam się drobne spadki formy, takie jak Wojtkowe „Parasolki” czy też różne moje gnioty. Przez moment graliśmy jakiś numer, do którego Wojtek sklecił tekst w esperanto czy też po łacinie.

Nieźle mieliśmy jazdy. Graliśmy też jakiś mój debilny tekst, który Merc śpiewał głosem Jerzego Połomskiego (wtedy popularnego piosenkarza). W ogóle Merc umiał podrabiać głosy i czasem na próbach parodiowaliśmy „gwiazdy” polskiego rocka. Ubaw był po pachy, szczególnie, że kilku czołowych wokalistów było (przepraszam, nadal jest) parodią samą w sobie. Lubiliśmy też grać utwory Rutsów, do dzisiaj mam ciary, gdy słucham tych piosenek. W ogóle się nie starzeją.

Tworzony przez nas repertuar delikatnie mówiąc był „eklektyczny”. Większość utworów mieściła się w kanonie punka i nowej fali, ale kilka wyraźnie odstawało. Nie kopiowaliśmy żadnych zachodnich kapel, staraliśmy się grać to, co nam przyszło do głowy. Nawet, jeśli było czasem z zupełnie innej bajki. Nie było w nas żadnej premedytacji, żadnego myślenia, by robić piosenki, które mogą się komuś spodobać. Nadal tak postępuję, szanuję słuchaczy, ale robię to, co w danym momencie mi się podoba. Wtedy każdy z nas miał trochę inne fascynacje, jednak wybieraliśmy ich wspólny obszar i w nim się poruszaliśmy. Ta różnorodność była naszą siłą. Efekty było słyszeć. Z dnia na dzień graliśmy lepiej. Stawaliśmy się zespołem.

Powoli zbliżał się czas, by nasze wypociny ujrzały światło dzienne. Na próby często wpadali znajomi i nieznajomi załoganci, ale chcieliśmy jak najszybciej zagrać koncert. Prawdziwy koncert.

Debiut miał miejsce w okolicach 20 maja na podwórzu klubu Gwarek (tuż nad naszą piwnicą). Oprócz nas występował Street Krzyśka Kobylińskiego i zabrzańskie Bez Szefa. Występowaliśmy pod nazwą Uśmiech Modliszki, albo Diesel, wersje są różne, a żadnych materiałów archiwalnych nie znalazłem. Nagrań też nie ma. Szkoda.

Szkoda, bo koncert był dobry, a nawet bardzo dobry. Intensywne próby sprawiły, że moc była z nami. Widziałem zdziwione twarze ludzi z Gwarka, czy muzyków z innych kapel. Spodziewali się raczej katastrofy, a nie dynamicznego, punkowego koncertu. Merc zabił słuchaczy swoim wokalem, my też daliśmy z siebie wszystko.

Jedynym zgrzytem były problemy Marka z perkusją. Walił w nią tak mocno, że jeździła po całej scenie. Marek miał potężne uderzenie stopą,

grał nią bardzo gęsto i dlatego jego centrala lubiła odjeżdżać do przodu. Cóż, taki wtedy mieliśmy sprzęt. Graliśmy utwór za utworem, bez zbędnych gadek i pauz. Wybrzmiewał jeden, Marek na hi hacie nabijał następny. Nigdy nie lubiłem długich przerw pomiędzy utworami. Ani gadek wokalistów, którzy albo mizdrzą się do publiki albo sprzedają swoje mętne przemyślenia. Robotnicy do łopat, studenci do nauki, a wokaliści do wokalu! Do dzisiaj tak mi zostało. Ma być jak u Ramonesów. Kończy się utwór i natychmiast: odin, dwa, tri, cztery!

To po tym koncercie Mercik został ochrzczony przez Wojtkę Dobkiewicza ksywą „Mercedes”. Wojtek pracował w Gwarku, głównie zajmował się nagłośnieniem, z czasem dorobił się też swojej aparatury. Nagłaśniał wiele naszych późniejszych koncertów, jeździł z nami po Polsce. Razem z Jackiem Kowalskim i Andrzejem Kazoniem nagrywali nasze demówki. Po tym koncercie zaproponowałem nazwę, którą wszyscy członkowie zespołu zaaprobowali. Precz z jakimiś bzdurnymi Dieslami czy Uśmiechami Modliszki.

Nazywamy się Śmierć Kliniczna!

Swoją drogą, gdy dobrze przyjrzyście się filmowi o Jarocinie 82 to zobaczycie tam ludzi w koszulkach Uśmiechu Modliszki.

Koszulek z nową nazwą nie zrobiliśmy. Debiutancki koncert nas wzmocnił i dodał pewności. Zmobilizował też do dalszej pracy, nadal mieliśmy mnóstwo utworów, które wymagały doszlifowania. Próby, próby, próby. Nadszedł też czas na pierwsze demo. Nagrania robiliśmy w Gwarku, w dużej sali. Jednak trzeba było zmniejszyć przesłuchy pomiędzy instrumentami. W tym celu ustawialiśmy rzędy stołów i czerwonych foteli z dermy, tworząc przesłonę dla poszczególnych instrumentów. Za gałkami siedział Wojtek Dobkiewicz, nagrywaliśmy na szpulowy magnetofon. Oczywiście pełną setkę (czyli wszyscy naraz, bez poprawiania i dogrywania). Sesja wyszła nieźle, mieliśmy swoje pierwsze nagrania. Ten Jarocin nadal tłukł się po mojej łepetynie, dlatego wysłaliśmy na jarociński konkurs kasetę z naszymi nagraniami. Drugą, bliźniaczą wysłaliśmy na Muzyczny Camping w Brodnicy. Na wakacje nigdzie nie pojechałem, dalej upalne letnie dni spędzałem z przyjaciółmi w piwnicy. Któregoś dnia w trakcie próby wpadł zdyszany załogant, zaczął wymachiwać rękami i krzyczeć:

– Dostaliście się!

Przestaliśmy grać, on krzyczał dalej:

– Dostaliście się!

– Gdzie się dostaliśmy? – nie za bardzo wiedziałem, o co chodzi.

– Do Jarooooooooooooooooocina! – krzyknął, aż mu ćwieki z papy wyleciały.

Zatkało mnie. Prędzej liczyłem na mniej ważny festiwal w Brodnicy niż na Jarocin. Wrodzona podejrzliwość jak zwykle zwyciężyła radość.

– A skąd wiesz, że się dostaliśmy?

– Z Trójki, czytali, kto się zakwalifikował.

– Jesteś pewny?

– No kurwa, na własne uszy słyszałem.

Nie ufaj, sprawdzaj, a potem nie ufaj temu, co sprawdziłeś. Lecz po chwili do piwnicy wleciał kolejny załogant z okrzykiem:

– Jarocin, jedziemy!

Zaczęliśmy się cieszyć jak szaleni. Tyle pracy, tyle dni spędzonych wśród szcurów i kurzu. I udało się! Wystąpimy w jarocińskim amfiteatrze! Cieszyła nas sama możliwość zagrania, nikt z nas ani przez moment nie liczył na jakieś zwycięstwo w konkursie czy jakiegokolwiek inne korzyści. Sławę, seks i pieniądze zostawialiśmy podtatusiałym klezmerom z rockowych kapel. Z tej szaleńczej radości zmontowaliśmy jakąś szybką imprezę. Dołączyło jeszcze kilku znajomych, ktoś poleciał na metę, ktoś po cołą do klubu. Potem oczywiście wjechaliśmy na dyskotekę, celem zapoznania przedstawicielek płci pięknej. Dzień później, jak zwykle po imprezie sprzątaliśmy piwnicę z potłuczonych butelek. Przed próbą musiał być ordnung.

To nie była podróż za jeden uśmiech. Nie pamiętam, dlaczego wieźliśmy bębny Marka. Albo przez jakieś nieporozumienie, albo daliśmy się wpuścić w niezłe maliny, żeby wieźć bębny pociągiem. Tak, pociągiem! Taszczyliśmy olbrzymią skrzynię, która zawierała cały zestaw perkusyjny, nasze gitary i skrzynkę wódki. Płynny regenerujący ufundował nasz załogant Mosiu (Tomek Baran), który wraz ze swoją dziewczyną dołączył do naszej ekipy. Skrzynia była ciężka jak jasny gwint. Ledwo ją wsadziliśmy do wagonu pocztowego. Pociąg ruszył, nasza kariera też.

Wśród pasażerów wyróżniali się młodzi ludzie w skórach, z irokezami i wyćwiekowanymi paskami. Było też sporo dzieciaków we flanelowych koszulkach, zwanych potocznie flanelami. Niestety, była jeszcze jedna grupa

pasażerów. Po pociągu latali ze sprzętem kibice Wisły Kraków, było ich ponad stu. Porządkowali świat według swoich prostych zasad: kto wyglądał inaczej, ten dostawał w dziób. Ucinali irokezy, wyrzucali ludzi z pędzącego pociągu. Jednego panczura podpalili i wypchnęli z wagonu. Dzień później spotkaliśmy go przed Jarocińskim Ośrodkiem Kultury, miał całą twarz wypačkaną żółtą maścią.

Kiblowaliśmy w tym wagonie pocztowym razem z przerażonymi konduktorami. Przygarnęliśmy też dwie młode punkówki. Po latach jedna z nich Asia napisała na fejsie, że byliśmy tacy dzielni i że super, że się o nie zatroszczyliśmy. Dobrze, że nie wiedziała, jakiego miałem cykora.

Na szczęście nic nam się nie stało, rano dojechaliśmy do Jarocina. Jak juczne osły ponieśliśmy skrzynię w kierunku JOK-u. Po kilkuset metrach już wiedziałem, że warto było przyjechać. Morda się cieszyła, gdy patrzyło się na ludzi wokół. Kolorowych, wesołych, odlotowo ubranych.

To jeszcze nie był 83 ani tym bardziej 84 rok, jeszcze nie było kolejek do fryzjera. Jeszcze punk nie był masowy ani popularny. Niemniej wśród flaneli, podstarzałych hipów i normalsów, z przedziałkami na głowie, punki wyróżniały się bardzo. Załatwiliśmy formalności, zostawiliśmy cholerną skrzynię i niebieskim autobusem, nazywanym „ogórkiem” pojechaliśmy do Żerkowa, gdzie nas zakwaterowano w jakimś ośrodku kolonijnym czy też schronisku młodzieżowym. Zmontowaliśmy oczywiście kameralną imprezę, która niestety przeciągnęła się do rana. A rano pojechaliśmy do Jarocina na próbę.

Przed nami próbował SS-20, Rejestracja, chyba jeszcze Bikini. Po nas Kontrola W i Detonator. W amfiteatrze było sporo ludzi, leżeli na ławkach, opalali się. Czasem ktoś gwizdem czy też krzykiem skomentował piosenkę grającej kapeli. Czekaliśmy i czekaliśmy, a razem z nami czekała pani Trema. Nie wiem, skąd się ta suka wzięła, ale widuję się z nią regularnie. Teraz staram się ją ignorować, natomiast wtedy... Sucho w gardle, papieros za papierosem. A ona siedzi obok i pokazuje palcem na zegarek. Tak, wiem, za dziesięć minut nasza kolej. Za pięć minut. Kolejna fala gorąca. Ból brzucha narasta.

– Zapraszamy na scenę zespół Śmierć Kliniczna.

Najchętniej schowałbym się pod ławką, moi przyjaciele pewnie też. Ale nie, wstajemy i pewnym krokiem idziemy ku schodom wiodącym na scenę. Wyglądamy ostro, najbardziej pojechanie z wszystkich kapel. Czyczko ma

sztruksowe spodnie z czerwoną plamą w kroku. Wygląda, jakby granat wyrwał mu jądra. Merc ma spodnie w paski, czarną papę i twarz pomalowaną na biało. Sam zasuwam w różowych legginsach i oficerkach, do tego oczywiście skórzana kurtka. Jest jakieś trzydzieści stopni Celsjusza... Niestety, tuż za mną idzie ta wredna suka. Śmieje się głośno. Odejdź Tremo, odejdź! To nasz drugi koncert, nie mamy żadnego doświadczenia. Nadrabianie miną nie wystarczy. Kręcę coś przy wzmacniaczu, nie za bardzo wiem, do czego te gałki służą. Nikt też specjalnie nie kwapi się, by pomóc. Marka ktoś ochrzania, że zapalił papierosa siedząc za bębnami.

– Przecież to Yamaha! – oburza się ktoś z ekipy od nagłośnienia.

Kręcę przy odsłuchach, coś wyje i się sprzęga. Kurwa, my nie jesteśmy zawodowcami, ale Ci snujący się po scenie kolesie chyba też nie są. Robi się nerwowo. Markowi w trakcie grania odjeżdżają bębny, nie ma jak ich na trwałe zamontować. Czas ucieka, a my z wrażenia i pod wpływem tej wrednej suki mylimy utwory, tempa. Nie jest dobrze.

Schodzimy wkurwieni jak osy. To nie tak miało być. Zupełnie brak nam obycia ze sceną, to przecież nasz drugi koncert. Podchodzi organizator, Walter Chełstowski. Spodziewaliśmy się jakiegoś złośliwego komentarza, tymczasem on proponuje nam, żebyśmy do występu, który mamy za trzy dni, skorzystali z sali JOK-u i spokojnie sobie poćwiczyli. Zgadza się natychmiast. Kolejne trzy dni rzępolimy, przy aplauzie ludzi siedzących pod JOK-iem. Odwiedza nas ekipa filmowa Pawła Karpińskiego, kręcimy coś na kształt teledysku do „Siekiera”. Sala pełna luster i czterech świrów śpiewających: „Zarąbałem Cię siekierą”, można to obejrzeć w dokumencie Karpińskiego „Śmierć Kliniczna”. Po próbach siedzimy w amfiteatrze, słuchamy koncertów. Cały jestem podminowany, podobają mi się wszystkie punkowe i nowofalowe zespoły. A jest ich dużo: SS-20 (Dezertor), Rejestracja, Kontrola W., Corpus X, W.C., Detonator, Bikini. Koncerty tzw. gwiazd nie za bardzo nas wzruszyły, chociaż wczesną Republikę lubiłem.

W dniu koncertu pani Trema trochę się odczepiła. Wyszliśmy pewni siebie, przekonani, że gramy najlepszą muzykę pod słońcem. Bo taką graliśmy. Nie było żadnych dramatów, graliśmy równo, Merc śpiewał z nienaganną dykcją. Przyjęcie było niezłe, oczywiście konkursu nie wygraliśmy i nikt na to nie liczył. Za to fajnie było spotkać po koncercie

ludzi, którym się nasz występ podobał. Poznaliśmy wtedy wiele osób, niektóre kontakty przetrwały lata. Paweł Karpiński postanowił zrobić o nas krótki dokument. Byliśmy o krok dalej, byliśmy odrobinę silniejsi i bardziej doświadczeni. Mogliśmy wrócić do sali tortur, przepraszam do sali prób. I ćwiczyć, ćwiczyć.

Na początku września Wojtek Kurdziel przestał być naszym menadżerem. Miał nowe obowiązki, został szefem Gwarka. To za jego rządów w latach 82-84 Gwarek stał się kultowym punkowo-nowofalowym klubem muzycznym. Bywały tygodnie, w których odbywały się aż trzy koncerty. Wojtek organizował też świetne imprezy jazzowe. Z czasem na scenie Gwarka pojawiło się też reggae. Gwarek, jeśli chodzi o ilość i jakość koncertów kasował wszystkie inne polskie kluby. Po Wojtku misję tę kontynuował Rafał Schmidt. Potem jednak zmienił się ustrój i Rafał przejął Gwarek. Alternatywny żywot klubu dobiegł końca.

Menadżerem Śmierci został Mirek Dobkiewicz, brat gwarkowego nagłośnieniowca. Wojtek pożegnał się z nami przepięknym tekstem: „Psychopata”. Pamiętam, jak przyniósł go do stolika, przeczytałem i stwierdziłem, że brakuje puenty. Nie wiem, czemu, ale pasjami bardzo lubię puenty. Usiadłem i długopisem, pożyczonym z baru dopisałem trzecią zwrotkę. No i było cacy.

W listopadzie przyjechała ekipa Pawła Karpińskiego. Odwiedzili Merca w szkole, odwiedzili naszą piwnicę.

Mercedes w ogóle miał przerabane w tej szkole. Robił za dyżurnego buszującego w zbożu. Jego ojciec też nie był zachwycony karierą Jurka. Wcale mu się nie dziwię. Merc wymykał się na próby, skórę trzymał ukrytą w pralce na korytarzu. Jesienią graliśmy koncert w Gwarku. Tato Jurka postanowił przyjść i posłuchać syna. Sam tego nie widziałem, ale koledzy opowiadali jak pan Mercik stał przy filarze wpatrzony w scenę. Z każdą piosenką był coraz bledszy i bledszy. Bo oczywiście młody Mercik musiał we wszystkich tekstach wstawić wulgaryzmy. Zamiast „bo dyrektor nas zabije” z głośników poleciało „bo dyrektor nas zajebie”. I tak każdą piosenkę Merc umiał kurwami, chujami i wszystkimi znanymi przekleństwami. Zazwyczaj nie używaliśmy przekleństw, a na pewno nie w takim stęzeniu. Nie wiem, co go napadło. Ale tato Mercik z pewnością zaliczył bezsenłą noc.

Był czas na pracę, był czas na zabawę. Zabawnie nie było tylko w andrzejkowy wieczór, gdy po klubie latał sfazowany ubek z pistoletem w rękę. Na szczęście nikogo nie zastrzelił, ludzkie panisko!

Dalej rozbudowywaliśmy repertuar. Merc walczył ze szkołą? No to „Edukacja kopulacja.” Pogonili mnie milicjanci? W rewanżu „Nienormalny Świat”. Walter Chełstowski pożyczył mi wydrukowany na powielaczu „1984” Orwella. Potem skołowałem „Folwark zwierzęcy”. Doprawiłem Kafką. Powtórzyłem Vonneguta i Hellera. Jesienią i zimą zagraliśmy kilka lokalnych koncertów, m. in. w Pszczynie, Cieszynie, Bielszowicach. Reakcje były różne, dla wielu odbiorców był to pierwszy kontakt z zespołem punkowym. Wielu myślało, że punk to Maanam albo Lady Pank. Ciężko grało się dla takich świeżasów. Ale jeśli robiło się to ze szczerym zapałem, to po paru numerach udawało się część publiki przekonać do swojego grania. Może rzeczywiście nie ma kiepskiej publiczności i są tylko kiepscy artyści?

Jeździliśmy mocną ekipą: Wojtek Dobkiewicz nagłaśniał, Mirek jako menadżer organizował, a woził nas Maciek Maciejewski. Maciek był przemodelem, potrafił wejść z nami do knajpy i wmówić wszystkim obecnym, że dziewczyna Marka Czapelskiego to Kora Jackowska. Fakt, miała niezły, punkowy wygląd, ale do Kory zupełnie nie była podobna. Mimo to Maćkowy bajer zawsze zwyciężał. Pojechaliśmy też na koncert do Włocławka, pociągiem. Całą noc. Zagraliśmy dla dwudziestu punkowców, wypiliśmy po piwie i wróciliśmy. Pociągiem, całą noc.

Jakie pieniądze? Czasem dostaliśmy zwroty kosztów podróży i tyle.

Pojechaliśmy też do Warszawy, do studia, żeby nagrać piosenki do filmu Pawła Karpińskiego. Byłem pierwszy raz w Warszawie. Miasto przeciągów. Szerokie ulice, ponury Pałac. Dopiero później poznałem bardziej malownicze i przyjazne fragmenty stolicy.

Nagrywaliśmy w studio Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych na Chełmskiej. Zgadnijcie, kto czekał na mnie w reżyserce? Pani Trema. Tak, aż ścisnęło w gardle. Najpierw nagrywała sekcja. Niestety, nie grali do metronomu, zresztą większość nagrań z lat osiemdziesiątych, w których uczestniczyłem, była nagrywana bez tego urządzenia. Gdy Marek z Wojtkiem skończyli, przyszła pora na mnie. Na pierwszy ogień poszedł „Paciorek”. O rany, jak szybko. Kilka podejść nie za bardzo mi poszło. Niby wszystko słychać w słuchawkach, niby wiem, co

mam grać. To dlaczego się mylę? Zza szyby reżyserki pani Trema szczyrzy zęby w kretyńskim uśmiechu. Po „Paciorku” czas na „Mój pierwszy pogrzeb”. Tutaj podłączyłem pożyczony flanger. Znow jakiś problem z równością w refrenie. Najlepiej poszła „Siekiera”. Na sam koniec nagrywam instrumentalną wersję „W potylicę”. Uff, wychodzę zmęczony, jakbym kilka ton węgla przerzucił.

Mercedes za to radzi sobie świetnie. Ma idealną dykcję, trafia w dźwięki. Czasem trochę za bardzo ciągnie tym wokalem, czasem mogłoby być bardziej staccato. Ale macham ręką. I tak jest dobrze.

W grudniu gramy też duży koncert w warszawskim „Remoncie”. Wspólnie z Kultem, Bikini i Deadlockiem. Zagraliśmy fajnie, oprócz żelaznego repertuaru wykonaliśmy ze dwa pastiszowe numery. Warszawska publiczność, jak to warszawska publiczność, siedziała z grobowymi minami i za wszelką cenę starała się udawać, że mają wszystko w pompce i że muzyka jest do bani. Jednak nasz występ się spodobał. Zresztą Bikini też dobrze wypadło. Kult natomiast dużo improwizował w trakcie grania, Kazik w czarnym, marynarskim płaszczu śpiewał i dmuchał w saksofon, wydając z niego apokaliptyczne dźwięki. „Berlin trzydziestych lat”...

Na koncercie Kult zagrał też kilkuminutową improwizację na temat naszej „Siekierzy”. Deadlock był w fazie mocno regałowej. Za to wieczorem, w trakcie imprezy w hotelu przeszedł w fazę ostro punkową. Zakwaterowano nas w Novotelu, pierwszy raz w życiu nocowałem w Orbisowskim przybytku. Wtedy wydawał mi się szczytem luksusu. Szkoda tylko, że całe piętro zajmowali milicjanci. Przy wejściu na schody siedział wartownik z bronią. Wyszedłem w trakcie imprezy z pokoju i co widzę? Jeden z chłopaków z Deadlockowej ekipy bawi się pistoletem, a obok siedzi totalnie nawalony milicjant. Przezornie schowałem się za drzwiami.

Zaczął się kolejny rok. Z bólem zaliczyłem kolejny semestr. Z bólem, bo zajęcia coraz bardziej mnie nużyły. Wszystkie przedmioty zawodowe przyprawiały mnie o mdłości. Metrologia, linie przesyłowe, elektronika kontra A-moll lub dobry riff. Wybór wiadomy. Zacząłem sobie odpuszczać niektóre zajęcia. Dodatkowo wkurzało mnie kilku dupków, którzy je prowadzili. Sądzę, że ja ich też wkurzałem swoim wyglądem i zachowaniem.

W zespole nastroje też nie były zbyt optymistyczne. Chcieliśmy grać jak najwięcej koncertów, festiwali.

Jesień 1981. Po dwóch miesiącach zahamowania, trzej młodzi i niezwykle sympatyczni ludzie — D. Dusza (git.), W. Jaczyński (baj) i M. Czapencki (dr) — wydzia z siebie pierwszą dwójki na sprężce udostępnionym przez SOK „Gwarek” w Gliwicach. I jest, wreszcie jest kapela, choć na razie bez nazwy i bez wokalisty. Lecz wyważym skądś go sprzyja — pojawiła się wokalista, młody i zbiegowy J. Merok. I wszystko zaczęło się już wtedy, gdyby nie swoje wydarzenia, które spowodowały zamknięcie klubu na czas niedługo.

Dopiero wiosną łody puściły i znów cały ten zgłęb. Część z nich nowe utwory zmieniają się i powstają nazwy: „Diesel”, „Uśmiech Mediolan”. Słony nirocznej pryncy klubowej wchodzą ostre dziewczęta iwarzające próbom i imprezom.

Pierwsze nagrania zawiązane do Brodnicy i Jarocina. W Brodnicy odwołane (autorstwa W. Kurdoła, ówczesnego menedżera, i D. Duszy — ówczesnego lidera). Ogólny dół i nagłe... Tak niespodziewane zaproszenie do Jarocina. Tam po raz pierwszy duża scena i duża tętna, więc grupa gra swe stare, nie najlepsze utwory. Pamiętny Jarocin '82, ekapitacja new wave i punka, i po Jarocinie okaza. Mimo obelwonego, śmieszliwego wyglądu, oprócz reżysera P. Karpinskiego, nikt się zepolem nie zainteresował. On to kręcił film dokumentalny, obrazujący przebieg choroby u młodych, obłąkanych wykonawców. Niestety nie z winy muzyków film „Śmierć Kliniczna” nie należy do szlacheckich osiągnięć polskiej kinematografii.

Rok 83, nieliczne koncerty klubowe i wreszcie w maju rewelacyjny koncert (razem z Brakiem) w Gliwicach „Edukacja-kopulacja” (tekst i muzyka D. Duszy) hymnem pokolenia wędrującego w gładkich odwołanych. Tamta wędruje do Prąca Muzyki Rockowej — Waltera Chęłkowskiego, a zespół łączy na... XX Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, gdzie zaproszony przez Waltera, uczestniczy w nocnym maratonie rockowym. Kolejny wielki sukces. Później udział w fi-

mie „To tylko rock” i zaczyna się FAMA '83. Było nieda, lecz przy- czynny natury ogólnej nie pozwalają na szczegóły. Jarocin '83 to dwa muzyczne wydarzenia — Deserter i Śmierć Kliniczna (tym razem z wokalowym) — przedmuchiwany przez P. Malaka i grającym już wcześniej i śpiewającym, szalonym regalem Jackiem Szafirnym. Pierwszy singiel dla Tonpressu — „Nasza edukacja” (muzyka i tekst D. Duszy) śpiewana przez J. Meroka vel Mercedes i „Nienormalny świat” (tekst Duszy) śpiewany przez J. Szafira vel Szafira. Z przyczyn natury ogólnej odchodzi J. Merok, odjeżdżając. Później jak zwykle — FAMA. Rock nad Bałtykiem i ostatni koncert z Duszą — Jarocin '84. Zespół działał dalej, tworząc nowy program. Zajęło mu to cały rok, a w 85 odszedł perkucista — M. Czapencki. Dalsze losy zespołu są mi bliżej niezbrane. Koncertował raczej rzadko. W Jaczyńskim, J. Szafir i J. Merok z pełną powagą utworzyli RAP, który powinien być wzorem dla wszystkich regalerów. I tyle historii.

Nasuwają się pytania. Jaka była ta Śmierć Kliniczna? Owe dwa single nie dają pełnego obrazu muzyki i tekstów. W każdym razie był to zespół niepowtarzalny, łączący punkową ekapnię z punk-jazzową harmonią, łączący radość grania z profesjonalnym wykonaniem. Niestety rodzima Cosa Nostra show-biznesu nie zdobyła się na wydanie LP, więc coś mimelo, uciekło.

Był to jedyny zespół z tych wszystkich nowotulowych, którego muzyka tworzyła dalej, i to całkiem ładnie. RAP zapowiadał się na jeden z najlepszych nowych zespołów, M. Czapencki, po okresie współpracy z Voo Voo, szkuje na pewno jakąś niespodziankę. Dusza nie zdradził punka grając w Abour-dzie i robiąc z siebie warleta w kłobarecie Duska.

Więc jednak Śmierć Kliniczna zwyciężyła?

Tak, bo takiej kapeli nie było i nie będzie.

skromnie wyznał
DARUSZ DUSZA

ŚMIERĆ NA ŻYWO

Trzytysięcy gitar nam gra
Zyc nie umierał
a każde gitarze wzmacniacz ma
I przed podiera
A przed jest drogi i kosztuje
gówna wiele pracy
odstawić dziecić wiec gitar
I graje na kłębnie
(alb. wcale)

NON STOP

5072 KUM

NON STOP, nr 6/1988



Gliwice, Śmierć Kliniczna (1984) – Czapelski, Dusza, Jaczyzko, Szafir
fot. Maciej Zamorski

A tu cisza. Nasz menadżer Mirek Dobkiewicz robił, co mógł, ale tak naprawdę było bardzo mało imprez, na których moglibyśmy zagrać. Analizowaliśmy swoje występy, wiedzieliśmy, że powinniśmy grać o wiele lepiej. Skrupiło się na perkusiiście. Winnego zawsze się znajdzie, prawda? Odbyliśmy długą, męską rozmowę, Marek zadeklarował, że bardziej się przyłoży do grania. I...

I przyłożył, wręcz przywalił. Regularnie przychodził do piwnicy i ćwiczył ze słuchawkami na uszach. Efekty było już słychać po miesiącu. Grał o wiele równiej i bardzo mocno. Stopą nasuwał jak młotem pneumatycznym. Wypracował sobie swój styl grania: dużo ósemkowej stopy i akcenty na „3” lub „3 i” na crashu. Nie tylko Marek ostro pracował. Cały zespół znów regularnie hałasował w piwnicy. Z repertuaru wywaliliśmy kilka starych numerów, przearanżowaliśmy kilka następnych.

A w lutym pojawił się Szafir.



Jarocin 1983 Śmierć Kliniczna
fot. Ryszard Gajewski

Stylówa



Jarocin (1985);
fot. mr makowski

Dawno temu, zanim wynaleziono rock'n'rolla obowiązywało hasło: „Jak nie potrafisz, nie pchaj się na afisz”. Potem jednak zaczęła zwyciężać dewiza, że „śpiewać każdy może”. Dzięki temu obecnie wszyscy jesteśmy artystami muzykami. Opanowanie klawiszy ctrl c i ctrl v jest warunkiem wystarczającym. Gorzej bywa w bezpośrednim starciu z publicznością. Na żywo nie zawsze wychodzi, trzeba ratować się playbackiem, chórkami.

Ale jak mówi jeszcze inne branżowe powiedzenie: „Czego się nie dośpiewa, to się dowygląda”.

Rock'n'roll nie istnieje bez stylówki. Bez ciuchów, fryzur, tańca czy pewnych klisz używanych w tekstach piosenek. Skoro hip hop jest sponsorowany przez producentów bluz i czapek, punk rock był sposobem na opchnięcie ciuchów zalegających w sklepie Vivien i Malcolma, to może za rock'n'rollem stali też producenci marynarek i butów na słoninie? Pewnie tak. Często gdzieś z tyłu, w cieniu stoją cisi sponsorzy buntu.

W Polsce nie było punkowych butików. Zdecydowana większość dzieciaków dbała o stylówkę, stosując żelazne zasady D.I.Y. Takie zasady wymuszała nasz wspaniały socjalizm, ustrój permanentnego niedosytu, niedostatku, niebytu i braków w zaopatrzeniu. Równie trudno było o właściwe wzorce. Ówczesni peerelowscy kreatorzy mody swoimi propozycjami nie trafiali zbyt w nasze gusty. Cóż, w wielu przypadkach trzeba było użyć wyobraźni. Tak jak użył jej na przykład Mercedes, który cały kołnierz i obrzeże kurtki ozdobił metalowymi żabkami do zasłon. Zakoszonymi z hotelu. Ambitny był, jego skóra ważyła pewnie z dziesięć kilo.

Oprócz własnych pomysłów można było skorzystać z cudzych. Czasem w polskich gazetach pojawiały się zdjęcia punków. Jednak jakość druku rzadko pozwalała na rozróżnienie płci czy koloru skóry, o szczegółach ubioru nie mówiąc.

Dobra, wyobraźmy sobie, jest sobota roku Pańskiego 83. Miasto Gliwice, województwo katowickie, PRL, planeta Ziemia. Niejaki Dusza wybiera się na miasto. Nie ma dzisiaj próby ze Śmiercią Klinikzną, może sobie pozwolić na sobotnie huruburu. Ba, chce sobie pozwolić. Opis podstawowych czynności higienicznych sobie darujmy. Przez te lata zmieniły się tylko marki mydeł, szamponów i kosmetyków. Nawet niektóre z tamtych lat przetrwały. Na przykład kultowy w czasach peerelu dezodorant Brutal. Nazwa urocza, prawda drogie panie? Wykąpany, ogolony i spryskany Brutalem stoję przed lustrem.

Trzeba coś zrobić z włosami. Włosy to najważniejszy atrybut punka. Sięgam do szafki, wyciągam perhydrol. To woda utleniona o trzydziestoprocentowym stężeniu. Biorę go trochę na wacik i zaczynam przecierać końcówki włosów. Po chwili zaczynają jaśnieć. Szybko spłukuję perhydrol, bo za chwilę mógłby całkiem spalić mi pióra. Sposób drastyczny, ale za to szybki i skuteczny. Oczywiście można gdzieś tam w drogerii kupić jakąś farbę albo lakier. Ale bywało to ryzykowne.

Któregoś razu na Fami wokalista Absurdu zaszalał i kupił w kiosku przy plaży czarną farbę do włosów. Nie wyglądała zbyt dobrze, była wyprodukowana przez Spółdzielnię Robotniczo-Chłopską w Piździulichowie Dolnym.

– Lumpaju, nie idź tą drogą – ostrzegałem.

Nie posłuchał, przefarbował się. Po godzinie przyleciał z wrzaskiem:

– Chudy, kurwa, patrz co się dzieje!

Przejechał dłonią po czarnych jak smoła włosach. Na dłoni zebrała się pokaźna ilość lumpajowych kłaków. Wypisz wymaluj scena z Misia. Ale to nie był film.

– Leć pod prysznic, płucz, zmywaj.

Trochę pomogło. Po tej przygodzie mniej chętnie używałem różnych dziwnych lakierów, czy też farb. Na czarno zrobiłem się raz, u fryzjera. Ale gdy zobaczyłem się w lustrze, o mało nie zemdlałem. Wyglądałem jak nieboszczyk, wykopany z ziemi po tygodniu.

Jak najprościej zrobić punkową fryzurę? Lakierem do włosów.

Tylko skąd wziąć na niego kasę? Musiał wystarczyć cukier, albo białko jajka. Można było podgolić boki, miałem taki grzebień, do którego wkładało się żyłkę. Raz też ogoliłem się maszynką z żyłką na łyso. Rany, cała podłoga we krwi. W wersji łysej, ze sznytami na czaszce nie wyglądałem uroczo. Lepiej wyglądałem z irokezem za czasów Śmierci Klinicznej. Takim wążutkim, wysokim na jakieś dwadzieścia centymetrów. Miałem go jesienią i nie był to dobry pomysł. Kołtunił się pod czapką. Na dodatek prowokował różnych żuli. Tak jak i wiele innych fryzur, wykonywanych samodzielnie. Do fryzjera nie chodziłem przez długi czas. Po co? Przecież sam byłem jak Vidal Sassoon.

W 1983 roku na Fami postanowiłem zacząć nosić kolczyk. Poszedłem do jubilera, wybrałem jakieś metalowe kółko. Siedzieliśmy z zespołem i załogą w naszej ukochanej kawiarni „Rybniczanka”, gdy poprosiłem Merca, żeby rzeczony kolczyk mi zainstalował. Wyjął ze skóry agrafkę, przekłuł mi ucho i włożył zapinkę. Zdezynfekowałem winem, bo mocniejszych trunków w kawiarni nie serwowano. Niestety kolczyk nie był ze srebra, ucho paprało się i bolało. Po kilku miesiącach wywaliłem go. Na pamiątkę mam większy płatek w tym uchu.

Mam jakieś uczulenie na nikiel i inne metale. Dlatego też szybko rozstałem się z pieśczochemi. Próbowalem pod nie zakładać jakieś frotki,

ale nawet przez grubą warstwę materiału nity wywoływały alergię. Właśnie, nity! Te klasyczne, małe, w kształcie stożka przywożono bodajże z Krakowa. Miały na szczęście stosunkowo miękkie wąsy. Dobrze, bo zdarzało się, że napotkany patrol kazał te nity wyrwać. Innym rodzajem były ciężkie, duże nity odlewane z cyny w kształcie piramidy. Nabity nimi pasek sporo ważył i miał dużą wartość bojową. Na Zachodzie mieli ćwieki podobnego kształtu, ale lekkie, puste w środku i bardziej świecące.



fot. mr makowski

Przed Jarocinem 83 perkusista Śmierci Marek Czapelski załatwił skądś całe pudło nitów. Nie takich zwyczajnych, te pochodziły z czasów pierwszej wojny światowej, były mosiężne i miały piekielnie twarde, szerokie wąsy do mocowania. Zębami z papy nie dałoby się ich wyrwać. Pamiętam, jak zamiast próby przez kilka godzin nabijaliśmy je na pasek i na kurtki. Klnąc i złorzecząc. Pieszczoł miałem kilka plus jeden pasek nabity w połowie tymi niemieckimi ćwiekami od Marka.

No dobra, włosy zrobione, kolczyk dynda, pasek założony... Na co założony? Najpierw spodnie ubierz łosiu! Zwędziłem ojcu normalne, materiałowe spodnie, które jakaś dobra dziewczyna zwięzła mi maksymalnie w nogawkach. Doskonale pasowały do oficerek, które przez pewien czas miałem. Niestety, musiałem te buty oddać. Zamiast nich nosiłem oficerki milicyjne, kupione gdzieś na lewo. Tak jak i spodnie moro.

Spodnie moro były zmorą. Zagrozały ustrojowi i bezpieczeństwu państwa. Milicja i WSW zamiast ścigać bandytów i dezertów, zajmowała się ściganiem dzieciaków chodzących w bojówkach. Swoje moro po pewnym czasie przefarbowałem na czarno. Miałem jeszcze też lotnicze, szare bojówki z dużą ilością zamków. Bajera! Inne jasne spodnie pomalował mi Szafir. Na nogawki trafiły palma, liść marychy, znaczek anarchii i tego typu zdobienia.



fot. mr makowski

– Po spodniach poznać go! – rzekł pierwszy sekretarz polskiego rock’n’rolla Walter Ch. do jarocińskich bramkarzy. I wskazał na różowe legginsy, w których paradowałem. Zgubiłem wejściówkę i potem bramkarze wpuszczali mnie dzięki tym wściekle różowym galotom. Do tych różnych portek nosiłem albo za dużą marynarkę, albo ortalionowy prochowiec z lat sześćdziesiątych.

Miałem też oczywiście papę: najpierw zakoszoną ojcu skórzaną marynarkę, potem kupioną na targu staroci skórzaną kurtkę. Marynarkę zresztą ozdobiłem nitami, jakimś futrem i napisami. Nie, nie, nie napisałem sobie „Exploited” ani „Siekiera”. To były najczęściej spotykane napisy na skórach w połowie lat osiemdziesiątych. Trzeba przyznać, że z czasem punk bardzo się zuniformizował. Dziwne było patrzeć na ludzi krzyczących o anarchii i wolności powbijanych w jednakowe mundury.

Z tiszertami też był problem. Coś tam malowaliśmy, coś tam na nich pisaliśmy. Ale nie mam za grosz talentu plastycznego. Przekonałem się o tym w wieku lat dwudziestu paru, gdy zabrałem się do malowania obrazu olejnego. Na szczęście obraz zaginął.

Któregoś dnia nasz menadżer Kurdziel wymyślił, że zrobimy profesjonalne koszulki. Wtedy jeszcze z logiem: Uśmiech Modliszki. Wzięliśmy się ostro do roboty. Wojtek przygotował szablony, a my korzystając z nich, kładliśmy na koszulki wibrę. To rodzaj profesjonalnej farby do pokrywania skór. Nie wiem, co zawierała, ale było to mocne. Naprawdę mocne, kręciło bardzo, a po kilku godzinach wywoływało potężny ból głowy. Zniechęciłem się do samodzielnego robienia koszulek na zawsze. Za bardzo boli od tego głowa i łatwo się uzależnić.

Stoję przed tym lustrem i podziwiam. Jest dobrze, można ruszyć na miasto. Jeszcze tylko trzeba zabrać dokumenty i papierosy. Kasy nie mam, ale pewnie coś się wydarzy.

Stylowa była ważna, pozwalała na identyfikację, kto swój, a kto obcy. Gdy przyjeżdżałeś do obcego miasta, wystarczyło się porozglądać, by dostrzec wystrzyżonych, odzianych dziwacznie osobników. Od razu robiło się różnie. Mogłeś podejść, wysepić szluga, pogadać.

Wraz z upływem czasu punkowy image ulegał zmianie. Część starych załogantów została wege, z tego powodu skóry i glany zamieniła na zielone kurtki i trampki. Część ekipy ostrzygła się na łyso, kupiła szelki i zaczęła naparzać tych z irokezami. Potem o przynależności do danego odłamu zaczął decydować kolor sznurówek.

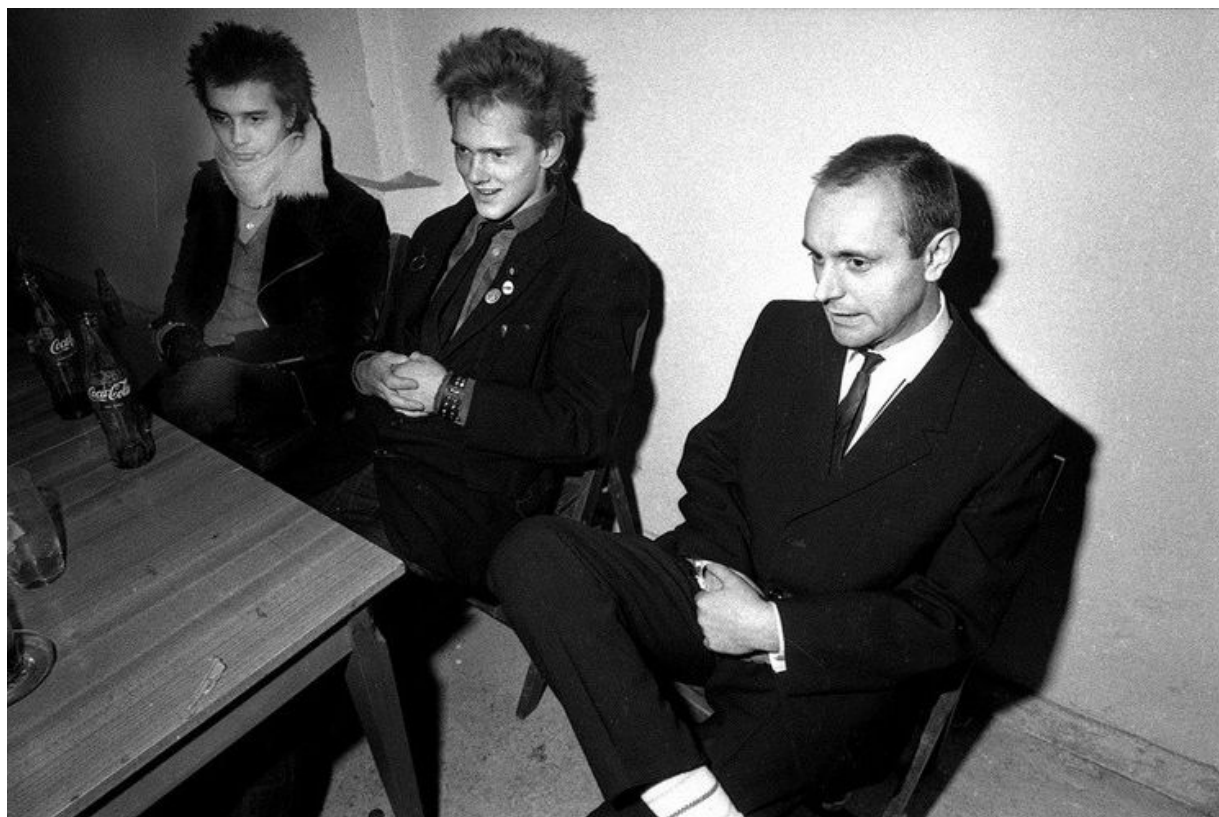
To był już dla mnie zbyt wysoki poziom abstrakcji.

Tak jak chodziliśmy na co dzień, tak wychodziliśmy na scenę. Na takim Jarocinie nie musiałeś słuchać kapeli, stanąłeś, popatrzyłeś na ciuchy i fryzury i prawie na sto procent mogłeś określić styl. Przykładem takiej doskonale wystylizowanej, świetnie wyglądającej kapeli była w 84 roku Siekiera. Oczywiście było to wzmocnione muzyką i świetnym głosem Tomka Budzyńskiego, jednak wygląd zespołu działał równie mocno.

Tak samo styl zespołu określała jego nazwa. Nikt nie spodziewał się po Śmierci Klinicznej lirycznych ballad.

A czy można na punkowym koncercie wyjść na scenę w białych koszulach i czerwonych krawatach? Można, tak wyszliśmy z Absurdem na

jednym z koncertów. Zresztą już wcześniej zrozumiałem, że czasem na ten koncert warto się specjalnie ubrać. Bo inaczej...



Przed debiutem Shakin' Dudi (1984) Hala Parkowa: Czapelski, Dusza, Dudek
fot. mr makowski

Lekko prze pocone, rozczochrane włosy. Jeśli ma brodę, to na pewno można znaleźć tam wczorajsze frytki z FuckDonalda. Nieogolony, trzydniowy zarost. Szara koszula, pomięta jak Beskid Wyspowy. Może szara od nowości? A może w dzieciństwie była czarna? Ta gustowna plama na rękawie to zapewne keczup. Spodnie kant utraciły w tym samym czasie, w którym w butach zdarły się obcasy. Dziwne, takich mokasynów już od dekady nie robią. To pewnie jakaś drogocenna skóra, na przykład z motyla, bo widać, że właściciel nie chce jej narażać na kontakt z pastą. Czarne, lekko zrolowane skarpetki idealnie dopełniają całość. Jeśli byłoby to lato, to góra wyglądałaby identycznie, natomiast na dole zobaczylibyśmy rozczłapane sandały i plażowe spodenki w stylu Bahama, kupione w zeszłym roku w Lidlu.

Zgadnijcie, kto to?

No, kto?

Muzyk jazzowy w pełnej krasie! Albo muzyk rockowy, wystarczy koszulę zastąpić T-shirtem z jakimś kretyńskim hasłem (tzw. śmieszne kurwa koszulki), a zamiast mokasynów ubrać poszarzałe adidas. Rany, ile razy takich koleś widuję na scenie. I mam ochotę podejść i powiedzieć:

– Drogi Panie Muzyku. Zapłaciłem trzy dychy za bilet na Twój koncert. Czy w ramach elementarnego szacunku dla swojego słuchacza nie mógłbyś choć odrobinę wygłądać? Choć troszeczkę, ociupinkę.

Gdy widzę takich wykonawców, mam wrażenie, że mają mnie w dupie. Nawet, jeśli fajnie grają. Nie przesiedzę koncertu z zamkniętymi oczami, prawda? A tak mało trzeba. Tak mało.

Dudek od początku miał tę wiedzę. Dlatego już na pierwszym koncercie Shakin' Dudi wyglądaliśmy stylowo. Trochę jak karawaniarze, trochę jak goście weselni, ale jednak ubiór bardzo nas wyróżniał na tle innych kapel.

A musicie pamiętać drogie dzieci, że moda i fryzury w latach osiemdziesiątych były hmm... Różne? Dziwne? Fryzury na pudła, na enerdowskiego metalowca, kobiece trwałe i mniej trwałe, Limahłowe pasemka, loki, loczki, laczki. A w kontrze do tego Shakin' Dudi na scenie: sześciu przystojnych młodzieńców w garniturach, białych koszulach i czarnych śledzikach. Klasa! Drażniło mnie, że nie miałem żadnych stylowych butów. To na szybciora przerobiłem lakierki ojca. Urwałem obcasy i lakierem do paznokci namalowałem na nich czerwone kropki. Świetnie wyglądały z zadartymi do góry czubkami.

Koszule też brałem od ojca, dopiero później zacząłem je kupować. Irek również zasuwał w anzugu po tacie. Włosy smarowaliśmy brylantyną. Do dziś, gdy jeździmy z Shakin' Dudi to najważniejszą częścią bagażu jest sześć pokrowców na garnitury. A gdyby ktoś zapomniał, to nie wiem, pewnie nastąpiłby koniec świata.

Teraz o wiele łatwiej się ubrać. Dziś już nie biegam po scenie we własnoręcznie przerobionych butach. Ale spodnie nadal drą się tak samo, jak wtedy. Parę razy skoczysz na solówkę na kolana i kolejne portki do wyrzucenia.

Nie powiem, że kocham garnitury, parę razy, gdy po koncercie gdzieś zabłądziliśmy z ekipą, oberwało nam się od krawaciarzy. Garnitur nie za bardzo sprawdza się w temperaturze powyżej trzydziestu stopni, a kilka razy w takiej musieliśmy grać. Wylatuję na scenę i czekam, kiedy będzie

grane „Opakowanie”. W tym utworze długą solówkę na pianinie ma Tomek Pala. Wtedy mam czas, żeby zdjąć gitarę i ściągnąć tę wstrętą marynarkę. Po kolejnych kilku numerach najchętniej ściągnąłbym też koszulę.

Dwa razy w takim samym rynsztunku grałem Sylwestra w plenerze. Próbowiałem ratować się bielizną termoaktywną, ale spodnie założone na nią marszczyły się i podjeżdżały do góry. Ciepło nie było, nawet w drugim numerze.

Raz z Shakin' Dudi graliśmy plenerową imprezę w ramoneskach, ale chyba wolałem już marznąć w gangu. Skórzana kurtka bardzo krępuje ruchy i nie jest najlepsza dla gitarzysty.

Gdy z kolei z The Dudis zaczęliśmy przez chwilę grać muzę lat sześćdziesiątych, to też zmieniliśmy ciuchy. Zapamiętałem pekaesy, założyłem jakąś oczojebliwą czerwoną koszulę i spodnie w paski. Koledzy również dostosowali się do klimatu.

Tak prywatnie, to najchętniej chodzę w rozciągniętych dresach i luźnym tiszercie. Na bosaka, bo skarpetki są be. Ale to prywatnie. Od czasu Nirvany na scenie zaczęła panować moda na bylejakość. Śmieszne, bo nad ubiorem Kurta czuwał stylistka. Tak, tak, z tyłu sceny stali producenci kraciastych koszul. I dealerzy. Może to te same osoby?

Warto mieć stylówę, tylko coraz trudniej znaleźć własną. Wszystkie punkowe symbole buntu trafiły do pop kultury. Pieszczochy i paski z nitami zdobią tyłki disco polowych gwiazdeczek. Punkowe fryzury weszły do kanonu, często widać różnych gogusiów z irokezami. Głany również rozeszły się po świecie, zapewniając takim firmom jak Dr. Martens ogromne zyski i popularność. Kolczyki i tatuaże to też niezły biznes. Właśnie, biznes. Trochę ta stylówka się skomercjalizowała. Szczytem są karty kredytowe z Sex Pistols.

Lepiej wezmę nożyczki, potnę tiszert i wszyję, jak kiedyś kilka zamków błyskawicznych.



Pierwszy występ Shakin' Dudi, Hala Parkowa (1984)
fot. mr makowski



Szafir (R.A.P.) Jarocin 1986
fot. mr makowski

Rozdział 5

Opętany Przez Reggae – takim indiańskim imieniem można by nazwać Jacka Szafira. Był, jest i będzie regałowym fundamentalistą. Człowiekiem, którego całe życie wibruje i pulsuje mocnym, jamajskim rytmem.

Szafira do Gwarka przyprowadził nasz menadżer, Mirek Dobkiewicz. Grali razem w zespole, Mirek na gitarze, Szafir na bębnach. W repertuarze mieli m.in. „Stir it up” i „Exodus” Marleya. Zespół szybko się rozleciał, a Szafir zaczął w Gwarku prowadzić tzw. kawiarenkę reggae. Puszczając winyle Marleya, coś tam ponawijał, poopowiadał.

Czasem wpadałem na chwilę posłuchać, do Boba miałem i mam dużą słabość. Za którymś razem przysiadł się Jacek, przekupił mnie paczką Marlboro i tak się zaczęła nasza znajomość. Potem zaprosiłem go na próbę. Merca akurat nie było, przygotowaliśmy „Lively Up Yourself”. Wyszło całkiem, całkiem. Szafir miał zachrypnięty, brudny wokal, który wspianiale uzupełniał mocny, czysty dźwięk Mercedesa. Przekonaliśmy się o tym na następnej próbie.

Od początku mieliśmy problem ze śpiewaniem chórków. Zarówno Wojtek jak i ja posiadaliśmy niezbyt dobrze brzmiące głosy. Na dodatek okrutnie fałszowałem, a śpiewanie przeszkadzało mi w graniu. Dodatkowo Jacek grał na przeszkadzajkach. Po intensywnych próbach zagraliśmy pierwszy raz z dwoma wokalistami. Było to w Cieszynie. Szafir był genialnym nabytkiem! Nie dość, że świetnie wspomagał Merca, nie dość że dodawał pulsu grając na kongach i innych instrumentach perkusyjnych, to jeszcze wprowadzał do koncertu pierwiastek scenicznej anarchii i szaleństwa. Żywiołowy, spontaniczny, wręcz zarażał na scenie entuzjazmem i radością grania. Mercedes też był w szczytowej formie.

Godziny spędzone na próbach przyniosły zamierzony efekt.

Coś się zmieniało, na klubowych koncertach pojawiało się coraz więcej osób. Przychodzili punkowcy, ale również przychodzili nowofalowcy i regałowcy, ba, nawet tzw. normalsi. W maju 83 roku mieliśmy zagrać wspólny koncert z łódzkim Brakiem. Bardzo lubiłem kapelę Ziemka Kosmowskiego, cieszyłem się, że będę mógł posłuchać jej na żywo.

To był dziwny dzień. Z jednej strony chodziłem zły, bo gdzieś wśród widowni pałętał się mój tato, w nastroju zbyt rozrywkowym. Z drugiej strony nie mogłem doczekać się wyjścia na scenę, czułem się jak ładunek wybuchowy ze zbyt długim lontem. Chciałem wybuchnąć jak najszybciej! Jednak musiałem poczekać, pierwszy wystąpił Brak. Zagrali świetnie, pod nosem podśpiewywałem „Na Bliskim Wschodzie wszystko w porządku, na Bliskim Wschodzie wszystko gra” i inne hity.

Kino Teatr X był pełen, no może kilkanaście miejsc było wolnych. Skóry, irokezy, glany, czasem jakieś dready i trzy kolory. Przyjechali ludzie ze Śląska, przyjechała ekipa z Wrocka, ktoś z Krakowa. Oczywiście tłumnie stawiała się nasza gliwicka załoga.

Trochę dziwnie wszyscy wyglądali w tych kinowych fotelach.

Brak skończył. Znów oddech szybszy, krótszy, znów czuję, że serce przyspiesza. Wychodzę. Zaczęliśmy „Sadystą” w nowej, mocniejszej wersji. Z każdym dźwiękiem czułem się coraz pewniej. Może nawet zbyt pewnie. Gdy zacząłem fałszować w chórkach w „Końcu homokracji” Merc rzucił przez mikrofon: „Śpiewaj Darek, śpiewaj, publiczność Cię prosi”. Kolejny raz błysnąłem dziękując „temu panowi zza miksera”. A było za co dziękować, bo Wojtek Dobkiewicz bardzo się sprężył, dzięki czemu brzmieliśmy świetnie. Na scenie też mieliśmy doskonale ustawione odsłuchy, pozwoliło to na bezbolesne wykonanie improwizowanych części „Marihuany” czy „Siekiery”. Zakończyliśmy „Edukacją kopulacją”. Mimo kilku drobnych wpadek, cały koncert wyszedł genialnie. Oczywiście potem w garderobie analizowaliśmy, rozkładaliśmy każdą piosenkę na czynniki pierwsze, sprawdzaliśmy, kto i co zawalił. Bardzo się przejmowaliśmy, chyba za bardzo.

Teraz wiem, że takie rozmowy po koncercie nie mają sensu. Lepiej poczekać do następnej próby, lepiej odpuścić szczegóły. No dobra, zagrałeś A zamiast D na basie. I co, świat runął? Liczy się całość, liczy się synteza. Ale wtedy każdy koncert musieliśmy omówić, obgadać. Nawet tak udany, jak ten. Trochę byłem na Merca obrażony, za tę uwagę o śpiewaniu. Sam też nie błysnął pozdrawiając nieżyjącego Boba Marleya.

Nie mieliśmy wtedy żadnego dystansu do siebie, żadnego dystansu do swojej twórczości. Poważny zespół, poważna muzyka. Z czasem te pokoncertowe dysputy zmieniły się w tzw. zebrania zespołu. Hmm, niestety

zakradał się kolektywizm i demokracja. Jak się okazało, nie przysłużyły się dobrze Śmierci Klinicznej. Demokracja w sztuce sprawdza się rzadko.

Cały koncert nagraliśmy. Naprawdę brzmiał dobrze. Jedyne (jak zazwyczaj) moja gitara miała za mało przesteru. Nasz nadworny dyrektor do spraw technicznych Andrzej Kazon dwoił się i troił, by skonstruować dla mnie mega przester. Fuzza stulecia! Overdrive Galaktyki. Ale się nie udało. Koncerty często grałem na pożyczonych wzmacniaczach. Zazwyczaj były to konstrukcje tranzystorowe, pozbawione przesteru. Jedyne w studio brzmiałem, tak jak chciałem. Dlatego prawdziwe brzmienie Śmierci Klinicznej to brzmienie ze studia, to brzmienie z tonpressowskich singli. Chociaż czasem to druciane, nie przesterowane brzmienie miało swój urok.

Zagraliśmy fajny koncert, mieliśmy dobrze brzmiące nagrania. Wysłaliśmy je Walterowi Chełstowskiemu. Nie, nie do konkursu jarocińskiego, tylko tak promocyjnie. Nie miałem ochoty na ponowny start w konkursie. Po co? Raz w życiu wystarczyło. Miałem pełne przekonanie, że jesteśmy najlepsi. A czy będzie nas kochać sto czy sto tysięcy? Nieważne.

I nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki zaczęły spływać propozycje koncertów. Pierwszy odezwał się Walter, zaprosił nas na dwie imprezy: Rock Opolo 83 i jako „gwiazdę” na Jarocin 83. Odezwał się też Paweł Karpiński, reżyser dokumentu o nas i zaprosił do udziału w filmie fabularnym „To tylko rock”. Dostaliśmy też zaproszenie do Świnoujścia na FAME. Wreszcie coś drgnęło.

Najpierw pojechaliśmy do Torunia na III Festiwal Nowej Fali, organizowany przez Waldka Rudzieckiego. Festiwal odbywał się w nowej siedzibie klubu „Od nowa”. Sala miała fatalną akustykę, za to muzycznie festiwal był bardzo ciekawy: od nowej fali po ostrego punka. Było też reggae: Salut z Malejonkiem i Sławkiem Gołaszewskim grającym na małym bongosie. Czyczko stwierdził, że Goły gra na słoiku. Nasz występ podobał się średnio, toruńskie punki chciały poskakać w pogo, a nie słuchać muzyki. Doczepili się Merca, nie spodobał im się zielony prochowiec naszego wokalisty. Hmm, trochę dziwne, jak na ludzi, którzy stawiali wolność i indywidualizm na pierwszym miejscu.

Pod koniec czerwca pojechaliśmy do stolicy. Stolicy polskiej piosenki. „Rock w Opolu”, a właściwie „Muzyka w serca wstąpi nam” (litości, tytuł jak z akademii szkolnej) był reżyserowany przez Waltera. Oprócz Braku

i nas w koncercie wziął udział Perfect, Lombard, Rezerwat i Republika. Wtedy też po raz drugi w życiu zobaczyłem na scenie Irka Dudka. Słuchałem go na próbie, miał niezły skład, w jednym utworze śpiewał też Rysiek Riedel. Fanem bluesa nie byłem, ale cała ta Dudkowa ekipa grała niezłe i bez zadęcia. Nam próba poszła sprawnie, nie licząc faktu, że Merc wdrapał się po stalowej linii prawie pod dach amfiteatru. Ot, tak, dla gimnastyki. Koncert zagraliśmy dobrze, a może nawet bardzo dobrze. Mieliśmy niezłe przyjęcie, to znaczy nie zabili nas. Nawet klaskali i krzyczeli. Fakt, że trochę punków i nowofalowców przyjechało, ale reszta publiki to były normalne dzieciaki. Zapewne przyszli na Lombard albo na ostatni koncert Perfectu. Cóż, o gustach... Ale prawdę mówiąc większość zespołów strasznie zamulała.

Nad ranem wsiedliśmy do pociągu, tym razem pojechaliśmy do Warszawy. Nocowaliśmy w hotelu Forum, za to żywiliśmy się w pobliskim sklepie. Tradycyjne punkowe menu: bułka, serek topiony, maślanka. Na śniadanie. Na obiad. Na kolację. Następnego ranka udaliśmy się na Halę Torwar. Dzielna ekipa filmowa zmagająca się z materia, my natomiast miło spędziliśmy czas z kolesiami z załogi Dezertera. Jednak po kilku godzinach czekania zacząłem robić się nerwowy. Nie lubię opóźnień, sam jestem bardzo punktualny. Spytałem menadżera:

– Mirku, a ile za ten bajzel dostaniemy?

– No po 3 tysiące...

– Ile? Lady Pank dostaje po sześć tysięcy!

– No tak, ale...

– Ale co? Idź im powiedz, że dają 6 tysięcy, albo stąd spierdalamy.

Poskutkowało, dostaliśmy po szóstce. Dopiero pod wieczór zaczęli kręcić nasz „występ”. Graliśmy „Paciorek”. Poskakaliśmy, powygłupialiśmy się, pomachałem jęzorem. Film obejrzałem raz. Nasz występ kilka.

Z planu filmowego pojechaliśmy na dworzec. Nad ranem byliśmy w Świnoujściu. FAMA! Trzy tygodnie odlotu! Muzycznego oczywiście. Zagraliśmy duży koncert w amfiteatrze. Nosił tytuł „Zbuntowane dzieci Babilonu”, a reżyserował go Michał Tarkowski. Z Michałem bardzo się zaprzyjaźniliśmy i spędziliśmy kilka przesympatycznych wieczorów przy homarze i dobrym francuskim chablis. Albo przy innych frykasach i trunkach?

W amfiteatrze razem z nami zagrał Daab, Tao i Płonąca Żyrafa. Zagraliśmy kolejną dobrą sztukę. Drugi koncert zagraliśmy w namiocie, rozbitym niedaleko amfiteatru, takim na dwieście, trzysta osób. Oj, tu już był prawdziwy punk rock. Pod Szafirem zaważyła się scena. Spadł na dół i dalej śpiewał. Nad nim, z saksofonem pochylał się Piotrek Malak i grał jak opętany. My dalej graliśmy swoje. Nagle na scenę wpadło kilku gołych, pomalowanych zieloną farbą facetów. Na koniec dołączyło do nas kilku kolegów grających na instrumentach dętych. Skończyliśmy z zawodowym big bandem! Zresztą całą Famę grałem jamy z różnymi muzykami jazzowymi. To właśnie tam poznałem Bronka Dużego, Włodka Kiniorskiego, Alka Koreckiego i wielu innych przyjaciół, którzy grali wtedy awangardowy jazz. I mieli też niezły odłot. A Piotrek Malak tak zachwycił mnie swoją grą, że zaprosiłem go na próby do Gliwic i został nowym członkiem Śmierci Klinicznej. Tak, bo cały czas szukaliśmy nowych dźwięków, nowych wrażeń. Wcześniej spotkaliśmy się na próbie z sympatycznym pianistą z Krakowa o ksywie „Skoczek”, ale jednak nie zażarło. Z Malakiem na saksie zażarło.

Fama była szalona. Koncerty, wystawy, jam sessions. Pod koniec festiwalu poznałem Gosię, dziewczynę z Warszawy. Byliśmy ze sobą półtora roku. Byliśmy bardziej na odległość, chociaż dość często odwiedzałem ją w Warszawie. O dziwo, jej rodzice tolerowali moją obecność. Gośka chodziła do trzeciej klasy liceum, ja byłem o parę lat starszy. Starszy, ale nie mądrzejszy. W tym związku to ona miała lepiej poukładane w głowie, aż się teraz dziwię, że tyle ze mną wytrzymała. Nie byłem wzorowym partnerem. Łączyło nas dużo: książki, słuchanie punk rocka. To u Gośki po raz pierwszy słuchałem Crassu i Conflictu. To dzięki niej poznałem i polubiłem Warszawę.

Po powrocie z Famy odsapnęliśmy trochę i ruszyliśmy do Jarocina. Obok gdzieś toczyło się ponure życie, ale dzięki muzyce łatwiej można było brnąć przez ten syf. W czerwcu oblałem egzaminy i nie zaliczyłem semestru. No to urlop dziekański. Rodzice nie byli zachwyceni.

Z czasem oswoili się z moim wyglądem i z nazwą zespołu. Ale woleli, by szło to w parze z nauką. Nie szło, nie mogło iść. Liczyła się tylko muzyka. Liczył się tylko dzień dzisiejszy.

Jarocin 83 różnił się od poprzedniego. Przede wszystkim festiwal przeniesiono z amfiteatru na teren stadionu MOSiR. Scena stała przy hotelu

Jarota. Było o wiele więcej narodu, mówiło się o dwudziestu tysiącach festiwalowiczów. Było dużo punków. Dzięki mozolnej pracy jarocińskich fryzjerów przybywało ich z każdą minutą. Po pierwszych zadymach pomiędzy długopiórymi a panczurami postawiono drewnianą barierę, rozdzielającą publiczność na dwa obozy. Nie był to mądry pomysł, prowokował punkowców do grupowania się w zwarte oddziały (czasem nawet po sto, dwieście osób), które z impetem wbijały się w długowłosą publikę. Trochę szarpaniny, parę zdobytych flag i transparentów. Ot, takie zabawy ludowe. Merc radośnie do nich dołączył, skończyło się na jakimś sparringu z ochroną. Wrócił zakrwawiony, z lekko przetrąconym nosem. Bawił się dobrze. My też bawiliśmy się dobrze w licznym gronie przyjaciół i przyjaciółek. Tak dobrze, że następnego dnia musieliśmy się bardzo starać, żeby nas nie wywalili z hotelu.

Festiwal muzycznie był wielogatunkowy. Od bluesa i reggae po punka i metal. Miały grać też rockowe gwiazdy, ale na szczęście dla siebie nie dojechały. Festiwal zupełnie nie potrzebował tych zespołów. Każdego dnia chodziłem słuchać muzy, pogadać ze znajomymi, poznać nowych ludzi. Także pooglądać koncerty, dobrze pamiętam Sedes i „Wszyscy pokutujemy”. Byłem też na koncercie zespołu Marka Ogonowskiego, z którym grałem dwa lata wcześniej.

Nadszedł dzień nowofalowy z naszą świętą Trójcą: Dezerterem, Kontrolą W. i Śmiercią Kliniczną. Przed południem, w pełnym słońcu zrobiliśmy próbę dźwiękową. Poszło sprawnie, byliśmy o wiele bardziej doświadczeni i obyci ze sceną, niż rok wcześniej. Nas i Sedes skreśliła Polska Kronika Filmowa, oczywiście dodali kąśliwy komentarz. Jednak przed koncertem już nie czułem się takim kozakiem. Tylu ludzi to ja w życiu nie widziałem. Przed sceną kłębił się gęsty tłum. Nerwowo spojrzałem na swój zespół. Merc skupiony, Marek z Wojtkiem pałą kolejnego papierosa. Tylko Szafir jak zwykle wyluzowany i skory do pajacowania.

W porządku, wszyscy... Kurwa, jacy wszyscy?

– Chłopaki, gdzie jest Malak?

– Poszedł na miasto – informuje mnie ktoś z kolegów.

– Jak to na miasto? – mam stan przedzawałowy

– No, ale Mirek mówił mu, o której ma być pod sceną.

Menadżer ma niewyraźną minę, a mnie z uszu i nosa zaczyna lecieć para. Kontrola W. zapowiada ostatni numer. A saksofonisty nie ma. Kontrola gra

ostatnią zwrotkę. Widzę go, widzę jak przeciska się przez ludzi stojących przy scenie.

– Piotrek, gdzie ty kurwa byłeś? – pytam.

– Ach, wiesz, zgubiłem się na rynku w Jarocinie, nie mogłem tutaj trafić.

Mistrz świata, król nietoperzy. Zgubić się na rynku w Jarocinie! Ale nie mam czasu nawet parsknąć śmiechem, lekko drżącymi palcami ustawiam brzmienie na wzmacniaczu. Gotowe. Wojtek też już się zamontował, Merc w krótkich spodenkach i skórze stoi bokiem z groźną, wyzywającą miną. Jakby krzyczał: „Wypierdalać!”. Marek nabija na hi hacie pierwszy numer. Maszyna ruszyła, nie ma odwrotu. Gram jak w transie, publika tym razem nam pomaga. Lecimy numer za numerem, z krótką przerwą na dostrojenie gitary. A co tam strojenie, pieprzyć to. Gramy dalej. Schodzimy ze sceny wymęczeni, ale uśmiechnięci. Udało się! Koncert był doskonale przyjęty zarówno przez publikę jak i dziennikarzy. Dla niektórych był największym wydarzeniem Jarocina 83.

Po Jarocinie pojechałem do Warszawy. Takie dziwne wakacje spędzone na trawniku pod Remontem i przy stoliku w klubie Akwarium. Znajomi, muzyka, używki i śpiew, chociaż najbardziej i tak zależało mi na spotkaniu z poznaną na Famie Goską. Nie za bardzo natomiast wyszło mi zakwaterowanie i dwie noce przekimałem na Dworcu Centralnym. Precz z gołębiami! Te cholerne ptaszyska siedziały w poczekalni i co chwilę podrywały się, łopocząc skrzydłami i wyrывая mnie ze snu. Na szczęście po dwóch dniach Piotrek Malak znalazł mi chwilowe kimanie u Mena Świtalskiego. A dzień później trafiłem do gościnnego domu Gosi.

Wszystko się zgadzało. Miałem nową, świetną dziewczynę. Miałem najlepszy zespół w Polsce. Ba, po naszym występie w Jarocinie Marek Proniewicz z Tonpressu zaprosił nas na nagranie singla. W październiku mieliśmy nagrywać nasze pierwsze „przeboje”. To wyglądało zbyt dobrze. Podejrzanie dobrze. Jeśli świeci Słońce, to znak, że nadciągają burzowe chmury. Wróciłem do Gliwic. Zadzwoił Merc i poprosił, żebyśmy się spotkali w klubie, bo chce pogadać. Ciekawe, o czym?

Gdy zaczął mówić, zobaczyłem te czarne chmury. Poważnie, widziałem je tuż nad nim. Merc zakomunikował, że chce odejść z zespołu. Kategorycznie chce odejść. Tłumaczył się szkołą, tłumaczył się problemami ze swoją dziewczyną, na której mu bardzo zależało. Nawiasem mówiąc Ola, dziewczyna Merca ze szkolnych lat, została Aleksandrą,

małżonką Merca. I jest nią do dziś. Oli nie podobały się zbytnio nasze rock'n'rollowe zabawy, ktoś napisał do niej list z cyklu „Uprzejmie donoszę, że ...” Opisał w nim ekscesy, których miał się dopuszczać Merc w czasie Famy. Ja tam nic nie wiem, przed każdym sądem zaprzeczę. Fama faktycznie miała dość luźny obyczajowo klimat.

Merc mówił, ja bladłem i traciłem oddech. Oczywiście próbowałem go skłonić do zmiany decyzji, do jej odroczenia. Bezskutecznie. Widziałem, że jest bardzo zdeterminowany. Trudno, co miałem zrobić? Ustaliliśmy, że weźmie udział w nagraniu singla w październiku. Ostatni koncert zagraliśmy w Opolu. Po koncercie powiedziałem reszcie zespołu o decyzji Jurka. Rozstaliśmy się również z Piotrkiem Malakiem.

No i zesrało się.

Nie, nie załamałem się, reszta chłopaków też nie chciała się poddać. Nie do końca rozumieliśmy argumenty Merca. Owszem, byliśmy bandą niezłych świrów grających pokręconą muzykę. Każdy z nas miał swoje za uszami. Ale liczyło się jedno! Nasza muzyka. Natychmiast zaczęliśmy szukać wokalisty. Właściwie patrząc z perspektywy trzydziestu paru lat, to nic innego nie robię, tylko szukam wokalisty.

Dałem ogłoszenie do lokalnej gazety i zaczęło się. Olaboga, olaboga, cóż za talenty odwiedzały naszą piwnicę. Te wszystkie współczesne konkursy talentów to pikuś, w porównaniu z modelarnią, której musieliśmy słuchać. Porażka. Nikt nie umiał śpiewać. Problemy z dykcją, seplenienie, fałsze, brak poczucia rytmu. Nie wiem, skąd się to bierze, ale naprawdę większość ludzi nie potrafi śpiewać. Na czele z piszącym te słowa. Ba, większość polskich wokalistów również i ma takie same problemy, jak niedoszli wokaliści Śmierci Klinicznej. Powiem szczerze, wtedy wymiękłem. Widziałem tunel, nie widziałem w nim żadnego światła. Za to z tyłu słyszałem pociąg, który mnie za chwilę rozjedzie. Sprawdziłem też znajomych wokalistów z zaprzyjaźnionych kapel punkowych. Też nam nie pasowali.

Z warszawskich Hybryd dostaliśmy propozycję zagrania w październiku na pierwszej edycji festiwalu Róbrege. Pomyślałem, że fajnie by było gdzieś się ruszyć, a przy okazji spotkać z Goską. Spytałem Szafira, czy nie zaśpiewałby trzech regowych numerów Śmierci i dodatkowo trzech klasyków Marleya. Zgodził się, zaczęliśmy robić próby. I pojechaliśmy do burej, październikowej Warszawy.

Na pierwszym Róbrege grał m.in. Izrael, Daab, Salut i Bakszysz. Właściwie sami koledzy: Brylu, Goły, Andrzej Żeńczewski. Spotkałem też kilku starych załogantów. Ku mojemu zdziwieniu zamienili skóry na trzykolorowe wdzianka. A irokezy na dredy. Zagraлиśmy „I shot the sheriff”, „Them belly full”, „Lively up yourself”, „Żołnierza”, „W potylicę” i oczywiście „Nienormalny”. Szafir dał radę, my też. Jakaś nawiedzona panna co prawda napisała w recenzji, że zespół reggae miał heavy metalowego gitarzystę. Chyba trochę zbyt mocno wzmacniacz odkręciłem.

Ważne, że Szafir dał radę, to może by... No pewnie, po co szukać, gdy ma się w zespole świetnego wokalistę. Nie śpiewał tak czysto jak Merc, zdarzało mu się zafałszować, ale za to miał niesamowitą energię. Regałowa maniera, z chrypką i charakterystycznymi zaśpiewami doskonale pasowała do naszej muzyki. Szafir, witaj na pokładzie po raz drugi!

W studio Tonpressu na Wawrzyszewie zaczęliśmy nagrywać singla. Realizował go Włodek Kowalczyk. Praca szła spokojnie i gładko, jedynym problemem było brzmienie basu. Miałem pożyczony wzmacniacz z przesterem, wreszcie mogłem ukręcić sobie takie brzmienie, jakie mi pasowało. Nagraliśmy „Nienormalny świat”, „Edukację kopulację” (pod tytułem „Nasza edukacja”) i „ASP”. W „Edukacji” dograłem dodatkowe gitary, które nadały temu utworowi trochę klimatu ska. Przyjechał Mercedes, zaśpiewał „Edukację” i „ASP”, dośpiewał chórki w „Nienormalnym”, w którym główny wokalistą był Szafir.

Mieliśmy też sesję zdjęciową, jedna z fotek trafiła na plakat do „Zarzewia”. Słyszałem, że niektóre dziewczyny do dziś mają ten plakat przywieszony na słomiance. Dziewczyny, już pora go zdjąć! Teraz wyglądamy równie dobrze, z tym, że inaczej! Zresztą chwilę później trafiliśmy na plakat do „Dziennika Ludowego”, zdjęcia pochodziły z łódzkiego Rockowiska.

Właśnie tam na początku grudnia zagraлиśmy kolejny, mocny koncert dla dużej publiczności. Skład festiwalu był dość odważny, prócz rockowych wykonawców takich jak Lombard, czy Lady Pank grały też jazzowe String Connection i Tie Break. No właśnie Tie Break, zespół, w którym na trąbce grał Ziut Gralak. Czy Ziut zagrał tylko z Tie Breakiem na Rockowisku? Pytanie za 66 zł (tyle kosztował pierwszy singiel Śmierci Klinicznej).

Otóż droga młodzieży, pan Antoni Świetny Odłotowy Trębacz Gralak zagrał dwa koncerty na Rockowisku 83, Ten drugi koncert zagrał z nami!

Lot trwał dalej. Ledwo straciliśmy, ledwo znaleźliśmy wokalistę, a już poszukiwaliśmy nowych brzmień i pomysłów. Padło na Ziuta, trębacz z którym zaprzyjaźniliśmy się na Famie. W listopadzie zrobiliśmy kilka prób i ze świeżo zaaranżowanymi numerami wylądowaliśmy na Rockowisku.

Dla większości publiki nasz występ był szokiem. Pluliśmy na widownię, deptaliśmy po rękach leżących na scenie, robiliśmy durne miny, ja tradycyjnie wywalałem jęzor. I graliśmy zupełnie porąbaną muzę. Kochaną, porąbaną muzę. Nagle w tłum miłośników „Małej lady pank” i innych światowych przebojów wbiła się klinem ekipa punków. Czułem, jak scena lekko się przesuwa. Scena i widownia były postawione na lodowisku, które przykryto dechami. Cud, że to wszystko nie runęło. Zwariowany koncert, mocny, tak jak trzeba. Rano byliśmy w kinie na projekcji filmu „Śmierć Kliniczna”. Czułem się dziwnie, patrząc na siebie i kolegów widocznych na ekranie.

W czasach przedjutubowych rzadko można było gdzieś siebie obejrzyć. Najwięcej filmów kręcili ubecy w trakcie manifestacji i zadym. Ale rzadko je prezentowali.

Rockowisko umocniło naszą dobrą reputację, szczególnie że na antenie Trójki pojawił się nasz „Nienormalny świat”. Hmm, nasze nagranie w Trójce? Też dziwnie się z tym czułem. Z jednej strony mile łechtało ego, z drugiej strony utwór trafił do listy przebojów i leciał w towarzystwie kaszaniarskiej muzyki, jaka najczęściej gościła na jej antenie. Ba, „Nienormalny” utrzymał się na niej przez jedenaście tygodni. Nie, nie wysyłaliśmy głosów na swój numer. W głosowaniu aktywnie uczestniczyły profesjonalnie prowadzone fan kluby mainstreamowych zespołów, które tydzień w tydzień wysyłały kartki pocztowe na adres listy przebojów. Aż dziwne, że bez takiego wsparcia dawaliśmy radę.

Nadszedł nowy rok, za chwilę kończył się mój urlop dziekański i miałem wrócić na studia. Nie cieszyło mnie to wcale. Z chłodnej obojętności przeszedłem do gorącej nienawiści. Ponury budynek Wydziału Elektrycznego przypominał mi kazamaty. Ze mną w roli skazańca.

Na początku lutego zagraliśmy też świetny koncert w gliwickim Gwarku. Dobrze zagrany, nagrany, no i przede wszystkim świetnie przyjęty. Do klubu, który normalnie mieścił trzysta osób udało się wepchać pięćset, drugie tyle się nie dostało.

To co, sukces? Pasma sukcesów? Znow świeciło nam Słońce, a ja czułem nadciągające chmury. Coś się zaczęło psuć. Próbowaliśmy robić nowe numery, ale tym razem nie wychodziło nam to dobrze. Atmosfera na próbach była napięta. Wojtek chciał grać jakieś numery w nieparzystych tempach, pełne łamańców i dziwołagów. Marka bardziej ciągnęło w kierunku grania w klimatach The Police. Mnie oczywiście do punka. Szafir mógł śpiewać wszystko, byleby to było reggae. Ostatnimi numerami, które wspólnie zrobiliśmy byli „Samobójcy” i „Wkoło syf i paranoja”.

Zgrzyty narastały. Dostaliśmy propozycję nagrania drugiego singla. Niby super, ale natychmiast spytałem, czemu nie możemy nagrać płyty długogrającej. Mieliśmy repertuar, umieliśmy grać, w czym problem? Okazało się, że problem tkwił w nas: naszej nazwie, naszym wyglądem, naszych tekstach i naszej muzyce. Już wcześniej różni ludzie naciskali, żebyśmy lekko złagodzili przekaz, nazwę, skupili się na takich numerach jak „Nienormalny”. Jak mieliśmy złagodzić? Nazwać się „Śmierciunia Kliniczna”? „Zgonik kliniczny”? „Śmierotka”? Moja stała odpowiedź na wszelkie próby skomercjalizowania zespołu brzmiała:

W-Y-P-I-E_R-D-A-L-A-Ć!

Jednocześnie żal mi było, że nie możemy nagrać płyty. Na poważnie zacząłem myśleć o przeprowadzce do Warszawy. Tam biło serce tego całego śmiesznego show biznesu. Tam można było być na bieżąco, podtrzymywać kontakty. Z Gliwic naprawdę było daleko. No, takim przemilczanym przeze mnie argumentem było to, że w stolicy mam dziewczynę. Ideę wyjazdu do Warszawy popierał Marek Czapelski. Cóż, on też miał w stolicy dziewczynę. Jednak reszta nie chciała i już.

Było coraz gorzej. Jałowe próby, głupie teksty. Aż w końcu usłyszałem od kolegów, że nie chcą, bym był kierownikiem zespołu. Bo: jestem próżny, mam wodę sodową, dziennikarze rozmawiają ze mną, a nie z nimi, tłumię ich pomysły i... I kolejne sto milionów powodów.

Nie wiem, być może taki byłem. Może taki jestem. Jednak przy tych wszystkich wadach jako lider doprowadziłem zespół całkiem wysoko. No, a gdy usłyszałem, że oni chcą teraz demokratycznie tworzyć i zarządzać zespołem, to wiedziałem, że nic z tego nie będzie.

Zresztą, czas pokazał, że miałem rację. Zespół zakończył działalność rok po moim odejściu. Zagrali tylko jeden koncert. Bicie piany trwało tygodniami, nic z niego nie wynikało.

Ćwiczyliśmy stary repertuar, bo do zespołu doszedł kolejny wybitny jazzman Mateusz Pospieszalski. Aranżowaliśmy utwory na saks i trąbkę. Dzięki temu nie musieliśmy się męczyć ze sobą i nowymi utworami.

W ramach demokratycznych pomysłów chłopcy ściągnęli na próbę jakąś orkiestrę dętą. Nic z tego nie wyszło, nawet nie pamiętam, jaki numer mieliśmy razem grać.

Zresztą tak naprawdę ja już wiedziałem. Wiedziałem, że niedługo odejdę. Nagram tego drugiego singla i sobie pójdę.



Jerzy Mercik, Śmierć Kliniczna, Jarocin 1983;
fot. Ryszard Gajewski

Piwnica



Marek Czapelski Jarocin 1984
foto mr makowski

Można było do niej wejść z Placu Inwalidów. Jednak zazwyczaj dozorca Sowa zamykał drzwi. Pozostawało wtedy wejście od strony Rynku, przez główną bramę. Wchodziłeś, po lewej stronie widziałeś drewniane, żółtawe drzwi do Gwarka. Po prawej stronie, na końcu były kolejne, brązowe drzwi. I stalowa krata, wieczorami zamknięta.

Krata chroniła nas od złego. Za kratą po prawej stronie był Śląski Jazz Klub, w górę wchodziło się do Miejskiego Ośrodka Kultury, a kilka stopni w dół wiodło do kolejnych drzwi prowadzących na podwórze. Te też zamykaliśmy na klucz, by ochronić się przed złym.

Za drzwiami rozciągało się podwórze z kontenerami na śmieci. Na podwórzu niepodzielnie rządziły (i rządzą do dziś) szczury. Hordy szczurów. Skręcało się po schodach w prawo, w lewo, wąskim przejściem w lewo i stawało się przed kolejnymi drzwiami. Zamkniętymi. Tak, tak. Przed złym.

To była nasza piwnica. Śmierć Kliniczna nigdy nie była zespołem garażowym. Garażowe to mogły być kapele amerykańskich burżujów, których rodzice mieli jednorodzinne domki.

My, dzieci bloku i obsyfiałej kamienicy graliśmy w piwnicy.

Zapraszam do środka, śmiało. Trzeba patrzeć pod nogi. Kiedyś, już za czasów Absurdu w korytarzyku przy wejściu spaliła się żarówka. Ciemności panowały ponad miesiąc, nikt nie pamiętał, by kupić nową. Może w sklepach nie było? Otwieraliśmy drzwi i po ciemku skręcaliśmy w prawo, do drugiego pomieszczenia, pełniącego funkcję graciarni.

Cały czas pod nogami czuliśmy coś miękkiego, trochę też śmierdziało. Gdy w końcu Lumpaj, wokalista Absurdu wkręcił żarówkę, zobaczyliśmy dziesiątki martwych szczurów, które zalegały w całym pokoju. Prowadzono akcję deratyzacyjną i one przychodziły tam zdychać. Do dzisiaj mam ten obraz przed oczami. Takie szczurze milczenie owiec, prawda? Dzielny Lumpaj zebrał wszystkie szczurze zwłoki i powynosił na śmietnik.

Szczury to była pierwsza załoga Śmierci. Marek Czapelski siadał za bębnami, uderzał w stopę, a z centrali wybiegał szczur. Było to w trzecim pomieszczeniu, w którym mieliśmy rozstawione wzmacniacze i perkusję. Po prawej była jeszcze czwarta, największa z sal, dawna łaźnia dla studentów. Cała w kafelkach. Tam też czasem robiliśmy próbę, szczególnie gdy zbierała się większa załoga, żeby nas posłuchać.

W tym trzecim pokoju, właściwej sali prób pomalowaliśmy ściany na białe. Jednak po chwili postanowiliśmy je trochę udekorować. Nie, nic oryginalnego, tylko takie ludowe hasła typu „No future”, „Punk’s not dead”, „Co się gapisz” i oczywiście znaczki anarchii.

Do piwnicy przychodziliśmy ćwiczyć gdzieś koło osiemnastej. Czasem wpadałem wcześniej, bo nie mogłem doczekać się grania. Zresztą miałem nadmiar wolnego czasu.

Każda próba startowała podobnie. Wyciągałem gitarę z pokrowca z dermy. Lekko ją stroiłem, tak żeby przynajmniej dur od mollu dało się odróżnić. Marek instalował się za bębnami, Wojtek stroił bas do mojej

gitary. I zaczynaliśmy. Często od jakiejś improwizacji, by się wyszaleć, by połamać parę sztywnych, muzycznych reguł. Potem zazwyczaj przychodził wokalista i zabieraliśmy się do regularnego ćwiczenia. Chyba, że...

– Otwierać, jesteście otoczeni! Poddajcie się! – usłyszeliśmy.

Mieliśmy akurat przerwę na fajkę, krzyk docierał z piwnicznego okienka, tuż nad naszymi głowami. Okratowane okienko wychodziło na Plac Inwalidów i to stamtąd dochodziły ryki. Jeden głos rozpoznałem, należał do dozorca Sowy, który toczył prywatną wojnę z klubem Gwarek.

– Otwierać, milicja. Natychmiast!

Usłużny dozorca sam im otworzył i przez zakamarki podwórza doprowadził do naszej salki. Weszło czterech: jeden gruby, chyba sierżant i trzech chudych. Za nimi wszedł charakterystyczny fetor. Mieszanina potu z zapachem pasty do butów i lekkim odorem stęchlizny. Takiej stęchlizny, jaka zakrada się do niezamieszkałego domku kempingowego nad jeziorem. Całość zapachu dobarwiona była dyskretną nutą przetrawionej wody i cebuli. Tak pachniało zbrojne ramię partii. Milicja Obywatelska, największy miłośnik punk rocka w czasach PRL-u.



Kołobrzeg (1984)

fot. NN

– Dokumenty.

Stałe otwarcie licytacji.

– Jaszaszko? Jaczeczko? Który to? – dukał ten gruby.

Wojtek kiwnął głową.

– Aha – Gruby ze srogą miną przeglądał podany dokument.

– Pracujecie? – wysapał.

– Jestem studentem – wyjaśnił Wojtek.

Zabolało, spojrział na mnie, widziałem, że w środku zaczyna się lekko gotować.

– A Wy?

– Jestem studentem – podałem mu legitymację studencką.

Rozejrzał się po pobazgranych ścianach. Anarchie, nołfjuczery, my w skórach. No typowi studenci, typowi. Nie mógł odpuścić przy swoich kolegach. Przez pół godziny wypytywał, co studiujemy, co gramy. Przez moment już nas chciał zabrać, potem w końcu odpuścił. Wyszli.

Teraz już jasne, czemu zawsze zamykaliśmy kratę i drzwi na klucz? Żeby zło się do piwnicy nie wkradło. Zamiast zła o wiele milej było przyprowadzić z góry jakąś koleżankę. Bajzer prosty.

– Wiesz, gram w zespole.

– Ło!

– Mamy tu próby, na dole!

– Ło!

– Chcesz zobaczyć?

Niektóre chciały, inne nie. Trzeba było jednak wcześniej choć trochę zainwestować. Przede wszystkim pójść na górę do klubu na dyskotekę. Zakupić jakieś płyny rozbawiająco-zniewalające. W Gwarku obowiązywała prohibicja, nie handlowano alkoholem. Jednak już wtedy budził się neoliberalny duch polskiej przedsiębiorczości, już wtedy po klubie krążyli utalentowani młodzi ludzie o potencjale co najmniej Balcerowicza czy Petru. Pierwszym był niejaki Albin, potem z godnością zastąpił go Marian Sterylny. Gdy zagadałeś do Albina, wyciągał opasy, skórzany neseser. Robił to dyskretnie, żeby nie widzieli tego bramkarze, ani kierownictwo klubu.

To była taka gra pozorów, bo przecież wszyscy wiedzieli, co Albin ma w neseserze. A miał same dobroci: parę flaszek wódki i kilka gatunków fajek. Ceny miał oczywiście wolnorynkowe.

Jak już się kupiło, to można było poszukać miłego towarzystwa. Dyskoteki przyciągały tłumy. Ach, te ciuchy, fryzury i stylówka z lat osiemdziesiątych. Te wszystkie małe lejdi pank, w trwałych lub w tapirowanych włosach. Ci wspaniali mężczyźni z wąsami i grzywkami, z dumą noszący białe skarpetki do węgierskich, czarnych mokasynów. To właśnie wtedy narodził się kanon piękna, pielęgnowany do dziś przez muzyków disco polo.

Gdy tak się oglądało to dyskotekowe towarzystwo, to naprawdę chciało się być punkiem, chciało się być innym. Tapirowana młodzież Orwella nie czytała, na sztuki Kantora nie chodziła (przyszpnowałem, byłem raz w życiu, na „Umarłej Klasie” w Stodole), a zamiast filmów Herzoga wołała „Kaligulę”. Słowem: zdrowe, jądro narodu. Tapirowane. Towarzyszyła im ta ohydna muza, która niosła się po całym klubie.

Dziwne, ale dzisiaj wydaje mi się o niebo lepsza, od współczesnej klubowej łupanki. No to chlup, Geriavicik z rana!

Lecz na szczęście oprócz „dyskotek kurwotek pozabijać ich” klub organizował mnóstwo innych imprez. Od maratonów filmów wideo po punkowe koncerty. W latach 82-86 grali u nas wszyscy. Zarówno zachodnie punkowe zespoły takie jak Youth Brigade, Totenhosen, czy D.O.A. jak i cała czołówka polskiej sceny.

Klub też miał swoje mroczne strony. Część bramkarzy kolegowała się ze smutnymi paniami w skórzanych marynarkach. Ubecy dość często wpadali do klubu. Wolę się nie zastanawiać, ilu konfidentów pracowało czy kręciło się przy klubie. Teraz zresztą nie ma to już znaczenia. Na szczęście od całego tego zła można było odizolować się zamykając drzwi do piwnicy.

W czasach Absurdu nadal miałem próby w tej samej piwnicy, albo w łabędzkim domu kultury. Dwa razy zapracowałem na zakaz wstępu do Gwarka, wszczynając jakieś tam drobne, naprawdę drobne dymy. Moda na granie w podziemiach przyjęła się. W ten naszej gwarkowskiej grał R.A.P. i Brzytwa Ojca. Zresztą ten ostatni zespół zaczynał w zabytkowej piwnicy, położonej przy Rynku, sto metrów od tej naszej. Trochę dalej ćwiczył Generał ze swoimi kolegami z Ataku. Legenda głosi, że te wszystkie działania łączyły się w Gliwicką Alternatywną Scenę. Teza trochę na wyrost, bo oczywiście, wszyscy się znaleźliśmy i kolegowaliśmy, natomiast nie podejmowaliśmy żadnych wspólnych działań (tak jak gdańska scena alternatywna). Może szkoda, może trzeba było połączyć siły?

W piwnicy działy się rzeczy ważne. Właśnie tam Merc w trakcie imprezy oświadczył, że opuszcza Śmierć Kliniczną. Tam po paru miesiącach głównym wokalistą został Szafir. Tam siadywaliśmy z ekipą Absurdu i przy kiepskiej, słodkiej wiśniówce rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym.

Czasem lubiłem przyjść do piwnicy tuż po obiedzie. Usiąść w zdezelowanym fotelu z czerwonej skóry i zatonać we własnych myślach. W piwnicy, Czapelski i ja przez parę chwil zakładaliśmy kapelę z Ozzim z Made in Poland i z Franzem Dreadhunterem. W piwnicy godzinami kiblowali nasi załoganci, gdy z Rynku wygonił ich chłód, deszcz, albo źli ludzie w śmierdzących uniformach. Tam nagrywaliśmy swoje taśmy demo, które do dziś gdzieś krążą po świecie i nadal są słuchane. Tam powstawały nasze utwory i niektóre teksty. W piwnicy celebrowaliśmy urodziny i inne nasze święta.

Kiedyś z Lumpajem i jego kumplem Finią obchodziliśmy tam hucznie Nowy Rok. Sylwestra spędzaliśmy w Zabrze u Marleny, perkusity Absurdu. Miało być „a, e” i „y”, niestety wyszło normalnie, po punkowemu. Marlena zaprosił Dudka, który przyjechał pełen nadziei na dobrą zabawę. Nie pił wtedy, dlatego doznał szoku, widząc nasze punkowe tempo. Dwunastą pominęliśmy, za to o czwartej rano byliśmy w szczytowej formie. Sterroryzowaliśmy tramwaj i wróciliśmy do Gliwic, na Rynek, do piwnicy.

Biedny Irek, znów miał kontakt z tą patologią od której uciekał. W końcu uciekł, po ślubie kościelnym rzucił alkohol. Dobrze zrobił, bo pewnie skończyłby źle, w bluesowym rynsztoku.

Ale w życiu zawsze jest coś za coś. Skutkiem ubocznym abstynencji u Irka są przyływy bigoterii. Czasem bywa to męczące i wprowadza mnie w lekkie zakłopotanie, czasem po prostu bawi. Zresztą, każdy ma prawo do swoich poglądów. Dopóki nie próbuje przekonywać, nawracać, zmuszać.

Na razie nadal czerpię przyjemność ze wspólnego grania. Po koncertach i tak czas spędzamy zazwyczaj osobno. My z chłopakami staramy się kultywować chlubną tradycję rock'n'rolowych imprez.

Nie ma już tej piwnicy, nie ma już tej muzyki. W tej naszej świętej, ukochanej zagnieździł się biznes i co dziwne, jest to biznes starego załoganta Paula. Signum temporis: punkowcy biznesmenami. Skłoty odstępowane za kasę, dawni buntownicy przyspawani do fundacji dotowanych przez państwo. Nie oceniam, nie osądzam, ale wtedy trudno

byłoby mi się z takimi sytuacjami pogodzić. Młodość być może durna jest, za to czysta i jasna. Nawet w ciemnej piwnicy. Zwłaszcza w ciemnej piwnicy!



Śmierć Kliniczna, Gwarek, 1984 r.
fot. Maciej Zamorski

Parę razy odwiedziłem w ostatnich latach dawny Gwarek. Grałem w klubie Rock'a mieszczącym się w piwnicy, sąsiadującej z tą naszą dawną, kultową. Auto parkowałem na Placu Inwalidów, lecz nikt nie krzyczał, że jestem otoczony. Graty prznosiłem przez dawne podwórze Gwarka. Tak, to samo, na którym pierwszy koncert grała Śmierć Kliniczna, jeszcze pod nazwą Uśmiech Modliszki. Trochę się pozmieniało, ale smród i szczury są te same. To właśnie na tym podwórzu odbywały się sesje fotograficzne Śmierci Klinicznej czy RAP-u.

Jeśli chodzi o Rock'a to jest to klub niby fajny, lecz sterczące metalowe słupy podpierające sklepienie bardzo go psują. Akustykę ma fatalną, tak jak jego protoplasta.

Gdy jeszcze mieszkałem w Gliwicach parę Sylwestrów w latach 2000-2004 spędziłem w Gwarku. Klub należał wtedy do Rafała i Jacka, dawnych pracowników klubu studenckiego. Było nawet niezłe, jak na Sylwestra, którego szczerze nie cierpię. Rany, gdzie ja tego Sylwka nie spędzałem. Jak nie kasyno wojskowe, to jakaś knajpa pełna wieśniaków, lub moi znajomi pokłóceni i awanturujący się jak w tandetnym dramacie.

Raz spędziliśmy z Grażyną naprawdę fajnego Sylwka. W Warszawie, ileś lat temu, przy okazji programu sylwestrowego z Shakin' Dudi. Tuż po programie wsiedliśmy w taryfę i podjechaliśmy do jakiegoś szpanerskiego warszawskiego klubu. Wlot załatwił nam Marek Nowowiejski, przyjaciel z czasów podstawówki. Było super, nikt nas tam nie znał. Nikt, oprócz niespodziewanie spotkanego Pawła Karpińskiego, reżysera dokumentu o Śmierci Klinicznej. Do hotelu wróciliśmy nad ranem, budząc śpiących kolegów z zespołu i częstując ich dwoma wyśmienitymi szampanami. Wcale nie byli źli, szczególnie Tomek Pala.

Najchętniej spędzam Sylwestra grając. W 2014 miałem radochę zagrać w czasie transmitowanego przez TVP2 koncertu „Should I stay, or Should I go” i „Blitzkrieg Bop”. Zagraliśmy te kawałki z Shakin' Dudi, odziani w ramoneski.

Lubicie Sylwestra? To zapraszam do najbliższego domu dziecka, tam ileś lat temu ostatecznie obrzydło mi to absurdałne święto. Miałem osiemnaście lat, a te wszystkie opowieści, których wtedy wysłuchałem... Za mocne, za smutne, zbyt prawdziwe. W piwnicy też czasem ktoś zaczynał opowiadać swoją historię. Nie zawsze smutną, nie zawsze zabawną. Zawsze prawdziwą. Tam się nie dało kłamać.

Z Shakin' Dudi nie miałem prób w piwnicy, Dziwnie się czułem, brakowało szcurów. Na dodatek mieliśmy dostęp do bieżącej wody i do toalety. Szaleństwo w tym Akancie było, pełen wypas. Jedyнным mankamentem był dojazd z Gliwic do Katowic. Teraz z Irkiem ćwiczymy u niego w domu, natomiast generalne próby odbywamy w Teatrze Elektrycznym w Skoczowie. Pełen komfort. Wszystko słycać, każdą wersję utworu nagrywamy.

Podobnie robię z Redakcją. Najpierw spotykamy się u Bartka w domu, tam w trio uczymy się utworów, robimy poprawki, ustalamy tempa. Dopiero potem gramy z wokalem, już na pełną setkę.

Gorzej, gdy czasem trzeba się spotkać wcześniej rano. To dla mnie mordęga. Niestety część moich kolegów żyje w jakimś okrutnym, dzikim świecie, w którym wstaje się o godzinie szóstej rano. Dla nich dziewiąta to środek dnia, dla mnie to dopiero jego początek.

Po tych kilku latach spędzonych w piwnicy z radością przychodziłem ćwiczyć do klubów lub do domów.

Właśnie w domu z Luckiem Gryską robiliśmy Darmozjady. Fotel, kawa, magnetofon. Za to chwilowy epizod z Chuliganami stanowił lekki powrót do przeszłości. Pierwsze próby mieliśmy w słynnej chorzowskiej Leśniczówce. Tam spaliśmy, jedliśmy i graliśmy.

Na początku wspomógł nas Andrzej Ryszka, natomiast stałym bębniarzem został Artur Hajdasz. Artur mieszkał w Muszynie, niedaleko Krynicy. Po przygodzie z Made in Poland dalej próbował utrzymywać się z muzyki, jednak życie zmusiło go, by dorabiał graniem w knajpie. Grał w zespole, w którym śpiewała jego mama. Dlatego na próby z Chuliganami pojechaliśmy do Krynicy. Byłem wtedy Błogosławionym Niepijącym, niemniej był to jeden z najbardziej rozrywkowych i sympatycznych wyjazdów w życiu. Pograliśmy, poćwiczyliśmy, pohałasowaliśmy, nawet nie pamiętam, co to była za sala. Pewnie dom kultury. Po kilku godzinach skończyliśmy. Ja nie spożywałem, natomiast koledzy mieli wyraźną ochotę na mocnego drinka. Wtedy zgłosił się jeden z miejscowych chłopaków, którzy przyszli posłuchać, jak gramy.

- Panie Darku, co potrzeba? Wszystko załatwię!
- Pół litra dla chłopaków i jakąś oranżadę. – zamówiłem
- Zaraz będzie...
- No i przyprowadź jakieś sympatyczne panny – zażartowałem
- Ile?
- Piętnaście.



Shakin' Dudi, Rockowisko 84;
fot. mr makowski

Kwadrans później wszedł z butelką wódki, butelką oranżady i piętnastoma uroczymi, rozbawionymi autochtonkami. Tak to bywa, gdy ktoś poważnie traktuje moje wypowiedzi. Daruję sobie opis następnych dni, w każdym razie było bardzo sympatycznie i zabawnie. Szczególnie, gdy z Andrzejem usiłowaliśmy poderwać w kawiarni trzy urocze dziewczyny.

– No, idź zagadaj.

– Nie, ty idź, ja nigdy tak na trzeźwo...

Ostatniego dnia wracaliśmy z jakiejś knajpy koło trzeciej rano. Śpieszyliśmy się na poranny autobus, by wrócić do domu. Nagle, z parterowego domu, przylegającego do chodnika wychodzą dwie śliczne, naprawdę śliczne dziewczyny, lekko trafione i zagadują do nas:

– Chłopaki, chodźcie na drinka!

– Ale my wyjeżdżamy, zaraz wyjeżdżamy.

Grek Zorba nie byłby z nas zadowolony.

„Psa od Luizy” robiliśmy z Mercem u mnie w domu. Kawka, petko, balladka i moja papuga Lola fruująca nad głowami. Opracowywaliśmy utwory bez napięcia, bez żadnych oczekiwań. Zupełnie spontanicznie i naturalnie. Bez pośpiechu, bez zobowiązań i bez marketing planu. Podobnie po kilku latach, gdzieś w okolicach 2010 r znów zagraliśmy w dwójkę na akustykach. Było to na Sylwestra. Repertuar mieliśmy wtedy bardzo, ale to bardzo hippisowski, włącznie z „Hey Jude” i „Are You Going to San Francisco”. Bisowaliśmy kilka razy.

DiM ćwiczył w zaprzyjaźnionej piekarni. Redakcja z kolei przez pewien czas w pomieszczeniu należącym do Domu Kultury w Skoczowie. Taki niski pokoik obity wytłaczankami do jajek. Czułem się jak kurczak. Długo tam nie wytrzymałem.

Ponoć niedobrze, gdy czas przeznaczony na próby jest większy niż łączny czas koncertów. W Śmierci ćwiczyliśmy sześć razy w tygodniu. Granie wypełniało całe moje życie, wszystkie inne czynności były tylko dodatkiem. Centralnym wydarzeniem dnia była próba. Czasem, rzadko, stanowczo za rzadko, takim wydarzeniem bywał koncert. Potem, tak nieświadomie, niechcący zostałem profesjonalistą.

Profesjonalista to inaczej zblazowany amator.

Coraz mniej czasu przeznaczałem na trenowanie. Kilka spotkań, trochę przygotowań w domu i wchodziło się do studia, żeby nagrać nowy materiał. Niby ma się lepszy warsztat, niby technicznie jest się sprawniejszy. Ba, po

kilku latach grania ktoś mi opowiedział o magicznym urządzeniu zwanym metronomem. Szkoda, że w czasach Śmierci czy Absurdu nikt nam nie poradził, by z tego cudu techniki skorzystać.

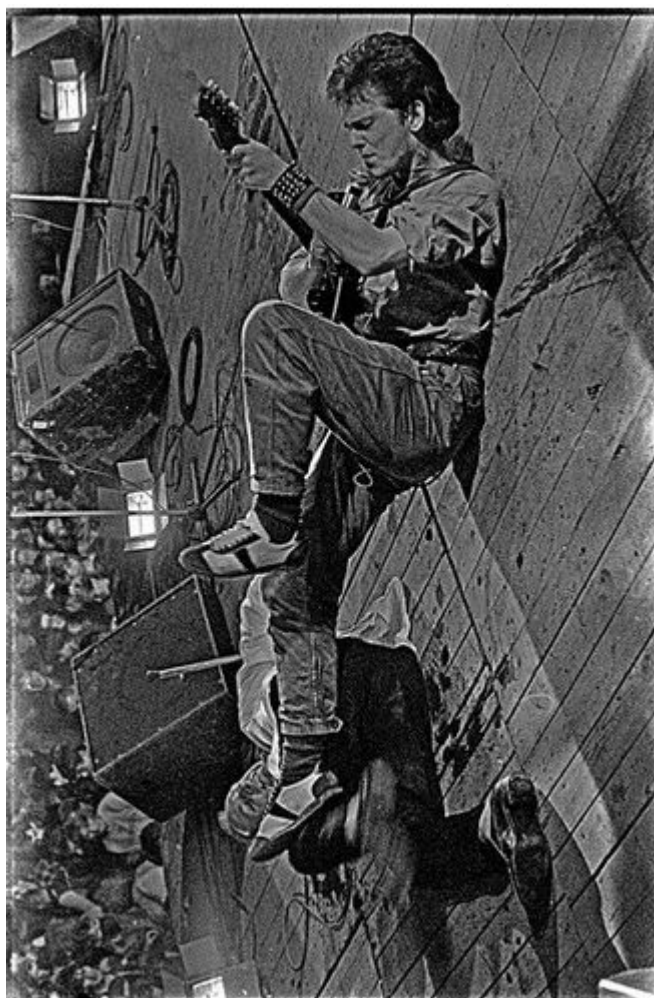
Niestety, przykro o tym mówić, ale wielu muzyków profesjonalnych i pretendujących do tego miana szczerze nienawidziło punk rocka i rock'n'rolla. Nienawidzą do dziś, zerknijcie na fora dla gitarzystów. Nie kumali, o co w tym wszystkim chodzi. Nadal nie kumają. Nie dawali nam wtedy rad, nie pomagali.

Teraz rolę piwnicy przejął komputer. Nikt z kolegów nie ma czasu, żeby ćwiczyć godzinami, żeby godzinami poszukiwać. Eksperymentować. Każdy jest zajęty bieganiną za tą kromką chleba. Inni dodatkowo biegają za masłem do tego chleba.

Trochę zazdrozczę małodatom, którzy nadal dzień w dzień przychodzą do piwnicy i naparzają. Tylko, czy tacy jeszcze są?



Shakin' Dudi, kręcenie teledysku, 1984 r.
fot. mr makowski



Jarocin 1984 Shakin' Dudi
fot. mr makowski

Rozdział 6

Drr... Drr... Drr...

Telefon dzwoni i dzwoni. Wreszcie Gośka podnosi, chwilę rozmawia i mnie woła. Od kilku dni siedzę w Warszawie u mojej dziewczyny. Obijam się, czytam książki, słucham muzy. O Śmierci Klinicznej nie chce mi się myśleć.

– Darek, do Ciebie – podaje mi słuchawkę.

Słyszę głos Wojtka Kurdziela, naszego dawnego menadżera.

– Cześć Chudy, słuchaj, tu obok jest Irek Dudek i chciałby z Tobą pogadać. Znasz Irka? – pyta Wojtek.

Chudy to moja ksywka, gdyby ktoś nie wiedział. Obecnie raczej nieaktualna.

– Znam, byłem na jego dwóch koncertach.

Chwila przerwy i słyszę obcy głos w słuchawce:

– Cześć, mówi Irek Dudek. Słuchaj, nie zagrałbyś dwóch koncertów ze mną? W Katowicach, w Hali Parkowej. Zagrałibyśmy kilka standardów rock'n'rollowych. Widziałem, jak grasz w tej Śmierci i to by pasowało...

– Czemu nie, mogę zagrać – zgodziłem się. Zawsze byłem otwarty na nowe propozycje, a Dudek mimo tego, że należał do innej muzycznej parafii nie był jakoś szczególnie obciachowy. Taki naturszczyk, zakochany do spodu w bluesie.

Zresztą, chodziło o dwa koncerty. Umówiliśmy się na próby.

– Aha, Kurdziel mówi, że piszesz teksty. To może byś coś naskrobał, zagrałibyśmy coś swojego.

– Zobaczę.

Z Wawy do Gliwic jechało się wtedy pięć godzin. Za to było o wiele więcej połączeń niż obecnie. Siedziałem w pustym przedziale, z nudów paliłem fajkę za fajką. Aha, ten Dudek chciał jakiś tekst.

W torbie miałem jakieś luźne kartki i długopis. O czym by tu napisać? Wpatrywałem się w tę kartkę, aż nagle przypomniała mi się pewna koleżanka, którą kiedyś poznałem po koncercie. No i poszło. „Opakowanie” napisałem w kwadrans. Hmm, ale czy to nie za mało poważne?

Pisząc teksty dla Śmierci rzadko pozwalałem sobie na szczyptę ironii czy żartu. A tu takie głupoty! Chwilę później miałem jeszcze większy dylemat. Tak, bo napisałem „Au sza la la la”. Wbrew pozorom tekst nie jest ani o mnie, ani o Irku. Irka zresztą nie znałem, nie wiedziałem, ile miał lat. Na pewno nie pięćdziesiąt trzy, chociaż dla mnie, bezczelnego punkowca, wydawał się raczej stary. Określenie stary oznaczało dla mnie kogoś powyżej trzydziestki. Potem dowiedziałem się, że dzieli nas dziesięć lat. Tak naprawdę do napisania tekstu zainspirowało mnie kilku znajomych „wiecznych studentów”. Byli tacy, którzy studiowali przez kilkanaście lat, odsuwając wątpliwą przyszłość i karierę na później. Chyba ich rozumiałem...

Przywiozłem te teksty do katowickiego Akantu. Tak do końca nie miałem do nich przekonania, gdy zerknąłem do nich przed próbą, wydawały mi się głupie i prostackie. Ja to proszę Państwa wieszcz, poeta, cierpiałem za miliony ziarenek piasku. A tu co? Jakaś dupa w opakowaniu i pięćdziesięcioparoletni frajer na garnuszku rodziców.

Reakcja Irka, a potem innych kolegów zaskoczyła mnie potężnie.

– Super, o właśnie, idealnie do mnie pasuje – śmiał się Dudek. Dosiadł się do Krzyska Głucha, siedzącego przy pianinie. Zaczął nierówno i nieudolnie grać kilka akordów.

– Głuchy, powtórzysz? – spytał pianisty. Krzysiek skinął głową. Grał podkład, a Dudek na bieżąco wymyślał linię melodyczną. Cały proces kompozytorski trwał mniej więcej kwadrans. Tyle, ile wcześniejsze napisanie tekstu. „Opakowanie” Irek zrobił jeszcze szybciej. Do tego poćwiczyliśmy kilka standardów i szlus. Dwie próby i na koncert.

Dla mnie szok, po raz pierwszy grałem z tak dobrymi muzykami. Na pianie Krzysiek Głuch, na basie Andrzej „Karwa” Rusek, na saksie Marian Koziarz. A na bębnach Czapelski, którego namówiłem na te dwa koncerty. Marek swoim żywiołowym, punkowym stylem grania dawał całości niesamowity napęd.

Organizatorem koncertu w Hali Parkowej był Leszek Winder, znany śląski gitarzysta i bluesman. Pozapraszał różnych wykonawców, głównie ze Śląska: Andrzeja Urnego, Ryśka Riedla, Romka Wojciechowskiego. Słuchając śląskich muzyków, miałem wrażenie, jakbym cofał się w czasie. Tak, wtedy to dla mnie był muzyczny skansen. Grali bluesy i standardy z lat sześćdziesiątych.



Hala Parkowa, debiut Shakin' Dudi (1984)
fot. mr makowski

Za to, gdy wyszliśmy z Dudkiem wszystkim opadła kopara. Irek wymyślił, żebyśmy spróbowali ubrać się w miarę stylowo. Wyszło, jak wyszło, ale i tak wyróżnialiśmy się ubiorem. Saksiarz miał białą marynarkę, Karwa białą koszulę, kamizelkę i krawat. Krzysiek Głuch i ja mieliśmy marynarki, a Irek czarny garnitur, białą koszulę i wąski krawat typu „śledź”. Chociaż później zdarzało się, że Dudek występował w ramonesce i pilotce, ja też kilka koncertów zagrałem w papie. Jednak najczęściej ubieraliśmy się w marynarki, wąskie spodnie, jasne koszule i krawaty. W Hali Parkowej wyglądaliśmy tak, jak graliśmy, to znaczy świetnie! „Tutti frutti” czy „See you later alligator” poderwało ludzi do zabawy.

Dużo z tego koncertu nie pamiętam. Zresztą dzień później była powtórka, tak samo dobra. Bardziej utkwiło w mojej głowie after party.

To właśnie tam w oparach alkoholu narodziła się nazwa Shakin' Dudi. Coś tam rzucił Marek Wiernik, coś tam dopowiedział Irek – tak do końca trudno ustalić ojcostwo. Nieważne. Wiele rzeczy powstawało wtedy przypadkiem, spontanicznie, tak od niechcenia.

Marek zaprosił nas na Rock Arenę, do Poznania. Musieliśmy dorobić trochę repertuaru. Znów Akant, znów próby, znów kompozycje błyskawiczne.

– Darek, a może... Może postarałbyś się taki całkiem kretyński tekst napisać? – w trakcie krótkiej przerwy spytał Dudek.

– Hmm, nie wiem, czy mi się uda, ale spróbuję.

Następnego dnia przyniosłem „To ty słodka”. Chyba udało się osiągnąć zamierzony cel.

Zamiast Mariana Koziarza na saksie zaczął grać Janek Błędowski. Okazało się, że ten świetny bluesowy skrzypek potrafi zadać w saks z charakterystyczną, rock’n’rollową chrypą. Nieważne dźwięki, liczyła się chrypa. Na dodatek Janek miał dwugłośnikowego Fendera, którego mi pożyczał. Chrypa i Fender – musiał z nami grać! Karwa grał na jakimś dziwnym elektrycznym kontrabasie. Robił to rzadko, bo większość próby spędzał ganiając po Katowicach i załatwiając różne sprawy, zleczone mu przez żonę.

Atmosfera była luźna i bojowa i nie byli jej w stanie zepsuć różni muzycy, którzy już w tamtym czasie wicherzyli przeciw Dudkowi. A gdy osiągnął sukces, to przez długie lata wielu muzykantów nie mogło mu tego sukcesu wybaczyć. Oj, nie lubili go! Zresztą z wzajemnością.

Któregoś ranka wstałem, zjadłem śniadanie, za godzinę miałem pociąg do Katowic, na próbę. I nagle zaświtało mi, że miałem naskrobać nowy tekst, do ballady. Przypomniało mi się o tym fackie w kiblu. Właśnie tam napisałem „Ziute”.

Wiem, lekko obrzydliwe. Narodzie wybacz!

W ogóle Ziuta miała mieć pięć zwrotek, a nie cztery. Lubiłem wtedy puenty i w piątej zwrotce zamierzałem właśnie takie zakończenie zastosować. Niestety, nie zdążyłem, pociąg nie chciał czekać. Próbowałem wytłumaczyć Irkowi, że trzeba dopisać tę piątą zwrotkę, ale on stwierdził, że cztery wystarczą. Jak każdy wokalista, nie lubił zbyt długich tekstów.

Niestety, radość grania z Ireneuszem zakłócały dwie sprawy. Pierwszą było moje nieuchronne rozstanie ze Śmiercią Klinikzną. Czułem, że nadszedł czas, by powiedzieć o tym chłopakom. Drugą sprawą był mój wyjazd zagranicę na stypendium z uczelni. O ile przedmioty związane z elektrycznością budziły moje obrzydzenie, o tyle lubiłem zajęcia z języka francuskiego. Lubiłem i chętnie uczyłem się tego pięknego, melodyjnego

języka. Nawet teraz, po zażyciu płynu na odwagę, mógłbym zaśpiewać sznaps barytonem: „Champs-Élysées” albo wyrecytować Paula Éluarda.

No, trochę bajeruję, wyrecytować to ja mogę dwie pierwsze linijki. „Il y a des mots” czy jakoś tak. W każdym razie byłem najlepszy z francuza na całym roku.

Zostałem wytypowany do wyjazdu na stypendium do Francji.

Gdy usłyszałem o tym, o mało nie zemdlałem.



Shakin' Dudi, kręcenie teledysku, 1984 r.
fot. mr makowski



Shakin' Dudi: Dudek, Głuch, Bruślik, Poznań, Rock Arena (1985)
fot. mr makowski

Pierwszą myślą, która zakołatała mi w łepetynie było” „Nie wrócę! Spierdołę i nie wrócę!”. W końcu w moim brudnym, syfiastym tunelu pojawiło się światło. Co prawda Generalissimus odwołał wojnę już w 83 roku, ale nic to nie zmieniło. Bieda, syf, beznadzieja. Zomole, ubecy, szpicle, zadymy pod Kościołami. A tu Francja, Francuzki, Arsène Lupin.

Hmm, tylko muzyka ciulata. Jedyнным nowofalowym zespołem, który znałem był Plastic Bertrand. Zresztą był z Belgii, a nie z Francji.

Ale potem przyszła nieco głębsza refleksja. Tutaj miałem cały świat: rodziców, dziewczynę, zespół. Chociaż zespół właśnie się rozpadał... Z dziewczyną bywało różnie. Dobra, postanowiłem zdecydować tam na miejscu, na tej francuskiej ziemi obiecanej.

Najpierw trzeba było wypełnić mnóstwo papierków, zaświadczeń (w tym z Wojskowej Komisji Uzuppełnień). Któregoś dnia mama, z przejętą bladą twarzą wręczyła mi jakiś urzędowy świstek. Wezwanie na SB. Trochę słabo mi się zrobiło. Poszedłem jak na ścięcie.

Nie wiem, skąd się wzięły te mity o tępcie ubeków? Pan, który ze mną rozmawiał był inteligentny, dowcipny i niestety doskonale zorientowany. Wiedział wszystko, co się dzieje w Gwarku, wiedział z kim gram, z kim chodzę na zajęcia. Byłem bardzo skupiony, by nic nie powiedzieć. Ulotki w Gwarku? Nie widziałem. Działalność opozycyjna? Nie słyszałem. I tak dwie godziny. Pytał też oczywiście o wyjazd do Francji, sondował, czy wrócę, czy nie.

Zabolało. Bardzo zabolało, gdy parę dni później wezwano mnie do rektoratu i zakomunikowano, że na stypendium nie pojedę. Ponoć pojechała córka kogoś z władz uczelni. Nie wiem, co zadecydowało, może ta rozmowa na ubecji, może coś innego. Tym bardziej nie miałem serca do sesji, egzaminów i zaliczeń. Wziąłem kolejny urlop, tym razem okolicznościowy.

Drugi singiel Śmierci Klinicznej nagrywaliśmy na początku maja. Przekazałem kolegom moją decyzję o odejściu z zespołu. Na ich prośbę zgodziłem się zostać do końca sierpnia, ostatnim koncertem miał być Jarocin 84.

W studio pojawił się Walter Chełstowski. Długo rozmawialiśmy, on planował rozpoczęcie działalności producenckiej. Zresztą chwilę później to zrobił, zaczął nagrywać i produkować zespoły (m. in. R.A.P.). Miałem wrażenie, że liczył też na Śmierć Kliniczną, a moja decyzja o odejściu nieco zaburzyła jego plany. Nagraliśmy „Jestem ziarnkiem piasku” (Saharę) i „Psychopatę”. Mimo średniej atmosfery panującej w studio, sprężyliśmy się i daliśmy czadu. Szkoda, że z powodu ingerencji cenzury „Psychopata” nie wszedł na singla. Może przez „generała”, może przez refren. Czort znajet. Zamiast „Psychopaty” na singlu znalazła się piosenka „ASP”, nagrana podczas poprzedniej sesji.

Za to z „Edukacją” zrobił się ponoć niezły cyrk. Piszę ponoć, bo to niepotwierdzone plotki. Jednak docierały do nas z wielu różnych źródeł. Otóż, któryś z dziennikarzy Trójki jako premierowy utwór puścił na antenie „Naszą edukację”. Puścił raz i natychmiast interweniował jakiś półgłówek

z KC. Partia obroniła polską młodzież przed słuchaniem wrogiej piosenki, atakującej socjalistyczny system nauczania!

„Edukacja kopulacja” dostała szlaban.

W ogóle z tą cenzurą cały czas były jakieś jazdy, szczególnie na dużych koncertach. Na mniejszych imprezy cenzura była łagodniejsza, sam chodziłem i bajerowałem panie, przerażone tekstem „Zarąbałem Cię siekierą”, czy inną naszą poezją. Za to na Jarocinie, czy innych większych festiwalach cenzura ingerowała mocniej. Niektóre utwory wywalą, w innych dokonywała skreśleń. Ciekawe, jak ten biedny wokalista miał się do tych skreśleń zastosować? Śpiewać z kartki zatwierdzonej przez cenzora?

Dlatego olewaliśmy zupełnie zalecenia cenzury, oni i tak nigdy tego nie sprawdzali. Odbijali to sobie w radiach, telewizji i wytwórniach.

Kilka dni później wyładowałem w Poznaniu. „Rock Arena” przyciągnęła tłumy ludzi. W sobotę zagrałem dwa koncerty. Najpierw ze Śmiercią Klinikzną. Po dwóch godzinach z Shakin' Dudi. Uff, naprawdę ciężki dzień. Śmierć zagrała tak sobie, za dużo było dłużyzn, za długie były solówki dęciaków. Pozbawiło to koncert mocy i ekspresji. Za to mocy i ekspresji nie brakowało na koncercie Shakin' Dudi. Dudek szalał, ja biegałem, Krzysiek Głuch demolował fortepian, grając na nim nogą. Mimo, że nikt nie znał naszych piosenek, cała publika oszalała. Marek Czapelski nabijał szaleńcze tempa, Błędowski warczał swoim saksofonem.

Dzięki temu występowi dostaliśmy zaproszenie na Jarocin, na Fameę, a także do nagrania singla dla Tonpressu. Jak w amerykańskim śnie, prawda? Jednak, gdy wracaliśmy, zaczęły się w autobusie jakieś dziwne dyskusje: ktoś chciał występować anonimowo, ktoś pod pseudonimem. Jakiś ból dupy narastał z każdym, kolejnym drinkiem. No tak, poważni muzycy, a tu takie niepoważne dźwięki. Irek z kolei też się nadał, prawie że kolegów chciał pozwalniać. Ach, ci muzycy, jak dzieci! Miałem zupełnie w nosie te wszystkie ambicjonalne problemy. Tak samo jak finansowe rozliczenia i pretensje, które w większości zespołów się pojawiają prędzej czy później (na szczęście w Śmierci ich nie było). Liczyło się jedno, zrobiliśmy z Dudkiem fajne piosenki. Muzyka, muzyka na pierwszym planie.

W czerwcu zagraliśmy ze Śmiercią na Pomorzu krótką trasę koncertową z Klausem Mitffochem. Poznaliśmy ich pół roku wcześniej, grali

w gliwickim Gwarku. Początkowo podchodziliśmy do nich nieufnie, bo wygrali jakiś przegląd pod patronatem ZSMP. Ale koncert bardzo nam się spodobał, a i muzycy okazali się być w porządku. Lubiłem wtedy styl grania Marka Puchały, totalnie nowofalowy, wręcz zdigitalizowany. Dużo dobrego robili tam gitarzyści no i oczywiście Lechu, taki trochę stingowy i melorecytujący swoje genialne, podszyte absurdem teksty.

Fama 84 jak to Fama. Dużo muzyki, dużo zabawy. Kolejny udany koncert z Shakin' Dudi. Ze Śmiercią natomiast zagraliśmy wraz z W.C., T. Love i Apogeum koncert „Walka o przetrwanie”. Znow na scenie była ta dawna magia, graliśmy bez dłużyzn i zbytich udziwnień. Wypełniony po brzegi punkami amfiteatr to docenił. Zagrałem też dwa koncerty z big bandem Heńka Gembalskiego. Tym big bandem, który po chwili przekształcił się w „Young Power”. Niestety, nie mogłem zagrać z nimi na Jazzie nad Odrą, dlatego zastąpił mnie Andrzej Urny.

Proszę Państwa: ten jazz jest bajecznie prosty! Na próbach spisałem sobie akordy do wszystkich utworów. Szczególnie jeden zapis utkwił mi w pamięci. „Okolice A”. No to grałem w tych okolicach A.

Pierwszy koncert graliśmy w amfiteatrze. Dwie perkusje, na jednej Serek z Tie Breaku, na drugiej Czapelski. Dwa basy: Marcin Pospieszalski i Andrzej Rusek. Do tego tabun dęciaków z przodu: Korek, Duży, Popek, Kinior i dyrygujący nami Henio Gembalski. No i ja, z odkręconym zupełnie w prawo gwizdzącym i sprzęgającym się Marshalllem.

Heniek w czasie koncertu chodził od muzyka do muzyka ze skórzaną teczką, w której miał płyn regenerujący marki „Bałtyk”, czasem odstawiał torbę i sięgał po skrzypce. Sekcja dęta albo grała, albo usiłowała wczłogać się pod folię, którą była wyłożona scena. Totalny odjazd, totalne wariatkowo. Czyli to, co na scenie lubię najbardziej.

Z Famy wyruszyliśmy w dwie kapele: Shakin' i Śmierć. Bardzo wesoły autobus. Z oboma zespołami zagrałem na Rocku nad Bałtykiem. Ekipa punków z Kołobrzegu zaczęła kręcić teledysk do „Edukacji”. Filmowali nas, filmowali załogę. Ale ślad po tym filmie zaginał. Mam tylko parę pamiątkowych fotek.

Śmierć znow dobrze zagrała, co na pewno powodowało u mnie lekki dyskomfort psychiczny. Jednak trochę żal było odchodzić. Na szczęście Jarocin 84 zupełnie ten dyskomfort zlikwidował. Chciałem przed rozpoczęciem koncertu zapowiedzieć, że opuszczam swoją kapelę, ale moi

koledzy dostali strasznej sraczki, że to im zepsuje karierę. No dobra, odpuściłem.

Nie zagraliśmy wybitnie, jednak znów nie żarło. Bez szaleństwa, bez emocji. Tak też zostaliśmy przyjęci. Moja dziewczyna była wśród publiczności, słyszała narzekania i żale, że to nie ten sam zespół, co w 83 roku. Chociaż może zbyt surowo oceniam ten występ, niektórym się podobał. Oto recenzja Mirosława Kowalskiego: „Przepraszam gości festiwalu, a zwłaszcza Klause Mitffocha, Śmierć Kliniczną, Osjan, Stanisława Sojkę z zespołem i Shakin’ Dudiego, że tym razem o nich ani słowa. Byliście wspaniali”.

No właśnie, Shakin’ Dudi. Dzień wcześniej z Irkiem i przyjaciółmi zagrałem jeden z najważniejszych i najlepszych koncertów w życiu. To był piątek, pamiętam dokładnie. Staliśmy przed sceną, ubrani w czarne garnitury, skoncentrowani i trochę przejęci. Na scenie próbował zainstalować się zespół Hak, zwycięzca zeszłorocznego konkursu debiutów.

Ale publiczność nie chciała zespołu Hak. Coś publice z tym konkursem nie pasowało. Przy akompaniamencie gromkiego „Wypierdalać” leciały kamienie, pomidory i worki z maślanką. Niefajna sytuacja, żadnemu wykonawcy nie życzę. Żal mi ich było.

Zagrali z dwadzieścia sekund, potem musieli zejść ze sceny.

Wleciałem z gitarą, zacząłem się montować. Tłum nadal warczał. Jak wkurwiony rozplaszczony kundel, który kalkuluje, czy ugryźć czy nie. Dobrze, że kamienie już nie leciały. Nasza szóstka kontra pogrążony w ciemnościach kilkunastotysięczny tłum.

Nie pamiętam, którym numerem zaczęliśmy, jednak po pierwszych kilkunastu taktach ucichł złowrogi pomruk tłumu. Na następnej zwrotce już podrygiwali, a przy następnym utworze wzbiły się tumany kurzu. Ruszyło pogo większe niż na Siekierze. Bawili się punkowcy, bawili się metalowcy, bawili się wszyscy. Dudek skoczył w publikę, chwilę później zaczął polewać ją wodą, wywalił z hukiem mikrofon. Tradycyjnie zdemolowaliśmy pianino, wylądowałem na plecach, do ucha grał mi saksofon. Kurz aż dusił, z trudem łykałem powietrze, oczy łzawiły. Zagraliśmy „Something else”, potem „Tutti frutti”. Finał. Koszulę miałem zupełnie mokrą od potu, serce waliło jak szalone. Jeszcze bis! A potem niekończące się gratulacje, pompowanie sodówki i takie tam. Próżność nad

próżnościami. Ale dla takich 45 minut na scenie warto było przejść tę całą drogę.

I tak, zupełnie nieświadomie z punkowego undergroundu trafiłem do głównego nurtu polskiej muzyki rozrywkowej. Trochę dziwnie, ale czy na pewno byliśmy po tej samej stronie barykady, co te wszystkie męczące bułę tuzy polskiego rocka?

Na pewno tak się nie czuliśmy. Różniło nas tak wiele. Wygląd, muzyka, teksty. Jesienią nagraliśmy pierwszy singiel. Jak zwykle zrobiliśmy to na Wawrzyszewie. Wybraliśmy utwory „Au sza la la la” i „Zastanów się co robisz”. Ten ostatni był chyba jedynym utworem, w którym napisałem tekst do muzyki (było to w czasie pobytu na Rocku nad Bałtykiem). W ramach uatrakcyjnienia utworu na koniec zarejestrowaliśmy w toalecie odgłos spuszczonej wody. Taka karma. Bawiliśmy się dobrze, a nagranie poszło bezboleśnie i w miłej atmosferze.

Chociaż zaraz po nim odszedł Marek Czapelski. Zastąpił go Marek Surzyn, ceniony muzyk studyjny, znany z wielu zespołów, m. in. Crashu.

Pierwszym utworem prezentowanym w radiu na początku listopada było „Au sza la la la”. Doszło do dziewiątego miejsca listy przebojów Trójki. Cóż, podobnie jak „Śmierć Kliniczna” nie mieliśmy fanklubu, który by wysyłał kartki pocztowe.

Kolejne utwory, takie jak „Za dziesięć trzynasta” czy „Zastanów się co robisz” szybko z tej listy spadały. Jedynie „Ziuta” doszła do drugiego miejsca. Listy, rankingi i badania opinii społecznej. Ten sam mianownik. Ta sama wiarygodność. Dzisiaj wymienione utwory to klasyka, którą znają już trzy pokolenia. Nadal można je usłyszeć w radiu. Nadal z Dudkiem potrafimy je dziarsko zagrać.

Pomimo sukcesu Shakin' Dudi brakowało mi zespołu, w którym mógłbym grać swoje kompozycje. Miałem też kilka tekstów napisanych do szuflady. Z tej potrzeby założyłem nowy zespół. Ba, wręcz miałem wizję! Chciałem połączyć punkową muzę z ostro grającą, funkującą sekcją.

Nie, wtedy Nomeansno nie znałem, a Primus dopiero powstawał. Pomysł był świetny, ale niestety potrzebne były do tego wysokie umiejętności. Nikt z nas jednak nie był wirtuozem. Dlatego jedyne strzępy tego pomysłu można usłyszeć w „Mechanice”, gdzie bas gra slapem i w „Kolejnym dekrete”.

Do zespołu zaprosiłem starego załoganta z Rynku, Lumpaja. Śpiewał niskim, lekko modulowanym głosem. Takim trochę zimnofalowym, a był to czas w którym „Joy Division” skutecznie i przyjemnie kaleczyło moją psychikę. Lumpaj miał dobry słuch, dobre poczucie rytmu, na dodatek był super kolegą. Zresztą, skąd miałem wziąć muzyków, jak nie z załogi? Nie było wtedy internetu, punkowych grup było mało, a inni ślącscy muzycy nadal grali bluesa.

Wśród załogantów wyróżniał się Krzysiek, z charakterystycznymi czarnymi piórami i swoją punkową narzeczoną, która wszędzie mu towarzyszyła. Wyróżniali się ciuchami, odbiegającymi od tej skórzastoglanowej sztampy, która zapanowała wśród punków. Ktoś mi nawinał, że Krzysiek gra na bębnach. Zaprosiłem go do piwnicy, pograliśmy. Fascynowały go nowofalowe zespoły typu Adam and The Ants, ale i punkowe rytmy miał dobrze opanowane. W trakcie przerwy, gdy rozmawialiśmy o muzyce, wyjął szklaną firkę, włożył do niej papierosa. Już miał ksywę. Marlena! Witamy na pokładzie zespołu...

No właśnie, kolejny raz trzeba było wymyślić nazwę.

Wystarczyło się rozejrzeć, ta nazwa otaczała nas zewsząd. Absurd. Komuna całe nasze życie zamieniła w absurd. Co chwilę potykaliśmy się o jakieś nonsensy, sprzeczności. Świetnie, że teraz się nie potykamy, prawda? To był sarkazm, jakby ktoś nie załapał.

Na basie zaczął grać u nas Adam Hagno. Miał najgorzej, bo najdalej. Dojeżdżał z Sosnowca. Próby mieliśmy w Gwarkowej piwnicy. Po pewnym czasie, gdy miałem szlaban na przychodzenie do klubu (za jakąś tam drobną zadymę) przenieśliśmy się do Łabęd (robotnicza dzielnica Gliwic), do Domu Kultury. Stalinowski, przytłaczający budynek dobrze współgrał z tworzoną przez nas muzyką.

Wszystko szło pełną parą, Shakin' Dudi się rozkręcał, Absurd raczkował. Tylko studia leżały odłogiem. Wstawałem rano, parzyłem kawę, przełykałem lekkie śniadanie. W tym czasie rodzice wychodzili do pracy. Potem robiłem drugą kawę i zaczynałem się zastanawiać. Iść, czy nie iść, oto jest pytanie. Zazwyczaj padało na „nie iść”. W takim przypadku zaliczałem krótką drzemkę, potem brałem się do jakiejś interesującej lektury. Słuchałem muzyki. Potem obiad, a gdzieś koło siedemnastej ruszałem na miasto. Na Rynek. Albo miałem próbę albo spędzałem czas z punkową załogą. Rodzice martwili się o mnie, chociaż coraz bardziej

kibicowali „karierze” synusia. Tu usłyszeli w radiu jakąś moją piosenkę, tu w telewizji poleciał teledysk Shakin’ Dudiego. Ojca tylko bardzo raził image, głównie skóra, którą mu zakosiłem i pobazgrałem farbą. No i włosy. Raz żółte, raz zielone, raz czarne, W czarnych to w ogóle wyglądałem jakbym już nie żył. Twarz truposza. No proszę, a teraz lico okrągłe. Słuszną linię ma nasza władza, słuszną...

Na wiosnę mieliśmy z Shakin’ Dudi zaklepany termin rejestracji drugiego singla. Tak, tak – Tonpress, Wawrzyszew. Tym razem „Opakowanie” i „Hau hau” („Supergwiazda”). Ale już w zimie Irek przywiózł z Warszawy najlepszą z najlepszych wiadomości. Nagrywamy płytę!

Nie udało się ze Śmiercią, uda się z Shakin’ Dudi. Bardzo, naprawdę bardzo się z tego cieszyłem.

Już dzień wcześniej wylądowaliśmy w naszej stałej mecie, Hotelu Europejskim. Umówiłem się ze znajomymi, przyszli, wypiliśmy kawę, porozmawialiśmy. Szedłem już spać, gdy na schodach poznałem jakąś pannę. Ach, szkoda gadać... Głupi Darek.

Efektem była jakaś zadyma, ktoś dostał, ja dostałem. Budzę się rano z odpadającym łbem. Każda próba ruszenia szczęką przyprawia mnie o dreszcze. Żegnaj śniadanie, pozostaje tylko kilka wysiorbanych łyków kawy. Spotykamy się wszyscy w hallu, Dudek omiata nas czujnym wzrokiem. Uśmiecha się, bo widzi, że wszyscy wypoczęci, bez podkrążonych oczu. Oczywiście nie chwalebę się, że w mojej głowie pracuje pełną parą młot pneumatyczny. Jedziemy do siedziby Trójki, na Myśliwiecką. Montujemy się w dużym radiowym studio, tym które obecnie nosi imię Agnieszki Osieckiej.

Nagrywa nas Wojtek Przybylski, od początku ma jasną wizję, jak to zrealizować. Przekonuje do niej Irka, w efekcie nagrywamy bez żadnych udziwnień, dogrywek, na naturalnym brzmieniu. Oczywiście Wojtek używa różnych pogłosów, w końcu to rock’n’roll. Najpierw Marek z Karwą nagrywają sekcję, potem Głuchy dogrywa piano. Teraz moja kolej.



Shakin' Dudi, Rockowisko 84 – próba przed koncertem: Dudek, Głuch, Dusza, Rusek, Błądowski, Surzyn;
fot. mr makowski

W uszach szumi, skronie pulsują, a tutaj trzeba nałożyć słuchawki i grać. Pierwsze na tapetę biorę „Zastanów się, co robisz”. Oj, nie idzie, nie idzie. Dopiero za czwartym podejściem rozluźniam się i bezawaryjnie nagrywam całą piosenkę. Z innymi utworami idzie znacznie łatwiej. Potem czas na wokal. Irek warknął szybko, sprawnie i na temat. Mimo, że chórki nigdy nie były mocną stroną tego zespołu, ich nagrywanie poszło gładko. Duża w tym zasługa Wojtka Przybylskiego i pomagającego mu Jarka Regulskiego.

Wojtek zaprezentował nam gotowe zgranie. Wszystko nam pasowało. Okładkę (w tym logo) przygotowywał nasz przyjaciel Mirek Makowski, fotograf i dziennikarz „Magazynu Muzycznego” i „Non Stopu”. Mirek zresztą później zrobił m. in. okładkę The Dudis, okładkę Absurdu i wiele

innych projektów znanych wykonawców. Uczestniczył aktywnie w życiu zespołu, wspierał nas swoimi pomysłami. Często przekomarzaliśmy się, nazywałem go hippiesem. Za to Dudka staruchem. Hołdowałem starej (zresztą hippisowskiej) maksymie: „Nie wierz nikomu po trzydziestce”. Byłem przekonany, że trzydziestki nie dożyję. Nie, żebym bardzo się pchał do klubu „27”. ale... Bardzo byłem zdziwiony, gdy potem tę trzydziestkę przekroczyłem. Nadal jestem zdziwiony.

Płyta wyszła jesienią, wydała ją polonijna firma „Savitor”. Nie dość, że miałem płytę, to jeszcze dostałem za nią jakieś pieniądze. Sex, cash and rock'n'roll?



Shakin' Dudi, Rockowisko 84 – oryginał zdjęcia, wykorzystanego na pierwszy LP;
fot. mr makowski



Shakin' Dudi Rockowisko 84; garderoba
fot. mr makowski



Shakin' Dudi Rockowisko 84;
fot. mr makowski

Hotel



Krzysztof Głuch, Jerzy Piotrowski – Shakin' Dudi, garderoba, Rock Arena 1985
(w okularach odbijają się inni członkowie zespołu oraz fotograf)
fot. mr makowski

Nasze hotele, wasze kamienice! Hotel to istotny element rockowego życia. Teoretycznie to miejsce do spania i odpoczynku. W rockowej praktyce to miejsce najbardziej dzikich i szalonych imprez.

Tak przynajmniej głoszą legendy.

Za czasów Śmierci Klinicznej nie za bardzo pasowałem do tych luksusowych (jak na siermiężny socjalizm) orbisowskich hoteli. A w takich

czasem nas kwaterowano. Dziwnie mieszkać w miejscu, w którym nie stać cię za bardzo na kupienie sobie wody mineralnej w barze.

Wzbudzaliśmy tam niezłą sensację. Normalnie, to mieszkali tam faceci na delegacjach, arabscy studenci w stopniu porucznika i garstka obcokrajowców z Zachodu, która zabłądziła do naszej krainy białych niedźwiedzi. A tu nagle na recepcję wbija kilku kolesi w papach, potarganych koszulkach i jeszcze bardziej potarganych fryzurach. Szok!

Rano wymykaliśmy się z hotelu do spożywczego po nieśmiertelny serek topiony, bułkę i maślankę. Wieczorem w tym samym spożywczym kupowaliśmy oranżadę i jakiś płyn do jej rozcieńczenia. Dlatego hotelowe noce bywały krótkie. Pod warunkiem, że mieliśmy jakąkolwiek kasę.

Gdy nie mieliśmy, zawsze mogliśmy liczyć na cud. Cuda się zdarzają, takie świeckie cuda. Któregoś razu na korytarzu warszawskiego hotelu Forum Czyczko znalazł sto norweskich koron. Długo się nie zastanawiał, natychmiast odwiedził Peweks i znaną fortunę przepuścił. Bogato było. Byliśmy dobrymi kolegami, pomogliśmy.

Jednak częściej niż w hotelach łądownaliśmy ze Śmiercią w różnych akademikach czy internatach. Tam już było normalnie i swojsko. Nie było czuć dysonansu. Na Famie spaliśmy w namiotach, a przynajmniej spać mieliśmy. Swój namiot po raz pierwszy odwiedziłem po czterech dniach.

Specjalnie nie przywiązywaliśmy wagi, gdzie i w jakich warunkach nocujemy. Mieliśmy to w pompie, liczył się koncert i spotkanie z ludźmi. Za czasów Absurdu niewiele się zmieniło. Akademiki, internaty, czasem jakiś lepszy hotel.

Jedno łączyło te wszystkie miejsca. Karaluchy! Jak ja ich nie cierpię! Dopóki nie grałem, nie zdawałem sobie sprawy, ile tego dziadostwa pełza po świecie. Owszem, na lekcjach biologii uważałem i wiedziałem, jak to paskudztwo wygląda. Ale w naturze po raz pierwszy zobaczyłem te potwory w łazience któregoś z warszawskich hoteli. Potem, z każdym wyjazdem widziałem ich więcej i coraz więcej. Budzę się rano w Hotelu Europejskim, wchodzę do łazienki. Tam na podłodze była taka biało-czarna terakota. Tylko dlaczego się rusza? Przecieram oczy, wierzyć się nie chce! Wybiegam na korytarz, akurat jest sprzątaczką, wołam, żeby do mnie zajrzała. Wchodzi, patrzy na żyjącą podłogę i odzywa się zdziwionym głosem:

– No co pan się dziwisz? Pokój od podwórza, niżej kuchnia, to muszą być.

Muszą być. I były. W każdym hotelu. Któregoś dnia siedzimy na obiedzie w hotelu Solec, Jurek Piotrowski, który wtedy grał z nami w Shakin' Dudi na perkusji zamówił barszczyk. Wiosłuje, wiosłuje, nagle zaczyna wpatrywać się w łyżkę, oczy robią mu się coraz większe. Zaglądam, fuj, to nie jest fasolka. Fasolka nie ma nóżek ani czułków. Oburzony Jurek woła kelnera, a ten pochyła się nad łyżką i konstatuje:

– Dziwne, nie powinno go tu być. W zeszłym tygodniu była przecież dezynsekcja. Przyniosę świeży barszczyk?

Jasne, z tego samego garnka.

Karaluchowy rekord zaliczyłem w Szczecinie. Dzidek Jodko zaprosił Absurd na wspólny koncert z Deuterem. Koncert wyszedł fajnie, potem wylądowaliśmy na jakiejś imprezie, by w środku nocy powrócić do akademika. Skończyło się na spaniu przy zapalonym świetle, a łóżko ustawiłem na środku pokoju. Brr... Milczenie karaluchów.

Z Absurdem w ogóle nie miałem szczęścia do noclegów. Na którejś Famie najpierw zakwaterowali nas w garażu. Było tak sobie.

Po paru dniach załatwiłem sobie skierowanie na kwaterę prywatną. Otworzył mi pan standardowej urody. Mam na myśli wąs i lekko niedogoloną twarz z wyraźnym zaczerwienieniem od nadużywania, które to nadużywanie podkreślał wymownie jego mocno zawieszisty oddech. Pan ubrany był w niegdyś biały podkoszulek typu „żonobijka”, z pejzażem plam będących ilustracją menu z ostatniego miesiąca. Najpierw pokazał mi pokój. Żyły w nim roztocza pamiętające jeszcze wizyty Wikingów w Świnoujściu.

Łazienka przebiła jednak wszystko. Nad zardzewiałą, krwistoczerwoną wanną krążyły dywizjony much. Kibel nigdy nie był umyty, a zamiast papieru toaletowego wisiały kawałki gazet. To akurat mi nie przeszkadzało, zawsze z lubością można było podtrzeć tyłek zdjęciem naszego lub radzieckiego przywódcy. Gospodarz wskazał ręką na wannę i rzekł:

– A w soboty, jakby Pan chciał skorzystać, to puścimy ciepłą wodę. Tak, pod wieczór będzie ciepła woda. W sobotę.

No ekstra! Dwudziesty wiek, Polska, prawie mocarstwo, dziewiąta potęga na świecie. Karaluchy, brud, smród, przepełnione autobusy, zapleśniałe pociągi. Dlatego jednak po iluś wyjazdach zacząłem lubić te

lepsze hotele. Nie licząc galopujących stworzonek było w nich czysto. Mogłeś rzucić koszulę na podłogę, nie ścielić łóżka, a następnego dnia koszula poskładana leżała na wyrku, łóżko było pościelone, łazienka wyszorowana. Marzenie każdego faceta. Chociaż... Kiedyś w jednym hotelu poznałem dziewczynę z NRD. Zaprosiłem ją do siebie, wypiliśmy parę sznapsów.

Budzę się rano. Pokój wysprzątny. Moje ciuchy złożone w kosteczkę. Marynarka wisi na wieszaku. Szklanki wymyte, butelki wyniesione, popielniczka lśni. W łazience ręczniki starannie powieszzone. Moje skórzane buty podejrzanie lśnią. Tylko, gdzie podziała się Helga? A może Gertruda, do końca nie byłem pewny jej imienia. Nagle otwierają się drzwi i wchodzi moja panna, w wyprasowanej sukience i bluzce, a w ręku trzyma tacę z kawą. Ordnung mus sein!

Niestety mój wygląd nie zawsze dobrze wpływał na zachowanie obsługi hotelowej. Któregoś dnia mieszkaliśmy z Irkiem w warszawskim hotelu Forum. Mieszkaliśmy przez tydzień, potem musieliśmy przenieść się do innego pokoju. Gdy to zrobiliśmy, poprosiłem Irka, żeby mnie zameldował, bo śpieszyło mi się na spotkanie ze znajomymi. Spotkanie nieco się przeciągnęło, gdzieś do jedenastej wieczór, Wsiadłem do autobusu, pewny że jadę w kierunku centrum. Niestety, autobus wywiózł mnie gdzieś na warszawskie zadupie. W końcu dojechaliśmy na końcowy przystanek. Kierowca wyrzucił mnie z autobusu i burknął, że za godzinę odjeżdża do centrum. Cóż, chyba nie lubił punków. Miałem te swoje różowe porty, oficerki i ortalionowy płaszcz. Aha i kolorowe włosy. Był październik, godzinę dygotałem na ławce, patrząc na skurwiela grzejącego się w autobusie. W końcu otworzył, ruszyliśmy.

Wysiadłem w centrum, jeszcze tylko szybki marsz do hotelu z nadzieją na to, że nie zatrzyma mnie żaden patrol. Wchodzę na recepcję, a tam z kanapy startuje do mnie dyżurny ubek:

– A Pan tu czego szuka?

Tłumaczę grzecznie, że tutaj mieszkam. Recepcjonistka sprawdza, nie ma mnie na liście. Dudek jest. Zapomniał mnie zameldować. Proszę, żeby zadzwoniła do pokoju. Nie wiem, czy to robi, czy udaje, jednak twierdzi, że nikt nie odbiera. Ubek zaczyna mnie wypychać z recepcji. Próbuję babie wytłumaczyć, że przecież mieszkam tu od tygodnia, ale ona ze złośliwym

uśmiechem rozkłada ręce i mówi, że nie jestem zameldowany i do widzenia. Ubek z pomocą ciecia wywalają mnie na zewnątrz.

No pięknie, październik, druga w nocy, a ja bez kwatery. Kasy nie mam, do żadnego znajomego nie mam jak dojechać, nocleg na Centralnym nie za bardzo mi pasuje, bo może skończyć się dołkiem. Co robić, wchodzę do pierwszej bramy naprzeciwko hotelu. Wywalam z buta drzwi do piwnicy. Jest ciepło, można przycupnąć na schodach i dotrwać do rana.

Rankiem wchodzę na pewniaka do hotelu, prosto do windy. Drzwi od pokoju otwiera Irek i pyta:

– Gdzieś ty był całą noc?

Mam ochotę go udusić.

– Irek, potem Ci opowiem, idź mnie zamelduj!

– O kurczę, zapomniałem.

Zazwyczaj przy hotelowej recepcji kręcili się smutni panowie. Wraz z recepcją pilnowali, żebym przypadkiem nie zgrzeszył przemycając do pokoju jakąś dziewczynę. Czasem udało się zmylić szyki, czasem nie.

Za czasów Shakin' Dudi było już bogato i stać mnie było na obiad w hotelowej restauracji, albo na piwo kupowane w nocy w room serwisie.

Zresztą, jeśli chodzi o aprowizację dawaliśmy sobie z tym radę zawsze. Czasem można było kupić od ciecia, czasem od parkującego przy hotelu taksówkarza. Jeśli nie, to w Warszawie taryfiarz wiozł na Brzeską, sam wychodził z auta i kupował.

Nocne eskapady odbywały się nie tylko taryfami. Moi koledzy podróżowali raz po alkohol samochodem straży pożarnej. Innym razem zaanektowali czerwony autobus razem z pasażerami i pojechali na metę.

Wódą handlowali wszyscy: od milicjantów po nobliwe, rozmodlone staruszki. Cała ta prohibicja była fikcją, zresztą jak wiele różnego rodzaju zakazów. Dzisiaj też paragrafy mnożą się jak króliki, nikt już nad tym nie panuje. Władza usiłuje uregulować każdy aspekt naszego życia, zapanować nad każdym używanym słowem, każdą myślą. Ma jej w tym pomóc permanentna inwigilacja, krzewiące się donosicielstwo i rozbudowa aparatu represji. Łatwiej skazać dzieciaka za posiadanie jednego jointa, niż przestępców kradnących miliardy. Swoją drogą, ta penalizacja posiadania marihuany (czy też stosowania medycznej) jest żenująca. Tak, jak wtedy żenujące były te paragrafy o prohibicji. Wchodziłeś rano do kawiarni w Hotelu Europejskim, już prawie wszystkie stoliki były zajęte. Eleganccy

panowie, gazetka, dzbanuszek z kawą, którą co jakiś czas nalewali do filiżanek. Po godzinie gwar narastał, coraz częściej słychać było śmiech. Panowie zamawiali kolejne dzbanki z kawą czy herbatą. Tylko dziwne, z dzbanków nie wydobywała się para. Nie wydobywała się, bo w środku zamiast szkodliwej dla zdrowia kawy czy herbaty był nalany jakże dobry na serce koniaczek. Z rana wszyscy walili koniak czy inną brandy przelewana do dzbanków. Taka to była prohibicja.

W tamtych czasach miasta nocą zamierały. Tak naprawdę po dziesiątej wieczór nie było gdzie pójść. Teraz jest zupełnie inaczej, chociaż parę razy graliśmy w miastach, w których wieczorem jedynym czynnym lokalem rozrywkowym była stacja benzynowa. Zazwyczaj jednak można znaleźć jakiś cywilizowany lokal i posiedzieć godzinę. Albo dwie. Albo trzy.

Większość z nas cierpi na dziwną, niezbadaną przez naukowców chorobę zawodową. Otóż po koncercie, zamiast normalnie się wyspać, artystę zaczyna nosić. Nosić i roznosić. Może to podwyższony poziom adrenaliny, może jakaś psychoza? W każdym razie zdecydowana większość muzykantów po występie udaje się w okolice barów i knajp, dyskotek i innych miejsc hulanki i swawoli. W ostateczności, tak jak w latach osiemdziesiątych przesiadują i biesiadują w pokojach, strofowani przez recepcjonistki i sąsiadów.

Wolę jednak współczesne czasy, w których można gdzieś wyjść i na przykład pograć w bilard. Chociaż i w latach osiemdziesiątych udawało się czasem zrobić bibę inną niż wszystkie. Któregoś razu przejęliśmy nadzór nad hotelem w Olsztynie. Zaczęło się niewinnie, nasz menadżer postanowił poczęstować drinkami barmanów i kelnerki w restauracji. Potem dołączyła część muzyków (a graliśmy wtedy z sekcją dętą) i wszystkie recepcjonistki. Po godzinie za barem stał już nasz menadżer, a ja chodziłem w stroju kelnera i zbierałem zamówienia. Chwilę później udaliśmy się do jakiegoś pokoju, gdzie Krzysio Głuch obciął jakiemuś gościowi krawat. Stały element gry. Taki sam, jak robienie z windy szafy grającej. Brało się kilku kolegów z saksofonami czy trąbkami i kursowaliśmy windą. Koledzy grali, my śpiewaliśmy, recepcja dostawała szau.

Parę razy uczestniczyłem w przypadkowych jam session, które gdzieś tam wydarzyły się na hotelowym dołku. Hotelowy dołek, zwany inaczej kurwidołkiem był szalupą ratunkową dla wszystkich rozbitków spragnionych zabawy. Zawsze spotkałeś tam kilka dyżurnych kurewek,

z których każda opowiadała tę samą łzawą historię, jak to podłe życie zmusiło ją do uprawiania tego najstarszego zawodu świata. Siedziały i łowiły klientów, najchętniej obcokrajowców, chociaż i Polakiem na delegacji nie pogardziły.

Na dołku oprócz muzyki mechanicznej czasem przygrywał zespół. Tak było w 86 roku w hotelu Poznań, w którym świętowałem urodziny. Były dziewczyny, był szampan, było wesoło. Irek mnie podpuścił i postanowiłem wystąpić. Akurat wtedy „Ziuta” latała ostro w radiach, byliśmy znani, dlatego zgromadzeni ludzie przyjęli zapowiedź mojego występu gorącymi oklaskami. Biedni... Wykonałem „Love me tender” w wersji hard core. Pozostali muzycy o mało nie zemdleli. Wszystkie akordy były lewe, tekst był w anglo pidżyn, forma zupełnie dowolna. Mimo to ludzie tańczyli, a ja z pełną chrypą darłem się: „Love me tender, łauuuuuuu!”.

Któregoś razu w hotelu Posejdon niezwykle udany występ zaliczył z kolei niejaki Ireneusz D. Był to występ taneczny, połączony ze striptizem. Występowała normalna striptizerka (jak się później okazało, był to facet) a trzy metry za nią zaczął rozbierać się Irek. Nieświadoma striptizerka do ostatniego łaszka nie wiedziała, czemu publiczność tak rechoce. Gdy się obróciła, Irek stał w samych slipkach.



Fama 87: Dzidek, DD, Czarek,
fot. Dzidek Jodko

Najgorzej, gdy hotel pomylisz z domem. Tak miałem tuż po przeprowadzce do domu na wieś. Wyjechaliśmy z Shakin' Dudi na koncerty. Graliśmy na sopockim moście, potem wybraliśmy się z kolegami na krótkie tournée po sopockich klubach. Przed pójściem spać oczywiście spakowałem większość bambetli. Zawsze tak robię, by nie robić tego w pośpiechu rano. Poranek jest dla mnie najgorszą porą, rano przebywam w zaświatach, dopiero gdzieś koło południa zstępuję na ziemię. Dlatego unikam rano tak skomplikowanych czynności, jak pakowanie walizki. Wtedy też spakowałem się i grzecznie położyłem spać. Zbudziłem się w środku nocy. Ciemno. Gdzie ja jestem? Aha, przecież to moja nowa sypialnia, w nowym domku. Jeszcze się nie oswoiłem. Dobra, skoro nie śpię, to może kibełek odwiedzę? Wstałem, teraz w prawo i po schodach

w dół. Schodzę i schodzę, bardzo wysokie te schody się zrobiły. I czemu pali się światło? Przestaję mrużyć oczy, otwieram je milimetr szerzej i zastygam przerażony. Stoję w połowie zupełnie nieznanym mi schodów, kawałek niżej widzę ladę z napisem recepcja i uśmiechnięta panią w hotelowym uniformie.

– Ja, ja... Ja bardzo przepraszam, myślałem, że jestem w domu i....– naprawdę mi głupio

– Proszę się nie przejmować – uśmiecha się recepcjonistka – Nie pan pierwszy. A przynajmniej ma Pan bieliznę na sobie.

Idealny hotel to taki, w którym jest kręgielnia i basen. Basen przedpołudniem, a kręgle wieczorem. Uwielbiam grać w kręgle, mimo że gram fatalnie. Czasem po torze leci kula, czasem lecę ja. Nieważne, taką frajdę sprawia mi niewiele rozrywek. Lubię jeszcze szybką jazdę motorówką, tak najlepiej koło stu na godzinę. Bardzo rajcował mnie przelot szybowcem i z pewnością będę chciał to powtórzyć.

Z innych ekstremalnych rozrywek lubię gry komputerowe, ale staram się ich unikać, bo zasysają mnie na długie godziny.

Czego to ja nie robiłem w hotelu? Miałem próby, pisałem teksty, udzielałem wywiadów, miałem sesje fotograficzne, ćwiczyłem na gitarze. Spotykałem się z dziewczynami. Czytałem książki, oglądałem telewizję.

Do telewizji mam stosunek ambiwalentny. Z jednej strony do szau doprowadzają mnie współczesne programy rozrywkowe, publicystyczne, a pianę na ustach wywołują reklamy. Nie cierpię reklam z ich chamstwem, natarczywością i głupotą. Współczesna reklama wmawia nam sztuczne potrzeby, które ma zaspokoić reklamowany produkt. Tak, wystarczy kupić produkt X, a natychmiast będę bardziej męski, inteligentny, wyższy, chudszy, przystojniejszy, bogatszy i oczywiście wiecznie młody. Dlatego oglądam najczęściej płatne kanały filmowe bez reklam, bo filmy pasjami lubię oglądać. Chociaż przez ponad rok nie miałem telewizora i nie miałem z tym problemu. Wieści ze świata zbieram z internetu, z różnych źródeł. Ale i tak ciężko w wielu przypadkach dociec prawdy.

Prawda obecnie zależy od tego, w co i komu człowiek wierzy.



Shakin' Dudi, Rockowisko 84 – rozwaliłem wiosło i robię za wokalistę
fot. mr makowski



Rock Arena 1985: od lewej Hans Brumer, DD, Ola Łydko, Lumpaj, Marlena
fot. mr makowski



„Shakin’ Dudi”, „Jajco”, czyli Wojciech Bruślik „Rock Arena” (1985)
fot. mr makowski

Rozdział 7

Płyta nagrana, singiel nagrany, utwory lecą w radiu, teledyski w telewizji. Shakin' Dudi w trakcie ofensywy. Przyszła pora na koncerty. Po raz drugi zagraliśmy na Rock Arenie. Tym razem ludzie znali już nasze piosenki i śpiewali refreny. Znów zrobiła się chryja o zdemolowane pianino i połamane krzesła. Stało się to właściwie normą.

Na Rock Arenie poznałem kolejną swoją dziewczynę, Ewę. Mieszkała w Gdańsku. Znów zaangażowałem się w związek na odległość. Rany, ile ja godzin z nią przegadałem przez telefon. Jednak i tym razem, głównie z mojej winy sielanka nie trwała długo.

Po koncercie siedzieliśmy razem przy stoliku, gdy nagle podszedł jakiś gość i zaczął nawijać coś do mnie po angielsku. To był Jan Akkerman, sławny holenderski gitarzysta, znany m. in. z grupy Fokus. Nazwisko i jego granie kojarzyłem, w latach siedemdziesiątych był uważany za jednego z lepszych gitarowych wymiataczy na świecie. Jan pogratulował mi świetnego show i pochwalił moją stylową grę na gitarze. Pożegnał się i podszedł do stolika, przy którym siedział Dudek. Tam mu pogratulował, że Irek ma tak świetnego gitarzystę w zespole.

No, więc proszę z szacunkiem, z szacunkiem!

Na początku lipca wylądowałem na festiwalu opolskim. Trochę daleko od undergroundowego Jarocina? I tak i nie. Shakin' Dudi było przyjmowane dobrze zarówno na imprezach alternatywnych, jak i na tych głównego nurtu. Faktem jest, że część publiczności (szczególnie ta nieco starsza) odbierała takie numery jak „Och Ziuta” czy „To Ty” całkiem poważnie. Odbiorcy Ci traktowali je tak samo, jak inne rockowe ballady, nie wyczuwali pastiszu czy kpiny. No cóż, prawdziwe dzieło sztuki może być interpretowane na wiele sposobów. Wiele razy przy dźwiękach „Ziuty” panienki dostawały spazmów i beczały.

W Opolu zagraliśmy „Au sza la la la”, tak samo dynamicznie, z taką samą energią, jak na Jarocinie. Podobało się tak samo, jedynie zabrakło wody, zamiast niej Irek wyrzucił z wiadra liście.

Grał wtedy z nami na basie Jajco, czyli Wojciech Bruślik. Był niesamowitym gawędziarzem, kolegą Himilsbacha, znajomym chyba

wszystkich muzyków w tym kraju. Lubił poimprezować, co niestety spowodowało po kilku miesiącach, że Irek znalazł nowego basistę, Lucka Gryszkę.

Po Opolu wystąpiliśmy w programie „Studio Hi-Fi” reżyserowanym przez Waltera Chełstowskiego. Program leciał na żywo w telewizyjnej dwójce i równolegle w radiowej Trójce. Miał bardzo wysoką oglądalność i słuchalność. Program zaczynał się od kilku bluesów granych w małym składzie, potem wpadłem ja i zaczynała się rock’n’rollowa nawalanka. Na finał grał big band bluesowy. Za chwilę z podobnym zestawem ruszymy w trasę.

Mnie się taki zestaw podobał, ale na koncertach i tak wszyscy chcieli słuchać przebojów Shakin’ Dudi. Blues był dla nich trochę za karę.

W Jarocinie 86 znów porwaliśmy publikę, mimo że przerwaliśmy koncert i wdaliśmy się w bójkę z ekipą nagłośnieniową i ochroną. Irek lał wodą, być może coś tam poleciało w kierunku sprzętu. Zaczęła się szarpanina, my na scenie mieliśmy kilku załogantów, pomagających jako techniczni. Przez moment było ostro.

Piknik Country w Mrągowie, łódzkie Rockowisko i trasa po halach. Sześć, siedem, osiem tysięcy ludzi na biletowanych koncertach. Duże miasta. Ach, teraz to z tych biletów można by kupę hajsu zgarnąć. Wtedy bezlitośnie większość pieniędzy zgarniało państwo.

Owszem, menadżerowie Krzysiek Konarzewski i Mirek Dobkiewicz dwoili się i troili, żeby wyrwać jak najwięcej pieniędzy. Omijali przepisy, rozpisywali dziesiątki prób. Wszystko dlatego, że w komunie muzykom przysługiwały urzędowe stawki. Muzycy zawodowi, którzy nie mieli skończonej państwowej szkoły muzycznej podlegali weryfikacji i mieli tzw. „kategorie”: gastronomiczną, estradową lub ministerialną (taką dla „zasłużonych”: Maryli czy Krzysztofa). Im wyższa kategoria, tym wyższe, sztywne wynagrodzenie. Amatorzy za swój występ dostawali grosze. Nawet nie miałem co marzyć o otrzymaniu jakiegokolwiek „kategorii”. Nut nie znałem, a z moim wyglądem i renomą na pewno bym nie zdał. Zresztą w Shakin’ Dudi chyba tylko Irek i Marek Surzyn mieli weryfikację. Menadżerowie dwoili się i troili, ale to państwo zabierało najwięcej.

Może z tych naszych koncertów jakieś przedszkole zbudowano? Oby.

Jeździło z nami stałe nagłośnienie i światła. Za mikserem siedzieli Tadek Trzciniński i Jurek Oliwa. W odróżnieniu od większości partaczy zza

miksera, oni wiedzieli jak to się robi. Brzmieliśmy światowo. A obaj akustycy byli przy tym niezłymi kompanami.

Koncert zaczynał się od składu bluesowego: Dudek z sekcją plus Heniek Gembalski i Jan Błędowski na skrzypcach. W innym utworze na flecie grał Krzysztof Popek. Po kilku bluesach, stanowiących swoistą rozgrzewkę przychodził czas na Shakin' Dudi. Irek przebierał się w ancug, a do sekcji rytmicznej (Piotrowski, Gryszka, Głuch) dołączałem ja. Graliśmy godzinę, wliczając w to bisy. Na tyle wystarczyło nam repertuaru. Po bisach na scenę wskakiwał big band, w którym grał m. in. Broniek Duży, Tadek Janiak, Janusz Włodyka, Alek Korecki, Włodek Kiniorski. Sekcja dęta była świetna, złożona z czołówki polskich jazzmanów.

Aha, na gitarze grał też Grzesio Kapołka. Zresztą w 86 roku na większych koncertach (takich jak ten dla telewizji w Katowicach) Grzesiek dołączał do Shakin' Dudi na gitarze rytmicznej. Nieprawdą jest, że grał za kotarą. Gdy grał Grzesiek mogłem jeszcze bardziej wariować i skakać po scenie. Niestety, bieganie, robienie fikołków i innych akrobacji źle wpływa na precyzję gry. A to, że Grzesiek znał repertuar przydało się bardzo pewnego wieczoru w Poznaniu. Ale o tym będzie w innym miejscu.

Zaraz po trasie ekipa Dudkowa zakotwiczyła w Hotelu Europejskim, by nagrać bluesowy album „Irek Dudek No 1”. Towarzyszyłem kolegom, ale po paru dniach miałem dość tej patologii. Bawili się świetnie, włącznie z Ireneuszem. Nagrali też świetną muzykę, utwory z tej płyty stały się bluesowymi evergreenami.

Tak wyglądał rok 85 z Shakin' Dudi. Intensywnie wyglądał. Na Absurd miałem mało czasu. Mimo to przygotowaliśmy niezły repertuar z takimi klasykami jak „Zżera mnie dzuma” czy „Wierszyk”. Uzbierało się tego ponad dwadzieścia utworów. Zagraliśmy w paru klubach, ale tak naprawdę w 85 roku liczyły się dwa występy. Pierwszy na Famie, a drugi na Róbrege. Koncert na Famie przeszedł do legendy polskiego punk rocka. Fragmenty z niego można było znaleźć na kasecie Akademickiego Radia Pomorze. Tytuł nosił banalny: Maraton Rockowy. Za to skład wykonawców ściągnął do Świnoujścia tysiące punków. Większość z nich została wywieziona z wyspy Uznam przez milicję. Razem z nami zagrała: Armia, Moskwa, Madame i Izrael.

Kolejnym ważnym koncertem było warszawskie Róbrege, które odbywał się w namiocie cyrkowym Intersalto. Cyrkowo było, zjechała się menażeria

z całej Polski. Punki, nowofalowcy, pierwsi łysi.

Graliśmy w dniu punkowym, razem z Armią, Dezerterem, Abaddonem i innymi. Wyszliśmy na scenę, zaczęliśmy się instalować. Aż tu nagle słyszę: „Dziadki, spierdalać ze sceny”. Stoi trzech czternastolatków i wydziera się w naszym kierunku. Bardzo szybko zostali spacyfikowani przez starszych o parę lat kolegów. Jednak spowodowało to u mnie moment refleksji.



„Puchar NON STOP” (1986) Henryk Gembalski i DD
fot. mr makowski

Miałem dwadzieścia cztery lata, oni mieli dziesięć lat mniej! Teraz nikogo nie dziwią wykonawcy powyżej sześćdziesiątki, czy to Rolling Stonesi czy U.K. Subs. Zresztą teraz młody, polski zespół punkowy to zazwyczaj ekipa ludzi po czterdziestce. Ale wtedy...

Marlena nabił „Doły” i zaczęliśmy grać. Szkoda, że na więcej grania z Absurdem nie miałem czasu. Niestety, do takiego niekomercyjnego zespołu nie potrafiłem znaleźć menadżera. Sam niestety nigdy nie byłem mistrzem świata w autopromocji czy też załatwianiu koncertów.

Zaczął się 1986 rok. Komuna zdychała, ale zdechnąć nie mogła. Co jakiś czas na mieście dochodziło do protestów i zadym, brutalnie tłumionych przez ubecję i milicję. Wszystko było pogrążone w marazmie, szare i ponure. Z drugiej strony grałem w dwóch świetnych zespołach, miałem nagrany wymarzoną płytę, po koncertach poznawałem śliczne dziewczyny. Taki dysonans. Trzeba było jakoś z tym żyć i spakować gitarę i walizkę, bo na wiosnę 86 wyruszyliśmy na kolejną trasę. Trasę z „Sondą na żywo”. „Sonda” był to świetny popularnonaukowy program, nadawany w telewizji. Jego autorami byli Zdzisław Kamiński i Andrzej Kurek (zginęli w 89 r. w wypadku samochodowym). Jeździliśmy znów po halach, przyciągając tłumy. Kamiński z Kurkiem prowadzili na żywo różnego rodzaju pokazy, dyskusje czy prezentacje, wspomagane materiałami filmowymi. Potem wychodziliśmy my i urządzaliśmy pokaz, jak powinien wyglądać rock'n'roll.

Koncerty cały czas stały pod znakiem zapytania, bo Irek miał problemy z trzustką. Tryb życia wyraźnie mu nie służył. Tryb nadużycia również. Po koncercie w danym mieście lądowaliśmy w hotelu, Irek natomiast w szpitalu. Taka trasa po szpitalach. Kroplówka, relaks, telewizor. A my biedni musieliśmy prowadzić to niezdrowe, rock'n'rolowe życie.

Trzustka pomogła Irkowi wymigać się z zaproszenia na Festiwal Piosenki Radzieckiej. Nie chcieliśmy tam grać (a grało tam wielu). Konsekwencją tej stanowczej odmowy był szlaban na proponowane wyjazdy do Stanów. Oczywiście miały to być występy dla Polonii.

Cały czas się coś działo, występowaliśmy w jakichś programach telewizyjnych. Jednym z lepszych był „Dudi show”, nakręcony w katowickim Spodku. Na widowni dziesięć tysięcy narodu, ryczącego nasze piosenki, a na scenie my, wzmocnieni sekcją dętą. Ktoś chciał kręcić jakiś film z Dudkiem w roli dyrektora fabryki. Ja pierdziu, jak przeczytałem scenariusz, miałem ochotę poddać się lobotomii, żeby go móc zrozumieć.

Graliśmy też oczywiście na wszystkich letnich festiwalach: Famie, Jarocinie, Mrągowie. Graliśmy też na Opolu, gdzie „Ziuta” dostała nagrodę publiczności. Natomiast w trakcie trwania festiwalu w Sopocie (na który

mieliśmy być zaproszeni, ale w końcu nie zostaliśmy) zagraliśmy koncert w Teatrze Wybrzeże. Ponieważ zorganizowaliśmy duży bankiet, większość mediów olała smętny festiwal sopocki i przyszła na nasz koncert. Znow grał z nami na basie Karwa, Lucek natomiast zastąpił Adama w moim Absurdzie (obecnie gra na basie w Cree). Zamiast Błędowskiego zaczął z nami grać Alek Korecki, który dołożył kolejną szczyptę szaleństwa do całego tego cyrku.

Cały nakład „Złotej płyty” sprzedał się, co zresztą w czasach totalnego deficytu było normą. Popyt znacznie przewyższał podaż, a swoją drogą ludzie byli spragnieni polskiej muzyki i polskich tekstów. Popularność zaczynała być męcząca. Oczywiście większość splendorów spadała na frontmana, Irek zresztą chyba lubi te wszystkie wywiady, sesje zdjęciowe, telewizję. Dobrze sobie z tym radzi do dziś. Jednak w końcu i do mnie zaczęli przychodzić, nagabywać, wypytywać. Gdy rozpoznała Cię ładna dziewczyna, to okej, podobało mi się. Ale gdy nie była to ładna dziewczyna?

Zacząłem odczuwać znużenie tą całą sytuacją. Znużenie i rozdrażnienie. Poziom wkurwu zawsze miałem wysoki, ale teraz wskaźnik był już na czerwonym polu. Odbijało się to na moim życiu prywatnym, kolejna dziewczyna nie potrafiła ze mną wytrzymać, kolejny rok studiów... Ach, zapomniałem się pochwalić, że w poprzednim roku w końcu zaliczyłem czwarty semestr. Za to w tym w ogóle przestałem chodzić na zajęcia.

Czułem potrzebę zmiany. Irek też czuł. Był wychowany na muzyce lat sześćdziesiątych, całą swoją młodość śpiewał i grał utwory Animalsów, Kinksów, czy też Themów. Nie klasycznego bluesa, nie rock'n'rolla. Potem grał różne głupoty, potem bluesa, ale karierę zapewnił mu pastiszowy rock'n'roll. Chyba gdzieś tam na dnie Dudkowego serca cały czas tliła się tęsknota, żeby przywalić takiego mocnego, zakorzonego w bluesie rocka à la „sixties”. Dumał, dumał i wydumał!

Proszę państwa, przed Wami The Dudis.



The Dudis, montaż reklamowy;
fot. + proj. mr makowski

Nowe wcielenie Irka Dudka, zrywającego z popularnym Shakin' Dudim. Absolutny błąd marketingowy! Niedopuszczalny! Karygodny! – tak mogłaby brzmieć zapowiedź powstania nowego zespołu. Może faktycznie, powinniśmy to grać pod starym szyldem? Fani „Ziuty” przyzwyczailiby się do bardziej agresywnej muzyki. Ale walić to! Chcieliśmy być uczciwi, a nie sprytni. Naprawdę Dudek miał wtedy jaja i gorąco go poparłem. Jebać Ziutę! Nigdy więcej Ziuty! Zabraliśmy się ostro do roboty, Irek komponował, ja pisałem teksty. Trochę inne, niż te rock'n'rollowe.

Skład był dla nas oczywisty: na perkusji Jurek Piotrowski, na basie Andrzej Rusek, na klawiszach Krzysiek Głuch, no i my z Dudkiem.

Pierwszy występ mieliśmy dać na Jarocinie 86. Jednak w ostatniej chwili Irek zmienił zdanie i zagraliśmy piosenki Shakin' Dudi. Sesję nagraniową mieliśmy już zaklepaną, wydawcą został Pronit. Oficjalnie ogłosiliśmy w mediach zawieszenie działalności Shakin' Dudi i początek oszałamiającej kariery The Dudis. Ostatni koncert przed zawieszeniem

zagraliśmy w katowickim Spodku, na finale „Przebojów Dwójki”. My na żywo, inni chałturzyli już z playbacku.

W Poznaniu, w studiu Polskiego Radia za gałkami siedział Piotrek Madziar, pomagał mu Rysiek Gloger. Gdy zobaczyłem, jak zabierają się do pracy, od razu nabrałem do nich szacunku.

Jurek Piotrowski rozstawił gary, a Piotrek nagłośnił je za pomocą dwóch mikrofonów. Dokładnie tak, jak nagrywało się w latach sześćdziesiątych. Bardzo te bębny czadziły, oj bardzo. Karwa tym razem grał na basie, używał wzmacniacza Ampeg, potocznie zwanego „zemstą Karwy”. Dwóch chłopa miało problem z dźwignięciem tej szafy.

Najbardziej kłął Hans Brumer, który przez lata wspomagał nas jako techniczny, asystent, menadżer i Bóg wie, kto, w zależności od potrzeb.

Sam nagrywałem na stuwatowym, pożyczonym Marshallu. Miałem już wtedy Ibaneza i kochałem stosować wajchę (tremolo system). W utworze „Jestem zły” dogrywałem gitarę do taśmy puszczonej od tyłu. Taki charakterystyczny, opracowany przez Hendrixa zabieg. Grałem też na akustycznej. W końcu znów mogłem pograć z dużym przesterem, szczególnie w „Chwili spokoju”. Trochę zmienialiśmy aranże, szukaliśmy, bo po paru próbach kilka utworów było jeszcze w zarysie. Cisnąłem, żeby przywalać. Irek nagrał swoje najbardziej rozwrzeszczane w karierze wokale. W studio działało się dobrze, była moc. Zgrane piosenki bardzo nam się podobały, byliśmy wręcz pewni, że podbijemy nimi cały świat. Mirek Makowski zrobił świetną, utrzymaną w konwencji okładkę.



Absurd Szczecin, 1987
fot. Dzidek Jodko

A tymczasem w bardziej undergroundowej wersji rzeczywistości...

Było dużo biedniej. Oj, dużo bardziej. Shakin' Dudi wszędzie jeździło autobusami, spało w dobrych hotelach i zarabiało niezłe pieniądze. Absurd natomiast tostał się pociągami, spał po akademikach i...

I przynajmniej nie musiał dopłacać, jak robi to w dzisiejszych czasach wiele zespołów. Tak jak pisałem wcześniej, na basie zaczął grać Lucek Gryszka, reszta składu pozostała bez zmian. W maju wystąpiliśmy w Wawie na dziedzińcu UW, wraz ze śmietanką nowej fali.

-Zagraliśmy też na Jarocinie. Zadzwoiłem do Waltera w ostatniej chwili, zgodził się i zaprosił. Jesienią daliśmy ognia w Akancie, na pierwszych „Odjazdach”. Grało też 1984, Garaż w Leeds, Bielizna i masa innych kapel. Wyraźnie było słyhać, że mija moda na punk rocka. To samo działo się w Jarocinie, coraz więcej było zespołów nowofalowych, zimnofalowych lub punkopolowych.

Jak to śpiewał Bob o tych zmieniających się czasach?

Dylan, nie Marley. No, jak?

Mody, modami, a jesienią nagraliśmy z Absurdem singla. Tak, tak. Jak zwykle Tonpress, to samo studio, ten sam realizator. Dzień świstaka. Jediną zmianą była okładka. Zamiast jednokolorowej, singiel Absurdu ukazał się w 1987 r. w dwukolorowej okładce. Ozdobionej pięknym zdjęciem Mirka Makowskiego. Nagraliśmy dwa utwory: znaną i kochaną „Dzumę” i mniej znaną „Izolację”.

Ta ostatnia niosła w tekście i w muzyce trochę zimnofalowego klimatu. Zapowiedź zimy?

Trasa



Jarocin 1986 r.
fot. mr makowski

Życie muzyka to życie w podróży. Podróże jak wiadomo kształcą, dlatego muzycy są tak dobrze wykształceni, że potrafią zabrać głos na każdy temat. Niektórzy lepiej się wypowiadają, niż grają. Muzyk zna się na wszystkim i chętnie się wypowie. Na temat pokoju na świecie, hodowli kanarków, globalnego ocieplenia, imigrantów czy leczenia raka prostaty. Bajer to podstawa tego zawodu. Czasem dochodzi do tego trochę talentu i odrobina pracy. Skromnie dodam – tak jak w moim przypadku.

Dobra, sarkazm był, pora udać się w podróż. Pora ruszyć w trasę.

Na początku ze Śmiercią Klinikzną podróżowaliśmy głównie pociągami. Bywało różnie. Albo była to podróż pełna emocji, jak na festiwal Jarocin 82, albo kończyło się na dołku, tak jak skończył się nasz powrót z Warszawy. Albo było przeciętnie, czyli byle jak. Brudny pociąg, upał, tłok, stoję wbity w tłum, chroniąc gitarę przed rozdeptaniem. W końcu dojeżdżamy gdzieś, wychodzimy z dworca i wypyujemy, jak dojść do klubu. Gramy i w nocy wracamy.

Na koncerty w pobliżu Gliwic czasem jeździliśmy na pace Żuka.

Pociągami jeździłem też często do Warszawy. W latach osiemdziesiątych wszystkie ekspresy wypełnione były muzykami. Wiadomo, stolica była i jest centrum dymu i hałasu w tej branży. Tam było radio, telewizja i tam miały siedzibę wytwórnie płytowe: państwowe i te kilka polonijnych. Zawsze w pociągu można było spotkać kogoś z branży muzycznej i podróż aż tak się nie dłużyła. Na początku lat osiemdziesiątych ekspres z Gliwic do Warszawy jechał ponad pięć godzin. Pięć, a nie trzy. Osobowym było jeszcze dłużej. Przekonałem się o tym, gdy wracaliśmy z Absurdem z koncertu w Remoncie. Koncert się udał, a impreza po nim jeszcze bardziej. Rozpoczęliśmy ją w kanciapie Remontu razem z Zygzakiem z Xenny. Natomiast co do końca imprezy istnieje wiele rozbieżnych wersji. W każdym razie wyszedłem z klubu z dwiema ślicznymi dziewczynami. Przed wyjściem umówiłem się z Lumpajem i resztą zespołu, że widzimy się punktualnie o szóstej rano na Dworcu Centralnym. Pociąg do Gliwic mieliśmy kwadrans później.

Ciemność.

Otwieram oczy, bardzo, ale to bardzo powoli. Siedzę na jakiejś ławce, zmęczony taki, huk wkoło, zgrzyty, piski. Rany, gdzie ja jestem? Po chwili zaczynam jarzyć. Peron, dworzec, pociąg, Warszawa. Spoglądam na dworcowy zegar, za pięć szósta. Czekam. Jedna nóżka mewy, druga nóżka mewy, trzecia nóżka drugiej mewy... Tupią jebaniutki, na dodatek jest ich coraz więcej. Mija szósta, chłopaków dalej nie ma. Czekam. Mewy razem ze mną. Wśród huku tupiących mew nadjeżdża mój pociąg. Czekam. Odjeżdża. Czekam. Nie, dość! Idę na taryfę i jadę do akademika. Tam budzę mój zespół, który oczywiście zasnął. Do dzisiaj nie za bardzo rozumiem, czemu po nich wróciłem. Czasem niechcący włączam funkcję matkowania.

Za czasów Shakin' Dudi, w ramach awansu społecznego z pociągu przesiadłem się do autobusu. Nie, nie, nie takiego ogórka z PKS-u, tylko do wynajmowanego specjalnie dla nas autobusu. Czystego, pachnącego, eleganckiego, z kierowcą do naszej dyspozycji. Prawie jak Rolling Stones: podjeżdżaliśmy autokarem pod halę, przed nią stał tłum dziewczyn, które na nasz widok zaczynały pisać.

Autobus był fajny, bo zapewniał duży komfort, o wiele większy niż busik czy osobowe auto. Można było się kimnąć, obrazić na kogoś i przesiąść o pięć rzędów do tyłu. Z tym kimaniem niestety mi nie wychodzi. Podziwiam kolegów, którzy potrafią spać w trakcie jazdy. Mnie to się bardzo, bardzo rzadko udaje.

Dobra, wsiądźmy do autobusu i przejedźmy się z naszym zespołem. Posmakujmy lat osiemdziesiątych i tzw. życia w trasie.

Wyjeżdżamy o dwunastej z Katowic, zbiórka koło hotelu Silesia. Wcześniej robimy małe zakupy w Peweksie, oczywiście celem walki z chorobą lokomocyjną. W głośnikach leci rock'n'roll, autobus toczy się po gierkówce w kierunku Warszawy. Siedzimy razem, dyskutujemy, śmiejemy się. Taka niezobowiązująca impreza, zresztą w ogóle nam się nie śpieszy, bo wyjechaliśmy o dzień wcześniej.

Tak, wtedy nikt nie oszczędzał na noclegach czy podróżach.

Po prawie dwustu kilometrach w autobusie zaczynam wyczuwać lekką nerwowość. Idę do kierowcy, ale nie muszę mu tego właściwie mówić. Jedzie z nami trzeci raz. Wie. Polichno, postój!

Zajazd w Polichnie był wtedy jedną z nielicznych knajp na drodze Katowice-Warszawa. A przynajmniej był najczęściej wybieraną knajpą przez podróżujące zespoły. Na pewno nie z powodu dobrej kuchni, raczej dlatego, że w ciężkich czasach można tam było zakupić różne smaczne, acz niekoniecznie zdrowe trunki. Barszczyk, schabowy, drobne zakupy i ruszamy dalej. A z nami karton musującego wina. Niestety, nie wzięliśmy do niego lampek. Właśnie, lampek... Wjeżdżamy do hotelu, na recepcji siedzi nadąsana panna. Nasz techniczny Hans Brumer podchodzi do niej z butelką wina w ręce i pyta:

– Czy napije się pani winka?

– Ależ skąd, ja piję wyłącznie z lampki – prycha oburzona.

Heniek rozgląda się, tuż przy kontuarze zwisa biała lampa. Heniek odkręca klosz i ponownie zwraca się do recepcjonistki.

– To z lampki się napijesz?

Wesołym autobusem podróżowaliśmy przez cały kraj. Pamiętam trasę z Katowic do Świnoujścia, potem po paru dniach przerzut do Kołobrzegu. Tam trzy dni festiwalu i na kolejne cztery pojechaliśmy do Jarocina. Stamtąd do Mrągowa. Mieliśmy wtedy bardzo wyluzowanego kierowcę, który dodatkowo mógłby robić za profesjonalnego przewodnika wycieczek. W czasie tej trasy na przykład zawiózł nas do Gierłozy pod Kętrzynem i zwiedziliśmy sobie Wilczy Szaniec. Jeśli zainteresowało nas jakieś miasteczko czy zabytek, to zatrzymywaliśmy się. Parę razy z kolei stawaliśmy nad jakimś jeziorem. Było lato i fajnie było pływać.

Przez te postoje nad jeziorem tak rozsmakowaliśmy się w pływaniu, że raz z Krzysiem Głuchem i Korkiem popływaliśmy w fontannie przed jakimś motelem, wzbudzając popłoch i zgorszenie wśród obsługi i gości. Nie wiem dlaczego, skoro pływaliśmy w ubraniach?

Letnie podróżowanie i letnie koncerty przypominały trochę wakacje. Odpoczywaliśmy, raz na parę dni graliśmy koncert. Raz na parę dni robiliśmy jakąś nocną imprezę. Któregoś razu zabłądziliśmy i to poważnie. To było gdzieś na ścianie wschodniej. Jedziemy, jedziemy. Wkoło pola, łąki lasy. Droga robi się coraz węższa, ruch na niej zerowy. Przejeżdżamy przez drewniany most na Bugu, ledwo się mieścimy. Most klekocze pod kołami, o mało się nie zawalił. W końcu dojeżdżamy do jakiejś wsi. Ludzie wychodzą z baru, sensacja. Autobus do wsi przyjechał! Takiego tu nigdy nie widzieli. Próbujemy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy i gdzie tą drogą dojedziemy.

– Tam? Tam ruska granica! – wyjaśnia nam, a właściwie wyśpiewuje tubylec w walonkach i kufajce. Zawracamy, po dwóch godzinach błądzenia dojeżdżamy do miasta, w którym mamy grać koncert. Stajemy przy centrum handlowym i pytamy, jak dojechać do hali. Zero porozumienia. Jest dzień Matki Boskiej Pieniężnej i wszyscy są nagrzmoceni. Kiwają się, bełkoczą. Porażka, całe miasto narąbane. W końcu jakiś dzieciak pokazuje nam drogę. Mam ochotę mu powiedzieć, żeby uciekał stąd jak najdalej.

Poważnym mankamentem podróżowania w tamtych czasach był brak miejsc, w których można by było coś zjeść. Kiedyś w nocy w Opolu w akcie desperacji podjechaliśmy na dworzec i tam w dworcowym barze rzuciliśmy się na jedyne dostępne danie. Był to bigos...

Tak, finał był łatwy do przewidzenia. W każdym razie na trasie w latach osiemdziesiątych trudno było znaleźć jakikolwiek motel czy zajazd. Najczęściej stołowaliśmy się w hotelach, w których spaliśmy. Zazwyczaj były to hotele orbisowskie, z dobrym jedzeniem, szczególnie w zestawieniu z tym, co można było kupić w sklepie.

Czas wesołego autobusu minął bezpowrotnie. Skończyły się wakacje, nie ma czasu na zwiedzanie czy wypoczynek. Podróż, koncert, spanie i powrót do domu. Każdemu się śpieszy, do rodziny, do domu, do innych zajęć. Dla kilkuosobowego składu nie opłaca się wynajmować autobusu, wystarczy mikrobus. Od czasu wypadku za Częstochową na stałe jeździmy z Irkiem Błaszczkiem. Jest profesjonalistą, zawsze dojeżdżamy na czas. Parę razy wzbudziłem niepokój Irka, pytając w trakcie jazdy:

– Do Grodziska jedziemy?

– Tak.

– A którego?

– Jak to którego?

– No Wielkopolskiego czy Mazowieckiego?

Konsternacja. Dudek też nie wie. Śmieję się w duchu, bo wcześniej sprawdziłem w necie. Kiedyś, zamiast stałego kierowcy, wyjechaliśmy z zastępcą. Uff, było trochę emocji. Do łez doprowadziła mnie sytuacja, gdy trzeci raz z rzędu objeżdżaliśmy rondo a GPS kierowcy pokazywał inny kierunek niż GPS Arka Skolika, który wtedy grał z nami na perkusji.

Nie wierzcie elektronicznie!

Jednak wyjazdy z Shakin' Dudi nadal mają ten element spokoju i wyluzowania. Zawsze wyjeżdżamy wcześniej, tak by mieć przed koncertem parę chwil luzu. Zazwyczaj, po przejechaniu pięćdziesięciu kilometrów stajemy na kawę. Potem na następną, potem na obiad. A po obiedzie oczywiście na kawę.

Najgorsze jest to, że przez lata podróżowania znam te wszystkie trasy na pamięć. A2, A4, S3. Za chwilę będę potrafił opisać każdy ekran i każdy paskudny billboard. Na te reklamy nie da się spokojnie patrzeć. Trzeba by wozić zapas butelek z benzyną i po kolei wszystkie podpalać. Jedziesz, piękny las, za nim łąka, a tu nagle dostajesz strzał prosto między oczy. Wyłania się ogromny billboard z ryjem jakiegoś polityka. Albo z reklamą Biedronki.

Im bliżej miasta, tym gorzej. Wszystko oblepione reklamami. Zabytkowe kamienice, drzewa, mury. Przejeżdżasz miasto, chwila spokoju, reklamy znikają. Zamiast nich koisz duszę widokiem lasu. O, na poboczu dwie sarenki! Ach, przebiegł zajaczek! Ło! pani w różowych rajstopkach pomachała. Na skraju lasu miejscowa ludność trudniąca się zbieractwem. Grzyby, jagody i co tam hojna, w odróżnieniu od ZUS-u, matka natura dała. O i kolejna sarenka, w czarnych pończoszkach. Piękne są te nasze krajobrazy. Piękna nasza Polska cała i niedroga w niej gorzała. Niestety, chwilę później zaczynają się kolejne reklamy, potem kilka kilometrów ekranów, potem reklamy, potem ekrany dźwiękochłonne. Z tych ekranów to się pewnie kilka osób wyżywi i to chyba nieźle.

Przybyło reklam, przybyło też przydrożnych knajp. Tak, teraz jest ich pod dostatkiem, jednak wcale nie oznacza to, że na trasie zjecie coś smacznego. Najczęściej spotykany wariant to drogo, ale za to niesmacznie. Czasem jest tanio i niesmacznie. Wypiański byłby zachwycony. Wszędzie restauracje typu Chamskie Jadło, Smak Buraka czy coś w tym stylu. Najbardziej podobają mi się Góralskie Chaty, w środkowej Polsce lub na Pomorzu. Jadłospis wszędzie podobny i nad wyraz jednostajny, smak wszędzie podobnie nijaki. Jedno dobre, zazwyczaj nie trują. Zresztą smak potraw można skutecznie zagłuszyć podawanymi tam koncernowymi szczynami, sprzedawanymi jako piwo.

Na trasie często ostatnią deską ratunku są stacje benzynowe. Hot dogi i kawa niejednemu muzykowi uratowały życie. Tak, wiem, że na trasie często można zobaczyć takie dwa złote łuki. Omijam. Po latach marudzenia udało mi się przekonać kolegów z zespołu, żeby nie zatrzymywać się w Mc Donaldsie. Z dwóch powodów. Po pierwsze zupełnie mi te wynalazki nie smakują. Po drugie wolę dać zarobić swojemu rodakowi, a nie globalnemu koncernowi.

Koncerny są be i wcale ta globalizacja i unifikacja mi nie pasuje. Nie chcę, żeby każde miasto wyglądało identycznie. Nie chcę, by w każdym mieście na świecie były identyczne knajpy, identyczne sklepy, identycznie myślący ludzie. Siła tkwi w różnorodności. Globalne koncerny ją zabijają, eliminują z rynku mniejsze firmy, zawężają asortyment dostępnych produktów. Wygrywają siłą swojej reklamy i marketingu z każdym nie koncernowym produktem, nawet jeśli ten jest lepszy. Podobnie globalizacja oddziałuje na muzykę. Kilka światowych gwiazd, kilka krajowych i tysiące

beziemiennych wykonawców, którzy z mozołem i zazwyczaj bezskutecznie próbują dotrzeć do odbiorców.

Nie lubię się spóźniać, wręcz nie cierpię. Tak, jestem punktualny. Proszę się nie krzywić, proszę nie komentować. Wiem, że prawdziwy artysta powinien się spóźniać, strzelać focha. Trudno, widocznie nie jestem prawdziwym artystą. Nigdy nie spóźniłem się na koncert, a same występy zaczynam punktualnie. Chociaż parę lat temu, o mały włos... Mieliśmy jechać z Redakcją na koncert do Moniek. Potem z kolei po występie Bartek Stuchlik i ja mieliśmy gdzieś w okolicy Łodzi przesiąść się do busa, którym jechał Dudek z resztą ekipy do Gdańska na koncert. Wyjazd z Redakcją zaplanowałem na dziesiątą wieczór. Zadzwoił Łukasz Walczak, że nie zdąży na dziesiątą, bo mu granie się przeciąga i dlatego będzie trochę po północy. Jeszcze po drodze miał zebrać Adasia. Już mi się leciutko pod pokrywką zagotowało, ale co miałem zrobić. Czekam. Mija pierwsza w nocy, czekam dalej. Telefon. No, że jeszcze z godzinkę. Potem jeszcze jedną. Zagotowałem się dziesięć razy, aż chyba się nawet zapasteryzowałem.

Wyjechaliśmy o szóstej rano. Do przejechania sześćset kilometrów. Korki w Częstochowie, korki w Warszawie, za Warszawą roboty drogowe. Na dodatek upał, ponad trzy dychy. Noc zarwana, koncert przed nami. Dobrze, że mamy hotel, przynajmniej zdążymy się wykąpać i coś zjemy. Za chwilę według mapy powinien być zjazd. Powinien, ale nie ma. Wszędzie rozkopane pobocza, senni panowie w pomarańczowych kamizelkach i warczące maszyny drogowe. Ruina w budowie. A zjazdu nie ma.

Robię się trochę nerwowy. W końcu z daleka widzę pierwszą od kilkudziesięciu kilometrów zieloną tablicę. Białyсток 4 km. Jaki Biały? Dzwonię do organizatora koncertu Jacka Żędziana, ten tłumaczy, że o wiele wcześniej mieliśmy skręcić w lewo. Przegapiliśmy zjazd! Przy tych robotach powrót zajmie nam godzinę. Zaczynam kalkulować i wychodzi, że w hotelu będziemy mogli posiedzieć jakieś czterdzieści minut. O nie, to już lepiej dojechać do Moniek.

Tak też robimy, na szczęście gości nas Waldek Tomaszuk i mamy chwilę na krótką drzemkę i prysznic. Potem koncert, dwie godziny rozmów ze znajomymi i znów w samochodzie. Z rozpędu dojechaliśmy do Częstochowy, tam z Bartkiem wsiadamy do mikrobusu i ruszamy z Shakin'

Dudi w stronę Gdańska. Podróż za jeden uśmiech, ponad dwa tysiące kilometrów w dwa dni.

Jedziesz, mijasz senne miasteczka i wsie. Mijasz poukrywane po krzakach radary i wesołych panów w niebieskich wdziankach. Fachowców w dziedzinie wyceny.

– Artysta? Artysta to trzysta!

W końcu docierasz do miejsca przeznaczenia. Albo jedziesz na próbę akustyczną albo masz parę chwil, żeby wyciągnąć się na wyrku i trochę odpocząć. Jeśli to koncert z Irkiem, to zazwyczaj też w hotelu wbijam się w garnitur i białą koszulę. Jeszcze tylko trzeba zawiązać krawat i można jechać na koncert.

Najlepszy wjazd na występ miałem z Shakin' Dudi w Gdańsku, kilka lat temu. Dzień wcześniej graliśmy na zlocie harleyowców. Następnego dnia motocykliści zaprosili nas na sopockie moło. Mieli tam prezentację swoich zabawek, oprócz motorów stało tam też parę stylowych limuzyn z lat pięćdziesiątych. Lincoln, Cadillac i jeszcze jakieś (nie znam się i się nie wypowiem). I to właśnie tymi samochodami zostaliśmy zawiezieni na koncert. Dodatkowo towarzyszyły nam trzy dziewczyny, wystylizowane na Marylin Monroe. Dziewczyny były profesjonalistkami, pracowały w teatrze. Dudek zaprosił je do śpiewania chórków. Ruszyliśmy całą kawalkadą: limuzyny i do tego ponad setka harleyów. Przejazd przez Sopot robił wrażenie. Całą kolumną wjechaliśmy na stadion, na którym mieliśmy występować. Wskoczyliśmy z limuzyn prosto na scenę. A z nami dziewczyny w stylowych kieckach i blond perukach. Pełen kosmos! Publiczność oniemiała.

Mała szczypta glamu nigdy rock'n'rollowi nie szkodzi. Mała.



DD, nagrywanie programu dla TVP, 1985 r.
fot. mr makowski



The Dudis,
fot. mr makowski

Rozdział 8

Miało być tak pięknie. Nowy zespół, nowe rozdanie. Tylko, że nowy rok przywitałem w szpitalu. Nie, nie w więziennym, nie na zgniłym posłaniu. W Szpitalu Zakaźnym, na Kozielskiej w Gliwicach. Zdiagnozowano u mnie zapalenie wątroby. A wszystko to przez czytanie książek... Tak, przez lekturę książek, bo zauważyłem, że coraz trudniej mi się czyta. Cholera, literki mniejsze z oszczędności drukują? Poszedłem do okulistki, mamy Piotrka Nowickiego, kolegi z bloku. Pomierzyła, pooglądała, zajrzała przez źrenicę w głąb mojej duszy i zaordynowała okulary. Fuj, brele! Dobilo mnie to, przecież królowie rock'n'rolla nie noszą okularów. No dobra, Buddy Holly nosił, ale to był wyjątek. Jednak pani doktor miała dla mnie jeszcze inne złe wieści.

– Darek, miałeś kiedyś kłopoty z wątrobą?

– Nie, skądże – byłem wręcz oburzony.

– Masz takie zażółcone białka, wypiszę Ci skierowanie na badania.

W domu od razu poleciałem do lustra. Faktycznie, oczka miałem jak najarany Chińczyk. Od jakiegoś czasu męczyła mnie też zgaga. I często byłem senny. No, ale choroby to przecież nas młodych nie dotyczą. Stary Dudek owszem, jemu wypada chorować. Ale ja? Hmm, z drugiej strony dwadzieścia sześć lat. Henio, Janis, sami wiecie... Poszedłem na te badania do Szpitala Zakaźnego. Gdy wróciłem po wyniki, już wiedziałem, że mam przechlapane. Przyjęła mnie ordynator, pani Krzypkowska.

– Pali pan, pije? – zapytała bez ceregieli.

– No, palę.

– A alkohol?

– Sporadycznie.

To „sporadycznie” nie do końca było zgodne z prawdą. Imprezowaliśmy po większości koncertów. Z drugiej strony aż tak dużo nie graliśmy. Fakt, że wiedliśmy dość szalony i nieregularny tryb życia. Obiady o 23, piwo zamiast śniadania, mało snu i tak dalej. Nie oszczędzaliśmy się, ani na scenie, ani poza nią. Organizm dostawał popalić, oj dostawał. W oględnych słowach opowiedziałem pani doktor o swoim trybie życia. Uśmiechnęła się, pokiwała głową.

- Ma pan kiepskie wyniki, musi Pan zostać w szpitalu.
- Słucham, pani doktor? – o mało się nie zadławiłem.
- Zostaje Pan u nas, siostró... Zawołała oddziałową.

Co, podlać trochę banałem: jak ptak w klatce, jak ryba w siatce, jak gwóźdź w desce, jak ząb w szczęcie? Tak się czułem. Uwięziony, jestem uwięziony! Ratunku! Chciało mi się wyć. Przecież mogę tu spędzić nawet tydzień! Naiwny. Po pierwszych rozmowach ze współwięźniami dowiedziałem się, że wcześniej niż za pięć tygodni nie wyjdę. Wyć, ryczeć, czy uciekać? Uwalilem się na szpitalnym wyrze i z tych wszystkich emocji usnąłem.

Szok. Zamiast pulsujących świateł sceny, szpitalne światła jarzeniówek. Zamiast wygodnego hotelowego wyrka, skrzypiący materac. Zamiast pysznego żarełka, biały ser. I biały ser. I biały, kurwa ser jego mać. Dziwne, do dzisiaj uwielbiam. Szpitalna dieta była podła i biedna.

Szpitalne noce długie i smutne. Raz na jakiś czas ktoś na oddziale umierał. O czwartej rano budzili nas i zmuszali do połykania sondy, takiego gumowego wężyka, który wprowadzali do żołądka. Łaziliśmy po korytarzu z tymi rurami. Wyglądało to jak z filmu science fiction.

Stosując się do zaleceń pani ordynator rzuciłem alkohol. No, to akurat w szpitalu nie było trudne, chociaż byli hobbyści, którzy pomimo marskości wątroby, czasem coś tam spożywali. Rzuciłem też palenie. Na krótko. Niestety, całe szpitalne życie toczyło się w palarni. Tam grano w karty, opowiadano dowcipy. Pierwszy tydzień paliłem biernie, potem jednego, dwa. Po dwóch miesiącach wróciłem do normy. Paczka z haczykiem.

Szpitalne życie biegło powoli, jego rytm wyznaczały posiłki i lekarskie obchody. Czas zabijałem czytaniem książek. Zacząłem też pisać teksty, wierszyki i jakieś opowiadania. Już wcześniej jedno z opowiadań (poświęcone papierosom) wydrukowała gazeta „Razem”. Z upływem czasu wyniki miałem coraz lepsze. Na szczęście, bo bardzo chciałem wrócić do normalnego nienormalnego życia.

W tym czasie Irek z kolegami zagrali gdzieś w Polsce B kilka koncertów. Hmm, jako Shakin’ Dudi. Trochę słabo, po tych wszystkich deklaracjach w prasie o zawieszeniu działalności. Słabo nie słabo, też się skusiłem i zaraz po wyjściu ze szpitala zagrałem z nimi w Warszawie, w Teatrze

Roma. Dziwnie było po koncercie, koledzy ruszyli po jakieś trunki, przygarnęli parę sierotek. Natomiast ja grzecznie do łóżeczka, lektura.

Próbowałem wtedy zmęczyć „Silmarillion” Tolkiena. Nazwa kojarzyła mi się z „Sylimarolem”, lekarstwem na wątrobę. Jednak po kilkunastu minutach nie wytrzymałem i wbiłem do kolegów na imprezę. Zgarnąłem im najładniejszą sierotkę i razem z nią zajęliśmy się Tolkienem. Alkoholu oczywiście nie tknąłem. Nie tknąłem przez następne siedem lat.

Stosowałem się do zaleceń doktor Krzypkowskiej, przestrzegałem diety, starałem się odpoczywać. Do dzisiaj lubię walnąć poobiednią drzemkę. Zresztą w ogóle lubię spać. Przestrzegałem diety, ale to nie wystarczyło. Przez następne parę lat jeszcze kilka razy lądowałem w szpitalu. Dużo czasu tam spędziłem. Czasem kreatywnie, pisząc teksty. Czasem mniej twórczo, grając w karty. O ile na długie lata zupełnie zrezygnowałem z alkoholu, o tyle papierosy rzuciłem dopiero w 2013 roku. Tak zwyczajnie, dwa dni wcześniej zapowiedziałem, że od 22 lipca nie palę. No i nie palę. Niestety, po czterdziestu latach jarania organizm doznał szoku, zaczęły się jakieś tam jazdy z ciśnieniem, żołądkiem. Ale już spoko. Tylko trochę mnie przybyło i ksywa „Chudy” przestała do mnie pasować. Szpitale na szczęście są już dalekim wspomnieniem. Jedynym plusem mojej szpitalnej tułaczki była kategoria „Trwale niezdolny do służby wojskowej”.

Na wiosnę w końcu zagraliśmy kilka koncertów z The Dudis. W Częstochowie, w Gdańsku w hali Stoczni... Co to były za występy! Jedne z najlepszych koncertów w życiu. Publiczność łykała nasze dźwięki jak szalona. Przyjmowali nas lepiej niż Shakin’ Dudi. Oprócz swoich piosenek prezentowaliśmy też „Dom wschodzącego słońca” Animalsów czy „You really got me” Kinksów. Aha, też „I’m crying” i „Glorię” Themów. Graliśmy mocno, w solówkach czasem odlatywaliśmy w psychedeliczne klimaty.

Jednak sukcesu nie było.

Wyszła płyta i zaczęło się marudzenie. Dziennikarze, którzy wcześniej pod niebiosa wychwalali mnie za prostotę i żywy język tekstów, tym razem narzekali na „kolokwialne wyrażenia”. Dudka też się czepiali, że kompozycje mało przebojowe. Oni chcieli bezpiecznych, miłych dla ucha „Ziut”, a nie realistycznych opisów socjalistycznego syfu. Takich jak „Miasteczko N.” czy „U biednych”. Im nie pasowały piosenki typu „J.Z” czy „Tutaj cacy”. Przecież ten Dudek miał być już całkiem ich, a tutaj za

jakiegoś buntownika się przebiera. Przykro to powiedzieć, ale serwilizm dziennikarzy wobec władzy buraczano-ludowej był niezmierny jak przestrzeń kosmiczna. Był też bliźniaczo podobno do współczesnego oportunisty mediów. Irek w wywiadach próbował tłumaczyć, wyjaśniać, zagadać. Jednak nic to nie dało, przestaliśmy być ulubieńcami mediów. Na szczęście ludzie dalej nas lubili i płyta sprzedała się świetnie.

Po raz pierwszy od lat miałem mnóstwo czasu. Snułem się po mieście, przesiadywałem w gliwickiej „Galerii 6”. Czasem miałem próbę z Absurdem. Zrobiliśmy jeszcze parę nowych utworów do tekstów napisanych w szpitalu (m. in. „Leżeć”). Z Absurdem pojawiliśmy się po raz ostatni na Famie. Zagraliśmy w Szczecinie, w ramach koncertów z cyklu „Garaż” organizowanych przez Dziką Jodkę, późniejszego właściciela Jimmy Jazz Records.

Dzidka poznałem w zimie 1983 roku, gdy grał ze swoją kapelą, Corpusem X w Gliwicach. Lubiłem ten band jeszcze z Jarocka 82. Po koncercie zaprosiliśmy ich do naszej piwnicy. Nie wiem, czy im się podobało, ale na pewno wiadro martwych szczurów zrobiło na nich wrażenie. Na Famie zaprzyjaźniliśmy się mocno, do dzisiaj utrzymujemy kontakt. Dzidek wydał dwie pierwsze płyty Redakcji. Wtedy, w Świnoujściu w trakcie koncertu Absurdy wyłączono prąd. Wybrnęliśmy, gromkim chórem odśpiewaliśmy „To lezie młodość”. Po chwili włączono prąd i mogliśmy kontynuować.

We wrześniu reżyserowałem koncert o tytule „Powietrza” w ramach Finału Festiwalu Kultury Studenckiej. Odbył się w Hali Parkowej, tej samej, w której debiutowałem z Shakin’ Dudi. Grały m. in. Armia, Wańka Wstańka, Daab, Sztywny Pal Azji i mój Absurd. Pomiędzy występami i w trakcie puszczałyśmy filmy, mające wzmocnić przekaz. Użerałem się też z zespołami, które próbowały za wszelką cenę przedłużyć swój występ. A mnie czas gonił. Jednak argument, że zaraz wyłączę prąd zawsze działał. Koncert wyszedł świetnie. A ja jeszcze nigdy wcześniej tyle nie zarobiłem.

Jesień sprzyja refleksji. Zazwyczaj niewesołej. Absurd się nie rozwijał, kolegom wystarczył ten poziom, który osiągnęli wcześniej. Mieli coraz mniej czasu na próby. Z drugiej strony coraz trudniej było załatwić koncert, czy też występ na festiwalu. Nadszedł czas tzw. Krajowej Sceny Młodzieżowej. Na scenie i w mediach zaczęło królować lżejsze granie, z luźniejszymi tekstami. Takie „la la la la”, a nie „dzy dzy dzy dzy”. Rodził

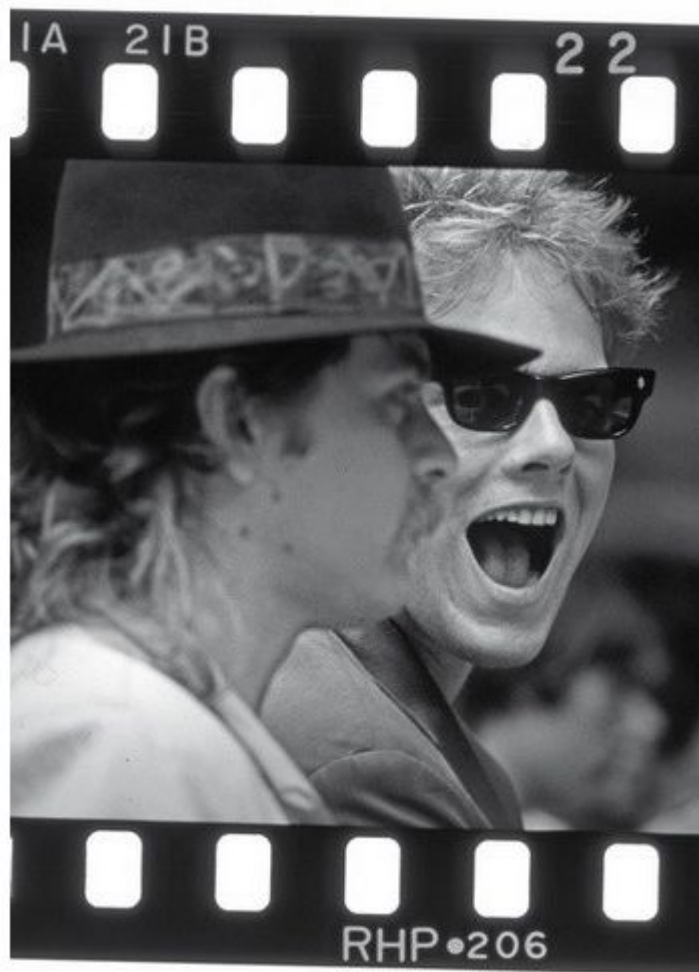
się „rock igrowy”, nasza polska muzyczna specjalność. Druga, bo niekwestionowane pierwsze miejsce zajmuje disco polo.

W punku też zaczęła się szerzyć punko-polowa gangrena. Coraz częściej myślałem, żeby od tego wszystkiego uciec. Ileż razy można było grać w Spodku? Ile razy można było nocować i imprezować w hotelu „Posejdon”? Lubię nowe. Nie cierpię rutyny. Nie cierpię fabryki, nie wiem, jak niektórzy moi znajomi znoszą granie po kilkadziesiąt lat w tym samym zespole. Granie tego samego. Zmieniać, szukać, zmieniać, szukać. A tam, pogoniłem ten cały Absurd w pizdu!

Cała nadzieja w tym The Dudis, chociaż recenzje nie napawały optymizmem. Grań też nie było. Owszem, dwa razy wyjechaliśmy zagranicę. Polecieliśmy do Moskwy na Dni Kultury Polskiej. Przygnębiające miasto, na dodatek nerwowe po tym, jak młody Niemiec wylądował awionetką na placu Czerwonym. Brudno, smród, tylko zabytki ładne. W knajpach panoszące się chamstwo, fatalne żarcie, bezczelna obsługa. Mieszkaliśmy w hotelu „Rossia”, ogromnym molochu, który mieścił cztery tysiące gości. Zagraliśmy dwa koncerty, nie wiadomo dla kogo i nie wiadomo po co. Wracaliśmy pociągiem. Brzozy, brzozy, wszędzie brzozy. Potem ruszyliśmy do enerdówka, krainy fioletowych jarzeniówek rozświetlających okna w blokach. Wschodni Berlin też mnie nie zachwyił. Mieliśmy grać na dużym, rockowym festiwalu, lecz przyszło oberwanie chmury i koncert odwołano.



The Dudis,
fot. mr makowski



Chuligani, Andrzej Urny i DD Sopot, 1987 r.-
fot. mr makowski

Jesienią z The Dudis pojechaliśmy do Warszawy, żeby nakręcić program telewizyjny, ilustrujący płytę. Tak, mieliśmy nakręcić dziesięć teledysków! Nikt czegoś takiego wcześniej w Polsce nie zrobił! Byliśmy pewni, że dzięki temu wszystko ostro ruszy do przodu. Reżyserem programu był Mariusz Malinowski. Miał niezły odłot i monthy pytonowskie poczucie humoru. Cały program był na pograniczu kiczu i teatru absurdu. Filmowe ilustracje wzmacniały przekaz piosenek. Pokazywały naszą groteskową rzeczywistość. Zgodną z dewizą Absurdu: „Nasze realia to anomalia”. Wyglądaliśmy się w zoo, goniliśmy Dudka pod Pałacem Kultury, byliśmy w hufcu OHP, kręciliśmy na wysypisku śmieci, nad Wisłą, w knajpie. Pełne szaleństwo. Trwało to kilka dni, było męczące i forsowne, ale czuliśmy, że

warto. Wierzyliśmy w Mariusza, dziwne, że tacy ludzie nie robią w Polsce kariery. Selekcja negatywna w show biznesie przypomina tę w polityce.

No i dupa.

Dooooooooooooooooooooopa.

Dududisdupa.

Czekaliśmy na premierę tego programu i czekaliśmy. Ani menadżer, ani Dudek nie potrafili się dowiedzieć, kiedy będzie emisja. Kiedy się zacznie? Nie doczekaliśmy się. Program został wyemitowany dopiero po dwóch latach, w 1989 roku. Przez ponad dwa lata był „półkownikiem”. Programem zablokowanym przez wewnętrzną cenzurę. Po prostu dostaliśmy szlaban.

I tak The Dudis przeszło do historii. Irek ożenił się i pojechał do żony, która pracowała w Holandii. Menadżerowie nie za bardzo przyłożyli się do roboty i zapadła zupełna cisza. Zero koncertów, zero programów telewizyjnych. Ach, dobrze że kończył się ten rok.

Na Sylwestra poszedłem do Gwarka i poznałem pewną Grażynę. Nie był to pierwszy raz, gdy pozornie nic nie znacząca sytuacja zaważyła na całym moim życiu. Ale na prawie dwa lata zapomniałem o pani Grażynie.

Jeszcze kombinowałem, jeszcze mi się chciało. Na Famie skumałem się z Andrzejem Urnym, rewelacyjnym gitarzystą, znanym z Young Power i Perfectu. Andrzej grał stylowego rocka, mocno osadzonego w amerykańskich klimatach. Spotkaliśmy się, zażarło. Dołączył Lucek Gryszka, na próbie wspomógł nas Andrzej Ryszka, potem na perkusji grał Artur Hajdasz z Made in Poland. Graliśmy rocka, pomieszanego z rock'n'rollem. Punka w tym nie było, nie miałem ochoty na takie granie. Pora spróbować czegoś innego. Za to nazwę mieliśmy zawodową: Chuligani. Najpierw mieliśmy próby w Leśniczówce, potem pojechalismy do Krynicy, do Artura. Palącym problemem stało się znalezienie wokalisty.

Znowu szukałem wokalisty, paranoja prawda? Pojechałem do Warszawy, spotkałem się z Pawłem Kukizem, którego znałem z czasów zespołu Aya RL. Dałem mu kasetę z próby. Miał czterośladowego Fostexa na kasety, miał warunki, żeby się profesjonalnie przygotować. Kolejne próby rozpoczęliśmy w Rudzie Śląskiej. Czekamy i czekamy, jak to w erze przedkomórkowej. Pawła nie ma. W końcu się pojawił. W towarzystwie jakiegoś żula. Obaj jednakowo trafieni. To mógłbym jeszcze znieść dla dobra sztuki. Gorzej, że zupełnie nie był przygotowany. Przywiózł na

kasecie jakieś pomysły na chórki, natomiast zupełnie nie zrobił głównego wokalu. Atmosfera zrobiła się gęsta. A gdy Paweł zaczął czepiać się Hajdasza i wyzywać od chałturników, musiałem zainterweniować i grzecznie niedoszłemu wokaliście podziękować.

Następnym niedoszłym wokalistą był ktoś z Wrocławia, kto dobrze śpiewał „Georgię” Raya Charlesa. Też z nim nie wyszło. Ostatecznie niezwykle intratną posadę wokalisty w zespole Chuligani objął Robert „Cichy” Cichocki z Fortu BS. Dobrze pamiętałem Fort BS, jego kapelę z Jarocina, fajnie grali „Bo jo cię kochom” De Pressu. Teraz słyszę, że tak naprawdę jego sposób śpiewania nie pasował do tej muzyki. To się nie kleiło, to się nie mogło skleić. Nie zagraliśmy żadnego koncertu, nagraliśmy tylko dwa numery w studiu S-4. Realizatorem był Wojtek Przybylski. Numery były słabe, na garach Artura zastąpił inny, gorszy bębniarz. Od początku nie żarło, było o trzy poziomy gorzej, niż na pierwszych próbach.

Tak, tak, drogi Czytelniku, słusznie się domyślasz. Skończyłem z tym. Andrzej Urny przez jakiś czas grał pod szyldem Chuligani, nie miałem nic przeciwko temu. Dla mnie był to etap zamknięty. Dość, chyba starczy tej muzyki? A może by tak zostać aktorem? Dawny wokalista Śmierci wystąpił w dwóch filmach, to czemu mnie by nie miało się udać?

Zupełnie poważnie zacząłem rozważać zdawanie egzaminów do szkoły aktorskiej. Aktorzy żyli jak rock’n’rollowcy. Wiem, bo poznałem kilku. SDR w stu procentach. Tak, sex and drugs and rockandroll, przecież każdy zna tę piosenkę Iana Dury? Jednak w końcu odpuściłem. Wystarczyło kilka polskich filmów w telewizji, by odechciało się tego zawodu.

Ponieważ pomysłów na życie brakowało, zgodziłem się za namową rodziców i poszedłem do szkoły. Zaliczyłem technikum elektroniczne. Rodzice nadal święcie wierzyli, że tzw. dobry zawód gwarantuje świetlaną przyszłość. Wierzono tak w dwudziestym wieku, dopóki całej produkcji nie wyprowadzono do Chin. Wtedy wszyscy spojrzeli na swoje ręce, włożone do nocnika i zdali sobie sprawę, że pracy, przyszłości i stabilizacji nie ma. I nie będzie w świecie opanowanym przez wielkie koncentrationen koncerny.

Natomiast mam do Was prośbę, drodzy i zapewne nieliczni Czytelnicy. Jeśli zepsuje Wam się gniazdko, nie dzwońcie do mnie. Naprawdę boję się tego jebanego prądu elektrycznego. Boję się też burzy. Nie pomogę.

W 1988 roku pojechałem na wakacje w Bory Tucholskie. Chciałem odpocząć, przemyśleć, wyluzować, podjąć życiowe decyzje (cokolwiek to oznacza). Jednak już po trzech dniach medytowania w samotności zadzwoniłem do sympatycznej Kingi z Koszalina, poznanej wcześniej w Gwarku. Dobra dziewczyna, zgodziła się przyjechać. Widocznie nie nadaję się na pustelnika. Potem dojechał Darek Borowicz ze swoją dziewczyną. Tak, ten chłopak, który grał na gitarze w Brzytwie Ojca. Przyjaźniliśmy się, to u niego pierwszy raz w życiu siedziałem przed komputerem. Nie pamiętam, Atari czy Commodore. Nie pamiętam też nazwy gry, w którą grałem godzinami. Darkowi i jego zespołowi bardzo kibicowałem, On, Pastor, basista Darek i Kisman byli jedną z sympatyczniejszych ekip grających punka, jakie w życiu poznałem.

Któregoś wieczoru Darek przyjechał po mnie swoim czerwonym małym fiatem nad jezioro. Wszędzie panoszyła się okrutna mgła. Krwawa mgła. Jechaliśmy główną drogą. Nic nie było widać, zupełnie nic. Nagle Darek ostro zahamował. Tuż przed szybą przesunęła się sylwetka jakiegoś pojazdu. Kierowca autobusu jego mać nie zatrzymał się na stopie. Ach, te nagłówki: Gitarzysta Brzytwy Ojca i założyciel Śmierci Klinicznej zginęli w wypadku drogowym! Nagłówki zinów oczywiście.

Przeżyliśmy.

Punk's not dead!

Fatalny rok, chociaż na koniec lekko się przejaśniło. Ireneusz postanowił nagrać nową płytę i potrzebował tekstów. Dwa napisał mu Krzysiek Daukszewicz, zresztą jeden z nich „A jeżeli mój dobry Boże” bardzo mi się podobał. Pozostałe napisałem w tydzień. Zagrałem tylko w jednym numerze, w singlowym „Wiem, co gram”. W programie telewizyjnym promującym płytę nie wystąpiłem. Irek zresztą też. Więcej na ten temat w kolejnych rozdziałach. Fajnie było w tym studiu, za gałkami siedzieli Lupa i Sasin. Czasem w sąsiedniej sali pojawiał się Czesław Niemen, raz wpadła pani Sośnicka. Fajnie, fajnie, tylko czy Irek do takich klimatów pasował? Gdzie ten Jarocin, gdzie ten odlot? Płyta jest nagrana porządnie, ale bez polotu. I tak została odebrana. Chociaż teraz, z perspektywy czasu można znaleźć tam kilka fajnych piosenek. Fajnych, bo z moimi genialnymi tekstami. Lekko pojechanymi. O żyrafach, stonogach, metrażu mieszkań. O marszach aktywistów. O tym, że „Byle co, byle jak”. Płyta dobrze brzmi do dzisiaj, w końcu grali wybitni muzycy: Ścierański, Kiniorski, Korecki.

Jednak komercyjnie była chyba najgorszą płytą Irka, taką, która nie trafiła do nikogo. Ani do fanów bluesa, ani do fanów Irkowego rock'n'rolla. Tak, tak, te sto tysiąków się sprzedało. Ale cały repertuar z tej płyty był wykonany tylko raz, na Rawie 89.

Ech, ten osiemdziesiąty dziewiąty, rok zmian! Wielkich zmian. Bardzo zaprzyjaźniłem się z Luckiem Gryską, dawnym basistą Shakin' Dudi i Absurdu. Odwiedzałem go często w jego familoku na Bujoczka w Rudzie Śląskiej. Z czasem cała jego rodzina wyjechała do Niemiec, tylko Lucek został w Polsce. Sam jak palec. Przepraszam, nie sam, miał na szczęście dziewczynę. Magda została później jego żoną.

Przyjeżdżałem do niego i graliśmy różne dziwne kawałki. Nagrywaliśmy to na czterośladowego Fostexa. Po paru takich dniach nagraliśmy demo. Część kompozycji była Lucka, część moja. Takie proste rock'n'rolle utrzymane w klimacie Creedence Clearwater Revival. Nie znacie tej kapeli? Pewnie, że znacie. Muza tego zespołu trafiła do wielu znanych amerykańskich filmów. Szczególnie tych o wojnie wietnamskiej. Do naszych kompozycji napisałem teksty. Zupełnie inne, niż pisane wcześniej. Zupełnie oderwane od ponurej rzeczywistości. „A może zupa sama wleje się do ust? Nie, nie chce mi się.” Bo mi się nie chciało. Walczyć o popularność, szukać wokalisty, walczyć o sukces. Nie, nie chce mi się! To było moje credo.

Może trzeba było skończyć na etapie demo? Tak, żeby przeszło do legendy? Dwóch świrów, Dusza i Gryśka, po zażyciu śmiercionośnych śląskich klusek popitych żurem, przekazuje światu manifest: „Nie chce mi się”. Może?

Na pewno nie powinienem śpiewać. Lecz po tylu perypetiach, związanych z szukaniem wokalistów, naprawdę nie miałem już mocy. Błędem było też zastosowanie automatu perkusyjnego. Trzeba było zagrać z żywym bębniarzem. Chociaż trochę mnie ten perkusyjny nieboszczyk fascynował. Pożyczyłem go od Krzyśka Kobylińskiego, po paru dniach w miarę opanowałem. Gdy nagraliśmy demo, z moim wokalem i perkusyjnym automatem, postanowiłem coś z tym zrobić. Pojechałem do stolicy, umówiłem kilka spotkań. Pierwsze miałem w Polskich Nagraniach. Przyjął mnie jakiś kolo, zaczęło się od konwenansu:

– Kawa, herbatka?

Chciałem mu odpowiedzieć, że dziękuję, poproszę dwie dziwki. Z dużymi cycami oczywiście. Ale zmilczałem. Koleś wywnętrzał się dalej. Zaczął omawiać piosenki z demo.

– Świetne utwory, świetne. Teksty bystre, naprawdę bystre.

– Dziękuję – prawie się zarumieniłem. Naprawdę było mi ciężko, nigdy nie radziłem sobie ze sprzedażą własnych wypocin.

– Doskonałe piosenki, doskonałe. Maryla na pewno da radę!

Kto? Co on mówi? Maryla? Nie wiem, do dziś, czy żartował, czy nie. Czy naprawdę sądził...

– Hmm, to może jednak sobie pójść. Jak coś zadzwonię? Albo pomacham?

Ratunku! Sądzę teraz, że żartował. Osobiście nic do pani Maryli nie mam. Była, jest i będzie. Jak skała, jak tlen, jak życie na Ziemi. Wraz z Krzysztofem Krawczykiem kojarzyłem ją jako symbol epoki. Minionej epoki lat siedemdziesiątych. Myliłem się. Większość artystów, legitymizujących komunę przeszła bezboleśnie do dwudziestego pierwszego wieku.

Zdolniachy!

Ba, cała ta szemrana branża załapała się na nowy wiek! Z Polskich Nagrań uciekłem do Veritonu, którego dyrektorem był Wojtek Kwapisz, dawny menadżer Lady Pank. Zaufał, na szefa projektu wyznaczył Iwonę Thierry. Wokalistą zespołu Darmozjady zostałem ja, nie Maryla.

Drodzy słuchacze! Nie czujcie się oszukani. Przez parę miesięcy ćwiczyłem wokal. Naprawdę. Regularnie przychodziłem do Gwarka i próbowałem nauczyć się śpiewać.

Wiem, że się nie udało. Mam głos barana, sam to słyszę. Natomiast nie wiem dlaczego, wszyscy spodziewali się punkowej płyty? Bo? Acha, bo grałem w Śmierci Klinicznej i Absurdzie. Rozumiem, że to dożywotnio skazuje na granie jednego rodzaju muzy? Nigdy nie byłem i nie jestem zakładnikiem swoich fanów. Tak, tych dwóch, których mam. Mam prawo do pełnej wolności tworzenia.

Raz na jakiś czas mam prawo do pomyłek, do nagrywania gorszych piosenek i do pisania słabszych tekstów. Raz na jakiś czas.

Do grania zaprosiłem też Adasia Lomanę, bardzo stylowego klawiszowca. Lomania, Gryszka i ja. Taka ekipa zameldowała się w Warszawie, by w studio na Długiej, pod nadzorem Sasina i Lupy nagrać

płytę. Mieszkaliśmy na Pradze, w mieszkaniu mojego przyjaciela Marka Nowowiejskiego. Śpiewałem, a z nosa kapąła mi krew. To była prawdziwa walka z dźwiękiem. Nie stosowano wtedy tych wszystkich programów ratujących miernych wokalistów. Nie było „Autotuna” ani „Melodyny”. Trzeba było czysto zaśpiewać. Realizatorzy twierdzili, że gdybym wziął kilka lekcji emisji, to kto wie, kto wie. Bardzo mili i kulturalni ludzie, prawda?

Sesja miała fajny klimat, zero nerwów, zero kwasów. Po raz pierwszy produkowałem płytę, po raz pierwszy śpiewałem, po raz pierwszy kontrolowałem całą sytuację. Wiem, wiem drogie punki, kupiliście w ciemno, a tu takie numery! A przecież to naprawdę jest genialna płyta. Do sprzątania. Odpalasz gramofon, gałkę wzmaka dajesz na osiem. I leci. Potem włączasz odkurzacz. Album Darmozjadów został właśnie do tego stworzony. Do odkurzania. Okładkę zrobił Borówa z Brzytwy Ojca. Dodatkowo w promocji w podobnym stylu wymalował mi całe nowe mieszkanie. Pod sufitem były namalowane nuty z pierwszymi taktami „Satisfaction” Stonesów.

Zapomniałem się pochwalić: miałem swoje pierwsze mieszkanie! Dzięki mojej mamie. Dawno, dawno temu założyła mi książeczkę mieszkaniową, na którą regularnie wpłacała pieniądze. Nie miała zbyt wiele, ale jednak wpłacała. Byłem zapisany na spółdzielcze M-3. Czas oczekiwania? Około dwudziestu lat. Jednak nagle pojawiła się szansa, na przetargu wystawiono na sprzedaż kawalerkę o imponującej powierzchni 28 metrów kwadratowych. Nikt tego mieszkania nie chciał. Wszyscy łudzili się, że dostaną większe. Naiwniacy! Kupiłem za pieniądze uzbierane z koncertów i natychmiast się wprowadziłem. Chata znajdowała się na Sikorniku, jednym z gliwickich osiedli. Sikornik jak na blokowisko był całkiem niezły. Dużo zieleni, sąsiedztwo łąk i pól. Bloki w większości czteropiętrowe. Mieszkanie składało się z pokoju, kuchni i łazienki, było na parterze. Wyposażenie nie było zbyt imponujące:

- wzmacniacz Laboga z czterogłośnikową kolumną– jedna sztuka
- tapczan z Enderowa– jedna sztuka
- odkurzacz w opakowaniu z kartonu– jedna sztuka
- gitara Ibanez– jedna sztuka
- gitara Maya – jedna sztuka
- garnek– jedna sztuka

– talerz, sztuce, kubek – po jednej sztuce

Nie za grubo, prawda? Ale moje! Od początku do końca moje. Centralnym meblem był ten wzmacniacz, kupiony od Adama Labogi pół roku wcześniej. Ładnie grał. Ładnie gra do dziś. Pozbyłem się go po paru latach i sprzedałem. Byłem mile zaskoczony, gdy kilka lat temu dowiedziałem się, że wzmacniacz nadal gra i to w punkowej kapeli! Tak, gra na nim Szymon z Whitmana. Moja stara gitara Maya z kolei trafiła do gliwickiej Mom Bassy.

Żyłem jak eremita. Czasem wychodziłem na miasto. Odwiedzałem rodziców, wpadałem na Rynek. Moja kochana mama nadal rozpieszczała swojego synusia i przygotowywała mi w słoikach obiady. Tak, byłem pierwszym słoikiem! Wieczorami odwiedzał mnie stary załogant i przyjaciel Piotrek Węglarski. Graliśmy w kości do szóstej rano.

W 89 roku według Joanny Szczepkowskiej padła komuna.

To pikuś.

W 89 roku zakochałem się w Grażynie.



Grażyna,
fot. Grażyna Kozera-Dusza

Teksty



Absurd (1986) – Dusza, Gryszka, Marlena, Lumpaj;
fot. mr makowski

Gdyby dzisiaj Tolkien pisał „Władcę pierścieni” nie miałyby szans, by odnieść sukces. Dzisiaj musiałyby udowodnić, że wszystkie postaci poznał osobiście. Musiałyby pokazać pieczętki Mordoru wbite w jego paszport. Do tego koniecznie przynajmniej kilka zdjęć z elfami na fejsie. No i powinien umieścić ze dwa filmiki z hobbitami na Youtube. Tak, bo dzisiaj liczy się autentyczność! Nie wyobrażnia, tylko autentyczność. Tysiące alkoholików, ćpunów i facetów po przejściach zanudza nas swoją twórczością. Kobiety upadłe, kobiety wzniosłe, kobiety przed i po przejściach przytruwają na

łamach książek, gazet i na szklanym ekranie. „Oparte na faktach!”, „Autentyczne!” wypiera to, co może stworzyć nasza wyobraźnia.

Wstydzę się, wstydzę! Wiele tekstów napisałem, posługując się wyłącznie wyobraźnią. Niestety, nie umarłem na ulicy, nie mam po każdym koncercie stu panienek i nie jestem pierdolnięty (chyba).

Dla ułatwienia dodam, że wymieniłem tytuły utworów Redakcji, Shakin' Dudi i Absurdu. Zresztą sami wybierzcie:

Wersja „A” jak autentyzm – do napisania Ziuty zainspirowała mnie historia hrabiego R. Poznałem go w trakcie pobytu w stadninie koni w Ochabach, gdzie obaj oddawaliśmy się rozkoszom ujeżdżania ogierów rasy arabskiej. Gdy jeden z koni zrzucił mnie z siodła (nawiasem mówiąc kupił go potem perkusista Rolling Stones) hrabia R. był pierwszym, który przyszedł z pomocą. Tak się poznaliśmy, a potem zaprzyjaźniliśmy. Po roku znajomości w hrabiowskim salonie, przy dobrym koniaku poznałem historię mezaliansu hrabiego R. z niejaką Ziutą, lat 24, mieszkanką wsi, należącej przed wojną do majątku hrabiego.

Wersja „W” jak wyobraźnia – śpieszyłem się, nie wiedziałem, co napisać. To miała być ballada, stąd pomyślałem, żeby było coś o kobiecie. Neuron, iskra, neuron. I miałem imię. Neuron, iskra, neuron. Przypomniała mi się impreza sprzed miesiąca. Faktycznie, ta dziewczyna miała urodę delikatnie mówiąc niekonwencjonalną. „Nie ma brzydkich kobiet, tylko wina czasem brak”. I już miałem cały tekst.

Z pisaniem zaczęło się niewinnie. Mogłem mieć osiem lat, może mniej. Byłem świeżo po lekturze książki, opowiadającej o przygodach myszy i słońa. Niestety, tytuł wyleciał z pamięci. Nieważne. Kończyła się sceną rozstania: myszka wsiadała na statek i odpływała, a wzruszony i zapłakany słoń machał jej na pożegnanie z nabrzeża. Jak to tak? Przecież to okrutne. Strasznie się wkurzyłem na autora sadystę. To niesprawiedliwe, żeby przyjaciele musieli się rozstać. Przez kilka dni chodziłem poirytowany i smutny. Co zrobić, co zrobić? Aż w końcu, jak pomysłowemu Dobromirowi zapukało coś w czachę. Wziąłem kartkę papieru w kratkę i swoim nierównym, kulfontastym pismem napisałem:

„Ale statek zawrócił i myszka wysiadła na brzeg. Słoń się ucieszył i żyli długo i szczęśliwie”. Kartkę dokleiłem na końcu książki. No i co, panie autorze? Można? Można! Zamiast dołować dzieci, można im dać odrobinę nadziei. I tak za parę lat życie ich wyleczy z wiary w szczęśliwe

zakończenia. Mój debiut pisarski przeszedł jednak bez echa. Następną pozycją był wspomniany wcześniej esej o Purplach. Potem długo, długo nic. Jednak literaturę zasysałem w ilościach dużych. Z każdą przeczytaną książką rósł u mnie szacunek dla słowa pisanego. Z każdą książką byłem coraz bardziej przekonany o wyższości zawodu pisarza nad innymi zawodami. Utwierdzało mnie w tym mgliste wspomnienie spotkania z Ryszardem Kapuścińskim.

Pisarz przyjechał na obóz młodzieżowy w Wisłęce, gdzie moi rodzice byli opiekunami. Opowiadał ciekawie i z pasją. Na tyle, że mocno odcisnęło się to w moim szczenięcym umyśle. No i było widać, że ma szacun na dzielni. Z upływem czasu dowiedziałem się jednak, że pisarze to niestety nie herosi, a zwykłe istoty ludzkie. Błądzące, grzeszące, goniące za pieniędzmi. Ten cały etos pisarza kruszył się latami, aż w końcu runął w czasach komercji i utylitaryzmu, który zabija wszelką sztukę. Pisarz, to taki sam zawód jak muzyk czy fotograf. Niejeden jest zwykłym wyrobnikiem polującym na nagrody, stypendia i łaskawość polityków.

Pisarzem nie zostałem, elektrykiem nie zostałem, aktorem nie zostałem. Zostałem tekściarzem i muzykiem. Buu, ile razy musiałem odpowiadać na to banalne pytanie:

– Co pana zainspirowało do napisania tekstów na nowy album (tu dodaj wykonawcę)?

Głupie pytanie i wybór głupich odpowiedzi:

– Życie, po prostu życie.

– Wzrost cen ropy naftowej na światowych giełdach.

– Rzeźączka.

Pierwszym napisanym przez mnie tekstem było „Nudno”:

Padało wieczór cały

I rankiem pada też

Zapalam papierosa

i przeklinam ten deszcz.

Nudno

Nudno

Nudnooooooooo!

Nieskomplikowany, życiowy, szczery i nadal aktualny. Najpierw napisałem słowa, potem zacząłem dopasowywać do nich muzykę. Potem

naskrobałem pierwsze teksty dla Śmierci Klinicznej: „Paciorek” i „Sadystę”. Potem następne.

Na pewno nie inspirowały mnie zachodnie utwory punkowe. Nawet przez myśl mi nie przeszło, by napisać milionowy tekst o systemie. Wręcz miałem uczulenie na nadużywanie tego słowa w punkowych piosenkach. Niektóre kawałki polskich wykonawców w warstwie tekstowej (a często też w muzycznej) brzmiały jak kalki Conflictu czy Crassu. Te wszystkie manifesty były nudne jak flaki. Rozumiem, że „more than music”, jednak można to było robić zgrabniej i bardziej od siebie. Tak, jak na przykład robił to Dezerter.

Jeszcze bardziej wkurzające były zespoły reggae z tym swoim „Babilonem”. Co drugi utwór miał Babilon w tytule, co trzeci w refrenie. Nie, nie, takie kalki z jamajskich wykonawców też mnie odrzucały. Lubilem teksty pisane zwyczajnym językiem, z lekkim dystansem, bez rewolucyjnego patosu. Takie też starałem się z większym lub mniejszym powodzeniem pisać za czasów Śmierci Klinicznej.

Zresztą inspiracji nie musiałem specjalnie daleko szukać. Trzydzieści metrów za domem płynęła rzeka Kłodnica. Rzeka tylko z nazwy, bo była jednym wielkim ściekiem, na brzegu którego hasały hordy szczurów. Szczypta wyobraźni i już miałem „Koniec homokracji”. Krótki spacer na Rynek, parę patroli i „Nienormalny świat” sam się napisał. Miałem rodziców nauczycieli, dlatego koniecznie w ramach konfliktu pokoleń musiałem tę „Edukację kopulację” napisać. No i „Paciorek” oczywiście.

Czasem bardziej dawałem ponieść się wyobraźni i pisałem „Mój pierwszy pogrzeb”. Czasem ogarniała mnie melancholia, tak jak w „Samobójcach”. A czasem bunt i chęć wyjścia poza schemat, jak w „ASP”. I wielkie pragnienie, by nie być ziarnkiem piasku uwięzionym i tłamszonym skórzanymi buciorami. To z tekstu piosenki „Jestem ziarnkiem piasku”.

W Absurdzie nadal szedłem według wskazań tego samego kompasu. Antysystemowego, wolnościowego, buntowniczego. Bawiłem się formą, tak jak w „Wierszyku”, tekście o atomowej zagładzie recytowanym do jarmarcznej melodyjki w rytmie beguiny. Jednak trochę częściej próbowałem zaglądać w głąb psychiki: swojej i moich kolegów. Stąd takie teksty jak „Dżuma”, „Doły” czy „Izolacja”.

„Jestem, jestem pierdolnięty

Jestem święty!”

To jeden z moich ulubionych kawałków z czasów Absurdu. Wtedy też zacząłem zapisywać teksty do zeszytów, spłodziłem bodajże osiem tomów. Dziś nadal część słów do piosenek piszę w zeszycie, lecz część od razu w komputerze. W Shakin' Dudi, tak jak w Śmierci czy Absurdzie najpierw powstawały teksty. Dopiero w czasach The Dudis zacząłem pisać je do gotowej linii melodycznej. Teraz większość tekstów powstaje do wcześniej skomponowanej muzyki. Nawet, gdy piszę do swoich kompozycji, to wolę mieć ułożoną i zaśpiewaną przez siebie wstępną linię wokalu. Wolę, bo pozwala to na ciekawszą frazę, o zróżnicowanej ilości sylab. Gdy piszesz goły tekst, to zazwyczaj linijki będą miały tyle samo sylab. To wada wielu polskich piosenek – ten kwadratowy, disco połowy podział tekstu.

„Pa ta taj pa ta ta taj

Pa ta taj pa ta ta taj”

i tak przez trzy zwrotki. Paw!

Pierwsze dwa hity Shakin' Dudi napisałem w pociągu, nie znając zespołu, ani nie wiedząc o nim nic. Zresztą to miały być dwa okazjonalne występy. Sądzę, że napisałem takie, a nie inne teksty („Au sza la la la” i „Opakowanie”), by trochę odpocząć od poważniejszych tematów. Wyśmianie rzeczywistości miało dla mnie terapeutyczny charakter. A skoro wszystkim taka konwencja przypasowała, to kolejne wierszyki były w tym samym klimacie. Właściwie wszystkie teksty, które pisałem na kolejne płyty Shakin' Dudi były podobne, jeśli chodzi o ładunek ironii, sarkazmu czy też poziom kpiny z otaczającej nas rzeczywistości. Cały czas unikałem jednak publicystyki. Takie teksty szybko się starzeją i po pewnym czasie robią się niezrozumiałe. Jedynym, który mi się zestarzał jest „Za dziesięć trzynasta”. Coraz mniej osób kojarzy tę słynną godzinę, od której legalnie można było kupować wódkę. Chociaż ostatnio czytałem, że w kilku miastach radni chcą przywrócić tego typu ograniczenia. Przywracajcie, przywracajcie!

Jak nie publicystyka, to co? O miłości. Jak nie o miłości, to co? O cyckach. Jak nie o cyckach? To lepiej w ogóle nie robić piosenki, bo i tak nikt jej nie puści i nie zauważy. Ewentualnie można napisać tekst nawiązujący do jakiegoś znanego dzieła literackiego. O, na przykład „Malowanego ptaka”. Momentalnie masz dziennikarzy i recenzentów po swojej stronie. Po pierwsze stajesz się swoim chłopem: te same lektury, te

same przeżycia itd. Po drugie dajesz im możliwość wykazania się swoją erudycją, dowartościowania się, że daną książkę czytali. Książkę lub jej streszczenie. A tak naprawdę? Tytuł, owszem wziąłem od Kosińskiego, książkę czytałem. Była przygnębiająca i nieważne, czy to autentyczne wspomnienie pisarza, czy zmyślane. Gdy pisałem ten tekst do muzyki Dżemu, w kilku miejscowościach odbywały się protesty przeciw otwarciu ośrodka dla cierpiących na AIDS. To były początki tej choroby, stąd strach i histeria przed ludźmi chorymi czy też przed nosicielami HIV. I tak to się z tą muzyką posklejało. Z muzyką i z postacią Ryśka. Skojarzenia, asocjacje, część w świadomości, część głębiej. Wyobraźnia.

Wyobraźnia. Gdy piszę dla innego wykonawcy staram się poznać język, jakim operuje. Słowa, metafory. Staram się choć trochę rozpoznać świat, w jakim żyje. Wyobrazić sobie, co myśli, co czuje. Tak, przez chwilę staję się takim tanim, domorosłym psychoanalitykiem. Każdy wykonawca ma określoną grupę odbiorców, z którymi porozumiewa się własnym kodem. Wiadomo, że kapela punkowa będzie inaczej zwracać się do swoich słuchaczy niż jazzowa wokalistka. Jak sądzicie, czy gdybym napisał na przykład Lorze Szafran:

„Rozjebmy system ciał swoich granatami
Skończmy raz na zawsze z bogatymi kurwami!”
– to byłaby zachwycona?

Nie sądzę. Z drugiej strony „Ogród cichych marzeń” nie za bardzo pasowałby do szybkiego, rzeźącego punkowego kawałka. Pisząc teksty dla kogoś po trosze staję się nim. To bardzo ciekawe zadanie aktorskie. Czasem trafiam, czasem nie. Bardzo mi jest miło, gdy potem wykonawca identyfikuje się z tekstem. Jeszcze milej, gdy słuchacze są przekonani, że to wykonawca samodzielnie spłodził tekst. Tak właśnie jest z „Malowanym ptakiem”, o którym wszyscy sądzą, że napisał go Riedel. Ba, nawet dwaj znani prezenterzy radiowej Trójki tak sądzili! Z utworem „Zapal świeczkę” jest jeszcze śmieszniej. Fani twierdzą, że napisał i śpiewa go Rysiek.

Tymczasem to moje słowa, a nagrał je Jacek Dewódzki dwa lata po śmierci Riedla. Elvis żyje, prawda?

Rock’n’roll posługuje się kliszami. Zarówno w warstwie muzycznej jak i tekstowej. Jednak niektóre zwroty czy riffy są tak wyświechtane, sprane i zużyte, że naprawdę nie wolno ich już stosować. „Jestem wolny, jak ptak. Kwak, kwak”. Tudzież trzy miliony piosenek ze słowami: nadzieja, wiara,

miłość. Gdy nagrywaliśmy „Psa od Luizy”, dużą uwagę przykładaliśmy do tekstów. Merc sprawdzał i krytykował moje, ja pastwiłem się nad jego. Dobrze nam to zrobiło. Właśnie Mercedes bardzo mnie uczulił na używanie klisz, teraz staram się być bardziej ostrożny. Chociaż, gdy piszę dla kogoś, to często ten ktoś i tak naciska na wymianę oryginalnego zwrotu na sztampowy. Nie wiem, czy z obawy, że odbiorcy nie zrozumieją?

Niestety, czasem sama forma utworu jest dużym ograniczeniem dla osoby piszącej teksty. Z jednej strony przed momentem twierdziłem, że lepiej dla całego utworu jest, gdy tekst dopasujemy do różnorodnej frazy, wymuszającej pisanie wersów o różnej ilości sylab. Tak oczywiście bywa, ale gorzej, gdy fraza jest bardzo krótka i rozłożenie akcentów wymusza stosowanie wyrazów jednosylabowych.

A tych w języku polskim jest bardzo, bardzo mało. W odróżnieniu od angielskiego. Dlatego niektórzy decydują się na pisanie tekstów w języku angielskim. Więcej jednosylabowców, mniej trudnych do zaśpiewania szeleszczących wyrazów. Bez tych „ś”, „sz”, „ć”, „ź” i innych dykcyjnych zasadzek. Jednak nie lubię polskich wykonawców śpiewających w języku angielskim. Zazwyczaj słychać, że akcent jest wzięty z przyśpieszonego kursu językowego albo z przeceny. Sam tekst też nie będzie nigdy wybitny. Czemu słowa pisane w obcym języku nie będą wybitne? Ano temu, że jak na razie jedynym Polakiem, któremu się udało dobrze pisać po angielsku był Joseph Conrad. Potrzeba wielkiego talentu, pracy i przestawienia się na myślenie w obcym języku. Zamiast tego najczęściej otrzymujemy zbitkę cytatów z innych anglosaskich hiciorów:

„I’ve shot the Sheriff
cause All Cops Are Bastards
Boys don’t Cry
When all kids are united”

Zresztą i tak większość publiki nie zna angielskiego na tyle dobrze, żeby swobodnie odbierać teksty piosenek.

Z tą dykcją i szeleszczeniem w języku polskim to jednak żartów nie ma. Teraz zwracam na to dużą uwagę, żeby unikać zbitek wyrazów, trudnych do czytelnego zaśpiewania. Jednak kiedyś nie miałem litości (czytaj świadomości), ile trzeba się natrudzić, by zaśpiewać:

„Coś rzezi i chrzęści, rozplączę się

I znów coś świszczy, piszczy, miauczy, czochra się” („Stany lękowe” Shakin’ Dudi)

Łatwo się teraz pisze dla Redakcji. Adam Antosiewicz nie ma żadnego problemu z dykcją. Aż się wierzyć nie chce, że jeszcze pięć lat temu śpiewał wyłącznie po angielsku. Da się? Da się.

Od kilku lat zacząłem też pisać na zamówienie.

Zazwyczaj wygląda to tak. Dostaję nagranie. Dawniej na kasecie czy cd, teraz oczywiście w postaci pliku. Zalegam na kanapie, odpalam kompa i słucham piosenki w kółko. I tak kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt razy. Słucham i łapię jakieś pierwsze skojarzenia, o czym mógłbym napisać. Staram się, by to muzyka naprowadziła mnie na temat. Czasem dzieje się to szybko i po kilku przesłuchaniach wpada mi do głowy jakiś zwrot, jakaś fraza. Czasem jest dużo gorzej. Słucham, słucham i czuję w łepetynie kompletną pustkę. Totalną próżnię. Po dwóch godzinach takiego słuchania zaczynam być zły. Na swoje beztalencie, na cały świat, na żonę, nawet na koty. Wtedy siadam do komputera i spisuję sobie fonetycznie tekst. Zazwyczaj dostaję rybki, na których wykonawcy śpiewają w czymś brzmieniowo i sylabowo zbliżonym do angielskiego, czasem bardziej przypomina to norweski.

„Aj łil ju kosze tu ju,
Aj łil ju wery macz”

Spisuję fonetycznie, bo potem pisząc po polsku staram się tak dobrać wyrazy, by brzmiały w miarę podobnie. Dzięki temu utwór z polskim tekstem brzmi jak ten z oryginalnym w „anglo pidżyn”. Taki zabieg po raz pierwszy zastosowałem pisząc słowa na „Dudek Bluesy”. Dzięki temu Irkowi było łatwiej i płynniej je zaśpiewać. Twierdził, że z taką samą łatwością, jak po angielsku.

W ten sam sposób pisałem dla Lory Szafran czy dla Bastka Riedla.

Jak już spiszę fonetycznie, to znów zaczynam się zastanawiać, o czym ten cholerny tekst ma być. Najchętniej zapełniłbym kartkę (właściwie ekran) samymi przekleństwami. W końcu gdzieś tam na dnie płątaniny neuronów błysnie mała iskierka, potem druga, potem pojawi się mały łuk elektryczny. Jest, jest pierwsze zdanie. Najlepiej, żeby to od razu był refren, z dobrym szlagwortem. Niestety, do dziś nikt nie wynalazł algorytmu na napisanie dobrego szlagwortu. Nigdy, nigdy nie wiadomo, co się

szanownym słuchaczom spodoba. Jak już zacznę, jak już chwycę się jakiegoś zdania, to reszta jest tylko kwestią czasu.

Tylko najpierw trzeba wyłowić z szumu to jedno zdanie.

Jeśli nie ma to być publicystyka, czy też propaganda, to skąd je wziąć. Może z codziennych obserwacji? Może z rozmowy z przyjacielem? Może spojrzeć na tego faceta, który właśnie wyprowadza jamnika na spacer. Spojrzeć i wymyślić historię jego życia? Może wleźć na dach i zerknąć w cudze okno? Albo wejść do supermarketu i przyjrzeć się ludziom, próbującym znaleźć szczęście na sklepowych półkach? Zaglądnąć do tej ciemnej bramy, dostać łomot i potem to opisać? Zobaczyć na skwerze kolejny pomnik, o którym wszyscy zapomnieli?

Każde nasze doświadczenie można przekuć w tekst. Z wszystkiego, co nas dotyka, można wyciągnąć jakąś korzyść. Naprawdę. Teraz na najnowszą płytę Redakcji trafił utwór o tytule „Medal”. Skąd taki temat? Zaczęło się od telefonu. Byłem akurat na rybach, stałem zanurzony po jajka w lodowatej Wiśle. Zadzwoił telefon, odebrałem. Dzwonił Kamil Sipowicz, zdziwiło mnie to, bo od lat (nie licząc fejsbuka) go nie widziałem i nie słyszałem. Okazało się, że dzwoni w imieniu Kancelarii Prezydenta i że zapraszają, doceniają, chwalą, Hosanna, a nawet medal, przybijają, przywieszają. Zaszczyty, zaszczyty! Trochę mnie zatkało, ale dziwnie się rozmawiało, gdy obok szumiał wodospad, a na wierzbie obok przysiadł zimorodek. Przeprosiłem, powiedziałem, że zadzwonię później.

Medal! („chciałbym mieć, chciałbym mieć”). Próżność połączona, aż popiskiwała z samozadowolenia. Medal! („Byle nie pośmiertny, najlepiej ze złota”). Tylko dlaczego ja? Dlaczego za jakąś walkę z komuną? Z komuną to walczyli śląscy górnicy w kopalni Wujek. Zamiast medalu ze złota otrzymali kulki z ołowiu. Z każdą sekundą byłem coraz bardziej na nie. Bratać się z władzą? Sam pisałem „Polityko Ty dziwko”. A teraz co, mam zapierdalać na salonik? A idźcie Wy wszyscy w pizdu! Politycy, szamani.

Nie!

Zadzwoiłem, grzecznie podziękowałem. Podziękował też Staszewski i Hołdys. Reszta wzięła: Kora, Lipiński, Grabowski z Dezertera, Muniek, Janerka.

Hmm...

Ale tekst napisałem i jestem do przodu! Tak, ze wszystkiego można czerpać paliwo do pisania tekstów. Z dni chwały i z dni klęski.

Z momentów smutnych i z tych najbardziej radosnych. Niestety, sam pomysł nie gwarantuje sukcesu. Czasem możesz trafić na grymaśnego wykonawcę. Jedna poprawka, druga, trzecia. Aż w końcu nic z tekstu nie zostaje. Albo wysyłasz tekst, a po roku nadal nic się z nim nie dzieje.

Czasem jest jeszcze śmieszniej. Któregoś razu dostałem zamówienie od popularnego (złośliwie dodam: w pewnych kręgach) zespołu. Przysłali mi utwór, a w mailu dopisali kilka zwrotów, które skojarzyły im się z muzyką. Były to same banały, a najgorszy był refren. Refren, użyty w dwóch milionach tekstów. Odpisałem, że spróbuję coś z tym zrobić, żeby nie zmieniać „przekazu”, natomiast refren koniecznie zmienię na mniej wyprany i banalny. Nawet mi się udało. Niestety, wykonawca uparł się i nadal chciał mieć ten swój koszmarny refrenik. Cóż było robić?

Podziękowałem grzecznie. Tak, bo ja zawsze jestem grzeczny, nawet gdy odmawiam. Szczególnie, gdy odmawiam.

Nie lubię pisać tekstów pod presją. Również pod presją czasu. Kilka razy jednak tak się zdarzyło. Zespół nagrywał w studio, a ja siedziałem przy komputerze i przysyłałem wokaliście kolejne wersje tekstu. Zawsze się udało... W tym roku pomagałem przy najnowszej płycie zespołu Cree. Część tekstu pisał Bastek, część dopisywałem ja. Razem z nami siedział Jarek Toifl i nagrywał od razu wokal. Potem odsłuchiwaliśmy, jeśli niezbyt nam się podobało, to poprawiałem lekko tekst i znów go nagrywaliśmy. Taki freestyle.

Pisałem w pociągu. Pisałem w kiblu. Pisałem w pełnej szczurów piwnicy. Pisałem w szpitalu. Pisałem w samochodzie. Prowadząc. Pisałem w studio. Pisałem w hotelu. Pisałem w dzień. Pisałem w nocy. Pisałem z i bez. Z używkami i bez. Niestety, teksty z używkami były fajne, dopóki te używki działały. Potem fajne być przestawały. Może za słabe i za tanie te używki były?

Pisałem teksty dobre i nieco gorsze. Popularne i niszowe. Z częstochowskimi rymami i bez. Poważne i śmieszne. Pomimo tego, że przez długie lata nie pisałem dla „obcych” wykonawców trochę tych tekstów mi się nzbierało. Prawie trzysta. Próbowałem się doliczyć, ile mam sprzedanych płyt z tymi tekstami. Wyszło mi ponad milion. A kolejny zeszyt z tekstami puchnie.



DD: Absurd, Jarocin 1986,
fot. mr makowski



Chuligani – Dusza, Gryszka, Hajdasz, Urny Krynica 1988 r.
fot. NN



DD i Diament, Tuchów (2005),
fot. Grażyna Kozera-Dusza

Rozdział 9

Grażynę poznałem dwa lata wcześniej na sylwestra. Przegadaliśmy pół nocy. Gdy skomentowałem jej kreację, że pewnie zakrywa grube nogi, zadarła spódnicę i musiałem szybko odszczekiwać. Ponownie spotkałem ją w maju 89, przyjechała w odwiedziny do mieszkających tutaj koleżanek z Drezdenka. Z jedną z nich, Anią, mieszkał nasz menadżer Mirek Dobkiewicz.



Grażyna i DD (1991),
fot. Grażyna Kozera-Dusza

W maju spędziliśmy ze sobą trochę czasu, było podejrzenie miło. W czerwcu, za namową Andrzeja Potockiego (późniejszego rzecznika UW) poszedłem na wybory. Nie do końca ufałem ludziom ze styropianu, ale tak jak większość miałem potrzebę zmiany. Na lepsze, na gorsze, nieważne.

Byle coś się zmieniło. W lecie pojechałem na wakacje, nad jezioro Lubiewo. Była tam Grażyna.

Ach...

Śliwka w kompot.

Feromony?

Co na to nauka?

Nie wiem, zakochałem się i tyle. Związek na odległość nie wchodził w grę, wiedzieliśmy, że zazwyczaj kończy się źle. Grażyna jechała do Francji na trzy miesiące. Umówiliśmy się, że gdy wróci, to zamieszka u mnie. Może nam wspólnie wyjdzie? 26 lat razem, czy to oznacza, że wyszło? Chyba tak. Po kilku latach związku partnerskiego wzięliśmy ślub. Ze względu na podatki. Nikomu o nim nie mówiliśmy, dla nas to była zwykła formalność. Żaden papier ani ceremonia religijna nie sprawi, że w związku będzie się układać. Ślub był cywilny i oczywiście żadnego wesela nie wyprawialiśmy. Nie cierpię wesel z ich tandetnym obrzędkiem. Brr... Zamiast wesela mama ugotowała rolady, a po kawie pojechałem na próbę.

Irek Dudek cały czas siedział w Holandii, tylko jesienią przyjechał i zagrał koncert na Rawie. Krzywa kariery pikowała w dół.

W grudniu 89 r. miał wypadek samochodowy. Poważny wypadek, groziła mu amputacja nóg. Odwiedziłem go w szpitalu, pogadaliśmy, powspominaliśmy. Żal mi go było okrutnie, sam miałem za sobą szpitalne doświadczenia. Szpital od więzienia różni się wyłącznie gorszym żarciem. Irkowi musiało być ciężko z perspektywą zostania inwalidą. Za to ucieszyło mnie, że został abstynentem. No, to było już nas dwóch. Zresztą jemu ten alkohol niespecjalnie służył. Ciągnął go w dół i to mocno. Dobrze, że przestał, bardzo dobrze.

Nadszedł kolejny rok. Odwiedzili mnie Stefan Machel i Janusz Niekrasz. TSA im się rozsypało i chcieli zrobić coś nowego. Potrzebowali tekstów. Coś tam naskrobałem, jednak nic z tym dalej nie zrobili, bo nie znaleźli wokalisty.

W lecie z Grażyną pojechaliśmy na wakacje, do Jastrowia. Przywieźliśmy stamtąd komplet naczyń z duraleksu. Nasz najpoważniejszy zakup do domu. Wyposażenie nic się nie zmieniło: wzmacniacz, tapczan, odkurzacz. Byliśmy po prostu biedni, cały czas brakowało nam pieniędzy.

A tu już zaczynała szaleć hiperinflacja. Pieniądze za „Nową Płytę” Dudka i za „Darmozjady” przyszły z dwuletnim opóźnieniem. I były głównie warte. Inflacja zżarła całą ich wartość. Żeby przeżyć, pożyczałem pieniądze od mamy. Grażyna próbowała dorobić jakimś szyciem, ja też szukałem dorywczych zajęć.

Słabo było, bardzo słabo. Takie prawdziwe noł fjuczer.

Zadzwoił Leszek Martinek, mój kolega z klubu studenckiego Program. Teraz był menadżerem Dżemu. Spytał, czy nie napisałbym paru tekstów na ich nową płytę. Trochę dziwna propozycja, ja punkowiec i rock’n’rollowiec miałem pisać dla ikony polskich hippisów? To muzycznie była zupełnie obca bajka. Jednak widziałem kilka koncertów Dżemu. Widziałem jak Rysiek czarował tłum. Miał niezaprzeczalną charyzmę i talent. Miał głos. Zgodziłem się napisać te teksty.

Po tygodniu dotarła do mnie kasetka. Włożyłem ją, puściłem od początku. Rany, co za osły, pomylili kasety. Przecież to nie jest Dżem! Ostry riff, ostry wokale. No Martinek, sieroto, zaraz Cię ochrzanię przez telefon. Wysłałeś nie tę kasetę! Już sięgałem po słuchawkę, gdy zaczął się drugi numer. Taki bardziej Dżemowy. Hmm, a może jednak...

Napisałem trzy teksty: „Malowanego ptaka”, „Noc i rytm” i jeszcze jeden, którego tytułu nie pamiętam. Był dołowy, na końcu bohater dźgał nożem swoją ukochaną. Znowu zadzwonił Leszek Martinek:

– Cześć, dziękujemy. Na pewno wykorzystamy te teksty...

– Super!

– ...z wyjątkiem tego o nożu. Rysiek przeczytał i nie chce śpiewać, że kogoś zaatakował nożem. Prosi, żebyś go zrozumiał.

– Rozumiem.

„Malowany ptak” wyszedł na płycie „Detox” w kwietniu 1991 roku. Płyta przez wielu uważana jest za najlepszy album Dżemu, a piosenka ma trwałe miejsce w jego repertuarze koncertowym.

Oczywiście zupełnie to nie zmieniło mojej sytuacji finansowej, która była rozpaczliwa. Dudek siedział w Amsterdamie i na niego nie można było liczyć. Sam nie miałem zespołu i za bardzo mieć nie chciałem. Pieniądze z tantiem przejadła inflacja. Pełna kapa. Przecież nie usiądę na Rynku i nie zacznę płakać, jak to mnie świat skrzywdził. Nie było wtedy internetu ani fejsa, zostawało zawodzenie na Rynku.

Pierdolę, idę do pracy!

Parę dni wcześniej spotkałem Krzyśka Kobylińskiego. Przestał bawić się w muzykę, zaczął prowadzić firmę, importującą zabawki i czyste kasety magnetofonowe. Rok wcześniej pytał mnie, czy nie mógłbym mu pożyczyć kasy, a teraz proszę. Ma firmę.

– Przyjdź do nas pracować – namawiał.

– Ale ja nic nie umiem!

– To nic, dasz radę. Przyjdź!

Poszedłem.

Nie wiem, czy to był dobry wybór. Początek lat dziewięćdziesiątych to czas, gdy sprzedawały się koszarne ilości kaset i płyt. Większość oczywiście to były wydawnictwa pirackie. To w latach dziewięćdziesiątych ukształtował się polski rynek muzycznych. To wtedy na dobre usadowiło się na nim wielu wykonawców, którzy grają do dziś. Ach, przy paru z nich chciałoby się dodać: „niestety”. Może trzeba było próbować? Walczyć? Za wszelką cenę? Tak jak niektórzy moi koledzy? Jednak nie chciałem, nadal czułem zmęczenie koncertami i tym całym życiem rock’n’rollowego grajka.

Poszedłem do pracy. Już na początku pojawił się problem.

– Ile chcesz zarabiać? – spytał Krzysiek

– Hmm, no wiesz... A możemy o tym jutro pogadać?

Po prostu nie wiedziałem. Nie miałem bladego pojęcia, jakie ludzie mają zarobki. Obdzwoniłem kolegów, popytałem rodziców. Teraz wiem, że podałem kwotę zbyt niską. Cóż, na tym polega kapitalizm: na zbyt niskich kwotach. Zarobków. Z czasem pościągałem i zatrudniłem dawnych załogantów: Kwiatka i Mańka. Także Rogala, wokalistę R.A.P.-u. Naprawdę ciężko pracowaliśmy, sześć dni w tygodniu. Szybko się uczyłem, bardzo szybko. Tak samo szybko rosły obroty i zyski.

Tak naprawdę to o swojej pracy mógłbym napisać obszerną powieść. Być może kiedyś to zrobię. Jednak tutaj chciałbym skupić się na muzyce.

Pracowałem, finansowo się ustabilizowało, mogłem zwrócić mamie pożyczone pieniądze. Odezwał się Irek z pytaniem, czy zagram na Sylwestra program telewizyjny na żywo. Czemu nie, kosztowało mnie to parę dni przeznaczonych na próby.

Wystąpiliśmy z Jurkiem Piotrowskim na garach, Tomkiem Palą na pianie, Tomkiem Kupcem na kontrabasie i Zbyszkiem Gondkiem na sakcie. Prowadziła Grażyna Torbicka, wśród publiczności tańczyła Edyta Górniak. Dobrze zagraliśmy, podobało się. I tyle. Irek liczył, że po takim programie

wszyscy rzucają się z propozycjami koncertów. Nic takiego nie nastąpiło, bo nastąpić nie mogło. To już były zupełnie inne czasy. Wiele stacji radiowych, telewizyjnych, wiele gazet. Trzeba było być aktywnym na każdym polu branży muzycznej.

Zresztą Irka bardziej interesował Symphonic Blues, jego nowy projekt, który po raz pierwszy zaprezentował na Rawie w 1993 r. Pojeździł z nim trochę po Zachodzie, nawet wydał płytę w Niemczech. „A New Vision of Blues” była zapisem koncertu w kultowym klubie Subway. Wcześniej napisałem do jego kompozycji kilka tekstów, na płycie znalazły się: „Za dużo, by umrzeć” i „Od nowa”. Wszystko fajnie, tylko taki duży skład ciężko było sprzedać. Właściwie ta płyta w Polsce zupełnie nie zaistniała. Irek wydał ją w zabrzańskim, małym wydawnictwie „Eska” i przepadła.

Aha, o jednym zapomniałem. W sylwestrową noc 93 byłem znów wolnym człowiekiem. Zrezygnowałem z pracy. No, co? Dwa i pół roku wytrzymałem. Wystarczyło.

Kolejne trzy lata przebumelowałem. Dużo czytałem, m. in. wszystkie dzieła Dostojewskiego. Dużo czasu spędzałem na rybach. Czasem ćwiczyłem na gitarze. Nadal trzymały mnie stonesowskie klimaty. Na grunge nie zachorowałem. Trochę zaczynało mi brakować grania na żywo z sekcją rytmiczną. Porozglądałem się dookoła i zmontowałem skład.

Na garach grał Grzesiek Gutowski, na klawiszu Paweł Pyszkowski, na basie Lucek Gryszka, na drugiej gitarze Paulos. Wokalistą miał być Rogal (tak, ten z R.A.P.-u). Miał naprawdę fajne brzmienie głosu, za to przejawiał o wiele mniejszy zapał do pracy nad tym brzmieniem. Po paru spotkaniach odpuściłem. Zaczął z nami śpiewać Mariusz Korczyński.

Złożyło się tak, że Krzysiek Kobyliński (ten, u którego niedawno pracowałem) otworzył w Gliwicach, na Toszeckiej studio nagraniowe. Pracował w nim Grzesiek i Paweł. Studio było na etapie rozruchu, nasza sesja była taką pierwszą, ćwiczebną. Dlatego dostaliśmy sesję za darmo. Grzesiek Gutowski jednocześnie był realizatorem i perkusistą. Nagraliśmy kilkanaście moich piosenek. Takich rockowych, na pewno nie punkowych. Nagraliśmy i tyle. Nie zamierzałem grać koncertów, nawet nie nadałem temu zespołowi nazwy. Wysłałem tylko do paru wytwórni demo.

Odpisała jedna, że bym się bujał.

Pod koniec 94 roku w naszym mieszkaniu (nowym i większym, już nie tej kawalerce) na Sikorniku pojawił się Leszek Martinek i Jacek Dewódzki,

nowy wokalista Dżemu. Rok wcześniej odszedł Rysiek. Dżem próbował się po tym jakoś pozbierać, zamierzali wydać nową płytę. Gonił ich czas, tak naprawdę walczyli o przetrwanie. Zgodziłem się napisać teksty do tej nowej płyty, kolegom trzeba pomagać. Album „Kilka zdartych płyt” ukazał się na wiosnę 95 roku. Kolejne moje teksty znalazły się na płytach: „Pod wiatr” z 97 roku i albumie „Być albo mieć”.

Wraz z wyczerpaniem oszczędności dobiegły końca moje trzyletnie wakacje. Znowu trzeba było zakasać rękawy i iść do pracy z pieśnią na ustach. Wróciłem do firmy Krzyśka, jednak już zdecydowanie nie chciałem być szefem. Nie chciałem zarządzać, dyrygować. Stresować się i przejmować. Wolałem mniejszą kasę za mniejszą odpowiedzialność.

Zacząłem też współpracę z prasą wędkarską. Najpierw pisałem opowiadania, potem regularnie felietony do „Wędkarskiego Świata”. Piszę je do dziś. Teraz też piszę artykuły do wydawanego w Szkocji magazynu „Square” (dawniej „Emigrant”).

W 1998 r. z otchłani holenderskiego niebytu wynurzył się Irek. Wraca do kraju! Super. Wracamy z Shakin’ Dudi! Super, ale... Trochę byłem sceptyczny. Całością od strony organizacyjnej zajął się Mirek Dobkiewicz i Mirek Śliwa. Miało być jak zwykle pięknie i na bogatości. Koncerty, sława i pieniądze. Na dzień dobry pojechaliśmy do Bytomia, do zakładów odzieżowych. Garnitury były najważniejsze, najpierw stylowa, potem dźwięki.

Zamiast skupić się na mierzeniu garnituru, starałem się dowiedzieć, ile będę dostawał za koncert. Gdy się dowiedziałem, natychmiast zrezygnowałem. Dużo nie straciłem, koledzy zagrali chyba z pięć koncertów. Może sześć. Teksty na nową płytę jednak napisałem, mimo że na niej nie chciałem grać. Granie na gitarze to jedno, pisanie tekstów to drugie. Dwie odrębne sprawy. „Platynowa płyta” wyszła w 1999 roku. Była niezła, chociaż może nieco zbyt chłodna i sterylna. Singiel „Gdy wracam” doszedł do piątego miejsca listy przebojów Trójki.

W 1999 roku zmieniłem firmę i branżę. Na gastronomiczną. Zacząłem pracować w gliwickiej firmie Combi, prowadzonej przez koleżankę z lat liceum, Bognę Wójtowicz.

Tak naprawdę ściągnął mnie tam Mercik. Tak, ten Mercik ze Śmierci Klinicznej. Zresztą od roku regularnie mnie odwiedzał w domu. Na tyle regularnie, że moja ukochana papuga Lola ćwierkała na dźwięk jego głosu.

Lola była nimfą, kochała mnie bezgranicznie. Przeżyła z nami kilkanaście lat, większość czasu spędzając na moim ramieniu.

Mercedesowi brakowało muzyki, mnie chyba też. Czas remisji dobiegł końca. Choroba znów zaczynała się rozwijać. Rzępoliliśmy na dwóch akustykach. Najpierw jakieś standardy, od Doorsów po Marleya z Nirvaną włącznie. Później zaczęliśmy tworzyć swoje piosenki. Zaczęliśmy je też nagrywać. Powoli, nie śpiesząc się. Raz na rok, raz na pół roku.

Nagrywaliśmy je w studio Krzyśka Kobylińskiego, za mikserem siedział Grzesiek Gutowski. Czasem pomagał mu Jarek Toifl, mój kolega i sąsiad z Sikornika. W paru numerach wspomógł nas na wiolonczeli Marek Różycki, a w chórkach Marek Razowski. Merc czasem marudził, żeby gdzieś to zagrać na żywo. W jakiejś knajpie czy w klubie. Mnie nie za bardzo ciągnęło do ludzi, wolałem studio. Raz zegraliśmy pod arkadami gliwickiego Ratusza.

Prawdziwymi koncertami były jednak nasze występy na Winter Reggae, które po latach odrodziło się jak feniks z popiołów spalonego blanta. Reaktywował je Marek Niewiarowski, ksywa Zima. Punkowiec z lat dziewięćdziesiątych, właściciel niezależnej wytwórni Zima Records.

Pierwszy raz graliśmy w Sośnicy. Zima przyjechał do mnie do domu, załadował nas do auta i prosto z niego wyskoczyliśmy i zegraliśmy jakieś dwa numery. Bardzo byłem zdziwiony, że nas nie zabili. Ba, wręcz się podobało. Na dwie gitary zegraliśmy jeszcze w 2000 i 2001, zawsze łaskawie przyjmowani przez liczną publiczność.

Graliśmy za darmo, wyłącznie dla frajdy.

Tymczasem Irek nadal był zakręcony na punkcie neo swingu. Zagrał w 99 roku z big bandem na festiwalu w Opolu. Wydał płytę z tym materiałem jako Shakin' Dudi Orchestra o tytule „Swing Revival”. Płyta była dystrybuowana w kioskach Ruchu i kosztowała dziewięć złotych. Na pewno cena wpłynęła na sprzedaż, niespodziewanie wysoką. Zachęciło to Irka do dalszych działań. Znów pisałem teksty do nowych kompozycji Dudka. On w tym czasie szukał wydawcy. Dogadał się z Universalem. Tuż przed nagraniem płyty wpadł na pomysł, żeby do całego big bandu dodać przesterowaną, brudną gitarę.

W czerwcu pojechałem razem z nimi do trójkowego studia. Za gałkami znów z radością zobaczyłem Wojtka Przybylskiego. Fajnie grało się z big bandem. Jak panowie dmuchnęli, to gałki na moim Marshallu zaczynały się

kręcić. Muzyka była ciekawie zaaranżowana. Może nawet zbyt ciekawie, jak na możliwości przeciętnego słuchacza.

Wyjechałem na wakacje. I tam dotarła do mnie ta straszna wiadomość. Zmarła Dorotka, córka Irka.

Tragedia.

Chwila ciszy.

Universal zachował się w porządku. Wstrzymał wydanie płyty na dwa lata. Mieliśmy już klepnięte koncerty, jakieś inne działania. Oczywiście wszystko odwołaliśmy.

Konsekwencją tej tragedii był zwrot Irka w kierunku religii. Irek twierdzi, że wiara mu pomogła. Może tak, może nie. Bardzo go ta trauma zmieniła. Religia i konserwatywne poglądy nie są najlepszym paliwem dla rock'n'rolla. Dekadencja, bunt i szczypta (lub dwie) szaleństwa znacznie lepiej mu służą. Trochę śmieszni są Ci artyści, którzy po rzuceniu gorzały czy też drugów zaczynają wszystkich nawracać i zbawiać. Łatwo się brzydko zestarzeć, łatwo. Będę musiał uważać.

Znów powiało jesienią.

Dalej zasuwałem do pracy, dalej spotykałem się z Mercem. Trzeba przyznać, że w tym okresie całkiem nieźle radziłem sobie na tym akustyku. Po raz czwarty znaleźliśmy się w studio i nagraliśmy kolejne cztery piosenki. Dwie nadal trzymamy w ukryciu, natomiast 14 piosenek i jeden utwór instrumentalny postanowiliśmy upublicznić.

Przyznam szczerze, że nie miałem ochoty na szukanie wydawcy. Zresztą pewnie bym go nie znalazł. Kto by chciał wydawać akustyczne plimkanie dwóch punkowych weteranów? No, gdyby to była Śmierć Kliniczna, to zupełnie co innego.

Od kilkunastu lat co jakiś czas nękano mnie różnymi propozycjami i pomysłami na reaktywowanie Śmierci Klinicznej. Może na festiwalu byście zagrali? Kasiorką mamili. Może winylka wydamy? Kusili.

Cały czas z uporem maniaka odmawiałem. Dlaczego? Bo staram się być uczciwy w tym co robię. A granie pod szyldem „Śmierci Klinicznej” byłoby nieuczciwe. W stosunku do kolegów ze starego składu. I w stosunku do publiczności, bo nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, zmieniliśmy się.

W końcu powiedziałem Zimie, że jak chcą, to niech sobie wydadzą tę Śmierć na CD. Ja nic nie chcę i nic do tego nie mam. Zima wydał album wspólnie z Dzidkiem w 2002 r.

Natomiast „Psa od Luizy” wydał Marek Różycki. Też nie dopłacił. Płyta miała doskonałe recenzje. Niestety radio grały sporadycznie, żeby nie powiedzieć że nie grały wcale. Nie spodziewałem się, że recenzje i omówienia tej płyty pojawią się nawet w punkowych zinach. Krytyczne, ale pisane z sympatią. W stylu: „Chujoza, ale za to podoba się mojej dziewczynie”.

A komu się miała podobać?

Wiadomo, że płyty robi się dla dziewczyn.

W marcu zagraliśmy w Hybrydach na Warszawskim Festiwalu Reggae. Zagraliśmy piosenki z płyty i kilka regałowców numerów. Na początku wśród publiki była lekka konsternacja. Dwa akustyki to raczej rzadki skład w muzyce jamajskiej. Potem atmosfera rozluźniła się i wszyscy zgodnie śpiewali z Mercelem.

Zagraliśmy też po raz kolejny na Winter Reggae. Tym razem w kwartecie: na perkusji Grzesiek Gutowski, na basie Marek Różycki. Graliśmy utwory Marleya, piosenki z „Psa od Luizy”, kawałki Ramonesów czy też The Police. Całkiem żwawy był ten występ, zresztą Różycki wydał kasetę z tym koncertem. To już teraz biały kruk. Nagrania są oczywiście w necie.

Na koniec publika odśpiewała nam gromkie „Sto lat”. Nie jestem sentymentalny, ale wtedy... No, może nie była to łza. Prędzej myśl o niej. Może była to tylko chwilowa suchość w gardle?

Z dwuletnim opóźnieniem ukazała się nagrana z big bandem, neoswingowa „Płyta roku”. Promował ją singiel z piosenką „Coś nie tak” i animowany teledysk Mariana Cholerka. Być może materiał nie był zbyt komercyjny, ale i Universal nie przyłożył się do promocji. Tak, tak, wykonawcy zawsze mają pretensje do wydawców. I wzajemnie. Jednak kilka koncertów zagraliśmy, nie tylko na Rawie. A pod prysznicem nadal sobie nucę „Jestem mały gnuś, na kanapie uff, siedzę sobie sam, pielęgnuję brzuch”.

Nie znacie, prawda?

Ten 2002 w ogóle był rokiem zmian, wydawnictw płytowych, wywiadów, książek. Właściwie jednej książki, mojej pierwszej: „Łowić z duszą i głową”. Łącznie napisałem cztery.

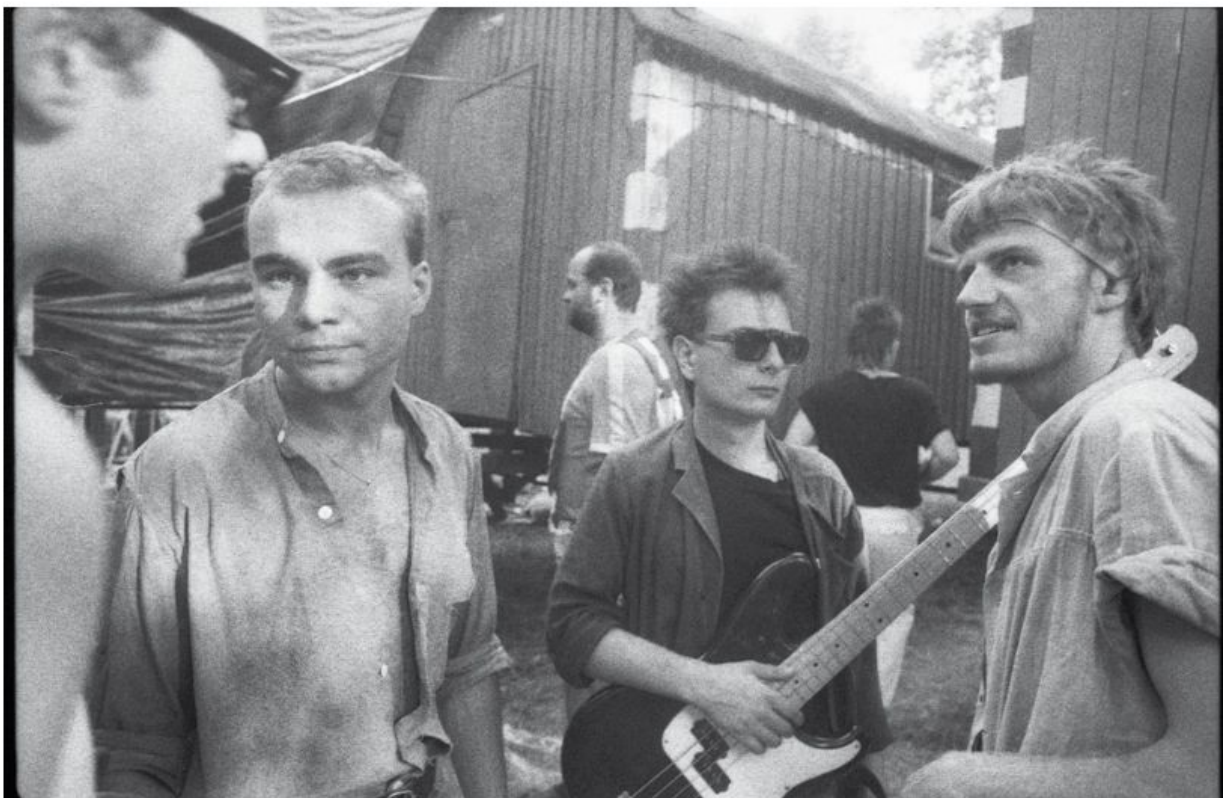
Pisałem też wierszyki dla dzieci. O drzewach, ukazały się (tak jak te wędkarskie) nakładem Multico. Fortuny się nie dorobiłem, ale było to dla

mnie kolejne nowe doświadczenie.

Niestety chwilę później Merc został bardzo poważnym prezesem i pitolenie na akustykach nie licowało z jego groźnym, prezesowskim obliczem. Zresztą też uważałem ten etap za zamknięty. W 2002 r. zamknąłem ponownie rozdział pod tytułem „Praca”. Lekko wzrosły dochody z tantiem i doszedłem do wniosku, że powinno to nam wystarczyć. Nigdy nie byłem pazerny. Woląłem żyć skromnie, ale za to wolny. Na dodatek ponownie zaatakował mnie wirus muzyki. Zacząłem tęsknić za sceną, za graniem, za rock’n’rollem. Jednak byłem przypadkiem nieuleczalnym. Współczesna medycyna była bezradna. Kolejny raz chwyciłem koło sterowe i mocno nim zakręciłem. Statek posłusznie zmienił kurs.



fot. Dusza i Mercik,
archiwum Winter Reggae



Jarocin 1986, Absurd: Dusza, Lumpaj, Adam Hagno, Marlena;



Jarocin 86, Absurd, Marlena i DD,
fot. mr makowski



Jarocin 1986, Dusza, Lumpaj, Adam Hagno, Marlena;



Jarocin 86, Absurd, Lumpaj i DD,
fot. mr makowski

Festiwale



Shakin' Dudi, Jarocin 1984
fot. mr makowski

Koncerty są jak drożdżówki, za to festiwale jak torty. Niektóre z nadmierną ilością lukru, inne ze składnikami nie pierwszej świeżości. Jedne wielosmakowe, różnorakie, inne monotematyczne. Festiwale dietetyczne i festiwale zamulające. Lubię. Lubię je z tym całym ich jarmarcznym blichтром. Lubię festiwalową, imprezową i wakacyjną atmosferę. Święteczną atmosferę. Trochę tych świąt zaliczyłem: od Jarocina przez Mrągowo po Opole. Grałem na festiwalach punkowych, reggae, bluesowych i rockowych takich jak Winter Reggae, Róbrege, Jimmyway, Jesień z Bluesem. Niezły przekrój, prawda? Aha, grałem też z Shakin' Dudi

na festiwalu jazzu tradycyjnego „Złota Tarka”. Ze Śmiercią Klinikzną grałem na „Boom Jazzie”. To już mi tylko hip hopowy fest został do zagrania.

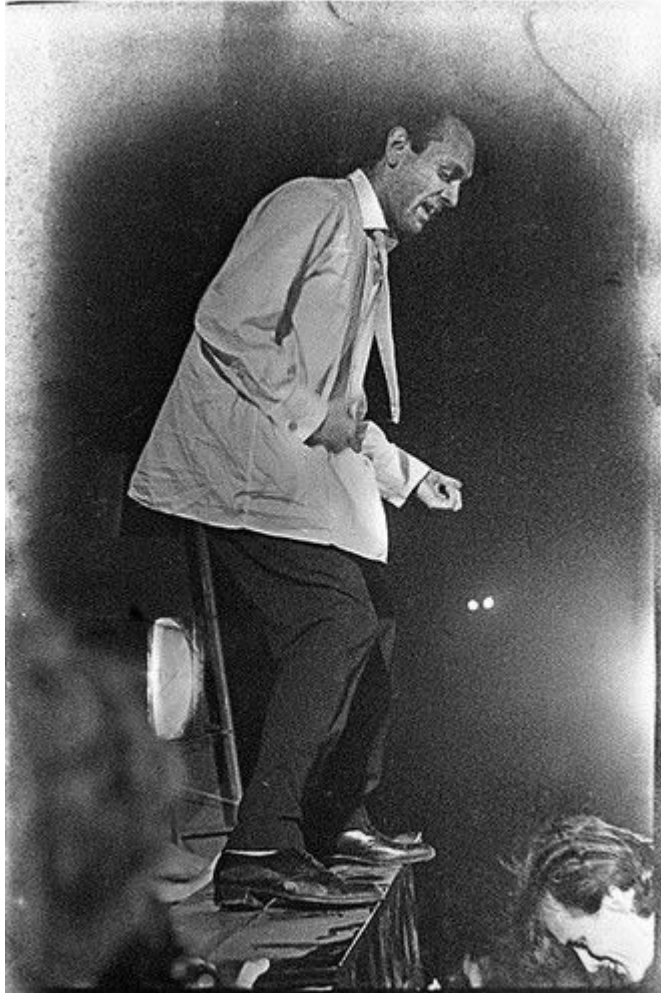
Nie, nie, na disco polowym mnie nie usłyszycie.

Ten pierwszy pamiętam najlepiej. Jarocin 82. Pierwszy i ostatni raz wziąłem udział w konkursie. I wszystko się przez ten występ zmieniło. Przyjechaliśmy tam lekko wydziczeni, wyalienowani, wyrwani z naszej piwnicy. Po raz pierwszy stanęliśmy na dużej scenie, po raz pierwszy graliśmy dla kilku tysięcy ludzi. Właśnie ludzi i stworzoną przez nich atmosferę najbardziej zapamiętałem. Prób w amfiteatrze słuchało tysiąc, czasem nawet więcej osób.

Tak, to chyba z braku smartfonów i dostępu do netu ludzie przychodzili i słuchali muzyki. Zamiast komórek trzymali w rękach kaseciaki. Siadałeś obok, ktoś poczęstował Cię papierosem, inny jointem, jeszcze inny zaproponował drinka. Skusiłeś się, ale często nie byłeś przygotowany na tego typu trunki. Czasem był to acnosan, czasem autovidol, czasem jeszcze gorszy wynalazek. Trzeba było uważać, nie każdemu służyły tego typu płyny.

Jeśli byłeś głodny, ktoś zawsze Cię poczęstował bułką. Podstawowy jarociński zestaw to bułka i maślanka w szklanej butelce. Ta sielankowa atmosfera trochę kontrastowała z muzyką płynącą ze sceny. Do dzisiaj w uszach gra mi Bikini, Kontrola. Rejestracja, Corpus X czy SS-20. Czasem sobie podśpiewuję te stare, zakurzone piosenki. Ludzie i zespoły sprawili, że ten festiwal był dla mnie wyjątkowy. To chyba tak jak z seksem, pamięta się dobrze ten pierwszy raz.

Mój następny Jarocin był już inny. Większy, pełen punków, zadym, z barierą rozdzielającą publiczność. Mieszkaliśmy w hotelu położonym przy jarocińskim rynku. Już pierwszego dnia zrobiliśmy huczną imprezę. Wpadło mnóstwo przyjaciół: Irenka Jagielska, dzielne cztery redaktorki z Opoła, chyba też ekipa z Jeleniej Góry. Słuchaliśmy muzy, trochę pośpiewaliśmy, trochę pokrzyczeliśmy. Coś tam się zniszczyło, jakaś rura pękła, coś się zalało. I zrobił się dym.



Shakin' Dudi: Irek Dudek, Krzysztof Głuch Jarocin 1984
fot. mr makowski

W nocy po pokojach chodziła jakaś inspekcja robotniczo-chłopska i sprawdzała, czy nie przemyciliśmy dziewczyn. He, he i nie znalazła!

Rano Mirek Dobkiewicz, nasz menadżer musiał iść na dywanik do kierowniczkii hotelu. Na szczęście odpuściła i nie zrobiła z tego żadnej afery. Mogłoby się to dla nas źle skończyć. Następne dni spędziliśmy nad wyraz grzecznie, wręcz wzorowo. Słuchaliśmy innych kapel, mnóstwo czasu spędzaliśmy na rozmowach ze znajomymi i nieznanymi. Koncentrowaliśmy się na naszym występie. Dopiero po koncercie zaopatrzyliśmy się w napoje rozweselające, które przez cały czas można było kupić za sceną. Oczywiście w cenie wolnorynkowej.

Jeszcze mniej rozrywkowy był dla mnie Jarocin 84. Grałem dwa koncerty: ostatni w karierze ze Śmiercią i wspaniale przyjęty z Shakin'

Dudi. Przyjechaliśmy wspólnie wynajętym autobusem z Kołobrzegu, gdzie występowaliśmy na festiwalu Rock nad Bałtykiem. Pierwszą noc spędziliśmy na podłodze w szkole, następne już w hotelu w Kaliszu.

Muzycznie był to na pewno świetny festiwal: Moskwa, Prowokacja, Siekiera, Variété czy Made in Poland dały świetne występy. A poza tym było jak zwykle: rozmowy, spotkania, rozmowy, spotkania. Jednak już wtedy brakowało mi kilku znajomków z poprzednich lat.

W trakcie dwóch następnych Jarocinów było jeszcze gorzej. Część starych załogantów zupełnie sobie ten festiwal odpuściła. Coraz więcej było dzieciaków, takich po czternaście lat. Festiwal odmłodził, ale muzycznie już nie miał tej siły, którą miały poprzednie edycje. Chyba też trochę stracił na znaczeniu. Być może spowszedniał? Już nie wyznaczał trendów ani mody. A bardziej radykalne w przekazie gatunki, takie jak punk czy zimna fala, były wypierane przez muzykę lżejszą, weselszą, mniej buntowniczą i obrazoburczą.

Zresztą taki trend dotyczył całego polskiego rynku muzycznego.

Im więcej lat mija od tamtego Jarocina, tego prawdziwego z lat osiemdziesiątych, tym więcej pojawia się w necie i w mediach pierdolenia na jego temat. Wypowiadają się ludzie, którzy w tamtych latach w Jarocinie nie grali, albo nigdy nie byli z nim identyfikowani. Słyszę, że niektórzy wtedy nie zagrali, bo według nich to był systemowy, komunistyczny festiwal. No tak, a koncerty w klubach studenckich pod egidą SZSP to jakie były? Kapitalistyczne? Monarchistyczne? A imprezy robione przez ZSMP?

Oczywiście, gdzieś była granica obciachu: Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, Festiwal Piosenki Żołnierskiej.

Inni w Jarocinie nie zagrali, bo za dużo jarali, inni, bo po prostu zagrać nie umieli, albo się pokłócili całym zespołem na miesiąc przed festiwalem. Gwiazdy głównego nurtu nie grały, bo Jarocin nie był w stanie zapewnić im odpowiedniej kasy. Zresztą większość z nich nie mogła liczyć na dobre przyjęcie. Jarocińska publiczność była wyczulona na komerę i chałturę i przede wszystkim na brak autentyczności. Łatwo było podpaść, czego doświadczył na przykład Hak czy po części Republika.

Te wszystkie rozkminy do niczego nie prowadzą. Wentyl, nie wentyl, może dętka? Albo ponton bezpieczeństwa? W tych wszystkich rozważaniach zapomina się o jednym. O tysiącach młodych ludzi, którzy przyjeżdżali do Jarocina, by posłuchać swojej muzyki. Mimo cenzury,

mimo zomowców czających się w odwodzie. Gdy w 84 roku przerwano koncert Dezerterowi, poszła fama, że za chwilę wjedzie na stadion milicyjna horda. Cały czas było po bandzie. Ten festiwal tworzyła publiczność i to był ich festiwal. Stąd późniejsze hasło: „Oddajcie nasz festiwal!”. Tak, jak to pisał Sławek Gołaszewski, guru polskiego reggae: to było Święto. Święto Świąt. Boże Narodzenie, Wielkanoc i Sylwester polskiego rocka w jednym. Święto. Dlatego może teraz ciszej nad tą trumną.

Najbardziej rozrywkowym i wypoczynkowym festiwalem była FAMA. Odbywała się w Świnoujściu i trwała trzy tygodnie. Przez kilka lat grałem tam regularnie: ze Śmiercią, z Dudkiem, z Absurdem. To były najlepsze wakacje w życiu. Siedziałem nad morzem trzy tygodnie, miałem opłacony nocleg i wyżywienie i jeszcze mi płacili za zagrane koncerty.

FAMA była też fajna, bo była festiwalem interdyscyplinarnym. Z jednej strony przyjeżdżali typowi przedstawiciele kultury studenckiej z akustycznymi gitarami i swoją poezją śpiewaną, mrużaną czy też stękaną. Towarzyszył im wianuszek dziewczuszek w czarnych, ponaciąganych swetrach i kraciastych spódnicach z tłustymi włosami zafarbowanymi na czarno.

Panny były bardzo egzaltowane, ich cały świat wypełniały duchy Stachury i Wysockiego. Panowie artyści za to byli znacznie bardziej kumaci i mocniej stąpali po ziemi. Lubiłem posłuchać, czy to Wojtko Belona czy Przemka Gintrowskiego.

Kabaret był równie mocną stroną studenckiej kultury. Na mieście odbywały się różne happeningi. Dawny menadżer Śmierci Klinicznej Wojtek Kurdziel wraz z innym moim kolegą Wojtkiem Nurkiem odstawili przedstawienie pt. „Bałtyk wciąż groźny”. Tytułowy Bałtyk to oczywiście popularny gatunek wódki, która powodowała koszmarny ból głowy i bardzo mocny „zespół dnia następnego”. Któregoś dnia na polu namiotowym spotkałem Pawła Konnaka z ekipą Totartu. Paweł od lat przysyłał mi pocztówki okolicznościowe z okazji Pierwszego Maja, albo innego „ważnego” święta. Razem z Totartem w Świnoujściu zaprezentowali odlotowy happening zatytułowany „Szalet naszym schronem”.

Koncerty, sztuki teatralne, filmy, kabarety, recitale – wybór na Famie był naprawdę olbrzymi. Wieczorem wszyscy spotykali się w klubie festiwalowym. Integracja i wymiana doświadczeń rozkręcała się dzięki

aktywności bramki klubu, która w szatni oferowała szeroki wybór płynów gawędziarskich. Raz mogłeś tam spotkać Daukszewicza, innym razem Sawkę, innym razem Satanowskiego.

No, byli też goście, którzy nie wzbudzali specjalnej sympatii. Któregoś wieczoru siedzieliśmy z całym Absurdem w klubie. Nasz wokalista, Lumpaj był już mocno trafiony. Dwa stoliki dalej siedział Aleksander Kwaśniewski, chyba wtedy był ministrem do spraw młodzieży. Widok aparatczyka bardzo wkurwiał Lumpaję, który wyklinał go pod nosem od „jebanych komuchów” i wyraźnie dążył do konfrontacji. Nie był to najlepszy pomysł, dlatego zagnałem mój zespół na scenę i zagraliśmy „Ciszę”. Wokalista wisiał na mikrofonie, czasem lekko przysypiał, my graliśmy w wolnym, wręcz pogrzebowym tempie. Fajne to było. Skutecznie wyczyściło klub z wszystkich gości i do rana mieliśmy go tylko dla siebie.



Fama 84, DD, Gośka
fot. Jerzy Fedak

Często chodziłem na różne jam sessions, zawsze lubiłem improwizowane sytuacje. Już na pierwszej Fama razem ze Śmiercią graliśmy z różnymi

jazzmanami. Chyba dlatego późną jesienią zaproszono nas do krakowskiego klubu Pod Jaszczurami. Tam odbywały się przeważnie koncerty jazzowe, stąd to zaproszenie było trochę dziwne. Ale daliśmy radę. Na przeszkodzajkach wsparli nas Czaja z Przybiełką, a publika łyknęła nasze granie. Zresztą z oboma muzykami poznałem się właśnie na Famie.

Tam również przez kilka dni włączyłem się po knajpach ze Zbyszkiem Hołdysem. Piliśmy wino, gawędziliśmy, piliśmy wino. Któregoś dnia wylądowaliśmy w restauracji hotelu Albatros. Zamówiliśmy połówkę, przyszedł kelner i próbował ją nalać do kieliszków. Nie za bardzo mu to szło, ręka tak mu latała, że nie był w stanie trafić. Zbyszek spojrzał na niego badawczo, zabrał flachę, nalał kielona i podał kelnerowi. Ten łyknął bez słowa komentarza, odczekał chwilę i szarmanckim ruchem nalał nam gorzałę do kieliszków. Skubany został fachowo zreanimowany.

W ogóle lubiłem szlajać się po tym Świnoujściu. Kilka dni wcześniej włączyłem się z kolei z grupą punków i to takich dość wyrośniętych, siejąc popłoch na plaży i w świnoujskich restauracjach. Było trzydzieści stopni w cieniu, mimo to wleźliśmy na plażę w pełnym umundurowaniu: glany, papy, piesszochy. Potem oczywiście wykonaliśmy tradycyjne zaślubiny z morzem, czyli po prostu weszliśmy w ciuchach po kolana do wody i wznieśliśmy rytualny toast. Tacy mocni się poczuliśmy, że przegoniliśmy patrol milicji z pola namiotowego, a chwilę potem pogoniliśmy jakąś ekipę szczyli, wachających butapren. Paskudny klej, zmora lat osiemdziesiątych. Mimo wszystko wino marki Wino czy Bałtyk były jednak lepsze i zdrowsze, niż klej. Doskonale wpływały na poczucie humoru. Naprawdę!

Stoimy z Lumpajem w kolejce do monopolowego. Przed nami kolebie się kompletnie nawalony facet. Kolejka przesuwana się powoli, gościu w końcu staje przed tęgawą sprzedawczynią.

– A co Pan, czytać nie umiesz? – ekspedientka grubym paluchem wskazuje na tabliczkę wiszącą na ścianie.

„Młodzieży do lat osiemnastu i osobom nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy” – literuje z trudem gość. – Ale kurwa, o co chodzi? Ja już mam osiemnaście lat!

Na pierwszej Famie zaliczyłem wszystkie wschody słońca. Mieszkałem na polu namiotowym, a tam impreza nigdy się nie kończyła. Po powrocie do domu spałem ponad dwadzieścia godzin. To pewnie przez ten jod.

W Świnoujściu czułem się świetnie, uwielbiałem jego klimat. Gdy już całkiem nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić, to po prostu szedłem do portu. Godzinami mogę gapić się na statki, uwielbiam wszelkiego rodzaju porty. Kocham te senne, rybackie, w których nawet mewy latają ospałe i ziewające. Fascynują mnie porty wojenne, najeżone działami, mimo że na pewno nie jestem militarystą. Lubię podziwiać nabrzeża, przy których kotwiczą ogromne masowce z nazwami egzotycznych portów na rufie. Nie pamiętam, żebym w dzieciństwie chciał zostać marynarzem, nadal nim być nie chcę. Jednak ze szczenięcą radością wsiadałem na prom łączący dwie strony Świnoujścia i przez godzinę, lub dwie pływałem nim w kółko. Nie, pod nosem nie nuciłem szant.

Jednak większość festiwali nie gwarantowała takiej zabawy. Przyjeżdżaliśmy, graliśmy, ewentualnie zaliczyliśmy jakąś imprezę i rano dalej, w drogę. Cyrk przyjechał, cyrk pojechał. Tak było na Rock Arenie, tak było na łódzkim Rockowisku. Na tym pierwszym festiwalu przed koncertem wyszedłem przed halę zapalić, ale z powrotem już mnie nie chcieli wpuścić. Przyczepiło się dwóch mundurowych. Właściwie wszedłem siłą, dzięki pomocy kilku technicznych. Na Rockowisku grałem dwa razy, ze Śmiercią i z Shakin' Dudi. Na koncert Shakin' Dudi pożyczyłem Fendera Telecastera. Byłem przekonany, że zabiję wszystkich dźwiękiem. Fender naprawdę świetnie brzmiał. Brzmiał do czasu, a dokładnie do trzeciego numeru, w którym tak mocno uderzyłem w strunę E, że spadła z mostka. W ferworze walki i przy szalonym tempie koncertu nie za bardzo miałem czas, by to naprawić. Nie wiedząc, co zrobić rzuciłem gitarę na podłogę i do końca koncertu wspomagałem Dudka wokalnie. Biedny Irek!

Najbardziej liczył się show i zadyma na scenie. Tak, jak na festiwalu Rock nad Bałtykiem, gdy Irek w amoku kopnął w krzesło, na którym stałem i grałem solówkę. Przywalił tak mocno, że krzesło dosłownie odleciało mi spod nóg i rozleciało się na drobne kawałki. A ja przez ułamek sekundy zawisłem w powietrzu. Solówki nie przerwałem.

Fajnie wspominałem festiwal country w Mrągowie, na którym graliśmy dwa razy. Dobry hotel, dobra lokalizacja. Rano basen, po południu wspólnie z Wojtkiem Przybylskim pływaliśmy łódką po jeziorze, udając, że łowimy ryby. Moi koledzy wybrali inne, bardziej aktywne formy rozrywki, sprowadzając putany z całego powiatu. Na koniec festiwalu zaproszono nas

na bankiet, który został bardzo szybko zakończony, gdy Krzysiek Głuch i Jurek Oliwa przebiegli po stołach. Jedynym mankamentem festiwalu country była dla mnie muzyka country.

Cóż, grałem na festiwalach z o wiele gorszą muzyką. Tak, mam na myśli Opole. To prawdziwy fenomen. Z jednej strony wszyscy od zarania dziejów wieszają na nim psy, z drugiej strony co roku w telewizji oglądają go miliony. Czy to forma narodowego masochizmu? Pierwsze Opole zaliczyłem razem ze Śmiercią Kliniczną, ale to się nie liczy, bo to był osobny, rockowy koncert reżyserowany przez Waltera Chełstowskiego. Prawdziwą twarz Opola poznałem z Shakin' Dudi, gdy szóstą godzinę czekaliśmy na próbę akustyczną. Ja pierdołę, jaki wtedy był na tym Opolu bajzel! Cud, że te koncerty w ogóle dochodziły do skutku. Umawiali się z tobą na próbę na dziesiątą rano, a na scenę wchodziłeś koło siedemnastej. Wszyscy snuli się jak muchy, po amfiteatrze pętały się dziesiątki zbędnych ludzi, którzy nie wiadomo czym się zajmowali. Za to na pewno sprawnie ustawiali się w kolejce po pieniądze.

Teraz przebiega to o wiele sprawniej, grałem w ostatnich latach dwa razy i specjalnych zdrad nie było. Oprócz muzyki oczywiście.

W odróżnieniu od lat osiemdziesiątych wykonawcy też jakby trzeźwiejsi. No, może z wyjątkiem kilku weteranów.

Opole to swoiste targowisko próżności. Takie targowisko piosenki używanej, bo muzycznie jest zawsze spóźnione o kilka lat. Nie za bardzo nadąża, nie za bardzo. Zawsze mam lekką bekę, gdy obserwuję tam popowe gwiazdki. Idzie taka korytarzem, kątem oka zerka, czy zwracają na nią uwagę, czy jej dekolt jest wystarczająco duży, by faceci zapuszczali w nim żurawia. Niech no tylko zobaczy taka panna kogoś znanego bardziej od niej, natychmiast się przykleja. Przykleja, rechocze, mizdrzy się i kryguje. Byleby ktoś zauważył, byleby ktoś zapamiętał. Niestety, przychodzi potem ten bolesny moment, gdy trzeba wyjść na scenę i zaśpiewać. Kiepską piosenkę z banalnym tekstem, bo takie na tym festiwalu dominują. Ale co tam, braki w śpiewaniu wyrówna się cyckami. Przecież światem rządzą cycki, a nie nuty. Zresztą opolska publiczność to najbardziej tolerancyjna publika na świecie. Kraina łagodności.

Blichtr, pióra w dupie i cekiny? Niechętnie, nie bardzo. Lepsze są niszowe festiwale. Takie, jak Rawa Irka Dudka. To festiwal, na którym grałem chyba z dziesięć razy. Już się nie doliczę.

A w Spodku grałem razy kilkanaście. Bardzo lubię tę halę. W 86 roku graliśmy tam samodzielny koncert z Shakin' Dudi. Próbę akustyczną mieliśmy dzień wcześniej. Wszyscy muzycy i akustycy poszli coś przekąsić, zostałem na scenie sam. Poprosiłem Wojtka Trzcńskiego, żeby zostawił włączone przody. Tylko kilka reflektorów oświetlało środek sceny. Zacząłem grać na gitarze, dźwięk odbijał się od pustych krzeseł, wracał, zakręcał, rozpraszał się. Zacząłem śpiewać. Było magicznie. Ogromna, pusta hala i ja, z kilowatami mocy płynącej ze sceny. Muzyka jest nagrodą.

Rawa z wiekiem dorosła i trzeźwiała. Na początku to był bardzo rock'n'rollowy festiwal. Tłumy rozweselonych śląskich muzyków, wkoło młode groupies. Hektolitry i kilogramy. Zapach whisky zmieszany z zapachem grassu. Wchodziłeś do restauracji Olimpijskiej na zapleczu Spodka i spotykałeś dziesiątki znajomych. Przy pierwszym stoliku siedział Andrzej Urny, obok Krzysiek Głuch i Pazur. Gdzieś z daleka dobiegał charakterystyczny głos Janka Skrzeka. A na scenie Riedel, Nalepa, Dudek. Tłumy ludzi na widowni. Kiedyś blues potrafił zapełnić cały Spodek. Kiedyś reggae potrafiło, kiedyś punk. Dzisiaj? Pewnie tylko hip hop.

Zmienił się system, zmieniła Rawa. Zmieniły się inne festiwale. Dziś na zapleczu Spodka już nie spotkasz żadnych wrażeń dziewczyn czy zaprawionych muzyków. Dzisiaj jest wszystko bardzo profesjonalne, od obsługi, nagłośnienia po ochronę. Zero bajzlu, zero anarchii.

Na scenie amerykańskie gwiazdy, niektóre naprawdę świetne.

Ale coś bezpowrotnie zniknęło i raczej już nie wróci. Klimat.

Większość festiwali coraz bardziej przypomina festyny. Piwo, wata cukrowa, kiełba z grilla i coś tam rzępoli. Zazwyczaj ten sam garnitur wyeksploatowanych do cna wykonawców. Na szczęście na razie muzyka nie przeszkadza publiczności. Wiele z tych imprez żyje tylko dzięki kroplówce z państwowych pieniędzy. Ciekawe, jak długo? A może kiedyś nastąpi zwrot ku żywej muzyce? Czy też zostanie rozrywką tylko dla elit? Dla plebsu pozostanie internet. Skomercjalizowany, ocenzurowany, zmanipulowany.

Grałem też z DiM-em na dwóch festiwalach reggae. Na Ostródzie trochę nas wpuszczono w maliny, graliśmy o czternastej czy piętnastej w jakimś koszmarnym, nagrzanym pomieszczeniu z fatalną akustyką. Brzmiało to okropnie, hałas skutecznie wypłoszył ludzi. Chociaż Maciek Góralski stwierdził, że brzmieliśmy i graliśmy jak Clash na żywo. Za to towarzysko

było świetnie, po latach przerwy spotkałem wielu starych przyjaciół. Znów mogłem podyskutować ze Sławkiem Gołaszewskim, znów lekko nadużyliśmy jego słynnego winka. Po długiej przerwie spotkałem też Zygzaka z Xenny, który wystawił na festiwalu stoisko z koszulkami. Z fajnych koncertów zapamiętałem Jafię, Mercowi natomiast najbardziej podpasował Steel Pulse. Niestety z powodu śmierci wokalisty Culture nie zagrało. Za to w tym samym 2006 roku mogłem sobie poskakać na The Skatalites na Regałowisku w Bielawie. Tu graliśmy z DiM-em w lepszej porze i pod sceną zebrała się ekipa, której podobało się nasze granie. Gdy instalowaliśmy się na scenie, podleciał jej kierownik z riderem w rękę i spytał:

- Przepraszam, a gdzie klawisz?
- Nie ma klawisza – odparłem.
- Jak to, reggae i nie ma klawisza?

No nie było...

Za to było to, co na wszystkich festiwalach. Zarwane, przegadane noce. Dyskusje o muzyce, poranne śpiewy przy śniadaniu, wycieczka w góry, a tam nagroda w postaci czeskiego piwa.

Jest jeszcze jeden festiwal, o którym chcę opowiedzieć. Festiwal, który stara się nawiązać do starej, dobrej tradycji festiwalu jarocińskiego. I udaje mu się ten klimat przywołać. To Rock na Bagnie, robiony przez Jacka Żędziana (Żabę) w Goniądzu. W 2016 roku odbędzie się piąta edycja tej zacnej imprezy. To świetny festiwal, oczywiście głównie dlatego, że często pojawiają się tam z Redakcją. Chociaż w 2011 roku nie było to takie oczywiste. Zadzwonił Żaba, zaczął mi tłumaczyć, że robi w Strękowej Górze drugą edycję festiwalu...

- Gdzie, przepraszam?
- W Strękowej Górze, nad Biebrzą – odpowiedział z tym swoim śpiewnym akcentem.



Big band Irka Dudka, molo Sopot (1986),
fot. mr makowski

Jak wiadomo, każdy obywatel III czy też IV (a może już V, trochę się gubię) Rzeczypospolitej wie, gdzie leży Strękowa Góra. Każdy, za wyjątkiem mojej niedouczonej osoby. Zerknąłem na mapę. Rany, to sam środek Azji, sześćset kilometrów ode mnie.

– Punkowy festiwal? Ale ja teraz nie gram punka. Zjedzą nas żywcem. Żaba jednak przekabacił mnie, zbajerował i namówił.

Wyruszyliśmy ze Śląska wieczorem. Już zaczynało lać, prognozy były kiepskie. Wynajęliśmy busa, prowadził jak zwykle Irek, który na stałe jeździ z Shakin’ Dudi. Jest doskonałym kierowcą, uważnym, rozsądnym. Takim, że nie trzęsę się w czasie jazdy o swoje życie. A z różnymi jeździłem. Jechaliśmy i jechaliśmy mijając siedem gór, siedem mórz, Warszawę, stepy akermańskie i inne, nie znane mi krainy geograficzne. Potem wjechaliśmy w carską drogę, pełną znaków ostrzegających przed losiami. Dobrze, że nie przed dinozaurami. Wreszcie wyjechaliśmy z lasu i naszym oczom ukazała się stercząca w szczerym polu duża scena.

Wkoło łośie, bagna, nad głowami pterodaktyle, a na środku tej nie skoszonej łąki stoi scena. Sto procent abstrakcji. Kawałek dalej znajdował się ośrodek, gdzie mieściło się biuro i gdzie mieliśmy nocleg. Obok było pole namiotowe. Od razu poszliśmy spać. Gdzieś tak koło jedenastej wstałem, wyszedłem na taras zajarać. Lało. Koło dwunastej lało. O trzynastej zaczęło zalewać pole namiotowe. Najpierw punki miały ubaw, bo mogły się potaplać w kałużach. Jednak o czternastej woda zalała całe pole, ludzie w pośpiechu zwijali namioty. O piętnastej...

Tak, lało jeszcze dwa dni. To był prawdziwy potop.

Tymczasem festiwal trwał. Z daleka, przez ścianę deszczu słycać było kolejne kapele. Na korytarzu zgromadziło się mnóstwo kompletnie przemoczonych, dygoczących dzieciaków. Przyszedł po mnie Żaba, miałem mieć spotkanie z narodem. Tłumaczyłem, że nikt nie przyjdzie i powinniśmy je odwołać, ale nie posłuchał.

Była pełna sala. Oczywiście dlatego, że było to jedno z nielicznych miejsc, w którym można było schować się przed potopem. Tak, taka Arka i ja, jako ten Noe, siwy i pomarszczony, wspominający młode, gniewne lata. Spotkanie było miłe, pytania inteligentne, odpowiedzi błyskotliwe. Myślałem, że będzie gorzej. Nie lubię przemawiać, moją formą komunikacji jest piosenka i jej tekst.



Shakin' Dudi, Warszawa (2008)
fot. mr makowski

Nie wiedzieliśmy, jak dostać się pod scenę. Dojazdu nie było, zresztą do wszelkich prób przebicia się przez łąkę zniechęcał widok dwóch aut zakopanych w bagnie po podłogę. Podjechaliśmy kawałek asfaltem, bus zaparkował na pustej drodze, w strugach deszczu wyciągnęliśmy gitary i jak króliki pognaliśmy przez podtopioną łąkę w kierunku sceny. Na dodatek było koszmarnie zimno. Prawdziwe bagno, prawdziwe. Łukasz zaczął instalować się za bębnami, po chwili wrócił i pokazał swoje plecy. Całkowicie przemoczone. Wszędzie na scenę lała się woda.

Oczywiście oczami wyobraźni już widziałem, jak gram na gitarze, zbliżam usta do mikrofonu i zostaję porażony prądem. Śmiertelnie porażony. „Darek Dusza, zginął w trakcie koncertu w Strękowej Górze”.

O rany, żeby przynajmniej w jakimś mieście powiatowym. W wojewódzkim jeszcze lepiej by było... Nic z tego, nie poraziło. Nie utłukło. Nie złamałem ani ponownie nie skręciłem nogi, mimo że parę razy wpadłem w potężny poślizg na scenie. Punki też nas nie zabiły. Nie obrzuciły błotem, nie wygwizdały. Ba, musieliśmy bisować. Gdy skończyliśmy, pożegnałem się z Żabą i znów króliczym truchtem pobiegliśmy do zaparkowanego na drodze auta.

– Uciekajmy, uciekajmy do domu.

I pojechaliśmy zostawiając nasz pokój jakimś przemoczonym, przemarzniętym dziewczynom.

Graliśmy też na Bagnie 2013 i 2014. Pogoda tym razem dopisała, frekwencja z roku na rok była coraz wyższa. Koncerty coraz lepsze, muzycznie zróżnicowane. Festiwal przeniósł się do Goniądza, małej miejsciny leżącej nad Biebrzą. Scena, zaplecze, pole namiotowe, a tuż obok rozciąga się piękna panorama biebrzańskich bagien. Jak znudzi Cię dżdźdżdźdży albo umpapapapapa, to odchodzisz na bok, siadasz na trawie i odlatujesz razem z bocianami. Można też pójść na miasto i na kiermaszu napychać się lokalnymi przysmakami.

W 2015 pojechałem jako słuchacz i dzięki temu mogłem spokojnie spotkać się ze znajomymi, posłuchać muzy. Bardzo mi się podobało, dawno nie byłem na wakacjach. Gdy gram koncerty, jednak jest inaczej. W dniu przed koncertem nie pobałujemy, nie pogadamy, nie zarwiemy całej nocy.

Wiem, wiem, to mało rock'n'rollowe podejście, ale tak od dawna mam. Szanuję tych, którzy przychodzą mnie posłuchać. Za bardzo lubię koncerty, żeby je psuć.

Muzyku, jeśli rozrywki przeszkadzają Ci w graniu, rzuć granie!



fot. Wojciech Nurek

Rozdział 10

W 2003 roku zagraliśmy kilka koncertów z big bandem Shakin' Dudi. Zadebiutowałem też jako konferansjer na koncercie Punk Rock Later.

Trochę dałem się wpuścić w maliny, nie zajarzyłem, że książka, którą promował ten koncert miała lekko propagandowy wydźwięk. Był to zbiór wywiadów i w każdym z nich padało pytanie o nasze wstąpienie do Unii Europejskiej. Dziwne? Było to tuż przed referendum na temat wstąpienia. Prywatnie też głosowałem za, uważając, że tak naprawdę nie mamy wyjścia i powinniśmy się łączyć, a nie izolować. Ale innych nie namawiałem i namawiać nie chciałem.

Koncert był niezły, grał m. in. Kult, Armia, KSU, Brygada Kryzys. Prowadziłem go wspólnie z Zygzakim z Xenny. Fajnie było znów spotkać kolegów z tamtych lat. Ale sama konferansjerka nie za bardzo mi szła. To nie moja bajka. Na dodatek organizatorzy nie pozwolili KSU na bisy, za co oberwaliśmy my, prowadzący. Potem było coraz gorzej, robił się coraz większy bajzel, jacyś nawaleni ludzie pętali się po scenie. Pożegnałem się i pojechałem do chaty. Nigdy więcej!

Dzień później czekała mnie jeszcze gorsza rola, rola jurora na Winter Reggae. Namówił mnie Zima. W jury był dziennikarz Marcin Babko (autor biografii Dudka) i Grzesiek Gutowski (realizator nagrań).

Na szczęście nie mieliśmy najmniejszych problemów z wyłonieniem zwycięzcy. Jednogłośnie wybraliśmy Vavamuffin.

Jednak tak naprawdę w tym roku liczyła się wyłącznie jedna rzecz. Odmrożenie Shakin' Dudi i to w starym składzie! Znów zadzwonił Irek, znów spytał:

– Wchodzisz?

– Wchodzę.

Pomyślałem, że warto spróbować. Jeśli będę się czuł źle, to wtedy natychmiast zrezygnuję. W rezygnowaniu jestem niezły. Z pracy, z zespołów, ze współpracy. W próbowaniu też, nawet jeśli spodziewam się, że nic z tego nie będzie.

Kiedyś dawny menadżer Shakin' Dudi miał pomysł. Dla mnie i Merca. Hmm, jak go usłyszałem, od razu byłem sceptyczny. Ale miałem czas

i miałem ochotę na koniec zacytować Greka Zorbę. Tak, bo była to piękna katastrofa. Menadzer zabrał nas do Opolą, tam czekali na nas chłopcy z TSA (wtedy z dawnego, teraz znów z obecnego). To bardzo sympatyczni dżentelmeni, ale z zupełnie innych muzycznych klimatów. Zupełnie. Nie byliśmy w stanie razem czegokolwiek sensownego zagrać.

Tak bywa. Taka piękna katastrofa.

Shakin' Dudi po latach. Nie żaden wielki comeback, ale taki normalny, spokojny powrót do grania w szóstkę. Po długiej przerwie znów plimkałem Ziutę! I wcale nie czułem do tej pani żadnego obrzydzenia. Wręcz odwrotnie, przypomnienie sobie tych wszystkich utworów sprawiało mi wielką przyjemność. Tak samo miło było spotkać kolegów.

Na pianinie grał Krzysiek Głuch, na basie Andrzej Rusek, na garach Marek Surzyn, a na saksie Alek Korecki. Chwilę później Marka, rozchwytywanego muzyka sesyjnego, zastąpił na perkusji Irek Głyk.

Od czego zaczęliśmy? Jak zwykle od programu telewizyjnego na żywo. Takiego okolicznościowego, bo minęło dwadzieścia lat od powstania Shakin' Dudi. Stąd ten wyjątkowo skromny tytuł: „Śpiewak przebojów”. Zagraliśmy porządnie, dodatkowo w dwóch piosenkach wsparła nas Małgorzata Walewska, znana śpiewaczka operowa. Bardzo to zabawne było, bardzo.

Postanowiliśmy trochę sobie pomóc w karierze. Odpaliliśmy stronę internetową, którą w miarę swoich skromnych możliwości i umiejętności redagowałem w czynie społecznym do 2012 roku. Do tego roku też bawiłem się w prowadzenie strony Shakin' Dudi na fejsie. Przez pierwsze lata naszego powrotu co jakiś czas wysyłałem też mailingi do różnych agencji koncertowych i ośrodków kultury. Trzeba było przypomnieć, że żyjemy i wbrew wszelkim pogłoskom mamy się dobrze.

Weszliśmy też do studia. Nagraliśmy cztery piosenki: „Daj mi na kredyt”, „Melinę”, „Piej, piej, piej” i „Jeszcze zobaczysz”. Poszło bezboleśnie, realizował Jarek Toifl. Na singla wybraliśmy punkową „Melinę” i dziwiliśmy się, że żadne radio tego nie chce grać. Przester, szybkie tempo i darty wokal. Kto miał to zagrać? Z tej sesji dopiero po kilku latach dwa utwory trafiły na playlistę Antyradia. Szkoda, „Melinę” i „Piej” lubię.

W maju wzięliśmy udział w dużym koncercie na wrocławskim rynku, transmitowanym przez Polsat. Już na próbie się nie kleiło. Przez środek

sceny ciągnęło się jakieś cholerne rusztowanie ze światłami, taka zasadzka na biegających gitarzystów. Zamiast Korca grał nowy saksiarz, polecony przez basistę. I jeszcze Krzysztof był wyraźnie zmęczony. Na koncercie było jeszcze gorzej: saksofonista zupełnie się pogubił, funty w Ziucie na pianie też. Dodatkowo głusi akustycy pozamieniali ustawienia w odsłuchach. Mój wokół w swoim odsłuchu miał kontrabasista, ja miałem wokół pianisty i saksofon. Koszmar! Ślicznie to wtedy nie zagraлиśmy.

Nowym saksofonistą został Christian Broniarz. Zafundowaliśmy sobie obchody dwudziestolecia na festiwalu Rawa Blues. Ludzkość przyjęła nas bardzo życzliwie, bisy i takie tam. Nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu. Pełen sukces.

Następny rok byłby zwyczajnym, spokojnym rokiem wypełnionym niezbyt częstymi koncertami, gdyby nie wypadek drogowy. Jechaliśmy do Gdańska na dwa koncerty. Za Częstochową uderzyło w nas auto, które wypadło z przeciwległego pasa. Przez chwilę toczyliśmy się na dwóch kołach po poboczu, dokładnie wzdłuż linii brzoź. Gdybyśmy tak w nie wjechali, to pewnie ktoś inny pisałby tę książkę. I stare płyty znów by się sprzedawały, bo wiadomo, że pośmiertne dobrze schodzą.

Martwy artysta to jest prawdziwy biznes.

Na szczęście jakimś cudem auto nagle opadło na cztery koła i kierowca zdołał wyhamować na trawie. Nie miałem zapiętego pasa i przy uderzeniu coś mi tam chrupnęło w krzyżu i w barku. Przez kilka dni miałem kłopoty z siedzeniem, a bóle w łopatce i w kręgosłupie męczyły mnie przez lata. Jednak kilka lat temu przeszły! Wniosek: młodziej! Kierowca miał rozbity nos, lecz najbardziej uszkodzony był siedzący z przodu Irek Głyk. Nie wyglądał za dobrze, bardzo bolała go noga.

Przyjechało pogotowie. Najpierw zrobili sobie z Dudkiem zdjęcie, potem zajęli się rannym i zabrali go do szpitala.

Na szczęście noga nie była połamana, tylko koszmarnie obtłuczona. Co robić? Auto rozbite, pałker bez nogi. Po dwóch godzinach Irek Głyk wraca ze szpitala, blady i obolały, noga w gipsie. Postanowił jednak zagrać. Ściągamy transport i spóźnieni dojeżdżamy na zlot motocyklowy Power Station do Sopotu. A perkusista zamiast zagipsowaną prawą, gra lewą stopą. Tak, po prostu zagrał drugą nogą. I to jak! Mistrz!

W 2005 r. znów zaczął mnie odwiedzać Merc. Nie był już prezesem, co bardzo dobrze zrobiło mu na psyche. Chciałem go jakoś zachęcić do

śpiewania, rozruszać. Już wtedy pracowałem z komputerem i na nim też miałem nagrany utwór „Spóźniam się”. Mercedes napisał do niego tekst, a w październiku spotkaliśmy się w studio. Mieliśmy jeszcze drugą piosenkę, ale niestety na niej polegliśmy. Wyszło nam coś pomiędzy agro a igro rockiem. Na demówce śpiewałem ja i podgrywałem na jednej gitarze, utwór miał taki loureedowski klimat. W studiu natomiast wyszedł postbajmizm. Skasowaliśmy.

Za to „Spóźniam się” wydaliśmy samodzielnie na singlu, rozesłaliśmy po rozgłośniach, gdzieś tam poleciało. Wydaliśmy pod szyldem DiM, żeby zasygnalizować, że to zupełnie coś innego niż wydany pod nazwą Dusza i Mercik „Pies od Luizy”. W grudniu Merc zaśpiewał gościnnie z Lion Vibrations na Winter Reggae.

Tam też usłyszeliśmy sekcję Habakuka i bardzo nam się spodobała. Na wiosnę 2006 r. udało nam się namówić Wojtka Cyndeckiego (bas), Jaromira Puszka (dr) i Krzyśka Niedźwieckiego (gitara). Zrobiliśmy parę prób w Częstochowie, zagraliśmy pierwszy koncert. Chłopaki mieli bardzo mało czasu, bo Habakuk był wtedy na fali wznoszącej i grał dużo koncertów. Nagraliśmy z nimi jeszcze dwa single: „Nie wracam” i „Amerykański sen”. Zagraliśmy też na Ostróda Reggae Festival i na festiwalu Reggae w Bielawie. Ostatni wspólny występ miał miejsce u Zimy, na Winter Reggae 2006. Szkoda się było rozstawać, ale cała habakukowa trójka naprawdę miała problem ze znalezieniem dla nas czasu.

Ich miejsce zajęli: Darek Budkiewicz (obecnie Armia) na basie i Adam Szuraj. Natomiast w chórkach wspomagał nas syn Merca Mateusz i Cezik (Cezary Nowak), który również grał na gitarze. Zrobiliśmy kilka prób i 8 stycznia 2007 r. zameldowaliśmy się w studio.

To była długa i męcząca sesja. Nagraliśmy aż osiemnaście numerów. Zaczęliśmy szukać wydawcy. Nikt się specjalnie nie palił, bo nikt też nie wiedział, co z takim materiałem zrobić. Tak naprawdę nagraliśmy pop rockową płytę. Z niewielkim wpływem reggae. Dalej lubię tytułowe „Same dobre wiadomości”, „Władzę”, „Zamurowałem okna i drzwi” czy „Follow the Sun”. Może niepotrzebnie nagraliśmy kawałki Śmierci i RAP-u? Za grzecznie, ze zbyt dobrym brzmieniem?

Szukałem i szukałem wydawcy, aż w końcu udało się dogadać z Agorą. Warunki dawali dobre, plany ambitne. Podpisaliśmy umowę. W październiku pojechaliśmy do Gdańska, gdzie pod czujnym okiem Yacha

Paszkwicz nagraliśmy teledysk do pierwszego singla „Same dobre wiadomości” Gdy wracaliśmy z Gdańska, w samochodzie leciała lista przebojów Trójki. Nagle słyszymy „Same dobre” i to na trzydziestym ósmym miejscu! Lecz w następnym tygodniu szybko zleciało. Za to na kilka lat utwór trafił na stałe na playlistę. Niestety następny singiel przepadł. Płyta ukazała się w 25 stycznia 2008 r. Bardzo ładnie wydana, znacznie gorzej reklamowana. Reklamy w TVN24 nie były najlepszym sposobem, by dotrzeć do potencjalnej publiczności. Płatne reklamy w gazetach też. Ale ja się zresztą nie znam... Sprzedawanie własnej twórczości to nie moja specjalność.

Za to w ramach kontynuowania nurtu D.I.Y. Zima wydał winylowy singiel z „Follow the sun”.

W październiku 2007 r. skontaktowałem Irka Dudka z Agorą. Pojechaliśmy na spotkanie, wszystko pasowało, umowa podpisana. Jaka umowa? Umowa na nową płytę Shakin’ Dudi! Jaką płytę? Dobra, zacznę od początku.

W 2006 r. nakładem Metal Mind ukazał się box „Irek Dudek Anthology 1976-2006”. Są na nim wszystkie płyty Dudka i Shakin’ Dudi. Rok później ukazało się DVD „Ty wciąż taki sam od 30 lat”. Opuścił też nas Krzysiek Głuch, a jego miejsce zajął Tomek Pała. Za to na wiosnę 2007 roku zaczęliśmy z Irkiem przygotowywać piosenki. Namówiłem go, żeby zrobić coś świeżego. Przede wszystkim z potrzeby tworzenia, ale swoją drogą liczyłem, że pomoże nam to w zwiększeniu liczby występów i innych działań. Owszem, graliśmy, ale nie tak dużo, jakbyśmy chcieli.



DD, Irek Dudek, gramy bez playbacku, Przeboje Dwójki (1986)
fot. mr makowski

Koncerty były bardzo dobrze przyjmowane: niezależnie czy był to festiwal bluesowy, zlot motocyklowy czy Dni Pierdzipupki Wielkiej. Obojętnie, gdzie graliśmy, zawsze dawaliśmy z siebie wszystko. I ludzie to łykali. Skład nam odmłodził: na kontrabasie grał Bartek Stuchlik, a na saksofonie Łukasz Sosna. Chłopaki szybko zajarzyli, o co chodzi. Natężenie ruchu i wygłupów na scenie znacznie nam wzrosło. Byliście kiedyś na koncercie Shakin' Dudi? No to wiecie, jak to wygląda. Dudek macha stojakiem, kręci się w kółko, dyryguje, podlatuje i śpiewa z publicznością. Ja latam jak szalony, robię wyskoki, padam na kolana i podlatuję pod barierki grać solówki. Saksofonista biega, pianista gra nogą, albo stojąc na stołku, natomiast Bartek siada na kontrabasie albo trzyma go jak gitarę. Perkusista też czasem zagra na stojąco.

Żadne wideo tego nie oddaje. Gdy jeden szaleje, to kamera pokazuje jego kolegę. Taka to polska szkoła montażu. Chociaż nie, przepraszam. Miesiąc temu graliśmy na 150 lat Katowic i koncert był bardzo profesjonalnie nakręcony.

Przed nagraniem płyty mieliśmy zrobić demo, żeby potem Irek miał co zaprezentować ewentualnym wydawcom. W połowie września zainstalowaliśmy się w studiu Polskiego Radia w Katowicach. Graliśmy pełną setkę. W dwa dni nagraliśmy całą płytę. Miało być demo, ale wyszło tak dobrze, że cały materiał nadawał się do publikacji. Płyta Shakin' Dudi wyszła na samym początku 2008 r. Trzy tygodnie później wyszedł DiM. Tak jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło. Dwie w płyty w ciągu miesiąca.

Nowe Shakin' Dudi promował utwór „Goście idą”. Teledysk kręciliśmy w warszawskiej restauracji Pink Flamingo. Grubo było: telewizyjne światła, charakteryzatorki, statyści. Całą noc zasuwaliśmy. Efekt ładny, ale chyba nie na te czasy. Za mało zakręcony, za mało odjechany, za mało łobuzerski. Zamiast wzmacniać tekst, to go rozmydlał.

Zagraliśmy koncert promocyjny w Fabryce Trzciny, bardzo dobrze przyjęty. Przez publiczność. Media nie były za bardzo zainteresowane.

Wtedy pojąłem, że z mainstreamu zostaliśmy przeniesieni do niszy. Znów byliśmy niezależną, alternatywną kapelą. Na muzę, którą gramy nie ma już nigdzie miejsca. Jesteśmy rock'n'rollową łupinką miotaną falami oceanu disco polo.



DD, Warszawa, Fabryka Trzciny (2006)
fot. mr makowski

Następne single przepadły. Dopiero na koncertach po reakcji publiczności mogliśmy zobaczyć, które utwory powinny promować album. „Goście” owszem, ale przede wszystkim „Miałem ciężki dzień” i „Toksyczna rodzinka”. Jednak summa summarum szum, a właściwie szumek, który towarzyszył wydaniu płyty pomógł nam zagrać w 2008 r. kilkadziesiąt koncertów. Nisza niszą, ale zainteresowanie wyraźnie wzrosło i taki trend utrzymywał się przez kilka lat.

Na pewno pomogła też wydana jesienią tego roku biografia Irka o tytule „Ziuta Blues”. Jej autorem jest Marcin Babko, dziennikarz muzyczny specjalizujący się w alternatywie. Bardzo poważnie podszedł do tematu, przeprowadził mnóstwo rozmów z ludźmi, którzy towarzyszyli Irkowi w drodze artystycznej. Dzięki tej pracy książka to żywa, intrygująca

opowieść. Dobra, dalej nie reklamuję, bo sam się w tej książce wielokrotnie pojawiaam.

W 2009 świętowaliśmy 25 lat Shakin' Dudi. Z tej okazji wyszła składankowa płyta „25”. Irek też rzucił pomysł akcji „Stop playbackowi”. Dopracowałem szczegóły, zrobiliśmy stronę internetową, powysyłałem maile do zaprzyjaźnionych portali i innych mediów. Zrobił się niezły szum, pojawiło się mnóstwo artykułów, wywiązała się poważna dyskusja.

Faktem jest, że nigdy nie zagrałem z playbacku. Irek też ma dobrą przeszłość, tylko dwa razy dał się wpuścić w to bagno. Do dzisiaj żałuje. Natomiast wielu, zbyt wielu moich żalonych kolegów uprawia chałturnicze granie z playbacku. Zawsze mają wytłumaczenie: że tak organizator wymaga, że zespół się rozchorował. Ale prawda jest jedna: grają tak, oszukując widzów, bo są pazerni. Na kasę albo na sławę.

Tak, te wszystkie zepsoliki pitolące z playbacku w telewizjach śniadaniowych. Jakie to żalodne! Smuteczek, kurwa, smuteczek.

Ile razy to widziałem! Na przykład gramy gdzieś z big bandem. Nieważne, że impreza pachnie cebulandią. Staramy się, pocimy, wypruwamy flaki. Wszystko dobrze brzmi, bo poświęciliśmy półtorej godziny na próbę. Tekst czytelny, pasmo pełne. Ale szału nie ma, bo big band, bo jeszcze nie zagraliśmy „Ziuty”. Część osób się bawi, część chleje piwsko. Kończymy, techniczni znoszą sprzęt. Na scenie pusto, stoi tylko odtwarzacz CD. No i podjeżdża „gwiazdor”, wchodzi na scenę i bez najmniejszego obciachu wkłada do odtwarzacza CD. Naciska „Play”, podchodzi do mikrofonu i zaczyna bezgłośnie ruszać ustami. A cebuleros odstawili piwo i wszyscy bawią się pod sceną. Porażka, mówię Wam porażka.

Kolega grał na saksie u innego „artysty” kurwa jego mać. Nagrali mu za friko płytę, pan obiecał, że za to będą z nim grali koncerty. Gumowe. Większość koncertów pan obsługiwał playbackiem, posiłkując się nagraniem przez mojego kolegę płytą. Oczywiście nie płacąc żadnemu z muzyków. Tak, przez jeden dzieli się o wiele łatwiej niż przez dwa, cztery czy siedem.

W lecie wystąpiliśmy na festiwalu w Opolu wspólnie z zespołem Big Cyc. Wykonaliśmy „Au sza la la la”. Jesienią zagraliśmy na kilku festiwalach bluesowych: „Jesieni z bluesem” w Białymstoku i „Jimiway Blues Festiwalu”. Graliśmy repertuar oparty na największych hitach ze „Złotej Płyty”. Do tego dochodziły piosenki z „Platynowej” i z tej ostatniej.

Zazwyczaj w paru utworach w trakcie improwizacji Irek śpiewał standardy bluesowe. Przeciętnie na koncert składało się (i składa) dwadzieścia piosenek. W ramach obchodów 25-lecia zagraliśmy urodzinowy koncert na Rawie, pokazaliśmy się też w paru programach telewizyjnych.

Natomiast DiM stał w miejscu, a właściwie leżał. Płyta wyszła, coś tam zagraliśmy i zapadła niebezpieczna cisza. Na dodatek Mateusz Mercik i perkusista Adam Szuraj przenieśli się do Warszawy. Koszty dojazdów plus wymagania finansowe moich kolegów skutecznie zniechęcały do jakichkolwiek działań. Przez rok mieliśmy kontrakt z pewną panią menadżer. Miało być pięknie i światowo. Miało być wspaniale. Było gównem. Niestety, w branży muzycznej mitomania jest dość częstym przypadkiem.

Na szczęście udało nam się rozwiązać umowę.

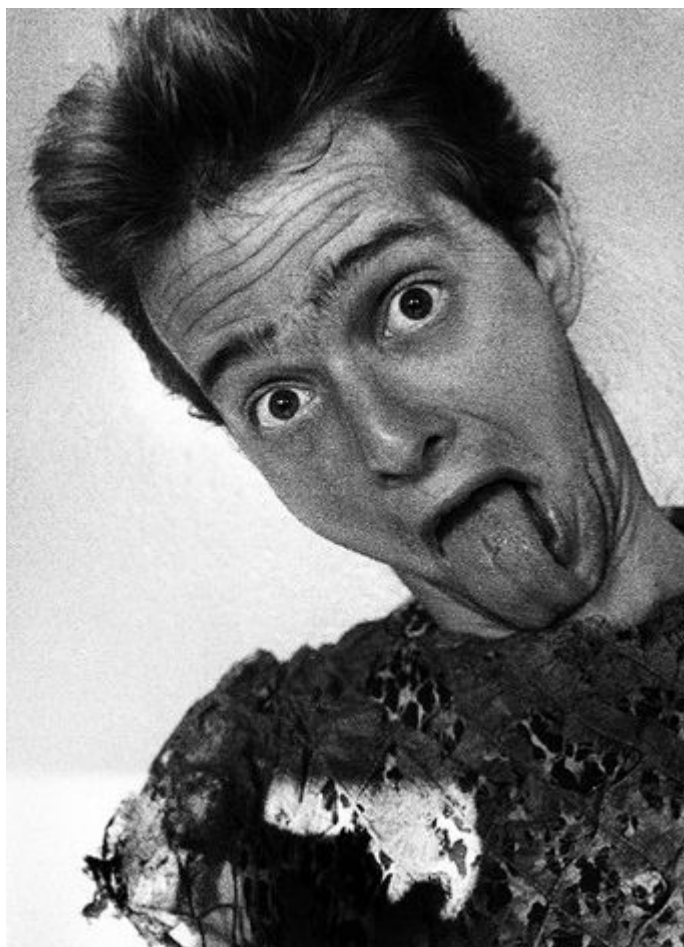
Jednak głównym powodem zawieszenia działalności DiM-u była... Uwaga, kolejny skręt i kolejna zmiana. Powodem była decyzja o przeprowadzce. Tak, po czterdziestu paru latach życia w Gliwicach na początku 2009 r. przeprowadziłem się na wieś!





Redakcja:
Adam Antosiewicz, Berek Stuchlik, DD, na telebimie Łukasz Walczak; Rock na Bagnie
2014,
fot. Cezary Filipiuk

Media



„Rock Arena”, Poznań (1985);
foto mr makowski

Jak Cię widzą, tak Cię piszą. E, tam, chyba powinno być: jak Cię widzą, tak Cię słyszą. Nie widzą, nie słyszą, a jednak piszą. Jak jesteś swój, to piszą dobrze. Jak nie jesteś ich, to każdy Twój utwór to kicz, a każdy tekst to wykwit grafomanii. Żyjemy w dziwnych czasach, w których można odnieść wrażenie, że albumy niektórych wykonawców powstają na wyraźne, polityczne zamówienie. Chcesz mieć plusy na prawicy? No to dawaj piosenki o Powstaniu, Żołnierzach Wyklętych, dumie i honorze. Chcesz mieć plusy na lewicy? To prosimy o teksty z cyklu: Wal się Ojczyzno, Polak to idiota, oraz UE uber alles.

Polska dwubiegunówka.

Gdy zaczynaliśmy ze Śmiercią Klinikzną, większość mediów nie była nami zachwycona. Swój pierwszy wywiad w życiu udzielałem Urszuli Biełous, autorce różnego rodzaju paszkwili o muzyce rockowej. Wywiad był dla tygodnika „Polityka”, tygodnika, który propagował komunizm pudrowany i w liberalnym makijażu. Ale to był tylko makijaż. Pani redaktor pytała, my opowiadaliśmy głupoty, potem ktoś to pociął i puścił bez autoryzacji, efektem czego były jeszcze większe głupoty.

Zresztą do początku lat dziewięćdziesiątych wszystkie wywiady szły bez autoryzacji. Czasem nie poznawałem własnych wypowiedzi. Trudno się dziwić, bo większość dziennikarzy wywiadów nie nagrywała, notowała coś w kapowniku i potem pisała. Własnymi słowami. To, co im do głowy przyszło. Tak też było z tym pierwszym wywiadem.

Następnym kontaktem z mediami był film Pawła Karpińskiego „Śmierć Klinikzna”. Tutaj też wiele zależało od reżysera, które wypowiedzi wybrał, które pociął. Paweł zrobił to bez chęci dokopania nam i film po latach broni się niezłe. Za to nasz występ w Kronice Filmowej pokazuje, że odpowiednim komentarzem można zdyskredytować wszystko.

Większość dziennikarzy za nami nie przepadała. Część nie lubiła nas w sposób naturalny, nasza wizja rocka znacznie różniła się od kultu Floydów i Purpli, na którym ci dziennikarze byli wychowani. Oni zupełnie nic nie kumali, wąsy chyba źle na słuch działają. Dla nich szczytem awangardy pozostawała „Whisky” Dżemów. Nasze powalone harmonie i połamane rytmy to był Armageddon, który zagrażał ukochanej przez nich muzyce. Inni kopali nas, bo nie przypominaliśmy chwatów z ZSMP ani innego szalonego snu komunisty.

Byliśmy wrogami ideowymi i należało nas unicestwić.

Biedni moi rodzice, widziałem jak się martwią, gdy czytali na mój temat w organie (tfu, tfu, cóż za określenie) Komitetu Wojewódzkiego PZPR. „Trybuna Robotnicza” dzielnie nam kibicowała! Takimi tekstami jak ten z 83 roku „Piosenki Śmierci Klinikznej – agonia dobrego smaku” autorstwa nieocenionej Lilianny Andruszewskiej. Autorka modliła się, oj przepraszam, na pewno nie modliła, życzyła sobie, żeby: „moda na tego rodzaju teksty, jakie serwuje Śmierć Klinikzna umarła śmiercią naturalną (w tym wypadku jestem za eutanazją), bez szans na reanimację”. Słodkie, prawda?

Innym naszym fanem piszącym w Trybunie był Andrzej Książkiewicz. W artykule „Ktoś nas tutaj robi w konia” popisał się klasową czujnością

i zdemaskował mnie i mnie podobnych twórców. Pisał o nas „cyniczna grupa cwaniaczków prowadzi niebezpieczną, podwójną grę”. Zdekonspirował fałszywych autorów tekstów takich jak ja: „dajmy spokój nieprawdziwej tezie, że to sama młodzież pisze słowa”.

Tak, przecież wiadomo, że teksty Śmierci Klinicznej otrzymywałem od Jamesa Bonda na mikrofilmach. Nie wiedzieliście?

Oj pisali i pisali, organy wojewódzkie, powiatowe i centralne. Niestety większość mojego archiwum wyłądowna dawno temu na śmietniku. Zostało naprawdę niewiele, ale i tak te strzępy oddają klimat epoki. Na moje teksty, które opublikował „Radar” natychmiast zareagował naród. Naród wysłał list do „Walki Młodych” (swoją drogą tytuł znów na czasie, prawda?). List czytelnika Zbigniewa Rykowskiego nosił tytuł „Cały ten zgiełk”. Był „dowcipną” analizą moich tekstów, mojej osobowości i mojego intelektu. Autor docenił mnie słowami: „dużym osiągnięciem autora jest to, że chociaż pisać się nauczył”. Do tego dodał: „Drukowanie w tym samym numerze tekstów Okudźawy i Wysockiego w zestawieniu z tekstami Duszy wygląda tak jak zestawienie pałacu i śmietnika”.

Nie wiedział, jak wielką frajdę mi sprawił. Tak, po to robiliśmy swoje piosenki, bo nie chcieliśmy tekstów Okudźawy, Osieckiej czy innych staruchów. Tekstów, które nie mówiły o naszym życiu.

Oczywiście szanuję tych autorów, podziwiam, ale wtedy chciałem być jak najdalej od nich. I duża część mojego pokolenia również. Dlatego teksty o Śmierci Klinicznej takie jak ten: „Kliniczny przykład skrzyżowania braku umiejętności z tupetem, miota się między pseudoreggae a pseudonowofalą” nie robiły na mnie wrażenia. Niech piszą obojętnie co, byleby pisali. Marian Butrym, naczelny „Magazynu Muzycznego” mógł sobie pomstować na Śmierć Kliniczną czy na Dezertera. Czytelnicy czytali między wierszami. A jedno moje zdjęcie z wywalonym jęzorem i w skórze, albo plakat zespołu był dla młodych ludzi ważniejsze, niż stękanie leśnych dziadków typu Butryma czy Halbera.

Na szczęście była też grupa dziennikarzy, którzy lubili muzykę punkową, którzy mieli otwarte umysły i nie bali się prezentować nagrań zbuntowanych zespołów albo o nich pisać. Zresztą wszyscy znają te nazwiska: Wiernik, Bratkowski, Makowski, Sipowicz, Rogowiecki, Mann czy Nagłowski, Wertenstein-Żuławski, Berezowski. Dobra, na pewno kilku

pominałem, wybaczcie. W każdym razie Aleja Zasłużonych dla Polskiego Punka wcale nie jest taka krótka.

A propos Alei, to też leżę. W Białymstoku jest tabliczka z moim nazwiskiem. Na Alei Bluesa! Nie, żebym miał coś przeciw, trochę tekstów bluesowych nasmarowałem i owszem, genialne są. Ale nikt mnie nie spytał, czy chcę, nikt nawet nie powiadomił, nikt nie zaprosił. Wzięli Duszę i wkleili do chodnika.

Pisali dobrze, pisali źle. Najlepiej pisali za czasów „Złotej Płyty”. Zachwycali się, jakie te moje teksty zabawne, inteligentne itp. Za to płytę później były „niezdarne, grafomańskie i pełne kolokwializmów”. Potem różnie, w zależności od ciśnienia atmosferycznego, sytuacji politycznej czy innych, bliżej nieokreślonych czynników. Uodporniłem się, przestałem przejmować się recenzjami (już miesiąc po przeczytaniu wkurw przechodzi mi w pięćdziesięciu procentach), przestałem wkurzać się na durne pytania w wywiadach. Pytania nie mają znaczenia, tak samo jak odpowiedzi. Liczy się tylko muzyka. Czasem zdarza się porozmawiać z kimś ogarniętym, dobrze przygotowanym. Niekoniecznie musi to być profesjonalista. Może prowadzić zina czy gazetkę szkolną.

Dość szybko wymiksowałem się z udziału w dyskusjach na antenie telewizyjnej. Gdy Shakin' Dudi zrobiło się znane, parę razy zapraszali nas razem z Irkiem do studia tv. Rezultat był taki, że albo kasowano mnie całkiem, albo kasowano moje wypowiedzi. Zresztą Irek zazwyczaj ma słowotok i ciężko się przebić przez ścianę jego wypowiedzi. Raz się przebiłem, ale to był skutek przesympatycznej kolacji, którą podjął mnie mój przyjaciel Marek Nowowiejski. Kolacja trwała do śniadania. Po niej wylądowałem w studio jako „gość niespodzianka” w Wideotece Dorosłego Człowieka. Wtedy ja miałem słowotok.

Normalnie jednak nie czuję potrzeby wypowiadania się przed kamerą. Nie rajcuje mnie to, dlatego kilka razy grzecznie podziękowałem za propozycje wzięcia udziału w debacie czy innej bablaninie. Jest tylu chętnych do bycia celebrytą, że nie zamierzam pozbawiać ich tej szansy. Wolę radio, pod warunkiem, że mam wpływ na muzykę, która będzie towarzyszyć rozmowie ze mną. Nie rozumiem, dlaczego zaprasza się wykonawcę i w trakcie godzinnej audycji puszcza cztery jego piosenki i rozmowę, natomiast resztę czasu wypełniają utwory kompletnie z innej bajki. Tak jak wszędzie, klimat radiowej rozmowy zależy od prowadzącego.

Wywiady to pikuś, największa jazda była w trakcie programów telewizyjnych z Shakin' Dudi. W telewizji zawsze panował bajzel, nikt nad nim nie panował.

Wstajemy rano, bo o dziesiątej mamy jechać do studia nakręcić teledysk do „To ty słodka”. Czekamy w barku w Forum. Przychodzi menadżer, dodzwonił się i dowiedział, że mają poślizg. Niewielki, dwugodzinny. Czekamy. Następny poślizg. Wreszcie wyruszamy na Woronicza. Tam dowiadujemy się, że mamy trzeci poślizg. Jajco nie wytrzymał, wyskoczył do sklepu. I tak z trzy razy. Gdy zaczynaliśmy kręcić cała ekipa na czele z Irkiem była już w rzeczywistości równoległej. Nie uszło to uwadze asystentki reżysera, która oburzona, podniesionym głosem powiedziała:

– Panie reżyserze, ale oni są przecież pijani!

– Tak, wiem. Spokojnie, oni tak zawsze, już dwa razy z nimi pracowałem.

Mimo wysokiego poziomu naszego rozbawienia sprężyliśmy się i praca szła nad wyraz składnie i szybko. Do momentu, gdy Irek nie usnął na kanapie w trakcie kręcenia. No to powtórka. Kamera poszła, Ireneusz siedzi na kanapie, głowa zaczyna mu lekko opadać, opadać, niżej i niżej... Rozlega się pierwsze, drugie, trzecie chrapnięcie.

Telewizji nie dało przeżyć się na trzeźwo. Bajzel, niemoc i bylejakość zabijały nas zupełnie. Potem wystarczy wejść na Youtube i można obejrzeć te historyczne teledyski, z palemkami z kartonu i balonikami. Pełen rock'n'roll. Chociaż raz w tamtych latach nakręciliśmy naprawdę świetny teledysk. Niestety, zaginął gdzieś w archiwum i do tej pory nie udało się go odnaleźć. Był to klip do „Za dziesięć minut trzynasta”.

Kręciliśmy go w Gliwicach, w monopolowym na ulicy Chorzowskiej. W nagraniu oprócz zespołu wzięło udział kilku załogantów: Lumpaj, Nawiedzony, chyba Paulo. I białe myszki. Ustawiliśmy się grzecznie w kolejce, a po chwili dołączyli do nas nic nie podejrzewający stali klienci sklepu. Twarzowi i nad wyraz charakterystyczni. Zaczęliśmy kręcić, po chwili reżyser przerwał i znów wróciliśmy do kolejki. Kolesie razem z nami znów ustawili się przy sklepowej ladzie. Trochę gorzej było, gdy jeden z nich zauważył galopujące po ladzie białe myszki. W roli statystów występowały trzy, ale biedak widział chyba miliony myszy. Niestety, teledysk zaginął gdzieś w mrokach historii. Nie wiem nawet czy został wyemitowany.

Najlepsze teledyski w życiu nakręciliśmy za czasów The Dudis. Irek, masujący kurczaki i śpiewający „Chciałbym zrobić z tobą, bzyk, bzyk”. My z Krzysiem Głuchem zamknięci i spietrani na wybiegu w towarzystwie dwóch słoni. Gdy kręciliśmy pogoń za Dudkiem, ubranym w kaftan bezpieczeństwa, dołączyła do nas zgraja ochotników.

Myśleli, że naprawdę łapia jakiegoś wariata.

Najśmieszniej i najstraszniej było w trakcie sceny, w której, w fartuchach ekspedientów otwieraliśmy jeden z Domów Towarowych Centrum. Przed drzwiami stało kilku statystów, lecz po chwili zaczęli dołączać do nich przypadkowi przechodnie. Tłum gęstniał z każdą minutą, w końcu otworzyliśmy szklane drzwi i... I za moment leżałem na ziemi, stratowany przez pędzący tłum. Bo coś rzucili!

Naprawdę, reżyser Mariusz Malinowski miał doskonałe wyczucie otaczającej nas absurdalnej rzeczywistości. W jednym z teledysków wystąpiłem jako wokalista. Dokładniej w utworze „Nocny kozak”. Kręciliśmy go w łaźni miejskiej na Krakowskim Przedmieściu. Dwa wozy telewizyjne, mnóstwo ludzi. Tylko, że brakowało Irka, głównego bohatera teledysku.

On teraz twierdzi, że nie przyjechał, bo nie chciał brać udziału w teledysku z gołymi cyckami. Wiadomo, że od widoku cycków zapada się na śmiertelną chorobę, prawda? Ale mi coś kołacze po głowie, że powodem była raczej niemoc po hucznej imprezie. Nieważne, poświęciłem się dla dobra sztuki i naraziłem na śmiertelne niebezpieczeństwo zobaczenia cycków. Ba, nawet mi się podobały.

Zagrożenie ze strony cycków jest tak wielkie, że dwa lata temu Youtube usunął ten teledysk, bo narusza moralność i coś tam. Bardziej coś tam. Jednak wtedy ani ten teledysk ani pozostałe furory nie zrobiły. Z prostego powodu, nie zostały wyemitowane przez telewizję. Na próżno w pełnym opakowaniu wskakiwałem do basenu! Na nic moje poświęcenie, na nic poświęcenie całej ekipy, na nic tydzień pracy. Na nic cycki! Program na dwa lata wylądował na półce, tak to bywało w latach osiemdziesiątych.

Nie jestem wychowany na MTV, nie przepadam za klipami. Wolę koncerty na żywo. Jednak czasem ulegam wymogom współczesności. Tak było też z DiM-em. Zdecydowaliśmy się z Mercem na zrobienie klipu do „Nie wracam dziś do domu”. Reżyserii podjął się Maciek Bal. Zamiast zrobić sobie normalny, prosty filmik, podnieśliśmy poprzeczkę na

wysokość korony Himalajów. Merc wymyślił, że zrobi marionetki, które zagrają nasze postaci w filmie. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ale Merc jest i utalentowany i zawzięty. Pojechał na konsultację do teatru lalek. Potem skorzystał z pomocy Haliny Matłosz, która wykonała głowy kukiełek. I tak powstał drewniany Dusza i drewniany Mercik, obaj sterowani sznurkami. Ten teledysk pochłonął więcej czasu, niż przygotowanie piosenek na płytę DiM-u. Światowej kariery nie zrobił, ale za to mieliśmy ubaw po pachy.

Teledyski to kaszka z mleczkiem w porównaniu do występów w telewizji. Nie gramy z playbacku i jeśli już decydujemy się na granie w telewizyjnym studiu, to robimy to na żywo. Wbrew temu co twierdzą niektórzy „grający z talerza” chałturnicy, da się. Wystarczy się tylko uprzeć. Granie na żywo to przecież kwintesencja muzyki, dlaczego więc telewizyjna widownia miałaby się zadowolić namiastką z playbacku?

Granie na żywo ma też swoje minusy. Nie da się powtórzyć, nie da się nic wyczyścić. Schrzanisz, to parę milionów ludzi usłyszy. Parę lat temu graliśmy sylwestra dla TVP2 we Wrocławiu. Niby nie było tak zimno, gdzieś w okolicy zera. Na scenie stały dmuchawy i nawiewały gorące powietrze. Jednak wystarczyło odejść kilka metrów od nich i temperatura była niższa o kilkanaście stopni. Żadna gitara nie wytrzyma takiej różnicy temperatur.

Zaczęliśmy grać „Ziutę”, przeszedłem parę metrów i natychmiast wiosło mi się rozstroiło. Nie pomogło dociąganie palcami. Nie stroiło, aż gryzło w uszy. Kiedy się miałem nastroić, gdy graliśmy tylko dwa numery ze sztywnie określonym czasem trwania? Bo to przecież transmisja, wszystko musi się zmieścić w wyznaczonych paru minutach. Na normalnym koncercie Shakin' Dudi z nastrojeniem się nie ma problemu, są fragmenty utworów, w których koledzy grają solówki i wtedy jest na to pora. Gorzej w Redakcji, gdzie pośpiesznie robię to w przerwach między utworami.



Gwarek 1989 r.
fot. Wojciech Nurek

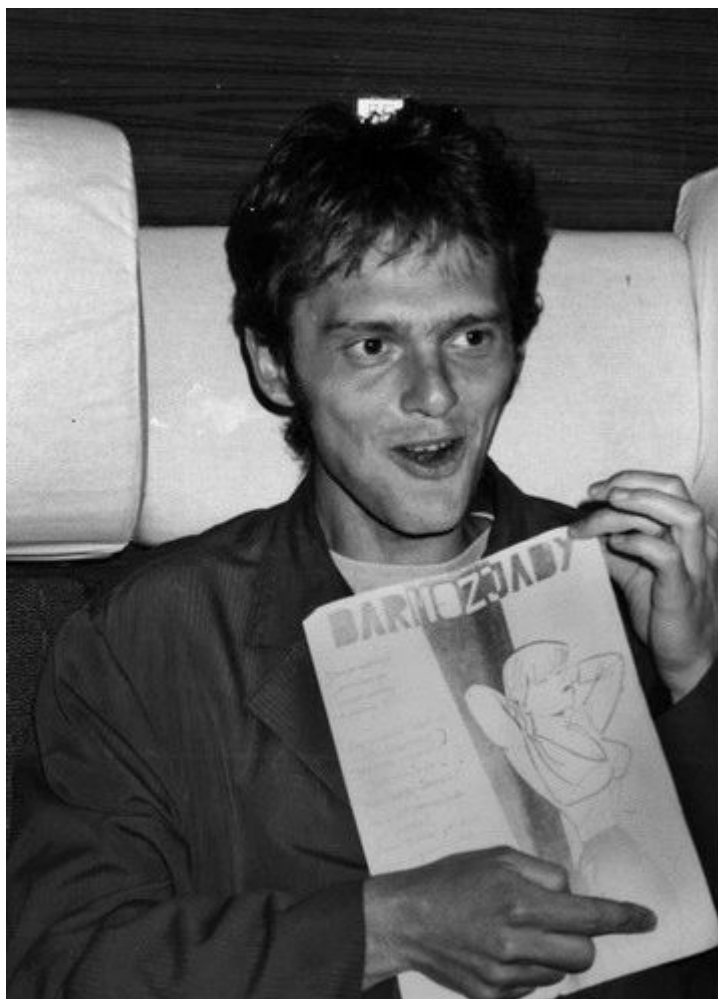
Granie na żywo w telewizji zawsze niesie ze sobą odrobinę emocji. Zawsze coś może pójść nie tak. Tak jak wtedy, gdy graliśmy w TVN jakiś poranny program. Pora zupełnie chora, błądy świt. A tu trzeba rock'n'rolla zasuwac. Normalnie koncerty gram na systemie bezprzewodowym. Nadajnik mam na pasku, kabelek od niego wchodzi do gitary, natomiast odbiornik jest podłączony do wzmacniacza. Nadajnik za pomocą fal radiowych przesyła sygnał do odbiornika. Dzięki temu nie mam ruchów skrepowanych plączącym się i ciągnącym po ziemi kablem gitarowym.

Podłączyłem wszystko starannie, na próbie grało pięknie.

Na minutę przed koncertem już nie za bardzo. Nadajnik zaczął chwytać jakieś trzaski, huki i inne zakłócenia emitowane przez sprzęt działający w studio. Zbladłem, ciśnienie skoczyło do dwustu pięćdziesięciu na sto. Sekundy mijały, a ja w panice, z pomocą Irka kierowcy rozplątywałem rezerwowego kabel gitarowy, żeby zastąpić nim nadajnik. Zdążyłem! Ale

nerwowo było. Zresztą nie za bardzo cenię i lubię tego typu programy. To trochę taka smutna konieczność.

O wiele lepsze były normalne, pełnowymiarowe koncerty, które z Dudkiem ileś tam razy graliśmy dla telewizji. Właściwie graliśmy dla publiczności, a telewizja tylko to rejestrowała. Raz lepiej, raz gorzej. Może ktoś mi wytłumaczy, dlaczego, gdy solówkę gra gitarzysta, pokazuje się wtedy klawiszowca? I na odwrót? Rzucam się na kolana, gram jak szalony. A w telewizji pokazują wtedy zbliżenie publiczności. Najczęściej jakąś przasną, piersiastą pannę. Wiem, kamerzystom się nudzi i dlatego to robią, ale gdzie jest reżyser?



W drodze do Warszawy 1989 r.
fot. NN

Od wielu lat do tradycyjnych mediów dołączył internet. Jutuby fejsy, majspejsy, twittery. Bez nich zapewne świat by upadł, a ludzkość natychmiast wróciła na drzewo. Tak twierdzą entuzjaści, przykuci do ekranu kompa lub smartfonu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Same narzędzia internetowe nie są złe. Problem tkwi w przesadzie, nadmiarze czy wręcz uzależnieniu. I Shakin' Dudi i Redakcja i Śmierć Kliniczna i Absurd są na jutubie. Redakcja i Shakin' są też na fejsie. Nie powiem, jest to dobre narzędzie do komunikowania się z odbiorcami. Dzięki fejsowi poznałem wielu nowych ludzi, z którymi potem spotykam się w realu. Ba, na fejsie znalazłem ludzi, którzy w ramach D.I.Y zrobili Redakcji teledyski.

W czynie społecznym! Tak, w czynie społecznym! Pierwszy teledysk do „Dziś umarłem na ulicy” zrobił Artur Długokęcki, ochotnik z fejsbuka. Potem poznałem go osobiście, przyjechał do mnie, nakręciliśmy „Karmazynowy śnieg”. Zresztą z Arturem w 2011 r. dostaliśmy nagrodę na festiwalu Off Camera za film „Jak Bóg da”. Napisaliśmy wspólnie scenariusz na bazie mojego opowiadania z lat dziewięćdziesiątych. I wygraliśmy!

Parę klipów zrobił nam też autor naszego loga i okładek płyt, Kordian Michalski. Cały czas moje wyczyny gitarowe i podskoki dokumentuje Czarek Filipiuk. Wreszcie ostatnio, trochę z nudów, trochę z ciekawości sam zmontowałem krótką ilustrację do „Dżumy”. Tak, to ten stary kawałek Absurdu, który teraz nagrałem ponownie z Redakcją i który trafił na nasz trzeci album „Polskie piekło”.

Trafiłem też na strony kilku książek poświęconych muzyce rockowej. O „Ziucie blues” już wspominałem. Pojawiam się między innymi w takich książkach, jak „Obok, albo ile procent Babilonu” Mirka Makowskiego czy „Gdzie oni są” Katarzyny Andrzejewskiej-Szuby. O Jarocinie wywnętrzam się na łamach „Grunt to bunt” Grzeška Witkowskiego. Coś tam wspominał Konjo w „Gangrenie”. Wszystkich wydawnictw nie ogarniam.

Z jednej strony rozumiem konieczność promowania się, reklamowania. Rozumiem, że ktoś może mieć parcie na szkło. Ale z drugiej strony tak naiwnie chciałbym, żeby muzyka była czysta, nie skalana marketingiem, nie traktowana jako produkt. Zespoły coraz bardziej przypominają przedsiębiorstwa. Menadżer, dwóch technicznych, dwóch kierowców, dwie dziewczyny od handlu kubkami, płytami, koszulkami i majtkami z logiem

zespołu. Sam nie cierpię sprzedawać na koncertach płyt czy koszulek Redakcji. Przepraszam, jestem muzykiem, a nie handlowcem.



Redakcja:
Adam Antosiewicz i DD, Skoczów 2013,
fot. Cezary Filipiuk

Nie lubię rozmawiać przez telefon w sprawie koncertów. Nigdy nie wiem, jaką mam powiedzieć cenę. Wolę, by ktoś mi zaproponował kwotę za występ. Jeszcze gorsze jest szukanie wydawcy. Uff, przynajmniej z dwoma płytami Redakcji nie miałem problemu, z Dzidkiem z Jimmy Jazz da się normalnie dogadać. Z trzecią też, udało mi się normalnie porozumieć ze Sławkiem Świdurskim z Lou&Rocked Boys.

Generalnie, mam kiepskie doświadczenia z rozmów z wytwórniami. Dawno, dawno temu zadzwoniłem do jednego z majorsów, do którego wysłałem demo. Grzecznie się przedstawiłem, grzecznie zapytałem:

– Już moment, spytam kolegę – usłyszałem, jak facet zatyka mikrofon ręką i potem już bardziej stłumione:

– Te, jakiś chuj dzwoni. Dusza się nazywa... Kojarzysz?

– Nieee, niech spierdala – odezwał się kolega.

Kurtyna!

Napalm!

Atom!



Dusza i Czapelski foyer Sali Kongresowej, Jazz Jamboree 1984
fot. mr makowski



DiM, Gliwice 2006 r.
Puszek, Dusza, Mercik, Cydecki, Niedźwiecki
fot. Wojciech Nurek



Grażyna i ja, Równica (2013);
fot. Grażyna Kozera-Dusza

Rozdział 11

Zmiany, zmiany. Raz na jakiś czas czuję potrzebę radykalnej odmiany. Raz na jakiś czas muszę zburzyć, by zbudować na nowo.

Postanowiliśmy z Grażyną kupić dom. No, bardziej domek, taką małą kurzą chatkę. W Gliwicach było nam za drogo, zresztą to miasto już nic nie wносиło do naszego życia. Na wiosnę 2004 roku odeszła moja mama. Była to najbardziej ponura wiosna w moim życiu. Mama od pewnego czasu cierpiała na Alzheimera. Ojciec doskonale się nią zajmował, jakby chciał tą opieką odpokutować lata hulanki i swawoli. Alzheimer to przerażająca choroba, która zmienia bliską osobę w kogoś zupełnie obcego. Choroba, która zabija nie tylko chorego, ale też całe jego otoczenie. Pusto zrobiło się, gdy mama odeszła. Pusto i cicho.

Ojciec przeprowadził się do Tuchowa, jakoś sobie radził. Zresztą za płotem mieszkała jego siostrzenica, a kawałek dalej siostra Hania. W grudniu 2007 roku jak zwykle przyjechał do nas na święta. Bardzo lubił te wizyty, my też. Dzień po świętach odwiozłem go na dworzec. Spytałem, czy odprowadzić na peron.

– Nie, no po co masz mnie odprowadzać? Nadam jeszcze totolotka, pójdę zapalić. Jedź już! – pożegnał mnie.

Dziesięć minut później nie żył. Wszedł do przedziału i stracił przytomność. Pogotowie było po kilku minutach, lecz już nic nie pomogło.

Rodziców nie było, kumple też odlatywali jak bociany jesienią, nic nas już w Glewitz nie trzymało. Najpierw chcieliśmy wyjechać do Kołobrzegu, tam miałem wielu dobrych znajomych. Zniechęciła mnie jednak perspektywa samodzielnego dojeżdżania na koncerty czy też próby Shakin' Dudi. To zbyt daleko. Postanowiliśmy znaleźć coś na Śląsku, niekoniecznie blisko Gliwic. Zaproponowałem region Śląska Cieszyńskiego i Beskidów. Byle nie za wysoko, bo w zimie wcale łatwo się w górach nie żyje. Szukaniem Ziemi Obiecanej zajęła się Grażyna. Najpierw wybrała dom w Brennej, lecz został dzień wcześniej sprzedany. Potem zaproponowała Pierściec, wieś koło Skoczowa.

Wcale ta chata mi się nie podobała. Okolica również. Może dlatego, że dom oglądałem w upalny, sierpniowy dzień. A upałów nie cierpię, czuję się

jak polarny miś w saunie. Nie podobało mi się i tyle. Podobało się Grażynie. Teoretycznie jeden do jednego, w praktyce następnego dnia wpłaciliśmy zadatek. Zgodnie z umową, mieliśmy się wprowadzić za pięć miesięcy.

Brakowało nam trochę kasy. To był 2008 rok, chwila przed załamaniem na rynku nieruchomości. Banki radośnie rozdawały kredyty, ludzie radośnie je łykali. Przez moment osłabła moja czujność ideologiczna i potupałem do banku, który bez problemu przyznał mi kasę. Tyle, ile chciałem. We frankach. Jednak, gdy udało nam się (dzięki Tomku) sprzedać mieszkanie, zacząłem poważnie zastanawiać się nad tym kredytem. Kredyt to niewola, kredyt to kajdany. A nie lubię nosić żadnych ozdób na rękach. Chcieliśmy mieć swój dom, a nie dom do spółki z bankiem.

Jak bardzo w tym banku byli oburzeni, gdy zrezygnowaliśmy z kredytu! Patrzyli na nas jak na idiotów! Ciekawe, co teraz by powiedzieli?

Wprowadziliśmy się w lutym. Przez następne trzy dni na przywitanie spadło ponad pół metra śniegu. Było dziwnie, rano pod drzwi tarasowe podchodziła łasica. Tuż za siatką spacerowały sarny, a na ogrodzeniu na moment przysiadł orzeł. National Geographic za darmo!

Z czasem oswoiliśmy się z urokami życia na wsi. Zasymilowaliśmy. Tak, mam gumofilce, koszę trawnik, rozpalam grilla. Ale wąsa nie zapuściłem, skarpet z sandałami nie noszę. Ba, nawet sandałów nie noszę.

Do miasta nie wróciłbym nawet za dopłatą.

Nie wiem, czy przyznawać się, ale po śmierci naszego ukochanego kota Diamenta, żeby zagłuszyć smutek i czymś się zająć, założyłem mały ogródek warzywny. Pomimo chaosu i anarchii, jaka w nim panuje, udaje się co roku zebrać pyszną rukolę, sałatę, koperek i inne warzywa o smaku bardzo odległym od sklepowej paszy. Inne produkty staram się kupować u miejscowych rolników. Dom ogrzewamy kominkiem, czyli jesteśmy prawie ekooszołomami. Szkoda, że nie mam własnego prądu i wody – wtedy byłbym całkiem niezależny.

Przeprowadzka bardzo usprawniła logistykę w Shakin' Dudi. Wcześniej zabierano mnie z Gliwic, a teraz mieszkam kilkanaście kilometrów od Dudka. Irek na dwóch Rawach wystąpił z akustycznymi bluesami, do których napisałem teksty. Zacząłem go podpuszczać, czy nie chciałby zrobić akustycznej płyty. Tyle fajnych koncertów Dudka z Rawy przepadło, bo nigdy nie ukazało się na żadnej płycie. Szkoda.

Irek w końcu zdecydował się i po jakimś czasie podesłał mi nagrania, do których miałem napisać teksty. Napisałem. Niektóre wprost odnosiły się do życia Irka, nawet do jego osobistych dramatów („Blues dla Dorotki”). Album został nagrany w nietypowy sposób. Najpierw Dudek nagrał gitarę i wokół, potem do tego dogrywała sekcja. Sekcja złożona z wybitnych muzyków jazzowych: Arek Skolik na garach, Max Mucha na kontrabasie i Kuba Płużek na pianie. Wyszło dość awangardowo i jazzowo. No i Ireneusz dostał za tę płytę Fryderyka, w kategorii „Blues”.

Dalej graliśmy koncerty z Shakin’ Dudi, jednak dysponowałem ogromną nadwyżką wolnego czasu. Siedziałem w domu, brzdąkałem na gitarze, a przed nosem ganiały mi sarny, hipopotamy i inne lokalne krokodyle. Sielanka. Sielanka, która zamiast usypiać, mobilizowała. Z powodu odległości i spadku mocy twórczej DiM praktycznie przestał istnieć. Zaczęło mnie nosić, żeby z kimś pograć na żywo. Szczególnie, że napisałem kilkanaście nowych tekstów do swoich kompozycji. Użyłem słowa kompozycja?

No, tak z górki jechałem i klawiatura się rozpędziła.

Pierwszego kandydata już miałem. Był nim Bartek Stuchlik, kontrabasista grający w Shakin’ Dudi. Gra też na basie, na dodatek jest świetnym kumplem, zaprawionym w wielu wspólnych bojach na polu rock’n’rolla. Bartek zaproponował, żeby na garach grał Łukasz Walczak. Wcześniej nie grał rocka, ale ponoć szybko się uczy. Okej, niech będzie Łukasz. Teraz brakowało tylko jednego. Wokalisty. Jak zwykle, jak zwykle. Cóż, zanurkowałem do internetu. Penetrowałem wszystkie jego zakamarki, od dna, aż po powierzchnię. Wszereż. Wzdłuż. Skosem.

Płynę, kończy mi się tlen, nagle widzę, a właściwie słyszę... Niejaki Adam Antosiewicz i jego nagrania z zespołem El Seccatore. Całkiem fajnie synek śpiewa, szkoda, że po angielsku. Skontaktowałem się z Marcinem Jacobsonem, który był menadżerem zespołu. Ten na starcie mnie zniechęcił, twierdząc, że Adaś programowo nie śpiewa po polsku.

Hmm, wiara mu nie pozwala? Nieważne, odpuściłem.

Następnym kandydatem był Tomek Kłaptocz, dawny wokalista zespołu Akurat. Tomkowi jednak nie leżały moje teksty, zresztą potem przez pewien czas śpiewał w Buldogu, który już chyba nie istnieje. Znów godzinami szukałem w internecie, znów zwracałem głowę znajomym muzykom. Nic. Ani śladu wokalisty. Same miałki, piskliwe, bezbarwne głosiki. Ja

pierdołę, jakaś klątwa wisi nad Polską. Któregoś dnia grzebiąc w necie znów trafiłem na Adama. O, jest telefon. Zadzwoiłem, przedstawiłem się, powiedziałem o co chodzi. Faktycznie Adaś wolał śpiewać po angielsku. Wiadomo, to język stworzony do rock'n'rolla. Wysłałem mu „Karmazynowy śnieg” i „Polskie piekło”. Dał radę. Fakt, że bardzo było słyszeć Adasiową fascynację grungem, ale poza tym było cacy.

Zaczęliśmy próby w Skoczowie, na jakiś czas dołączył do nas Dawid Szlezak. Jednak ostatecznie zostaliśmy kwartetem. W maju 2010 r. wylądowaliśmy w studiu Maq Records w Wojkowicach. W trzy dni nagraliśmy nasz pierwszy album zatytułowany „Horroskop”. Graliśmy w trio na tzw. setkę (czyli cały utwór razem, tak jak na żywo, bez poprawek). Potem dogrywałem drugą gitarę. Od dwunastej w południe do dwudziestej. Z krótkimi przerwami na papierosa. W ostatnim numerze byłem już półprzytomny i nie do końca pewny akordów, które gram. A-moll czy A-dur? Oto jest pytanie! Adaś dał radę z wokalami, zgranie robiliśmy u Jarka Toifla w domu. Pełen komfort, jak zawsze z Jarkiem.

Na sam koniec zostawiłem sobie znalezienie wydawcy. Na szczęście dogadałem się z moim kumplem Dzidkiem Jodko i płyta wyszła w jego firmie Jimmy Jazz Records.

Singlem był utwór „Dziś umarłem na ulicy”. Nikt go nie chciał grać, bo „no wiesz Darku, piosenka super. Ale ten tekst. Umarłem? Nie, nasi słuchacze wolą pogodniejsze piosenki”. Zapewne słuchacze liczą, że nie umrą. Umrzecie! Wszyscy! Zresztą czego ja się naiwny spodziewałem? Mimo to kilka utworów polatało w radiu, najbardziej z całej płyty podobała się piosenka „Tak jak kot”.

Graliśmy trochę po klubach. Dostaliśmy też zaproszenie na Rock na Bagnie 2011. Skontaktował się ze mną Jacek Żędzian i w ciągu kilku minut omotał. Tak skutecznie, że zgodziłem się zagrać, mimo wątpliwości, czy z tą muzą nadajemy się na punkowy fest. Żaba (Jacek) był tego pewny. Na żywo praktycznie wszystkie utwory z pierwszej płyty graliśmy już znacznie mocniej i szybciej, dlatego punki nas nie zabiły. Ba, mieliśmy bardzo dobre przyjęcie. Za namową kolegów zaczęliśmy grać dwa numery Śmierci Klinicznej: „Nienormalny świat” i „Jestem ziarnkiem piasku”. Z czasem do repertuaru weszło też kilka numerów Absurdu.

Od wydania „Złotej płyty ciąg dalszy” minęły trzy lata. Jestem zdania, że zespół, żeby normalnie funkcjonować, powinien co dwa, trzy lata wypuścić

płyte lub przynajmniej kilka nowych numerów. Zresztą dla mnie najbardziej atrakcyjny jest etap tworzenia. Kocham robić i nagrywać piosenki. Sprzedawać znacznie mniej. Zabraliśmy się z Irkiem do roboty nad nowymi utworami. Dudek koniecznie chciał w kilku grać na akustyku, dlatego płyta składa się jakby z dwóch części: z gitarą akustyczną oraz z pianinem. Irka Głyka za bębnami zastąpił Arek Skolik.

Niestety nie mieliśmy wydawcy. Nie wiem, czemu Irek zdecydował się na Polskie Radio Katowice. Nagraliśmy kiepski, nudny i zachowawczy teledysk i na tym promocja się zakończyła. Pełna porażka, płyta przepadła zupełnie. A miała naprawdę niezłe recenzje i całkiem niezły potencjał komercyjny. Materiał z tej płyty zagraliśmy tylko raz, na Rawie. Szału nie było, ale to raczej wina słabego ogrania.

W 2012 nagraliśmy drugą płytę Redakcji. Trafiły na nią premierowe piosenki i dwa wałki Absurdu: „Nasze realia” i „Mechanika”. Do nowych numerów dużo wniósł Adam, wymyślając chórki, czy też zmieniając moje wstępne linie melodyczne. Część nagrań robiliśmy u mnie w domu, część u Jarka Toifla. Okładkę zrobił nasz serdeczny przyjaciel, człowiek Renesansu, wielu talentów i możliwości Kordian Michalski.

Jednak ta płyta miała pecha. Przez jakieś zamieszanie w ogóle nie trafiła do normalnej dystrybucji: tych wszystkich empików i tym podobnych. Pomimo dobrych recenzji (nawet w portalach o muzyce progresywnej) gdzieś tam utonęła w mroku. Mroku „Cyfrowego średniowiecza”, bo taki tytuł nosiła. Za to na koncertach utwory z tego albumu gramy w podobnych tempach, jak w studio. Koncertów nie gramy zbyt wielu, bo nie cierpię ich organizowania, a swoją drogą wielkiego popytu na taką muzę nie ma.

Piszę też, co chcę i dla kogo chcę. Przez wiele lat odmawiałem pisania dla innych. Nie licząc Dżemu i paru znajomych, pisałem wyłącznie dla zespołów swoich lub Dudkowych. Jednak od 2013 roku zmieniłem zdanie. Pośrednio przyczynił się do tego Tomek Koperwas, znany menadżer, a kiedyś też punkowy muzyk. Poprosił mnie, żebym spróbował napisać teksty na nowy album Lory Szafran. Rany! Jazz i na dodatek kobieta.

Cóż, założyłem szpilki, umalowałem się i zasiadłem przed komputerem. W efekcie napisałem cztery teksty, wszystkie trafiły na album Lory „Nad ranem”. Jeden z tekstów był do kompozycji Michała Urbaniaka. I tak po pewnym czasie Michał poprosił mnie o napisanie tekstów do jego

instrumentalnych utworów. Miał zamiar zrobić z tego album, chciał do nagrania zaprosić młodych, zdolnych wokalistów i wokalistki.

Fajnie się pisało, frazy konkretne, wyraźne. Na razie płyta nie wyszła, ale może kiedyś znajdą się pieniądze na jej nagranie.

W 2013 napisałem też jedną piosenkę na nowy album Braci, a także pięć tekstów na płytę Cree „Wyjdz”. W Cree gra Lucek, mój serdeczny przyjaciel z Absurdu i Darmozjadów, dlatego bardzo mocno chłopakom kibicuję. To było dziwne uczucie, pisać dla Bastka, gdy jeszcze nie tak dawno pisałem dla jego ojca. No i tak się rozpędziłem w tym pisaniu troszeczkę. Z jednej strony, pisanie na zamówienie to zupełnie nowe doświadczenie. Wcielanie się w czyjąś postać, używanie słownictwa charakterystycznego dla danego gatunku muzyki. Szczególnym wyzwaniem jest pisanie tekstów dla pań. A oprócz Lory napisałem piosenki dla Beaty Przybytek i Marty Król.

No i tak powoli doczołgaliśmy się do roku 2015. Co dobrego? Nic. Od początku roku psuje się wszystko. Najpierw popsują się nam dwa koty.

No dobra, nawinę trochę o tych kotach. Pierwszy był Diament. Najbardziej niuniany i ukochany. Przed nim mieliśmy jeszcze Lolę, naszą papużkę. Stareńka była i Grażyna zaczęła coś przebąkiwać o kocie. Pokazywała mi w necie jakieś norwegi, syberyjczyki, maine coony. Jak na złość mój kumpel Jacek Kolendowicz kupił syberyjczyka. Ach, jaki był zachwycony! Jacek jest poważnym gościem, dlatego zdziwił mnie ten „kotek, koteczek, kotunio”. Nie za bardzo kumałem, o co z tą miłością do kotów chodzi.

Na piętnastą rocznicę pożycia i spożycia moja pani zażyczyła sobie diamentów.

– Wiesz, aż się wierzyć nie chce, że tyle ze sobą wytrzymaliśmy – westchnęła.

– Też się dziwię – pokiwałem głową.

– Sam widzisz, potrzebny jest jakiś wyjątkowy prezent. Albo kot, albo brylanty. Tylko cały garnitur.

– Nie ma sprawy, coś tam znajdę.

Sprawy nie było, dopóki nie zerknąłem na ceny tych szatańskich świecidełek. Rany, chyba przez pomyłkę do każdej ceny ktoś zero dopisał. Niestety nie stać mnie. Wróciłem na tarczy.

– No dobra, jakiego kota chcesz?

Grażyna wzięła mnie na wycieczkę do hodowli maine coonów Silvi Cola. Gdy zobaczyłem pierwszego z nich, rudego Nevera, który wtedy ważył około jedenastu kilogramów, o mało nie wskoczyłem na żyrandol. Potwory! Hodowczyni pokazała nam małego, czterotygodniowego kociaka, wcześniej wybranego przez Grażynę w internecie. Nazywał się Diament. Był małą, słodką kulką futerka. Z niebieskimi jak marcowe niebo oczami. To co miałem zrobić? Dostała tego Diamenta na rocznicę. Oczywiście, gdy skończył trzy miesiące.

– Nie będzie z nami spał w łóżku! – kategorycznie zapowiedziałem o godzinie 24-ej.

Pięć minut później Diament wskoczył do łóżka, położył się obok mnie i zaczął mrużyć.

– Grażyna, chodź tu szybko. Kot się zepsuł i charczy.

Zupełnie się wtedy na kotach nie znałem. Diament kochał ludzi i ufał nam bezgranicznie. Wolał nasze towarzystwo, niż towarzystwo innych kotów. Szczególnie kochał Grażynę, mnie tak naprawdę zaakceptował po kilku latach. Wiadomo, samiec. Gdy moja żona miała migrenę, Diament w akcie solidarności kładł się na jej łóżku i pilnował. Potrafił też budzić, ciągnąc łapką za wargę lub powiekę. Miał dzielne serducho, w obronie innych kotów gonił psy. Dwa razy skarcił łapą dzieci, które próbowały go zaczepiać. Skarcił skutecznie, ale bez pazurów. Zresztą Diament to materiał na osobną książkę. A gdy go wspominam... Zachorował na raka i odszedł w 2013 r.

Mieliśmy już wtedy dwa inne maine coony: czarnego Ola i białego Gisma, oraz przygarniętą dachówkę Ajkę. Jola Wójcik, właścicielka hodowli, z której pochodził Diament, gdy usłyszała o naszej stracie, podarowała nam małego maine coone'a. Nazwaliśmy go Fender. Uff, z niego też jest niezły model.

Życie z czterema kotami bywa szalone. Kuweta, miska, sraczka, bójka, rozlana woda, zejdź ze stołu, zostaw tę torebkę, miska, kuweta, miauu, daj jeść, daj jeść, daj jeść. A na zewnątrz czekają imigranci: Szylcia i Rudolf i też domagają się jedzenia. No, czasem jeszcze wpadnie Cymbalek. Daj jeść, daj jeść, daj jeść.



Diament

W 2015 roku najpierw popsuł się Olo, zaraz potem Fender. Popsuły się poważnie. Fender przeszedł dwie operacje i zakażenie rany, Ola natomiast lekko sparaliżowało w nogach. Gdyby nie wspaniali weterynarze z Bielska i Skoczowa, byłoby kiepsko. Potem zepsuł się komputer, potem samochód, potem komputer, potem jeszcze coś, jeszcze coś. A i ja się popsulem, o mało nie umarłem. No, poważnie.

Prawie. Pod koniec 2014 roku dopadło mnie zapalenie oskrzeli, walczyłem z nim ponad trzy miechy. Trochę za długo, prawda? Dostałem skierowanie do laryngologa. Dwa podejścia i nie udało się zajrzeć do mojego gardła. Pan doktor chyba nie uważał na zajęciach. Męczył mnie i męczył, aż miałem ochotę lekko z bańki mu wypłacić. W ramach psychologii wypisał mi skierowanie do szpitala.

Niestety zajrzałem do internetu, tej krynicy wiedzy dla półmózgów.

Po chwili miałem już stuprocentową pewność. Rak krtani! Objawy zgadzały się co do milimetra. Półtora roku temu rzuciłem palenie, ale zrobiłem to jak widać o czterdzieści lat za późno. Rak krtani i szlus.

Na drżących nogach wszedłem na oddział szpitala w Cieszynie. Zajął się mną ordynator.

– Już – powiedział po dwóch minutach.

– Jak: już? Przecież pan doktor jeszcze nie zaczął – oburzyłem się. Ja tu do niego z rakiem krtani, a on, że już?

– Wszystko obejrzałem. Idealnie czyste, żadnych obrzęków, zaczerwienień.

O mało mu się na szyję nie rzuciłem. Mistrz! I nie mam raka!

I tak mija dzień za dniem, piosenka za piosenką. Przyszła jesień, wieczory coraz dłuższe, rachunki coraz wyższe. Właśnie skończyłem zgrywać nową płytę Redakcji. Fajna będzie. Wychodzi w styczniu 2016 roku nakładem Lou&Rocked Boys. Ciekaw jestem, jak nam się ułoży w czasach streamingu i chomika. Te nakłady płyt to naprawdę jest jakiś śmiech na sali. Ale, spoko, te pięćset tysi pewnie sprzedamy. Tytuł ma uroczy: „Polskie piekło”. Jakże adekwatny do dzisiejszej sytuacji. Zabawne, że tekst piosenki, z której zaczerpnąłem tytuł płyty, naskrobałem dwadzieścia parę lat wcześniej.

Niedawno napisałem też nową piosenkę dla Shakin' Dudi. „Wisimito”. Pierwsze podejście do nagrania nie za dobrze wyszło, może drugie się uda?

Zagrałem też kilka gitar na płycie przygotowywanej przez moich przyjaciół: Sławka Pakosa i Sebastiana Filiksa. Projekt nazywa się Halva, pewnie w 2016 roku będzie o nim głośno. I dograłem solo do „Nienormalnego świata” nagranych przez moich kumpli z wyśmienitej punkowej załogi Bulbulators. Mam jeszcze dwa chytne plany. Pierwszy to nagranie piosenek Śmierci Klinicznej, drugi to nagranie piosenek Absurdu. Z kim i jak? Cały czas się zastanawiam. Chyba większym problemem będzie: za co? Aha, mam też kilkanaście nowych utworów, takich psychobilly. Mam też piosenki, które łączą dance z rock'n'rollem. Obrzydliwe? Chyba tak, ale za to nowatorskie. Chciałbym też...

No nie, wybaczcie. Tego się nie da normalnie skończyć.

Zresztą nie ma czasu, pakuję się na koncert. Za chwilę wyruszam. Jedź ze mną!



Redakcja
2014 r.
fot. Cezary Filipiuk

Koncert



„Złota Płyta” XX lat później (2008); Warszawa, Fabryka Trzciny
foto mr makowski

Na koncercie słowo i dźwięk stają się ciałem. Stają się krzykiem, tańcem, potem, śpiewem. Ale tylko wtedy, gdy dobrze zagrasz. Koncert to brutalna weryfikacja twórczości. Na własne oczy widzisz, jak ludzie reagują na poszczególne utwory. Widzisz, czy nudzisz czy zaciekawiasz.

Z kolei publiczność widzi, czy umiesz grać, czy przypadkiem nie jesteś kolejnym plastikowym tworem, którego w studio ratował chórek i autotune. Ludzie widzą, czy starasz się, czy ich zlewasz.

Koncert to półtorej godziny prawdy. Dlatego nie lubię zamazywać sobie tej prawdy żadnymi używkami. Nie chcę psuć sobie smaku koncertu, tej

magii. We wszystkich zespołach, w których grałem zasada jest bardzo prosta: jeśli mamy się bawić, to po, nigdy przed koncertem. Nie ma grania alkoholowego. Zresztą ponoć powinno się grać w tym samym stanie, w którym się ćwiczy. Ćwiczysz na trzeźwo, graj na trzeźwo. Ćwiczysz na bani, graj na bani.

Wiem, wiem, mądrzę się i pouczam. Kolejny apostoł z przeceny. Jak na spotkaniu AA, dzielnie stoję przed Wami i przyznaję, że raz zbłądziłem. I to konkretnie.

Nie chcę się usprawiedliwiać. Ale czy to nie okrutne, żeby kwaterować rock'n'rollowy zespół w akademiku dla dziewcząt? Kto to wymyślił? Kto za tym stał? To było w Poznaniu, mieliśmy tam zagrać kilka koncertów z Shakin' Dudi i z big bandem Dudka. Zakwaterowaliśmy się dzień wcześniej w tym akademiku, siedzimy grzecznie, nudzimy się, aż nagle wpada któryś z saksiarzy i krzyczy:

– Panowie, panowie. Tutaj mieszka osiemset dziewcząt!

Zaczęło się. Już po chwili ktoś przyprowadził jakieś dwie nowe koleżanki, potem przyszły kolejne. Ktoś pojechał, ktoś załatwił i na stole zrobiło się bogato. Taki samoistny, nieplanowany melanz. Wstaliśmy rano, głodni i spragnieni. Ktoś wyczał, że niedaleko jest knajpka, w której serwują śniadania. Ruszyliśmy dziarsko.

A tu kolejna zasadzka. Do śniadania pani sprzedała nam parę butelek wina. Potem jeszcze parę i jeszcze parę.

Na dwie godziny przed koncertem ani ja, ani Korek, ani Krzysiek Głuch nie wyglądaliśmy zbyt dobrze. Im bliżej koncertu, tym było gorzej. Wlazłem na scenę, zaczęliśmy grać „Sygnał”. Coś mi się nie zgadzało. Gram następny utwór, dalej coś mi nie pasuje. Aha, gramy cały czas bez saksu. Dopiero w trzecim numerze na scenę radośnie wtoczył się Korek. Zasiedział się z koleżanką i zapomniał o koncercie. Dobrze, że wrócił i stoi obok z tą złotą rurą. Uspokoilem się. Tak bardzo, że zupełnie się odłączyłem i na ziemię wróciłem na sam koniec koncertu. Już byłem zły na siebie. Dudek na mnie też i wcale mu się nie dziwiłem. Rany, jakie pierdoły musiałem wygrywać. Przeprosiłem i gdzieś tam sobie obiecałem, że nigdy więcej. Nigdy!

Koncerty dzielą się na niezagrane i zagrane. Te niezagrane są najfajniejsze. Nie spocisz się, nie najeździsz, a ludzie pamiętają, jak

świetnie wypadłeś. Idę sobie spokojnie przez teren festiwalu, doskakuje jakiś kolo, uśmiecha się szeroko:

– Dusza, nie?

– No tak...

– Pamiętam Cię dobrze, w tym Jarocinie 89 dałeś czadu. Fajny ten zespół Zwłoki miałeś! I ta dziewczyna jak śpiewała, ło!

– Ale ja nie...

– No i potem na tej imprezie, Świetnie było. Do dziś mam Twoją kasetę. Tę z tym utworem... Jak to leciało. Spytaj policjanta? No, super! Piona!

No to piona. Nieważne, że nigdy nie grałem na Jarocinie 89, nigdy nie grałem z żadną dziewczyną, na pewno nie grałem w zespole Zwłoki i również nie grałem świetnej piosenki zespołu SS-20. Jedynie prawdziwe jest nazwisko. Chociaż brzmi jak ksywa...

To tak przy okazji wyjaśnię, bo też często ludzie wmawiają mi dziecko w brzuch: nigdy nie grałem w zespole R.A.P. To grupa, którą stworzyli dawni wokaliści mojej Śmierci Klinicznej: Szafir i Merc. Oczywiście, niezmiernie żałuję że nie grałem, bo był to świetny zespół, jednak wtedy byłem zajęty graniem z Absurdem i Dudkiem.

Na szczęście tych zagranych koncertów mam za sobą znacznie więcej. Nie prowadzę żadnych notatek, dlatego trudno będzie mi określić ich ilość. Chyba tysiąc nie przekroczyłem?

Nawet w najlepszych czasach Shakin' Dudi nie graliśmy za dużo. Może jakieś trzydzieści rocznie? Dobrze, bo dzięki temu nie odklepywaliśmy chałtury. W tamtych latach zespoły dawały czasem po trzy występy dziennie. Ba, mój kolega ze znanej kapeli kiedyś przyznał się, że jednego dnia zagrali siedem! Nie wiem, mi wystarczy jeden recital dziennie, jestem po nim wystarczająco skonany. Średnio na scenie robię kilka kilometrów, kilkanaście wyskoków, ze dwa, trzy pady. Czyli, jeśli by to przemnożyć przez kilkaset koncertów to parę maratonów by było.

Grałem w małych klubikach, grałem w salach kinowych, grałem w halach i grałem na stadionach. Niezależnie od miejsca, ilości kasy za granie, niezależnie od nastroju czy aktualnych problemów, zawsze dawałem i daję z siebie sto procent. Tak, odkręcam w sobie gałkę na maksa! Nieważne, czy na sali jest dziesięć czy dziesięć tysięcy. Gram i nie oszczędzam się. To jedyna recepta.

Kilka lat temu przyjechaliśmy z Shakin' Dudi do jakiejś małej miejscowości za Warszawą. Uff, nie wyglądało to dobrze. Scena mała, światła kiepskie, nagłośnienie z tych cichszych i sprzęgających się. Z estrady ryczało jakieś dichó polo. Na szczęście Ireneusz zagrał nas do walki.

Miłośnikiem futbolu nie jestem, ale hasło o gryzieniu trawy na boisku znam. I wyszliśmy i pogryźliśmy i było naprawdę niezłe.

Trudniej gryźć trawę, gdy na sali przeciąg, a jedynym słuchaczem jest zaspana barmanka. Wtedy już trzeba nadludzkiej siły, żeby zagrać. Miałem trzy takie zdarzenia. Pierwszym razem pojechaliśmy ze Śmiercią Klinikzną do Dąbrowy Górniczej. Nie przyszedł nikt. Drugim razem mieliśmy zagrać z Shakin' Dudi na pierwszym finale WOŚP-u. Jurek Piotrowski specjalnie przesunął wylot do Stanów. Przyjeżdżamy do klubu, a tam dwóch skacowanych studentów, nikt o koncercie nie wie, ani złamanego plakatu. My tu chcemy coś dobrego, dla dzieci, a tu taka zdrada! Wkurzeni i zawiedzeni pojechaliśmy do domu. Trzeci raz dla przeciągów zagrałem z Redakcją w Raciborzu. Tak, zegraliśmy, nie zważając, że po prostu nikt nie przyszedł. Taką próbę wyjazdową sobie zrobiliśmy.

Bywały też koncerty, gdzie z braku miejsca ludzie odbijali się od drzwi klubu. W lutym 84 roku graliśmy ze Śmiercią w Gwarku. To był nasz pierwszy koncert z Ziutem Gralakiem, mieliśmy też zagrać dwa premierowe utwory. Do klubu poszedłem wcześniej, gdzieś koło szesnastej. Już o tej godzinie po Rynku snuły się glanowo-papowe ekipy. Po siedemnastej Rynek został otoczony przez ZOMO. Na każdej uliczce z niego wychodzącej stała lodówka. I zaczęło się. Tuż przed koncertem zomole ustawili część załogi w dwuszeregu i wyciągali z niego najostrej wyglądających kolesi. Zabierali na dołek, albo na pociąg. Na dworcu odbywała się podobna, regularna łapanka. Mimo to do klubu mieszczącego od biedy trzysta osób weszło tych osób pięćset!

Siedzieliśmy w kanciapie, co chwilę ktoś wpadał i zdawał nam relację. Zresztą przez drzwi było słychać pomruk tłumu. W końcu przyszedł czas. Ledwo z tej kanciapy się wydostaliśmy. Tłum był gęsty, odziany na czarno i maksymalnie stłoczony. Ludzie rozstąpili się i zrobili wąskie przejście. Przez szpaler punkowców dotarliśmy na scenę. Ryki, śpiewy, pogo. Pogo, śpiewy, ryki. Takie koncerty długo się pamięta.

Wtedy nikt nie stawiał żadnych barierek. Zresztą nie lubię ich, czuję się odizolowany od słuchaczy. Często zeskakuję ze sceny i podchodzę do ludzi. Gra się wtedy gorzej, trudniej utrzymać się w rytmie, ale ludzie lubią takie zachowanie. Duże sceny mają swoje zalety, jednak fosy czy barierki skutecznie ograniczają kontakt z widownią. Zresztą wszystko jedno, czy grasz dla tysiąca, czy dla czterdziestu tysięcy ludzi.

Z wysokiej sceny i tak tylko widać tłum i rozmazane twarze.

Bywają występy długie i występy krótsze. Najdłuższy koncert w życiu grałem w Jaśle razem z Shakin' Dudi wzmocnionym sekcją dętą. Koncert trwał prawie cztery godziny. Oj, trochę w kość dostałem. Utworów było dużo i trzeba było być bardzo skoncentrowanym. Taka przeciętna set lista w Shakin' Dudi czy też w Redakcji zawiera około dwudziestu utworów. W Jaśle było ponad czterdzieści. Pewnie, że się parę razy pomyliłem. Każdy muzyk, nawet wirtuoz ma prawo się pomylić. I każdy to robi. Cały kunszt polega na tym, żeby publiczność się nie zorientowała. Przecież dziewięćdziesiąt procent ludzi widzi, a nie słyszy.

Trochę gorzej, gdy gitarzysta zacznie w F-dur, a zespół w E-dur. Tak mi się raz niestety zdarzyło. Stroilem gitarę na zapasowym stroiku, bo ktoś mi przed koncertem rozwalił ten używany na stałe. Było to w trakcie koncertu, pot zalewał mi oczy i ledwo widziałem tę cholerną strzałkę. Wydawało mi się, że jest cacy. Zaczynam „Zastanów się, co robisz”, wchodzi zespół i brr... Pół tonu różnicy. Ślepe oczka nie zauważyły, że wyświetlało się F, a nie E, jak chciałem. Oczywiście akurat ten utwór ktoś nagrał i wstawił na jutubę. Takie czasy, nic do ukrycia.

Dziwnie się też poczułem, gdy któregoś razu na festiwalu w Opolu podstawiono mikrofon do gitarowego wzmacniacza w trakcie ostatniego refrenu. Jeszcze lepiej było na koncercie z Shakin' Dudi, w którym na tyle odszedłem od wzmacniacza, że wyrwałem z niego kabel. Twardo grałem dalej, dopiero po chwili zorientowałem się, że to koledzy beze mnie produkują ten hałas.

Ach, z tymi kablami zawsze były problemy. Przez pewien czas pomagał mi Heniek Brumer, który raz na jakiś czas dyskretnie na scenie rozplątywał kablowy węzeł gordyjski. Kiedyś graliśmy w Łodzi, tak się rozkręciłem i rozbawiłem na scenie, że dopiero na sam koniec zobaczyłem, że wyrwałem wszystkie bebecchy z gitary. Innym razem grając z Absurdem ściągnąłem z podestu na ziemię dwa wzmacniacze.

Problemy techniczne bardzo mnie stresują. Parę razy w trakcie koncertu spalił się mój wzmacniacz, kończyłem wtedy podłączony bezpośrednio do miksera. Za czasów Śmierci Klinicznej jeździł z nami Andrzej Kazoń. Pomagał nam we wszystkim, lutował rozwalone kable, konstruował różnego rodzaju śmiercionośne fuzy. Pomagał też przy nagraniach i nagłośnieniu. Dawniej miałem tylko jedno wiosło, Ibaneza. Ma ono tremolo system i wymiana struny i strojenie są czasochłonne. Szczególnie, gdy wzrok lekko szwankuje. Właściwie nie lekko, jestem zdeklarowanym dalekowidzem. No i trochę jasnowidzem, a właściwie ciemnowidzem, bo przyszłość zawsze w czarnych barwach postrzegam. Przyszłość postrzegam, a tej pieprzonej dziurki, do której trzeba włożyć strunę to nie za bardzo. Tak, z tego powodu parę kilo stresu przełknąłem. Czy to z Absurdem, gdy graliśmy na terenie UW, czy to z Dudkiem w paru miejscach. Teraz jestem cwany, wożę dwa wiosła.

Cóż jeszcze złego może się wydarzyć? O, na przykład na koncert może przyjechać Twój perkusista z ręką w gipsie. Tak, przeżyłem to z Redakcją. Dzień przed koncertem w Katowicach zadzwonił Łukasz, nasz perkusista:

– Słuchaj, jest ten koncert jutro?

– No pewnie, że jest.

– No wiesz, tak dzwonię, żebyś się nie denerwował.

– Ale czym? – już jestem podminowany

– Nieee, bo wiesz, otwierałem słoik z ogórkami, pękł i trochę sobie rękę skaleczyłem. Ale spoko, spoko, grać oczywiście mogę.

Stoimy przed klubem, podjeżdża auto, wysiada z niego Łukasz. Lewa ręka w gipsie. Słoiček! I zagrał jedną ręką, ludzie zorientowali się dopiero wtedy, gdy o tym powiedziałem przedstawiając zespół.

Zawziętego mam perkusistę!

Graliśmy kiedyś z Shakin' Dudi trasę. Nie czułem się dobrze, cały czas miałem gorączkę. Potem pojawiła się jakaś wysypka. Co to jest? Przed koncertem poprosiłem lekarza z karetki stojącej przy hali. Obejrzał, pokiwał głową.

– Uczulenie, pewnie na pomidory. Wie Pan, chemia.

Wiedziałem. Mimo to ta wiedza nie pomogła. Następne miasto, znów ten sam scenariusz. Tylko doktor taki szpakowaty, wyglądał na dużo mądrzejszego. Osłuchał, opukał, obejrzał.

– Uczulenie na proszek do prania. Sto procent.

W końcu trasa dobiegła końca, przyjechałem do domu. Mama podała obiad, a ja zupełnie bez apetytu. Położyłem się, zmierzyłem gorączkę. Powyżej 39 stopni. Rodzice wezwali pogotowie. Leżę jak ten wór ziemniaków, wchodzi młody lekarz, pochyla się i uśmiecha.

– Ospa. Ospa, niech się Pan tylko nie drapie.

Kolejny baran. Przecież tamci mówili, że uczulenie.

Następnego ranka poleciałem do dermatologa. Ledwo zdążyłem powiedzieć dzień dobry, a tu:

– Ospa, nie musi się pan rozbierać. Maść zapiszę.

Tak, rock'n'roll nie zna litości. Ospa i inne choroby czyhają na każdym kroku. Gorączka, zapalenie oskrzeli czy inne przeziębienia nie są wystarczającym powodem, by odwołać koncert. Kaszlesz, kichasz, grasz. Skoro twój perkusista gra z ręką w gipsie...

Kiedyś wnosiłem do busa wzmacniacz z kolumną, mojego Egnatera. Naprawdę nie waży dużo. Gdy się schylałem, coś chrupnęło i pozostałem w pozycji konik garbusek. Klnąc i złorzecząc pogalopowałem na koncert do Krakowa. No, nie liczyłem ile tego ketonalu połknąłem, ale na bisach czułem się jakbym fruwał. Tym bardziej, że graliśmy w Muzeum Lotnictwa. Konik garbusek był ze mną przez dwa tygodnie. Cóż, chrupki, chrupki.

W trakcie koncertu naprawdę dużo rzeczy może się wydarzyć. I dużo może przeszkadzać w graniu. Co na przykład? Miau, miau! Nasze koty rozsiewają tony sierści. Próbujemy z nią walczyć, ale to bój skazany z góry na przegraną. Sierść jest wszędzie, sam czuję się jak kłęb sierści. Nie opuszcza mnie ta sierść szarawa, biała i czarniutka nawet na koncercie. Gram utwór, stoję przy mikrofonie, oczy lekko przymrużone, wczuwam się, cierpię za miliony czy coś w tym stylu. Nagle nerwowo ruszam głową. Raz, drugi. Tak, to atak padaczki sierściowej. Czuję, jak gdzieś na szyi zaczyna znęcać się nade mną kłębuszek jebanej sierści kocia jej mać. Gilga, łaskocze, szczypie. Szczypie, łaskocze, gilga. Nie mogę się doczekać pauzy, może wtedy zdążę go z siebie zdjąć. Jest akcent, uderzam akord razem z sekcją i prawą ręką zaczynam drapać się po szyi. Gdzie jesteś włochaty sukinkocie? Niestety, już trzeba znowu wejść z gitarą na raz. Nie zdążyłem. On gilga dalej. On łaskocze dalej. On szczypie dalej. Właściwie już nie myślę o niczym, tylko o tych kilku kłakach. Wreszcie koniec piosenki, przecieram rękawem szyję. Zaczynamy następny utwór i nagle... Nie

zdjąłem go, tylko przesunąłem. Zaczyna mi wpełzać do ust, zaraz się nim zakrztuszę!

Jak nie kocia sierść, to atak komarów. Jak nie mróz rozstrajający gitarę, to upał. Dwa razy grałem w kosmicznych temperaturach. Raz z Shakin' Dudi w Legnicy, gdzie graliśmy koło siedemnastej i było wtedy powyżej trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Graliśmy o takiej dziwnej godzinie, bo ponoć główna gwiazda nie za bardzo chciała po nas grać. Zresztą tak było kilka razy, że te „gwiazdy” wychodząc po nas nie wzbudzały specjalnego zainteresowania publiczności.

Wtedy w tej Legnicy można było od tego upału oszaleć. Staliśmy w cieniu, ubrani w garniaki i nieskazitelnie białe koszule, a po plecach płynęły nam strugi potu. Jeszcze nie zagrałem dźwięku, a już byłem mokry i od żaru kręciło mi się w głowie.

W końcu wyszliśmy na scenę. Prosto w twarz świeciło bezlitosne słońce. Czuliśmy się jak frytki na patelni, jak karczek na grillu, jak gęś w piekarniku. Tacy dobrze wysmażeni byliśmy. Tak samo było, gdy z Redakcją graliśmy na Festiwalu Riedla. Ponoć było trzydzieści dziewięć. W każdym razie oddychało się z trudem, śląskie powietrze podgrzane do tej temperatury to nie najlepsze paliwo dla płuc. Jedno dobre, tu przynajmniej nie miałem na sobie garnituru.

Jednak temperatury wysokie czy niskie to pikuś. Najgorszy jest deszcz. Scena robi się mokra, śliska, łatwo na niej wywinąć orła. Wywaliłem się kilka razy, ale na szczęście tylko raz odniosłem poważniejszą kontuzję. Graliśmy w Tczewie, w połowie koncertu zaczął padać deszcz. Zaczynał, po paru minutach większość sceny zrobiła się mokra. Zrobiłem stylowy wyskok, ale gdy lądowałem, obie nogi wpadły w poślizg. Prawa bardzo się wykręciła w kostce. Nogi poleciały do góry, a ja plecami przywaliłem w scenę. Cały czas grałem, nie odpuściłem ani jednej nuty. Wstałem, trochę ta prawa noga bolała. Koncert dograłem spokojnie do końca.

W hotelu zdjąłem buty i po chwili zobaczyłem, że prawą stopę w kostce mam bardzo spuchniętą. Bolało. No pewnie, że bardzo bolało. Przecież każdego faceta bardzo boli. Swoją drogą, gdyby faceci mieli rodzić dzieci, to gatunek ludzki dawno by wymarł. Bolało i przestało po kilku miesiącach. Ale to już nie ta sama kostka. Trochę gorzej pracuje.

Zawód gitarzysty jest zawodem niebezpiecznym. Może nie tak niebezpiecznym, jak poławiacz krabów, ale... Oczywiście nie mówię

o gitarzyście model Postument, który przez cały koncert kotwaczy w jednym miejscu. Mówię o gitarzyście Formuły I, który zasuwa po scenie jak mały samochodzik, skacze, klęka, robi przewroty, salta, ląduje telemarkiem.

Bardzo niebezpieczne są subwoofery, te duże kolumny basowe stojące z przodu sceny. Zawsze na nie włączę, ale parę razy się zdziwiłem, bo były całkiem niestabilne. Pułapką na niedźwiedzie są kable, biegnące wzdłuż przedniej krawędzi sceny. Bardzo łatwo na nich pojechać jak na rolkach. Trzeba też uważać, gdy ze sceny się zeskakuje. Zazwyczaj jest wyżej, niż się w ferworze walki wydaje.

Osobnym zagrożeniem są koledzy z zespołu. Oni robią wszystko, by Cię unicestwić. Szczególnie trzeba uważać na wokalistów, to wyjątkowo krwiożerczy element. Statyw w ich ręku to jak miecz w dłoni Jedi. Kręcą nim, miotają, próbują wybić zęby pozostałym muzykom. Biegnący saksofonista wpadający na mnie to kolejne niebezpieczeństwo, najmniej zagraża mi perkusista. I publiczność, nigdy nie miałem żadnej krzywej akcji.

Zerknijmy za kulisy. Siedzimy w garderobie i czekamy. Na stole jakieś kanapki, miło, że ktoś się postarał. W riderze mamy tylko wodę mineralną, kawę i herbatę. Nic więcej, jestem Spartaninem i śmieszą mnie burackie wymagania zespołów. Dwunastoletnia whisky, dojrzałe mango, pomarańcze, szynka parmeńska itp. Wiadomo, bez szynki parmeńskiej nie da się zagrać. Parę lat wcześniej taki artysta z tatulem kartofle z pola zbierał i surowe wpierdalał, a teraz koniecznie tę szynkę i tę whisky musi mieć. Tak samo wkurza mnie grymaszenie z hotelami. „Pokój ciemny, basenu nie ma, łóżko za miękkie.” A grymaszący mieszka w zaropiałej kawalerce z wychodkiem na półpiętrze.

Siedzimy w tej garderobie i czekamy. Kanapki pachną pięknie i bardzo kuszą. Lecz z pełnym żołądkiem bardzo źle się gra. Przed koncertami odpuszczam posiłki. Jedzenie powoduje ospałość. Dobra, na jedną się skuszę. Słyszę, że grający przed nami zespół gra ostatni utwór. Zakładam gitarę, na pasku mam nadajnik, otwieram klapkę i włączam go. Czekamy, aż zespół zniesie ze sceny swoje graty. Nerwowo sprawdzam, czy mam w kieszeni zapasowe kostki. Na główkę mojego Suhra kolejny raz zakładam stroik i sprawdzam strunę po strunie. Wszystko git.

Wchodzimy, błyskawicznie pod swój odsłuch stojący przed mikrofonem wkładam set listę, czyli rozkład jazdy. Patrzę na pałkera, jest gotów. Nabija. Zaczynamy pierwszy utwór. Dobrze wybrać sobie trochę łatwiejszy, bo trzeba się oswoić z brzmieniem i z ustawieniem odsłuchów. Zresztą w trakcie grania można zawsze coś skorygować. Albo dać głośniejszą gitarę, co jest nagminną przypadłością wśród gitarzystów.

„Już się ściszyłem, ćwiczyłem i nie spałem z Twoją dziewczyną” to ponoć najbardziej popularne kłamstwa gitarzystów.

Koncert przelatuje bardzo szybko. Na pozycji nr 10 widzę utwór, z którym radzę sobie średnio. Uff, chciałbym go mieć za sobą. O dziwo, poszło bezbłędnie. Za to w następnym, tym który gram od stu lat, dwa razy mylę akordy. Nadrabiam miną. Ludzie tańczą, śpiewają, ktoś coś krzyczy. Niby widzę, niby słyszę, ale tak naprawdę jestem w innym wymiarze. Ostatni utwór sprowadza mnie powoli na ziemię. Zaczynam odczuwać zmęczenie, przepocone ciuchy zaczynają drażnić. Jeszcze dwa bisy... Nie, trzy. Ostatni akord.

Schodzę ze sceny.

Znów się udało!

Pierściec,

listopad 2015



Rockowisko 1984
fot. mr makowski



DD, Sopot (1986)
fot. mr makowski – negatyw uszkodzony mechanicznie

Postówie

Czas.

Czassss.

Czasss.

Jak szybko płynie, z każdym rokiem coraz szybciej. Wiosna, lato, jesień, zima, wiosna, lato, jesień, zima, wiosna... Przed chwilą się pożegnałem. Przed chwilą? Skończyłem pisać w listopadzie, a teraz kończymy korektę i przygotowujemy książkę do druku. Jest koniec marca 2016 roku i czuję się zobowiązany, by książkę o te parę brakujących miesięcy uzupełnić.

Napisałem „przygotowujemy”, bo oprócz mnie, w wydanie książki zaangażowało się kilka osób. Znalazłem wydawcę i to wydawcę, którego lubię i z którym się przyjaźnię od lat. Tadam! Orkiestra tusz!

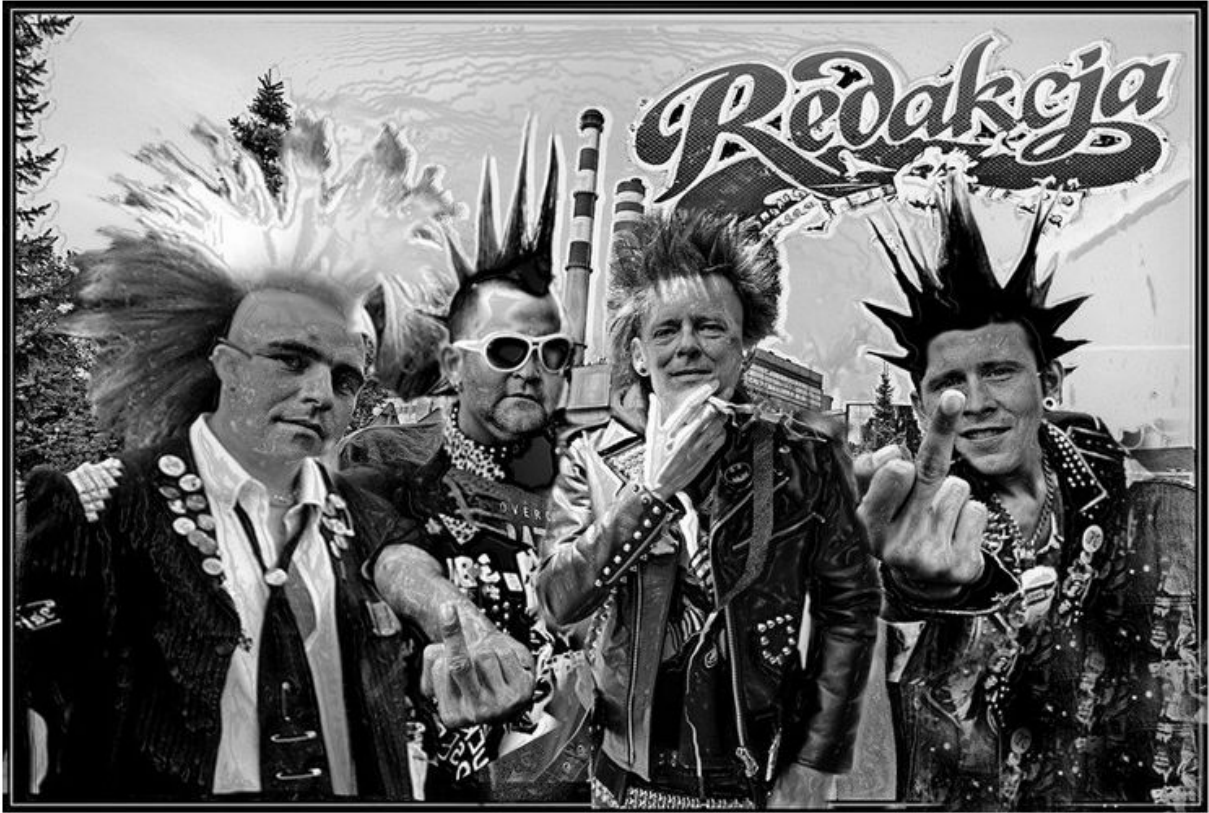
Pan Marek Niewiarowski vel „Zima” i jego podziemne, podwodne i podniebne wydawnictwo „Zima Records” dołoży wszelkich starań, by szanowni nabywcy i czytelnicy (zauważcie, że to nie to samo) byli zadowoleni. Reklamacje, skargi i zażalenie proszę kierować do wydawcy.

Zachwyty i pochwały, do mnie.

Nie dość, że przyjaźnię się z wydawcą, to również od wielu, wielu lat mam podobne relacje z osobą odpowiedzialną za korektę, redakcję i układ graficzny tej książki. Tak Mirku, muszę Cię przedstawić, chociaż i tak pojawiaasz się na wcześniejszych stronach. Tadam.

Mirek Makowski – autor okładek m. in. Shakin’ Dudi i Absurdu, dziennikarz, projektant i fotograf. Wiele jego zdjęć znajdziecie w tej książce.

W korekcie pomagał mi też Grażyna, która również była pierwszą recenzentką tej książki. Dodam, że to jej recenzja pierwszego rozdziału zachęciła mnie do napisania kolejnych. Zresztą do napisania książki zachęcało mnie wiele osób: Sławek Pakos, Mariusz Bukowski, Paweł Konnak... Dość, miało nie być podziękowań!



Redakcja: Stuchlik, Antosiewicz, Dusza, Walczak,
fot. Cezary Filipiuk

Uprzejmie donoszę, że przez te parę miesięcy znów się wydarzyło kilka istotnych rzeczy. W styczniu zrezygnowałem z grania w Shakin' Dudi. Ostatni wspólny koncert z Irkiem zagraliśmy w Sylwestra w NOSPrze.

Powód rozstania? Jest na pewno.

Pod koniec stycznia wyszło „Polskie piekło” Redakcji. Z tej okazji ruszyłem ciężki tyłek i po latach przerwy odwiedziłem stolicę. Pojawiłem się w kilku audycjach radiowych. Odbyłem wiele sympatycznych rozmów m. in. z Piotrem Baronem, Tomkiem Żądą, Marią Szablowską. Za chwilę wyjeżdżam do Antyradia na spotkanie z Piotrem Makakiem Szarłackim. I do Jedyńki, by porozmawiać z Maćkiem Szajkowskim. Płyta zagościła też w audycji Marka Wiernika i w wielu innych programach radiowych.

Słowem pełen sukces, dodajmy, jak zwykle! No, bez przesady...

W trakcie korekty nagle odkryłem, że w październiku tego roku minie równo 35 lat od powstania Śmierci Klinicznej. Nie popłakałem się ze wzruszenia, ale pomyślałem: można to jakoś uczcić. Na Rocku na Bagnie zagramy z Redakcją osiem numerów Śmierci. Planuję też jesienią koncert w Gliwicach, na który zaprosiłem Merca.

Zgodził się, zagramy razem trochę piosenek ŚK.

Dwa dni temu zgłosił się piąty wydawca, który chciałby wydać Śmierć na winylu. Może to jest jakiś pomysł? Szczególnie, że cały czas piszą do mnie ludzie, którzy na taką płytę czekają od lat. Zobaczymy, zobaczymy. Największym problemem jest wybór nagrań.

Znów ktoś zadzwonił po teksty.

Znów ćwiczę na gitarze.

Znów...

Nie, starczy.

Kropka.

Kropka ostateczna, kropka nad kropkami.